

ARCHIWUM WSCHODNIE

Wojna 1939-roku zastała mnie i moją żonę - Stachnę - w niewielkiej miejscowości Podlipki pod Grodnem. W owym czasie mieliśmy kilkumiesięczną córeczkę, Elżbietę. Miejscowość ta znajduje się dokładnie na trasie z Grodna do Kuźnicy Białostockiej. Ci, którzy pamiętają wybuch wojny na pewno potwierdzą, że to były ogromne, niesamowite przeżycia. Każdy zastanawiał się, jak zachować życie i jak uchronić się przed tą nawałą. Ci, którzy urodzili się po wojnie, znają to z opisów i opowiadań. Ale to nie jest to samo, co przeżywali ludzie wówczas żyjący.

Już wiedzieliśmy o wybuchu wojny, że działania wojskowe się toczą. Wiedzieliśmy, że Niemcy uderzyli na Polskę ze wszystkich możliwych stron: nie tylko z lądu, ale i z powietrza i morza. Dla nas rodziców, a zwłaszcza dla mojej żony największym zmartwieniem był fakt, że nasze kilkumiesięczne dziecko nie jest jeszcze ochrzczone. Zastanawialiśmy się nerwowo, co należy zrobić. Żona, przerażona powstałą sytuacją, dążyła wszystkimi siłami do tego, aby dziecko ochrzcić. W rezultacie zawieźliśmy ją furą do Kuźnicy i ochrzciliśmy. W tym czasie odbywał się niemiecki nalot na Kuźnicę, a na pobliski dworzec kolejowy/kilkaset metrów/ spadały bomby. Chrzestnymi byli nauczyciele: Teresa Busłowicz i Karol Piórkowski z Wokussa.

Tu należy dodać, że byłem nauczycielem w Podlipkach. Do mnie przechodzili okoliczni ludzie słuchać komunikatów wojennych. Tak się bowiem stało, że na krótko przed wybuchem wojny kupiłem radio, wówczas najnowocześniejsze, a wane Superheterodyna.

Był to duży, ośmiolampowy odbiornik. W owym czasie było to radio dużej mocy. Wówczas - bo dzisiejsze radia o takiej mocy z łatwością mieszczą się w kieszeni. Wówczas o mocy radioodbiornika decydowały lampy. Oczywiście radio to było zasilanie z akumulatora. Kupiliśmy je w Grodnie.

Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie na dziedziniec szkoły i prosili, aby radio wystawić na okno. Ludzie byli w podnieceniu nie wiedząc, co przyniesie jutro. Jedynie samoloty niemieckie dowodziły, że wróg jest coraz to bliżej. Radio stało na parapecie okna. Ludzie słuchali bez przerwy: od rana do nocy. Jedno odchodzili, a drudzy przychodzili. Tak było w pierwszym dniu wojny, drugim, a nawet i w późniejszych.

Nasze dziecko zawiózł do chrztu jeden z miejscowych gospodarzy, który miał parę koni i bryczkę. Uprosiłam go, żeby pojechał, ale on się obawiał. Ojcem chrześnym naszego dziecka miał być kolega Antoni Korcz, zamieszkały we Francji. Jednak na skutek narastającego napięcia międzynarodowego nie przyjechał. Był to kolega z dawnych, szkolnych lat. Razem chodziliśmy do średniej szkoły. Był inspektorem szkolnym w okręgu paryskim. Nie przyjechał i nigdy go już nie spotkałem: zginął w ruchu oporu. Do dziś nie wiadomo, gdzie został pochowany. Szukałem go bezskutecznie poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Właśnie stamtąd dowiedziałem się, że zginął w ruchu oporu i nawet nie wiadomo gdzie.

Chrześnym niejako w zastępstwie był mój kolega nauczyciel, jak już wspominałem, Karol Piórkowski z Wołkusza. Było to miejscowość za Sokołką. Około godziny dziesiątej podjechaliśmy furą pod Kuźnicę i usłyszeliśmy warkot samolotów. W następnej chwili zauważyliśmy nadlatujące nad Kuźnicę trzy samoloty. Zstoczyły

kilka kół w powietrzu i nagle zaczęły kręcić bomby. Atakowały dworzec kolejowy i tory. Przerażony gospodarz zaczął zawracać konie, żeby wracać. Ale mu wytłumaczyliśmy, że to nie polepszy naszego bezpieczeństwa i że samoloty muszą przecież odlecieć. Gospodarz uległ naszym namowom i pozostał. Ksiądz też był wystraszony, bo kościół od stacji stoi najwyżej dwieście metrów. Sceneria była groźna.

Jakoś ochrzciliśmy to dziecko i nieco uspokojeni wróciliśmy do domu. Ludzie pytali nas, co słychać i co się dzieje. Powiedziałem im, jak te bomby trzaskały. w kościele były nawet wybijane okna od wybuchów bomb.

Ledwie zdążyliśmy nieco ochłonąć i nieco zjeść, gdy zobaczyliśmy przez okno nadjeżdżających kolegów. Jechali na rowerach. Było to ⁵mich pięciu kolegów nauczycieli z okolicznych szkół. Pochodzili z Kuznicy, z „okusza i z Klinczan. Jeden z nich, Ferdynand Dziekoński, miał przywiązaną do roweru szablę kawaleryjską. Zapytałem go zaintrygowany, skąd on to ma? Odpowiedział, że to po ojcu legionście. Oprócz niego w tej grupie byli jeszcze: Kazimierz Bilmin, Franciszek Dercz i Jan Korecki z Klinczan. Byli u nas przez trzy dni. Natychmiast po ich przyjeździe zaczęliśmy się gorączkowo naradzać, co robić w nowo powstałej sytuacji? Jak się zachować? Nasze wiadomości były skąpe. Wiedzieliśmy jedynie, że Westeryplatte broni się nadal. Wiedzieliśmy też, że Niemcy posuwają się coraz dalej w głąb naszego terytorium i nawet ostrzeliwują ludność cywilną. Wahał się, co dalej robić.

Po kilku dniach w naszych okolicach zaczęli pojawiać się żołnierze polscy, którzy wracali do domów. Wcześniej walczyli w jednostkach, które zostały już rozbite. Do nas przyszło dwóch

żołnierzy. Jeden był kapral, a drugi był szeregowcem. Zaczęliśmy ich pytać, co się dzieje, bo oni szli od strzby Białegostoku. Oni powiedzieli, że Niemcy albo już zajęli albo w najbliższym czasie zajmą Białystok. Jak się miało okazać, stało się to w połowie miesiąca. Zachowują się bardzo niebezpiecznie. Jeśli gdzieś napotykają opór, mordują ludność, strzelają do wszystkiego, co się tylko porusza. Ostrzeliwują bronią maszynową z samolotów ludzi, którzy się ewakuują, ostrzeliwują nawet ludzi pracujących na polu.

Słuchając tych wiadomości byliśmy wystraszeni do najwyższego stopnia. Przez cały czas zastanawialiśmy się, co robić? Po jakimś czasie przyszedł do nas samotny żołnierz i powiedział, że podobno wojska polskie koncentrują się w okolicach Lidy i Wołkowyska. Podobno, mówił, w pasie od Lidy do Brześcia ma być budowany wał obronny i że już trwają prace przygotowawcze, a wojsko już się zaczęło okopywać. Według jego relacji bardzo dużo osób cywilnych jedzie tam z pomocą, kopać rowy. Tam będzie stawiany opór.

Jego relacja przyspieszyła naszą decyzję. Skoro tak, pomyśleliśmy, że my tam pojedziemy tym bardziej, że mamy rowery. Postanowiliśmy jechać natychmiast. Żonę powierzyłem opiece gospodarzy, a zwłaszcza kobiet. Myślałem, że jeśli Niemcy tutaj przyjdą, bo Grodno tuż tuż, to kobiety prędzej ją uchronią z dzieckiem niż ja, gdybym nawet tutaj był czy inni mężczyźni. Na tej podstawie postanowiliśmy uciekać.

Żona przygotowała nam kanapki. Pierwszy dzień pedałowaliśmy w stronę Wołkowyska. Jechaliśmy stale na wschód i na wschód. Pierwszą noc przemocowaliśmy u jakiegoś gospodarza na sianie. Drugą noc spędziliśmy też na sianie, ale już w innym miejscu.

Ruszyliśmy dalej. Odjechaliśmy już spory kawał drogi od Kuźnicy. W pewnej wsi po drodze spotkaliśmy grupę żołnierzy. Było ich ze trzydziestu, a wśród nich oficerowie. Jeden w stopniu kapitana, a drugi podporucznika. Wdaliśmy się z nimi w rozmowę. Wieś była zamieszkała przez ludność polską. Kobiety i mężczyźni przynieśli chleb, dzbanki mleka, jajka, aby żołnierzy nakarmić. Każdy starał się im pomóc.

W trakcie tej rozmowy dowiedzieliśmy się smutnych rzeczy. Jak ^{ka} ~~bitan~~, gdy dowiedział się, że my jedziemy z pomocą do budowy umocnień w okolicy Lidy i Słonima, bardzo się zdziwił i nawet zaczął się uśmiechać. Wreszcie powiedział do nas: panowie, nie ma już żadnych zgrupowań. Jeśli gdzieś bronią się Polacy, to jest to tylko punkt honoru polskiego. Wszystkie oddziały są rozbite i nigdzie już nie ma zorganizowanej obrony. My jedziemy właśnie w okolice Czeremchy i gdzieś za Bielsk Podlaski. Tam prawdopodobnie możemy spotkać swoją jednostkę. Ale i tego też nie jesteśmy tak do końca pewni. Nie ma nic takiego, o czym wy mówicie.

Zwróciliśmy jego uwagę na to, że przecież wystąpiły Anglia i Francja. Jest to przecież dla nas wielka nadzieja. Wówczas on odpowiedział: tak, to jest dla nas wielka nadzieja, ale proszę panów, oni nie są wcale przygotowani do wojny. Oni sami muszą najpierw otrząsnąć się z tego wrażenia, uzbroić i przygotować. I wcale nie wiadomo, kiedy co będzie. A narazie u nas wszystko przepadło.

Zaczęliśmy się gorączkowo zastanawiać, co robić dalej? A tu jeszcze nadeszła wiadomość o tym, że Anglia gwałtownie zbiera wojska i szykuje się do obrony. Mówiło się, że Anglia obawia się natarcia niemieckiego lotnictwa.

Wówczas Kazimierz Bilmin, nauczyciel z Kuźnicy, który był

trochę starszy od nas powiedział do nas: słuchajcie, ten kapitan to nie głupi chłop / rozmowa toczyła się już po odejściu nas od grupy wojskowych, z którymi przed chwilą rozmawialiśmy/. Ja też uważam, tak mi się przynajmniej wydaje, że to jeszcze potrwa długo. Wiecie co zrobimy? Przecież nie możemy teraz jechać na tereny zajęte przez Niemców. Udajmy się więc do Wilna. Stamtąd spróbujemy przez Łotwę dostać się do Szwecji. Gdyby nam tak udało się dostać do Anglii, to na pewno nas tam przyjmą. Niejako przy okazji zwiedzimy kawał świata i zawsze będziemy pomocni. Na pewno nas tam przyjmą, bo przecież jesteśmy młodzi. Będzie dobrze.

Jego słowa przyjęliśmy z aprobatą, a nawet entuzjazmem. Podburzani jego słowami ochoczo ruszyliśmy w stronę Wilna. Rowery załadowaliśmy do pociągu i podróż odbywaliśmy pociągiem. Na drugi dzień byliśmy już pod Ostrą Bramą. Jaki zastaliśmy widok pod Ostrą Bramą, to do dziś trudno zapomnieć. Byli tu ludzie młodzi i starzy. Były kobiety z dziećmi. Mężczyźni w kapeluszach i czapkach /należy rozumieć, że byli to ludzie zarówno bogaci jak i biedni/. Oczywiście kapelusze mieli w rękach. Wszyscy modlili się o cud.

Miejsce do przenocowania dostaliśmy w niewielkim hoteliku w pobliżu Ostrej Bramy. Otrzymaliśmy cały pokój do dyspozycji. Wszyscy byli sobie bardzo życzliwi. Jeśli ktoś chciał coś kupić w sklepie, sklepach spożywczych, to spotykał się z reakcją: panowie, bierzcie co chcecie. Nikt z nas przecież nie jest pewien, czy wy utrzymamy się przy życiu i czy to będziemy mieli. W jednej z restauracji, do której zaszedliśmy, to nie chcieli brać zapłaty za przekąski i kanapki i w ogóle jedzenie.

W mieście spotykało się wielu wojskowych. W mieście było

bardzo dużo ludzi z różnych stron Polski. Chodziliśmy po Wilnie przez jakieś trzy czy też cztery dni. Już mieliśmy wyjechać do Łotwy. Zaopatrzeni w żywność na drogę raniutko mieliśmy wyruszyć. Ostatnią noc przed zamierzoną podróżą spędzaliśmy w naszym pokoju kładąc się tak, jak kto mógł. Spaliśmy na piśczakach. Niektórzy spali na łózkach po dwóch lub trzech. Bo w naszym pokoju byli też i obcy, kilku uciekinierów, którzy do nas trafili.

Rano, jak grom z jasnego nieba uderzyła n nas wiadomość, że Sowieci przekroczyli naszą granicę. Było to nocą z szesnastego na siedemnastego września. W tej sytuacji zaczęliśmy się naradzać. Jeden z wojskowych, jeśli dobrze pamiętam - w stopniu sierżanta - powiedział: czy wy wadzicie sobie sprawę, co w obecnej sytuacji znaczy przedostanie się do granicy? Jeśli już wojska sowieckie ruszyły na Wilno, Grodno i Brześć, to n pewno poruszają się w zwartym szyku, kolumnami, a strażę przednią już obsadziły wszystkie ważniejsze przejścia. Tak łatwo tam w dzień nie dostaniecie się. A nocą to wy nie potraficie zrobić. Co w tej sytuacji robić? Ja mam rodzinę na Śląsku, to nie mam wątpliwości, żebym tam wracał. Ale wy, którzy macie rodziny gdzieś tu blisko, koło Grodna, wracajcie czym prędzej. Może będziecie mieli szczęście i przetrzymacie te trudne chwile. Bo tu nie mamy co robić, ponieważ Sowieci niedługo będą w Wilnie. A do granicy nie dostaniecie się.

Oczywiście uznaliśmy to za słuszne. Pojechaliśmy na stację kolejową i załadowaliśmy rowery do wagonów. Kiedy przechodziliśmy koło wagonów, podszedł do nas kolejarz, maszynista i zapytał nas: dokąd jedziecie? Odpowiedzieliśmy, że do Grodna. Wówczas on stwierdził: tam chyba zastaniemy Niemców. I na poparcie

tych słów pokazał nam ulotkę napisaną przez Niemców. Mówił, że wczoraj był w Grodnie i takie właśnie ulotki Niemcy zrzucaли z samolotów. Ulotka była napisana grubą czcionką, a jej treść stanowiła, że każdy Polak, który zostanie schwytyany z bronią, zostanie natychmiast rozstrzelany na miejscu. Taki był sens tej ulotki.

Kolejną radził nam, że jeśli mamy jakąkolwiek broń, to musimy ją wyrzucić. Ja miałem pistolet sześcioprzętłowy, "belgijską", do niej paczkę naboju. Natomiast wspomniany już mój kolega Dziekoński miał tę szablę. Byliśmy już w pociągu i odjechaliśmy od Wilna może już ze dwie stacje. Wówczas ja, bez żadnego żalu, wyrzuciłem z pociągu mój rewolwer i paczkę naboju. Natomiast Dziekoński wydobyl z pochwy szablę swojego ojca i ją ucałował. Był to taki gest, że niektórym aż się ży zakręciły. Bo wykonał to teatralnie. Założył kolano na kolano i przełamał szablę, która zgięła się bardzo mocno, a następnie pękła. Tak połamaną szablę, niezdadną już do użytku razem z pochwą wyrzucił z pociągu.

Przyjechaliśmy do Grodna i ku naszemu zdziwieniu nikogo nie zastaliśmy. Niemców nie było. Tylko wszyscy ludzie byli bardzo wystraszeni. To samo było w restauracjach, bo restauracje były otwarte. Zaszliśmy coś zjeść, bo byliśmy bardzo głodni. Tam młodzianka dziewczyna, może osiemnastoletnia powiedziała do nas: panowie, zabierajcie jedzenie nawet do kieszeni. Tu macie kiełbasę i gotowane jajka, n / pewno są świeże. Dzisiaj rano były gotowane. Biercie co chcecie. Pieniądzy żadnych nie trzeba, bo i tak wszystko nam bolszewicy zabiorą.

A Niemców nadal w Grodnie nie było. Zjedliśmy pośpiesznie. Chcieliśmy jak najszybciej jechać szosą białostocką w stronę

Kuźnicy. Ruszyliśmy rowerami. Przejechaliśmy tory i most na Niemnie. A jadąc od Grodna w stronę Białegostoku, co parę kilometrów spotyka się laski. Najczęściej są to laski sosnowe. W jednych drzewostan jest młodeży, a w innych ^{starszy}. Po bokach szosy ciągnęły się wydmy żwirowate. I te, które nie nadawały się ludności rolniczej do gospodarowania, od wielu bardzo lat były zalesione.

Kiedy podjeżdżaliśmy w pobliże jednego z lasków, spostrzegłem w rowie leżący, piękny rewolwer. Był to rewolwer belgijski, oksydowany niklem. To było istne cacko. Spostrzegłem go pierwszy, bo podczas naszych podróży ja zawsze wysuwałem się na czoło naszej grupy rowerowej. Byłem bardziej wysportowany niż moi koledzy. Byłem wytrzymalszy. Gdy zobaczyłem ten pistolet, szybko zeskokczyłem z roweru, podbiegłem do rowu i szybko schowałem pistolet do kieszeni. Wszyscy moi koledzy, gdy go później oglądali, zachwycali się nim mówiąc: co za piękne cacko. Po chwili ruszyliśmy dalej.

Na dalszej trasie zobaczyliśmy w rowie leżące karabiny. Leżały tego całej gromady po dziesięć - piętnaście sztuk. Leżały maski gazowe, a nieco dalej leżał rewolwer "nagan". Jeden z kolegów zabrał go natychmiast. Jadąc tak dalej uzbroiliśmy się wszyscy. Ale ich wszystkich pistolety były duże. Były to najczęściej "siódemki" i każdy był czarny. A jedynie mój był niklowany. Jak dziś go widzę: to było takie piękne cacko. Widocznie jakiś oficer go wyrzucił. I jeszcze do niego była paczka na boi.

Podjechaliśmy do lasu. Pamiętam, że w pobliżu, w rowie stała dość gruba sosna. W sąsiedztwie rozciągał się las, może trzydziestoletni, a może nieco starszy. Były w nim sosny i mniejsze

i takie, które można przetrzeć i na belki. Było też dużo krzaków jałowcowych. Zaczęliśmy się gorączkowo zastanawiać, co robić. Spotkaliśmy też kilku żołnierzy, którzy zapytali nas: panowie, gdzie wy jedziecie? Tu trzeba uciekać, do Grodna. Odpowiedzieliśmy, że my mamy tu rodziny. A oni na to: ale przecież tu Niemcy podjeżdżają samochodami i motocyklami. Patrole niemieckie podjeżdżają pod Grodno i zawracają z powrotem. Jeśli oni was złapią z bronią - bo widzimy, że broń macie - to jest to bardzo niebezpiecznie. Trzeba przyznać, że jego uwagi były bardzo słuszne. Pistolet schowany do kieszeni jest w jakiś sposób widoczny dla postrojonej osoby.

Weszliśmy do lasu i zaczęliśmy się naradzać, co należy teraz zrobić. Wszyscy zgodnie doszliśmy do przekonania, że broń należy się pozbyć. Pozbyć się w taki sposób, że należy ją schować w lesie. Ale powstał problem: jak ją schować, bo jeden drugiemu nie wierzył. Wówczas powiedziałem: wicie co, koledzy, zrobimy tak. Każdy z nas uda się na pięć minut do lasu, ale każdy w inną stronę. Za pięć minut wracamy do tej sosny. Przez ten czas każdy swoją broń schowa tak, jak uzna za stosowne, sam wybierając miejsce. I tak się stało.

Ja natychmiast, gdy koledzy zostawiwszy rowery pobiegli do lasu, odmierzyłem od sosny, przy której stałem, trzydzieści kroków biegiem w stronę Grodna, następnie drugie trzydzieści kroków pod kątem prostym w las i tam szybciućko, pod dość wysokim krzakiem jałowcowym schowałem rewolwer i paczkę naboju. Drugą stronę lasu wróciłem na umówione miejsce zbiórki, gdzie czekało na mnie już dwóch kolegów. Pozostałych trzech kolegów dołączyli do nas za minutę, a może dwie. Wszyscy schowaliśmy broń, każdy po swojemu.

Nieco uspokojeni ruszyliśmy w dalszą drogę. Niemców nigdzie

nie spotkaliśmy i przez nikogo nie niepokojeni dojechaliśmy do Podlipiek. Już z daleka widzieliśmy grupę ludzi przed szkołą, którzy przyszli posłuchać radia. Moja żona Stachna była bardzo zadowolona z naszego powrotu. Pytano nas, co słyszeć. Odpowiedzieliśmy, że teraz nam pozostaje tylko czekać na Sowietów, którzy już wkrótce tu będą. Podobno, mówiliśmy, Niemcy zostawili Sowiecom Grodno. Niemcy sami są w Białymstoku, do nas nie przychodzą.

Słuchając radia i oczekując Sowietów przesiedzieliśmy w Podlipkach jakieś chyba ze dwa dni. Izba szkolna była dla nas i salą jadalną i sypialnią, bo tam i sypialiśmy na słomie, bo gospodarze nanosili nam słomy.

Po dwóch dniach nasi goście wszyscy rozjechali się do domów, a myśmy zostali sami we dwoje w domu. Już i ludzie z osady zaglądali do nas mniej licznie niż w poprzednich dniach. Teraz przychodziło ich po kilku dowiedzieć się, jakie są najnowsze wiadomości. Wszyscy rozeszli się do swoich zajęć i wszyscy czekali, kiedy ci bolszewicy przyjdą. Wszyscy zastanawiali się, co to będzie i jak to będzie, kiedy oni przyjdą. A w naszej osadzie mieszkała wyłącznie ludność katolicka. Prawosławnych nie było w ogóle. W każdym razie ci ludzie byli nastawieni bardzo dobrze zarówno do Polski jak i do Polaków. Chodzili też do kościoła. Nasza parafia była w Kuśnicy.

Bolszewików nadal nie było. Od wyjazdu naszych gości minęły może cztery, może pięć dni. W każdym bądź razie tydzień jeszcze nie przeszedł. Ja nie wiedziałem, co mam robić, bo mnie męczyła bezczynność. W ogóle byłem bardzo niespokojny. Nie mogłem usiedzieć w jednym miejscu. Musiałem coś robić. Takı zresztą byłem od urodzenia, żywy, który nie mógł usiedzieć w jednym miejscu.

Musieliem coś zrobić. Pewnego dnia powiedziałem do żony: wiesz Stachna co, wy pobawcie się obie z Ulą /Ela/ a ja pojedę po rewolwer. Żona aż podskoczyła z wrażenia: ty wariacie, przecież mogą cię złapać bolszewicy, którzy może akurat już tam są, pod Grodnem. Przecież ty nie wiesz, gdzie oni są. Gdy wyjedziesz na szosę, to co będzie? Przecież wojska wszystkie, a więc i bolszewickie posuwają się przede wszystkim szosą. W żadnym wypadku nie możesz jechać.

Nie dawałem jednak za wygraną i zacząłem ją uspokajać: nie bój się, wszystko będzie dobrze. Tam jest schowany bardzo piękny rewolwer. Koniecznie muszę po niego pojechać, koniecznie. Zobacysz, wszystko będzie dobrze. A to taki piękny rewolwer. Ja muszę pojechać, koniecznie.

Żona nadal mnie prosiła se łzami w oczach żebym został, ja jednak pojechałem. Zostawiłem ją w dzieckiem, a sam pojechałem. Dojechałem do szosy. Osada nasza bowiem znajdowała się od szosy w odległości jakieś pół kilometra. Ruszyłem szosą, która biegła w tym miejscu biegnąca pod górę. Dojeżdżając do szczytu wzniesienia usłyszałem trzask karabinów maszynowych. Zacząłem gorączkowo zastanawiać się, co to może znaczyć. Pomyślałem sobie, że to pewnie jakieś jednostki polskie walczą z bolszewikami w pobliżu Niemna. Podjechałem dalej w tym kierunku jeszcze z kilometr i usłyszałem odgłosy bombardowania. Wyraźne były wybuchy bomb. Wyraźne też były wystrzały armatnie. Strzały te były bardzo częste. Mimo tego ja jechałem dalej w tym kierunku. W miarę zbliżania się do Grodna wybuchy były coraz wyraźniejsze i częstsze. Dały się teraz wyraźnie słyszeć karabiny maszynowe. Nie było już dla mnie najmniejszych wątpliwości, że w Grodnie toczyła się Bitwa. Kiedy dotarłem do lasu, który znajdował się najbli-

żej Grodna, widziałem z daleka wierzchołki wydm położonych nad Niemnem oraz zarysy najwyższych budynków w mieście. Miasto było widoczne.

Kiedy podjeżdżałem do sosny, od której należało liczyć kroki do miejsca ukrycia broni, nagle za mną uderzył pocisk w szosę. Spadł jakiś pięćdziesiąt metrów za mną w miejsce, przez które przed chwilą przejechałem. Żwir i piasek wzniesiony wybuchem obsypał mnie. Obejrzałem się i dostrzegłem olbrzymią wyrwę na szosie. Ciągnęła się ona od rowu do rowu. Cała szosa została przerwana.

Przestraszyłem się nie na żarty chociaż wiedziałem, że to nic mi nie pomoże. Wiedziałem, że jestem odcięty i nie mogę uciekać. Byłem już w pobliżu sosny.

Nagle usłyszałem donośny wybuch za mną. Obejrzałem się i zobaczyłem, że w miejscu, gdzie zawsze rosła grupa sosen, teraz sterczą tylko kikuty po nich. Bomba uderzyła w owe sosny, które pod wpływem detonacji zupełnie rozleciały się. Zostały tylko ostre, połamane pnie. W głębi lasu nadal padały bomby. Słyszając liczne wybuchy nie miałem wątpliwości, że las jest pod ostrzałem. Zacząłem gorączkowo się zastanawiać, co mam robić. Wiedziałem, że w tej sytuacji wyboru nie mam. Odruchowo chyba zostawiłem rower przy sośnie, odmierzyłem trzydzieści metrów tak jak przedtem, rowem w kierunku Grodna" następnie trzydzieści kroków pod kątem prostym w stronę lasu. I tu stwierdziłem, że wszędzie dookoła mech jest wydarty. Nie ma rosnącego mchu tylko zdarty i leżący w kępach. Pomyślałem sobie: a niech cię diabli wezmą, już któryś z kolegów mnie ubiegł i zabrakł mój rewolwer. Ale mimo wszystkiego zacząłem się jeszcze rozglądać w tym miejscu, gdzie stałem, bowiem wszystko wyliczyłem jak poprzednio i wiedziałem, że miejsce ukrycia broni musi być właśnie gdzieś tu.

Nagle zauważyłem w pobliżu kilka krzaków, wokół których był nienaruszony mech. Włożyłem rękę w mech pod najbliższym krzakiem i zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samego znalazłem rewolwer. Paczka naboju też była na swoim miejscu. Włożyłem to do kieszeni. Teraz opanowała mnie tylko jedna myśl: jak teraz dostać się do roweru i to żeby jak najszybciej. Moim marzeniem było jak najszybciej stąd uciec.

Odgłosy dochodzące z Grodna nie pozostawiały wątpliwości, że tam bitwa toczy się na dobre. Myślałem wówczas, że to jakieś polskie oddziały walczą nad Niemnem z bolszewikami.

Dopiero później dowiedziałem się, że marszałek Śmigły - Rydz wydał rozkaz zawierający zakaz walki z bolszewikami, chyba że walki nie dało się uniknąć. Później też dowiedziałem się, że mimo tego zakazu liczne oddziały polskie toczyły ciężkie walki z wkraczającymi wojskami sowieckimi.

Wsiadłem na rower i omijając wyrwę na szosie /rower przeprowadziłem obok, przez las/ i całym gazem ruszyłem w stronę domu. Dojechałem szczęśliwie. Monie nie oczywiście nie powiedziałem o moich przygodach w lesie. Bałem się, że dostanie histerii. Obawiałem się, że może poważnie się wystraszyć. A tu było przecież małe dziecko przy piesi. Dowiedziałem jej o tym dopiero po upływie paru dni, jakie tam miałem przygody.

Po kilku dniach przybiegł do nas z kolonii, oddalonej od nas jakieś dwa kilometry w stronę Grodna - dobry nasz znajomy. Pamiętam, że nazywał się Krawiec. Wyraźnie podekscytowany powiedział: panie kierowniku, w Grodnie było powstanie. W obronie miasta uczestniczyła ludność, dzielnie spisywali się harcerze. Podobno /tak opowiadał/ porobili wielkie barykady na ulicach. Nad Niemnem okopało się podobno kilka polskich jednostek i przez

dłuższy czas broniły Sowieciom dostępu do Grodna. I wtedy to rozpoczęła się ta bitwa, której byłem świadkiem. Podobno walki trwały całą dzień i całą noc. Oczywiście zdecydowana przewaga była po stronie Sowieców, którzy mieli armaty i karabiny maszynowe. Nic więc dziwnego, że weszli do Grodna. Natychmiast podobno zabrali całą gromadę Polaków. W krótkim czasie całe więzienie się zapełniło. Ponieważ dla wszystkich zatrzymanych nie było już miejsca w więzieniu, pościągano drut kolczasty ze wszystkich możliwych miejsc, zrobili duże ogrodzenie /okólnik/ i całą masę ludzi zagonili za druty.

Zabitych w czasie walki w ogóle nikt nie chował, narazie. Nikt nie uprzątał. Jak się później dowiedziałem, sprzątnięcie zaczęło dopiero po paru dniach. Tak więc pozabijani Polacy leżeli na ulicach przez parę dni.

Bardzo szybko specjalnymi pociągami wywożono aresztowanych ludzi w głąb Rosji. Od tego dnia z tego miasta zaczęła się ta gehenna carów.

A myśmy zostali w tych naszych Podlipkach. Zostaliśmy jeszcze parę dni. Ale na drugi czy też trzeci dzień w domu najpierw naoliwiłem mój rewolwer. Następnie poszedłem za stodołkę i dwukrotnie wystrzeliłem. Chciałem upewnić się, czy dobre są naboje, bo przecież przez jakiś czas leżały w mchu. Pistolet był niezawodny. Byłem z niego bardzo zadowolony.

Koledzy moi porozjeżdżali się już do swoich domów. Ja cały czas gorączkowo zastanawiałem się, co mam robić. My z żoną byliśmy tylko oboje. Już teraz rzadko kto przychodził do nas dowiedzieć się, co słychać. Widać było, że wszyscy już zrezygnowani machnęli ręką na jakąś nadzieję. Oczekaliśmy, kiedy do nas przyjdą bolszewicy.

Na drugi czy na trzeci dzień mówię do Stachny tak: wiesz co, Stachna, /swoją przygodę już jej opowiedziałem/, pojedę do Mslawicz do kolegi Miłkowskiego dowiedzieć się czegoś, bo to jest mądry człowiek. Z Piotrem Miłkowskim razem byliśmy przecież na wszechnicy w Warszawie. Dowiem się, jak wygląda sytuacja. Przecież niezależnie od tego z ludźmi trzeba mieć kontakt. Gdy tu będziemy sami siedzieć, to w ogóle nic nie będziemy wiedzieć, co się dzieje. Idąc do ludzi coś można się dowiedzieć. Może ludzie coś poradzą.

Żona znowu zaczęła się denerwować: ach Boże kochany, że też ty nie możesz wysiedzieć. Znowu cię korci. Patrz, przecież niewiele brakowałoby, abyś został pod Grodnem. I dodała: a co będzie, jak cię złapią? Bo ja włożyłem do kieszeni rewolwer. Musiałem to zrobić, bo tam w ogóle było niebezpiecznie. Na terenach w okolicach Grodna był bandytyzm był jeszcze w okresie przedwojennym. Dlatego miałem pozwolenie na broń. Inni nauczyciele też mieli zezwolenia z tych powodów.

Ale ja jednak nie dałem za wygraną. wytłumaczyłem żonie, że pojedę polnymi drogami. Nic mi się stać nie może. Szosą naprawdę nie pojedę, nawet gdyby mi i kazano. Ale polnymi drogami to będzie jakieś dziesięć kilometrów. Trzeba jechać przez pola i lasy. Taka droga wiodła do Malawicz. Była to duża wieś, a Piotr Miłkowski był tam kierownikiem szkoły. Właśnie mieliśmy razem wyjechać na studia. Już miałem udzielony na tę okoliczność urlop na dokończenie studiów za zwrotem kosztów zastępstwa. tego urlopu udzielił mi osobiście kurator Pietrykowski. Bo byłem dobrym nauczycielem w ich mniemaniu i to miało charakter nagrody. A Stachna w tej sytuacji miała przejść z Podlizek do Kuźnicy na nauczycielkę.

Mimo sprzeciwów żony jednak pojechałem. Przejechałem jakieś dwa kilometry. Minąłem pole i zagłębiłem się w las, za którym prześwitywały dalsze pola. Nagle zobaczyłem, że w moją stronę idzie mój serdeczny kolega - Jan Kaliński. On również był nauczycielem w pobliskiej wsi. Miał na sobie podarty mundur. Był cały posiniaczony i brudny. Wyglądał tak, jakby przed chwilą uczestniczył w jakiejś bitwie. Nie miał też ze sobą jakiegokolwiek oporządzenia wojskowego. Miał na sobie tylko pas i mundur z rozzerwaną kieszenią.

Natychmiast podjechałem do niego z pytaniem, czy jest ranny. Odpowiedział, że nie, że go tak bolszewicy urządzili. Nie daj Boże, zawołałem, co ty opowiadasz. On zaś mówił: tak, słapałimnie. Wcześniej dowodziłem piętnastooosobowym oddziałem. Rozbili nas gdzieś w okolicach Szonimia. Każdemu z żołnierzy sprawdzili ręce i puścili do domów. Nie natomiast związali drutem, a następnie wsadzili na armatę, na której wieźli mnie przez całutki dzień i całą noc do swojego sztabu. Ale nocą, gdy się zatrzymali - uciekł. Przez ^{cały} bowiem czas, gdy go wieziono, tań drutem o żelazo armaty, gdyż był związany drutem zwykłym, a nie kolczastym. Oczywiście, gdy przetarł drut, nie rzucił się do ucieczki od razu lecz czekał sposobniejszej chwili. Dopiero gdy bolszewicy zatrzymali się i odeszli szukać pożywienia, on wykorzystał moment nieuwagi i uciekł.

I tak znalazł się na drodze w miejscu, w którym go spotkałem. Zapytał mnie, dokąd ja zmierzam? Powiedziałem mu, że idę do Milkowskiego, którego i on znał również. Był przecież nauczycielem z naszego rejonu, a nauczyciele z jednego rejonu wszyscy się znali. Powiedziałem, że idę do Piotra Milkowskiego dowiedzieć się, co mamy robić?. Sytuacja jest bowiem niejasna. A on

zeczaj mnie od tego odwozić: bój się Boga, co ty robisz. Masz przecież Stachnę i małą córeczkę. Ciesz się tym i siedź w domu. Wracaj natychmiast do domu. Sam leziesz wilkowi do gardła. Odpowiedziałem mu, że nie spodziewam się niczego złego. Jestem ubrany po cywilnemu i poruszam się dróżkami. Nic mi nie będzie tym bardziej, że tu już niedaleko Malawicze.

Pożegnaliśmy się, a on na rozstanie powiedział jeszcze: no, ja na twoim miejscu to bym nie pojechał. Jestem przekonany, że bolszewicy niedługo wezmą się za nas wszystkich.

Przejechałem jeszcze pole i w następnym, drobnym i rzadkim lasku moja droga krzyżowała się z inną drogą pod kątem prostym. Ja jechałem z zachodu na wschód zaś droga, którą miałem przeciąć, biegła z północy na południe. Ale to była polna droga. Już z daleka zobaczyłem pałacyk, w którym zamieszkiwał właściciel o nazwisku Denko. A obok pałacyku, po drugiej stronie drogi były budynki gospodarskie. Jedne z nich były drewniane, a drugie murowane. Właśnie przy tych budynkach gospodarskich zauważyłem trzy samochody ciężarowe. Na dwóch samochodach siedzieli żołnierze sowieccy uzbrojeni. Widziałem ich doskonale, bo byłem od nich jakieś osiemdziesiąt metrów najwyżej. Niektórzy podrzucali granaty, które trzymali w rękach. Po chwili zauważyłem, że przy drewnianym ganku pałacyku stała czarna limuzyna. Cały pałacyk też był drewniany.

Z daleka już było widać Malawicze. Dzielilo mnie od nich najwyżej dwa kilometry. Byłem skurat na górcę, a teraz miałem zjeżdżać w dół. "Dałem po pedałach" i skyszałem tylko świst powietrza, tak pędziłem. Zauważyłem po lewej stronie, że ludzie kopali jeszcze kartofle. Był to koniec września. Była piękna pogoda. Pomyślałem, że już za chwilę będę w Malawiczach.

Nagle usłyszałem, tuż za sobą, jakiś przytłumiony szum. Po chwili czarna limuzyna zajęła mi drogę. W ostatniej chwili zdążyłem pochylić rower na prawą stronę i podeprzeć się nogą, by inaczej bym upadł. Z auta wyskoczyła natychmiast dwóch oficerów z naganami i zawołali: "Ruki w wierzch". Oczywiście podniosłem natychmiast lewą rękę, który był oparty o mnie zaczął obsuwać się mi po kolanie. Opuszczałem rękę, aby go przytrzymać. Wówczas jeden z oficerów podskoczył do mnie - bo staliśmy bardzo blisko siebie - był on w stopniu kapitana, zdrowy chłop. Chwytał mnie za rękę i wykręcił mi ją do tyłu. I zapytał: "rużio jest?" /czy masz broń/. Kiwnąłem głową na znak, że mam. Bo cóż miałem powiedzieć? Przecież miałem pistolet w kieszeni. Wówczas on zawołał: złapaliśmy dobrego ptaszka. Złapaliśmy szpiona. Byli z tego zadowoleni.

Drugi z oficerów, jak się później nieco rozpoznałem w sowieckich dystynkcjach, był majorem. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął mój rewolwer i zapytał: "zarażony?" /zarepetowany, czyli czy jest nabój w lufie/. Tu muszę dodać, że niektóre słowa rosyjskie znałem, bo mnie jeszcze w dzieciństwie babka nauczyła. Nawet pisać potrafiłem po rosyjsku tymi bukwami.

Kiedy on zabrał mi rewolwer i zaczął nim manipulować, to sam wprowadził nabój do lufy. Gdy to zauważył, zawołał: o, taki syn, mówił, że nie "zarażony". A ja w swojej praktyce nigdy nie miałem zwyczaju wciągania naboju do lufy. W mojej broni naboje zawsze były w magazynku. Do lufy wprowadzałem nabój tylko w razie potrzeby.

Kiedy zabrali mi mój rewolwer, obszukali mnie dokładnie. Nawet podciągali nogawki. Kazali mi zdjąć buty i sprawdzali też w skarpetkach. Obszukali mnie wszędzie, na wszystkie strony.

W pewnej chwili odwróciłem głowę i spostrzegłem na tylnym siedzeniu samochodu cywila. Był to znany mi Żyd. Nazywał się Kruplak, rymarz. Później się dowiedziałem, że on był tym komunistą przedwojennym. Za czasów władzy polskiej organizował te "jaczajki" i był teraz przewodnikiem żołnierzy sowieckich, gdy bolszewicy wkroczyli.

Major zwrócił się do niego z pytaniem: znacie go? On zaś skinął głową: tak, znam, to nauczyciel. Ale głowa mu wyraźnie drżała. Wyglądało to tak, jakby miał głowę na sprężynie, taki był wystraszony. Był w wieku trzydziści do czterdziestu lat. Był rymarzem w Sokółce.

Gdy major usłyszał, że jestem nauczycielem powiedział: ach tak, to nauczyciel. No to mamy dobrego szpiona. To jest polski politruc. No, no; nie spodziewaliśmy się, kogo złapaliśmy.

W tym czasie nadjechały trzy ciężarówki ze zbożem i z wojskiem. Zatrzymały się przy nas, a żołnierze zaczęli mnie oglądać. Wśród nich było niemałe poruszenie, bo przecież złapano szpiega. Jeden z nich, taki młody lejtnant powiedział: towarzyszu majorze, ja gdy tylko go zauważyłem, natychmiast pomyślałem, że to musi być szpion. A na to major odpowiedział: tak, tak". Bystry Kola jesteś. Połączysz /otrzymasz/ order - powiedział, za twoją szybką orientację.

Następnie ciężarówki ruszyły dalej, a do mnie powiedziano: a ty, pajeżdżaj do tej dierewni /a ty jedź do tej wsi/. I kazali mi jechać na przodzie, a sami taksówką jechali za mną na ostatnim biegu.

Akurat zajechaliśmy pod szkołę, która stała na początku wsi na wzniesieniu. Przed budynkiem szkolnym rozciągał się duży dziedziniec szkolny, a z boku stała stodołka. Służyła na składowanie

różnych rzeczy. Była niemała. Miała jakieś dziesięć metrów długości i odpowiednio była szeroka. Pamiętam, że wchodzić do niej można było przez jedne drzwi duże lub dwoje drzwi małych. To wówczas zauważyłem i zapamiętałem do dziś.

Kiedy przyjechaliśmy na ten dziedziniec, już wojsko stało w dwuszeregu. Ciężarówka ustawiono z boku. Przed dwuszeregiem stał młody oficer.

Gdy samochód się zatrzymał, wysiadł z niego Kruglak i od razu poszedł do budynku szkolnego. Natomiast major kiwnął na mnie palcem i powiedział: pod stienku. Podeszedł do mnie młody oficer. Pamiętam, że miał płaski nos Kałmuka i powiedział tylko jedno słowo: "paszli". Poszedłem za nimi. Kazali mi stanąć pod stodółką, odwrócić się do niej plecami podnieść ręce do góry. Wówczas myślałem tylko o jednym: kiedy zaczną strzelać.

To dziwna rzecz. W późniejszym czasie wielokrotnie myślałem o tej chwili, nawet będąc na Syberii. Zawsze stwierdzałem i nadal stwierdzam z niemałym zdziwieniem, że nic a nic się nie wystraszyłem. Po prostu nie miałem czasu się przestraszyć. I potem doszedłem do wniosku, że ci ludzie, którzy byli rozstrzelani, to na pewno przed swoją śmiercią nie bali się. Wiedziałem po prostu, że nadszedł koniec, że nic już nie pomoże. Oczekałem jedynie, kiedy mnie uderzy kula. I co jeszcze dziwniejsze: opanowała mnie ogromna złość. Zamiast strachu. Myślałem sobie: Boże kochany, złapali mnie jak kota do worka. Przecież powinienem był obejrzeć się w czasie jazdy rowerem, upewnić się, czy mnie gonią czy nie. Bo mi nawet przez myśl nie przeszło, że oni mogą mnie gonić. Takiej ewentualności nawet nie rozważałem. Byłem pochłonięty tym, że ja już na pewno dojadę do Malawicz rowerem i nie myślałem, że oni mogą udać się w pościg za mną. Nie myślałem, że w mo-

jej osobie będą dopatrywać się "szpiona". Nikt tak chyba nie myślał, że tu gdzieś może kręcić się szpieg.

Nadal stałem pod ścianą. Oficer wkrótce odszedł, a ten Kałmuk pozostał z rewolwerem skierowanym na mnie. A ja nadal myślałem o tym, jak ja głupio się zachowałem, że tak po prostu dałem się złapać.

Przed oczyma zobaczyłem Stachną i to małe dziecko i pomyślałem sobie: Boże mój kochany. Przecież one tak na mnie czekały, że ja wkrótce przyjadę. A tak nawet nie będą wiedziały gdzie i w jakich okolicznościach ja zginąłem. Nawet nie będą wiedziały, co się stało. I przez cały czas nie myślałem, że ja z tej o-
presji wyjdę żywy, że za chwilę mnie rozstrzelają. że za chwilę mnie nie będzie.

Stojąc tak pod ścianą zauważyłem kątem oka, że Kruglak wyprowadza z mieszkania Miłkowskiego ze szkolnego budynku. Zauważyłem ich akurat w momencie, kiedy przechodzili przez ganek. Po chwili zauważyłem, że Kruglak i Miłkowski rozmawiają z oficerami radzieckimi.

I w tej chwili zauważyłem, jak zza sąsiedniego budynku, nie dalej ode mnie jak jakieś ²dwadzieścia metrów wyskoczyło kilku żołnierzy polskich. Jak się później okazało, było ich razem siedmiu. Właśnie widząc wojsko sowieckie starali przedostać się za stodółką, pod którą stałem, do dalszych budynków w głąb wsi. Zamierzali uciekać gdzieś dalej. Pilnujący mnie Kałmuk zauważył ich i podniósł alarm. Zaczął krzyczeć: "Palaki, Palaki". I jednocześnie wskazywał ręką miejsce, gdzie stali nasi żołnierze. Oficerowie sowieccy, którzy rozmawiali z Miłkowskim i z tym żydem, nie ruszyli się nawet z miejsca. Natomiast żołnierze bolszewicy rzucili się do chwytania Polaków. Z nimi pobiegł też

i Kałmak, który mnie pilnował. Zostałem sam. Widziałem, jak połapano Polaków i po chwili prowadzono ich do oficerów. Wojskowi sowieccy utworzyli takie duże koło, w środku którego znaleźli się połapani przed chwilą żołnierze polscy. W pewnej chwili zaczęto rozbierać jeńców do naga. Rozbierano wszystkich i do naga. Kazano nawet ściągać koszule. Potraktowano ich tak, jak na komisji wojskowej. Zaczęto ich skrupulatnie rewidować. Szukano w butach. Okazało się przy tym, że wszyscy oni mieli w owijaczach masę pieniędzy. Jak mi później Miłkowski opowiadał, wszyscy oni wyglądali tak, jakby mieli opuchłe nogi. A pieniędzy mieli bardzo dużo. Być może był to jakiś konwój polski, który eskortował jakąś kasę.

Widząc taką masę pieniędzy żołnierze sowieccy zaczęli śmiać się do rozpuku. Po jakimś czasie, kiedy już wszyscy nałożyli koszule i spodnie i podchodzili do sowieckich oficerów i musieli pokazywać im ręce.

Słyszałem: nu, da. Tak wy nie oficerzy. Kiedy już sprawdzono wszystkich powiedziano im, że mogą iść do domu. Pieniądze natomiast zatrzymano. "Wam eti dieńgi nie nużne, będziecie mieć ruble." I aby pokazać, wyjął z kieszeni jeden bankot i powiedział: o, takie czerwonce będziecie mieć. Te zaś możecie wyrzucić. One są nic nie warte.

Kiedy tak trwały rewizje, a następnie rozmowy na temat pieniędzy, ja zawróciłem od stodoły i podszedłem do nich. Przywitałem się z Miłkowskim i zwróciłem się do Żyda: Panie Kruglak, bo ja znałem i jego brata i jego też, niechże pan wytłumaczy tym oficerom, że nie jestem żadnym szpiegiem. To, że miałem broń niczego nie dowodzi, bo tu wiele osób miało pozwolenie na broń. W tym gronie osób posiadających broń było wielu nauczycieli.

Jechałem do Malawicz do pana Miłkowskiego dowiedzieć się, kiedy będą otwarte szkoły.

Okazało się później, że ten Żyd uprzedził już wcześniej pana Miłkowskiego o tym, że mnie złapano z rewolwerem. I oni obaj, zanim ja do nich podszedłem zaczęli wyjaśniać oficerom sowieckim, że u nas można było posiadać broń. Zapewnili, że oni mnie znają jako spokojnego nauczyciela.

Wówczas oficer sowiecki, zamiast mówić o mojej sprawie, zaczął opowiadać, jakie to wspaniałe szkoły są u nich. Mówił, że u nich są szkoły z betonu, stali i ze szkła. Gdy tak jesteś u nas w szkole - mówił - i tak spojrzysz, to widzisz całą okolicę. A szkoły dziesięciolatki są u nas w każdym kolchozie. Nasi ludzie w większości mają wyższe wykształcenie. Natomiast średnie wykształcenie to u nas mają wszyscy. Słuchałem tego i widziałem ze zdumieniem - później się dopiero zorientowałem - że Miłkowski zaczął mu przytakiwać. Opowiadał temu oficerowi, że czytał książkę o szkole rosyjskiej, w której było wyraźnie napisane, że w szkołach radzieckich jest tak wspaniale. Opowiadał, że na ten temat czytał broszury komunistyczne, które tutaj u nas z takim trudem dostawaliśmy.

W trakcie rozmowy zauważyłem, że z każdą chwilą groźny początkowo nastrój teraz wyraźnie się zmienił. I ja też, coraz to zabierałem głos. W pewnej chwili zdobyłem się na odwagę i powiedziałem: towarzyszu majorze, oddajcie mi ten mój pistolet. On przecież wam na nic się nie przyda. Wy macie tyle doskonałej broni. A u nas, w naszych stronach bywa niebezpieczne. Kiedy to powiedziałem, ci dwaj spojrzeli na mnie i nic nie powiedzieli. Po chwili dopiero zaczęli się śmiać, a ten kapitan - pamiętam, że był gruby - przesunął czapkę na tył głowy i też zaczął się

śmiać. Nareszcie przestali się śmiać i ten major powiedział: słuchajcie, wam on też już nie jest potrzebny. Tu, pod naszą władzą broni nikt nie będzie miał, a i band żadnych tu nie będzie. Jeśli będziecie "czestno" robotat, to wam takie damy. I tu pokazał mi swój nagan.

Cała ta nasza rozmowa trwała tu jakieś pół godziny. Znaczną część tej rozmowy zajęła prymitywna agitacja i zachwalanie, jak to oni dobrze żyją bogato, jak u nich jest dobrze. Jak tam wspaniale funkcjonują fabryki. Jednym słowem cuda przed nami rozteczał, jak tam jest wspaniale.

W końcu zwrócił się do mnie bezpośrednio: no tak, widzę, że ty jesteś naprawdę nauczycielem. Daruję ci życie. I powiedział, że tu trzeba będzie "czestno" robotat za rodzinę i za Stalina. Tak nada.

Wreszcie wojsko ruszyło w stronę Sokółki. Najpierw pojechało wojsko, a dopiero za nimi ruszyli oficerowie limuzyną. Ja zostałem sam, z panem Miłkowskim. Wówczas pan Miłkowski powiedział do mnie: no wiesz, Wiktor, ty naprawdę urodziłeś się w czepku. Muszę ci powiedzieć, że byłem przekonany, że cię "rozwałę". Całe szczęście, że ten Żyd mnie uprzedził o zaistniałej sytuacji i jeszcze sam cię bronił. Okazuje się, że on nie jest jeszcze taki zły.

Posiedziałem troszkę u niego. Nieco porozmawialiśmy. Już nie chciałem ani herbaty ani niczego. Jak mogłem najszybciej pojechałem do Stachny.

Kiedy po jakimś czasie opowiedziałem jej i o swoich przygodach i o Kalińskim, jak wyglądał, odpowiedziała, że ona nic nie chce. Ona tylko chce jednego: ona tylko chce stać jak ja najszybciej nieśkać. W tym czasie wielu innych nauczycieli też już po-

uciekąco. Uciekali do innych miejscowości głównie dlatego, żeby zmienić środowisko. Ale już zaczęto organizować szkoły. Nowe władze zaczęły też organizować urzędy. Powstawały sielsowiety zamiast gmin oraz rejonów zamiast powiatów. Nasz rejon znajdował się w Sokółce. W innych stronach połączono po kilka powiatów w jeden rejon.

Postanowiliśmy i my zmienić środowisko. Przejechaliśmy na teren powiatu wysoko - Mazowieckiego. Udało się nam przejechać do Białegostoku koleją. Z Białegostoku do Szepietowa też przejechaliśmy koleją. Z Szepietowa przejechaliśmy do Hodyszewa. Były to też tereny zajęte przez Sowieców. Niemcy na te tereny przyszli później. Obecna granica między tymi dwiema okupacjami przebiegała w Żerębach kościelnych. Ulokowaliśmy się w hodyszewie w szkole. Była to wcześniej szkoła siedmioklasowa. Wówczas w hodyszewie proboszczem był ksiądz Dąbrowski. Był to naprawdę wspaniały ksiądz. Było też kilku młodych księży. Z nimi to właśnie urządzaliśmy narady i z nimi też słuchaliśmy mojego radia, naszej Superherodyny.

Po wielu dyskusjach doszliśmy do przekonania, że tak jak nam mówił kiedyś ten kapitan, że jednak to przejdzie sporo czasu, zanim sprawa się rozstrzygnie. Zachód wprawdzie zachęcał do wytrwania, do ~~pr~~ oporu niekoniecznie czynnego, ale biernego. Ale nigdzie nie było formalnego frontu. Wręcz odwrotnie: krótko zajęto Francję, a na Anglię kierowały się niemieckie naloty. Sytuacja stawała się nieciekawa.

To wszystko sprawiło, że coraz więcej ludzi zaczęło przybierać do bolszewików. Czynili to nawet rdzenni, prawdziwi Polacy. Wśród innych przedsiębiorców w Riekutach został Jan Gudziński - legionista. Pamiętaj, że byłem jako dziecko, kiedy to on

był legionistą. Wówczas z niesamowitym, dziecięcym zachwytem i z taką ciekawością patrzyłem na niego. Pamiętam go, gdy kiedyś przyjeżdżał na urlop. A teraz został tym przedsiębiorcą. Było to spore zaskoczenie nie tylko dla mnie.

Po jakimś czasie grupa młodych zapaleńców, chłopców dwudziestu-
toparoletnich, którzy nie tak dawno poprzychodzili z wojska, a
nawet i takich, którzy jeszcze w wojsku nie byli zorganizowa-
li - na czele z podchorążym - ^{Brygadę Strzelców} ~~Brygadę Strzelców~~ Polakich. Oczywiście
każdego nowowstępującego zaprzężeli. I kiedy przyszli do mnie
żeby i mnie pozyskać /także chodziło im też o mojego młodszego
brata - Feliksa/ powiedziałem do nich: słuchajcie, co wy ro-
bicie. Przecież wyobraźcie sobie przedewszystkiem to, że na za-
chodzie nic nie robią. Tam nie ma żadnego frontu. Natomiast tu
u nas rozpanoszyli się bolszewicy. Zorganizowali już swoich
szpiclów. Mają też swoich zaufanych donosicieli, którzy są przez
nich oplaceni. Wówczas ludzie już wiedzieli, kto jest takim do-
nosicielem. Wytykano ich nawet palcami. Czy to było słuszne czy
nie, ale palcami ich wytykano. Mówiono wprost, że taki a taki jest
donosicielem czy, że współpracuje z nowymi władzami. A najlep-
szym przykładem był Gudziński, legionista.

Ponieważ znałem dobrze tego młodego podchorążego, który to
organizował - nazywał się waclaw Właszewski - w tym czasie
otrzymał już chyba stopień podporucznika, bo już minęło parę
lat, kiedy to on skończył gimnazjum w Białymstoku. Powtórzyłem
do niego to samo, co powiedziałem innym: słuchajcie, nie róbcie
tego głupstwa. Tu nie chodzi o to, kto jest winny czy nie. Nowej
władzy to nie obchodzi bo ona ma inne cele. A już w tym czasie
wywózki już się zaczęły. Już dzieci przybiegały z różnych wsi
z takimi wiadomościami. Były wiadomości z Ferma /miejscowość ko-

to Hodyszewa, wieś/. Dochodziły też wiadomości i z innych wsi. Wymieniano inne wsie, między innymi Kiewłaki. Podawano też nazwiska wywiezionych. W tym czasie stawało się znane powiedzenie, że ludzi wywożą na "białe niedźwiedzie".

Trzeba trafić, że do milicji zgłosił się Polak. Też taki cwar-
niak, obibok. I go zabito. Stało się to w Hodyszewie, gdzieś na
drodze. Oczywiście, jak zawsze w takich sytuacjach, rozpoczęto
gwałtownie dochodzenie. Nachodzono mieszkańców po domach, pyta-
no. Wiele osób aresztowano w związku z tą sprawą. A mój brat
miał wykształcenie rolnicze. Skończył szkołę zawodową w Brześ-
ciu Kujawskim. Następnie ukończył szkołę hodowlaną w Liskowie.
W owym czasie był kierownikiem czy też może instruktorem do
spraw hodowlanych na cały rejon brański. Swoją uwagę koncen-
trował głównie na hodowli w majątkach. Pamiętam, że bywał w nich
w takich majątkach jak Pobikry czy Rutka. Pamiętam, że ciągle
ustalał, co tam mają hodować, jak mają hodować i w jaki sposób
mają powiększać swoje stada hodowlane. Wiedziałem, że on w zwią-
zku ze swoją pracą wyjeżdża tam bardzo często i przebywa tam
nawet przez parę dni.

Wyjeżdżał w zasadzie rowerem i bywał zakwaterowywany w tych
miejscowościach. I pewnego razu - a było to w 1940-tym roku,
ale wiem, że to było przed oficjalnym przyłączeniem naszych te-
renów do Białorusi jako Zachodniej Białorusi, przed wyborem
delegatów./tu sprostowanie: to musiało być jeszcze w 1939-tym
roku, gdyż przyłączenie to odbyło się na początku listopada ro-
ku 1939-go/. To musiało być najpewniej w październiku 1939-go
roku. Wówczas właśnie, kiedy zabito tego milicjanta, mój brat po-
jechał w delegację. Pokazywał mi nawet swoje dokumenty /dele-
gację/ z których wynikało, że wyjeżdża na kilka dni i że jedzie

do majątku Pobikry i do Rutki. Pojechał i go jakoś długo nie było. My mieszkaliśmy oczywiście oddzielnie. Ja z rodziną mieszkałem u takich państwa Pruszyńskich. Byłem ze Stachną i z małym dzieckiem. Dom, w którym mieszkaliśmy stał tuż przy parkanie kościelnym. Natomiast on mieszkał u siebie, razem z rodziną. Zabudowania znajdowały się niedaleko, na koloni /czyli za wsią/.

Nieobecność brata zaczęła przeciągać się ponad miarę. Trwała już chyba ponad cztery dni. Zacząłem się zastanawiać, a nawet i niepokoić się: co to jest, że on przez tyle czasu nie pokazuje się. Wreszcie jednego dnia przyszedł. Był strasznie wyniszczonego i pobity. Pod lewym okiem miał duży siniec. Ubranie jego było strąszone.

Zapytałem go, co się stało i dlaczego on tak wygląda. A on powiedział mi tylko tyle: "ktoś nas sypnął". I nic więcej. Wracam do Sowietów z więzienia. Zacząłem gwałtownie go wypytywać, prosić, żeby mi opowiedział, jak to było. Wówczas powiedział, że Sowietci wypuścili go specjalnie dlatego, żeby im oddać /wydać / Gołaszewskiego.

- I oddasz im jego?

- A niech ich .../tu zaklął straszliwie/. Nie daruję im tego, co oni ze mną w piwnicy robili. Ty musisz nam pomóc czym prędzej uciekać.

Z dalszej relacji brata wynikało, że po tygodniu męczarni w piwnicy zgodził się wydać Gołaszewskiego. W rzeczywistości chodziło mu tylko o to, żeby wyjść z więzienia. Pytali go ciągle, gdzie spiskowcy się spotykają, gdzie odbywają swoje organizacyjne zebrania. Okazało się, że bolszewicy wiedzieli prawie wszystko, rozpracowali ich dokładnie. Stało się niestety dokład-

nie tak, jak im wcześniej mówiłem. Chodziło bolszewikom o to, żeby brat pomógł im zwabić organizatorów w zasadzkę. Na pytanie - gdzie się spotykają - odpowiedział - że gdzieś w stodole, na jakiejś koloni. Bolszewicy ustalili, że jego wypuszczą. Wypuścili go rano. Dali mu wódkę. Ponieważ w tym czasie wódki akurat w sklepach nie było, dali mu pół litra spirytusu jeszcze zalekowane. Była to butelka spirytusu specjalnie przyniesiona z apteki. Kasali bratu zrobić z tego wódkę i urządzić libację. Libacja miała odbyć się oczywiście w tej stodole, w której rzekomo odbywały się zebrania organizacji.

Planowano, że oczywiście Sowietci będą w pogotowiu. Zależało im szczególnie na Gołaszewskim. Feliks /brat/ za to zostanie zwolniony i chyba w nagrodę otrzyma jeszcze lepszą pracę.

- Wydasz go ? - zapytałem brata.

- Ależ człowieku, wiesz przecież, jak sprawa się przedstawia.

Tylko jak my uciekniemy?

Pomyślałem sobie: Boże kochany, to oni uciekną, a ja zostanę z rodziną - ze Stachną i małym dzieckiem. Spodziewałem się, a właściwie domyślałem się, co ze mną może być, bo przecież bolszewicy doskonale wiedzieli, że jesteśmy braćmi. Co ze mną będzie? Sytuacja się komplikowała.

Ale nie było czasu na wymówki ani na jakiegokolwiek wyrzuty, bo już się stało. To już w tej sytuacji niczego nie zmieni. Mój brat odbywał służbę wojskową w szpitalu zapasowym w Sokółce. Wojsko skończył może na rok przed wojną. Odpowiedziałem, że wódkę się zrobi, bo mamy nawet dużo soku wiśniowego. W Zalesiu mieliśmy kuzyna, który nazywał się Adolf Miłkowski. Miałem z nim przejścia później, gdy już wróciłem z Syberii. On był komendantem AK na Topczewo i okolice.

Właśnie od niego braliśmy ze stachną wiśnie, kiedy mieszkaliśmy w Modyszewie. Przerabialiśmy je na soki i konfitury. Naradzając się tak natychmiast wysłaliśmy kobietę do Gołaszewskiego. Mojego brata zwolniczo bardzo wcześnie, chyba jeszcze przed godziną szóstą rano. Chodziło o to, żeby go ludzie nie spotykali, bo był bardzo sponiewierany. Przez kobietę zawiadomiliśmy go, żeby natychmiast zwołał zbiórkę organizacji w lesie. Był bowiem niewielki lasek tuż koło Modyszewa. Zawiadomiliśmy tylko, że jest bardzo pilna sprawa. Tej treści kartkę mu przesłaliśmy.

Przygotowaliśmy wódkę. Stachna przygotowała kanapki. Były też dwie butelki dobrej wódki. I spotkaliśmy się w umówionym miejscu. Wzięliśmy ze sobą dwie zaufane dziewczyny, które poszły z kieszonkami, niby to na gryby. Musieliśmy poczynić takie maskowanie, czułem bowiem, że za nim trop w trop pójdą bolszewicy, ich wywiadowcy i że będą go pilnować. Będą śledzić każdy jego krok. Z tego też powodu nie można było zwlekać, czekać do rana, ale działać natychmiast.

Kiedy spotkaliśmy się, Gołaszewski zapytał, co się stało. Odpowiedzieliśmy mu wówczas dokładnie, co się stało i jaka jest sytuacja, że bolszewicy wszystko w zasadzie wiedzą. Powiedzieliśmy mu, że Sowietom chodzi głównie właśnie o niego, komendanta, że jego chcą koniecznie ująć.

Postanowiliśmy, że czym prędzej trzeba uciekać do Żurąg Kościelnych. I dalej, do Generalnego Gubernatorstwa. Wypiliśmy niewiele tej wódki. Niezbyt nam to szło, ale wypiliśmy po dobrym łyku. Wypiliśmy wszyscy, a resztę im oddaliśmy. Pożegnaliśmy się. Nie wiedziałem, że jest to nasze ostatnie pożegnanie. Nie spotkaliśmy się już nigdy.

Wróci^{tem} do domu. Kiedy wychodziłem do lasu, dziewczyny dały mi kilka podbrzeźniaków. Stachna zrobiła mi je na śniadanie. Czekałem, co będzie dalej, jak się sprawa dalej potoczy. Wiedziałem, że mnie muszą wezwać. Ale nie wiedziałem, w jaki sposób, gdzie i kiedy.

Nie przeszło od tamtego czasu trzy dni, a może nawet było to już na drugi dzień, przybył do mnie specjalny gońiec z Brańska, który przyniósł mi pismo. A ja w tym czasie w Hodyszewie byłem kierownikiem szkoły. Z pisma wynikało, że mam natychmiast stawić się w rejonowym oddziale obrazowania /odpowiednik wydziału oświaty/. Wprawdzie byłem bardziej samozwańczym kierownikiem szkoły, ale rejon w Brańsku mnie zatwierdził/. U dołu pisma był dopisek, że jestem wzywany w sprawie organizacji szkoły. I jeszcze dopisane: sprawa bardzo pilna.

Odrazu domyśliłem się, o co chodzi. Tu trudno było być niedomyślnym i nie pokapać się, o co chodzi. Liczyłem się z najgorszym. Stachna dała mi dwie koszule na siebie, węzełek, trochę żywności. Ale nie miałem zbyt wiele rzeczy ze sobą, aby nie sprawiać wrażenia, że liczę się z czymś niedobrym. Dodatkowe rzeczy miałem tylko na sobie. Miałem dwie koszule na sobie. Włosy też miałem ostrzyżone, jak zawsze, gdy liczyłem się z aresztowaniem. W Hodyszewie był zresztą taki domowy fryzjer, który potrafił bardzo dobrze strzyc. Pożegnałem się ze Stachną i z malutką córeczką i pomyślałem sobie: już chyba nie wrócę. To jest przecież wiadome.

Mógłbym wprawdzie uciekać, ale inne względy nie pozwalały mi na to. Moja żona była nie to, że chorowita, ale słabowita i bardzo delikatna. Nigdy nie zajmowała się pracą czy czymś takim. Pochodziła z Kolna, gdzie jej ojciec był nauczycielem, a matka

miała sklep. Tak więc ich dzieci były tak wychowane, że nie do pracy, jednym słowem. Jak powiedziałem, mógłbym uciekać. Ale na tyle ambitny, że nie chciałem jej zostawić samej. Liczyłem się bowiem z tym, że w takim razie natychmiast ją zabiorą. Jak zabiorą, to natychmiast i wywozą. A co ona sama poradzi? Nic nie poradzi sama.

Pożegnaliśmy się i poszedłem do Brańska. Szedłem piechotą. Było to dwanaście kilometrów.

Przez cały czas, idąc do Brańska myślałem, gdzie oni są. Czy już przeszli granicę czy jeszcze nie. Ale nadzieję zawsze miałem dlatego, że mój brat już kilkakrotnie przechodził granicę i udawał się do Warszawy, a nawet przy tej okazji przeprowadzał innych. Myślałem, że skoro on zna tamtejsze przejścia, a w dodatku ma znajomych, to na pewno udało się im i że przeszli. Taką miałem błogą nadzieję, że jednak przeszli.

Kiedy doszedłem do wsi Pietraszki /już w pobliżu Brańska/ zacząłem się zastanawiać: co ja mam mówić? Doszedłem do wniosku, że powinienem przyjąć taką linię, że z bratem nie byliśmy w najlepszych stosunkach. Często nie zgadzaliśmy się ze sobą. Przyczyną tego miało być to, że on lubił sobie zbyt często wypić, lubił się zabawiać - bo był jeszcze kawalerem - często pożyczał ode mnie pieniądze i nie zawsze oddawał. Jednym słowem w moim opowiadaniu powinien być z niego taki "szakapat". Tak się to teraz określa.

Zacząłem się zastanawiać, skąd ja mogę o jego osobistych sprawach wiedzieć tak dużo, skoro mieszkaliśmy oddzielnie. Wymyśliłem więc, że poszedłem do niego po rower. Widziałem u niego delegację. Ale długo nie mogliśmy porozmawiać serdecznie, bo widziałem delegację z której wynikało, że jedzie do Rutki, do Czai

i do Pobikier. Te właśnie majątki miał tym razem objeżdżać. Ale nie rozmawialiśmy długo, bo jak mówię, nie byliśmy ze sobą tacy bliscy. Ale że tam wyjeżdża, wiedziałem. Swoją rower odebrałem. On pojechał w delegację swoim. On często pożyczał mojego roweru, gdy wyjeżdżał, bo jego rower często psuł się.

Wreszcie doszedłem do Brańska, do rejonu. Zobaczyłem, że w tym urzędzie siedzą sami Moskale, rusczy. Kobiety i mężczyźni byli ubrani tak samo. Mieli na sobie zielone rubaszki przepasane pasami. Wszyscy w takich samych butach.

Pod wrażeniem tego zapomniałem o własnej sprawie i przeżyciach, bo wzięła mnie straszna złość. Zakląłem po cichu patrząc, jak oni chodzą. Usiadłem na stołku, bo tam kazali mi czekać. A oni tymczasem załatwiali swoje sprawy. Siedziałem więc i myślałem: no kto by się spodziewał, że kiedyś tyłu tych drani może do naszego Brańska przyjść i że będą rządzić się jak u siebie w domu. Takie myśli przeskakiwały mi po głowie.

Naraz podszedł do mnie jeden z nich. Oczywiście ubrany tak jak i inni: w butach i bluzie, jegomość z pistoletem - naganem za pasem, nachylił się do mnie i zapytał: "Kazłowski?". Odpowiedziałem, że tak. "Idiom". I poprowadził mnie. Przeszliśmy przez jedną podwórko, a następnie drugie, gdzie stał dość duży budynek. Nie pamiętam, co w nim mieściło się dawniej. Wprowadził mnie do dużego pomieszczenia. Wyglądało to na poczekalnię, bo stało tam nawet parę krzeseł. W ścianie, na środku były drzwi obite blachą, a po obu stronach dwoje drzwi zwykłych.

Mój przewodnik zapukał do drzwi obitych blachą i wprowadził mnie do pomieszczenia. W tym pomieszczeniu zauważyłem, że za stołem siedzi jegomość ubrany w cywilne ubranie. Nad nim wisiał wielki portret Stalina. Domyśliłem się, że to jest sam na-

czelnik rejonu. Ten pan siedział za biurkiem, przed którym stał wolny taboret. Obok stało krzesło. Nieco dalej stało więcej krzesła. Ten, który mnie wprowadził - usiadł na krześle, a mnie kazało zająć miejsce na taborecie. Taboret stał w odległości około jednego metra przed biurkiem. Tak więc miałem przed sobą naczelnika rejonu a z boku tego, który mnie tu przyprowadził. Oni obaj widzieli mnie doskonale.

Siedzący za biurkiem odezwał się:

- No, tak. Kazłowski? /wyraźnie akcentował końcówkę "kij" chociaż starał się mówić po polsku, łamanym językiem/. Nie był wcale podobny do bolszewika. Profil miał też taki jak Polak. Był dość wysoki,

- Kazłowski, powiedzcie, gdzie wasz brat?

Ponieważ byłem przygotowany na to pytanie, natychmiast poderwałem się:

- To wy mnie pytacie o to? Wy mnie pytacie o mojego brata? Przecież widziałem jego delegację, na podstawie której pojechał do majątków. Już chyba z pięć czy sześć dni go nie widziałem. Wprawdzie rzadko się spotykaliśmy, ale od czasu do czasu mnie odwiedzał. A może go gdzieś ~~go~~ zabili, jak niedawno tego milicjanta? Przecież wiecie jakie tu są nastroje i jak są traktowani ci, którzy, jak ja i mój brat, współpracują i pomagają władzy radzieckiej.

Wówczas ten mężczyzna, który siedział z boku odezwał się:

- Spokojno, spokojno. Nie wołujtjes. Wszystko rozpatrzemy. Następnie mężczyzna siedzący za biurkiem powiedział do mnie:

- Powiedzcie nam, jak wasz brat był ubrany i co mówił, gdy wyjeżdżał w delegację?

Opowiedziałem im, jak brat był ubrany. Był ubrany w sportowe spodnie takie, w jakich dawniej chodzono - takie zawijane pod kolana, miał na sobie marynarkę w kratkę. Wszystko to mi opowiedziałem. Widziałem też, że przygotowywał sobie kanapki w mieszkaniu. Zauważyłem za to, że na stole leżała delegacja. Zapytałem go więc, czy na długo wyjeżdża. Odpowiedział, że jak to zwykle bywa - na parę dni. Tak mi powiedział.

- No tak. A powiedzcie, dlaczego wy bracia nie byliście ze sobą w dobrej zgodzie?

tu zacząłem opowiadać, że był niesłowny, że lubił się zabawić. Zresztą o tym trudno powiadać komuś obcemu. Niestety, tak było i muszę to powiedzieć.

Po tym nastąpiła chwila ciszy. Oni spoglądali na siebie. A ja nadal udawałem wyraźnie zdenerwowanego. Zresztą odezwałem się:

- Słuchajcie, powiedzcie mi chociaż, czy on żyje?

wówczas ten zsa biurka powiedział:

- Nam zdaje się, że on żyje. Bo widzicie, on nie był ani w Pobikrach ani w Rutce. I my dlatego uważamy, że on udrał /uciekł/.

- Niemożliwe. Ale dlaczego?

- No, mam wrażenie, że prędko wyjaśnimy. A wy nikomu o naszej rozmowie nie mówcie. Jedźcie do domu. Tam wam przysłałiśmy dyrektora z Białorusi, nowego człowieka. Pomóżcie mu organizować szkołę

Gdy powiedział to do mnie, nie wierzyłem własnym uszom, że mogę wrócić do domu. Gdy wyszedłem z urzędu, a następnie z Brańska stwierdziłem, że miałem koszulę zupełnie, ale to zupełnie przyklepioną do pleców. Pot ściąkał ze mnie aż do łydek. Czuję to już w czasie rozmowy zwłaszcza gdy ich pytałem, czy mój brat

chociaż żyje. Gdy w dodatku usłyszałem, że mam wracać, bo tam mam spotkać nowego dyrektora - osłabłem zupełnie.

Odszedłem od Brańska może z kilometr i pomyślałem sobie, że może ja za wolno idę. Od tego momentu podbiegałem bez przerwy. Co podejść kawałek, to znowu podbiegam. A spocyny byłem do nitki, wyczerpany.

Kiedy wróciłem do domu, oboje z żoną nie wierzyliśmy, że jesteśmy znowu razem. Bardzo się cieszyliśmy. Jednak powoli ochłodziśmy z tego wszystkiego. Trzeba było iść na lekcje.

Za parę dni zjawił się nowy dyrektor. Był to młody chłopak, krępy. Białorusin, który nic nie umiał po polsku, absolutnie. Pochodził z okolic Smoleńska. Przyjechał tak, jak stał. Nie miał żadnej walizki ani nawet jakiejś torebki. Swoje podstawowe rzeczy miał w małym worcaku, przewiązanym na krzyż sznurkiem. Marynarkę miał na tyle za dużą, że palce nie wystawały z rękawów, a gdy podnosił ręce do góry, to palce wysuwały się najwyżej do połowy. wywołało to niemałe zdziwienie.

Po przybyciu do nas natychmiast powołał się na naczelnika Karabaniuka /tego, który mnie przesłuchiwał w Brańsku/ mówiąc, że naczelnik Karabaniuk polecił mu zgłosić się do mnie / do was, "Wiktor Karłowicz"/ i my razem będziemy organizować szkołę. Stosowne pismo w tej sprawie przyjdzie później. Będzie to urzędowe pismo z rejonu.

Przyjęliśmy go ze Stachną jak najserdeczniej. Po pierwsze dlatego, że ja miałem w tym swój interes, bo jemu powierzano stanowisko naczelnego dyrektora. Mnie natomiast przewidziano stanowisko tak zwanego "zawucza" co oznacza "zawiadującyj uczebną część". Po polsku oznaczało to, że mi podlegały sprawy pedagogiczne.

Już na samym początku poczęstkowałem go wódką - kieliszek do

obiadu. Odmówił: "nie! nie!", "nie! nie!". Tylko odin, taki malenkij, malenkij." A potem, już po paru dniach, to i pół litra było mało. Ja nie mogłem pić, ale musiałem pić.

W pobliżu kościoła mieszkał krawiec, Niemcyjski. Natychmiast zaniósłem do niego marynarkę nowego dyrektora. Poszliśmy tam razem z nim. Nazywał się on /dyrektor - Białorusin/ Wasilij Dyczkin. Krawiec skrócił rękawy tak, że marynarka niczym się już nie wyróżniała. Stachna kupiła gdzieś materiał / do tego zakupu dołożyliśmy własnych pieniędzy, bo on wcale nie miał gotówki/ i uszyliśmy mu ubranie. On nie bardzo wiedział, jak ma do nas się odnosić. Bardzo często przyjmowaliśmy go u siebie i karmiliśmy go. Często nauczycieli podśmiewała się z niego, bo też i był człowiekiem pociesznym.

Kiedy on zobaczył w szafie moje ubrania, z wrażenia otworzył gębę. A wcześniej daliśmy mu jeszcze kapelusz do nowego ubrania tak, że wyglądał jak zwykły nauczyciel polski. Kiedy zobaczył moje ubrania w szafie to z otwartą buzią mówił: "O rany Boga, a na co wam tyle kostiumów - doktor Kartowicz". A ja miałem kilka ubrań. Były tam ubrania sportowe i inne.

Kiedy nadszedł czas zgłaszania kandydatów, zwołano zebranie do budynku szkolnego. Zebrano ludzi z okolicznych wsi, bo nasza szkoła była duża. Oczywiście zaproszono też i mnie na to zebranie. I ja - jak dobry dureń - poszedłem na to zebranie. Przyjechał sielsowiet w pełnym składzie z Żenczenką, który był pełnomocnikiem rejonu. Żenczenko chodził w szyneli obszarpanym. Pracował w sielsowiecie na stanowisku do którego należało podpowiadanie, jak sielsowiet ma pracować. Na zebraniu było - a jakże - prezydium. Siedziało ono za stołem nakrytym czerwonym suk-
nem. Zebranie rozpoczęło się "dokładem" czyli wykładem, który wygłosił sam Żenczenko. Wykład zawierał stwierdzenia, jakie to

Dobrodziejstwa nas czekają w nowej rzeczywistości. Jakie już dobrodziejstwa przyniosła władza radziecka Polakom i Białorusinom i wszystkim, którzy na tej ziemi mieszkają, bo wszyscy będą teraz żyć ze sobą jak bracia. Stalin osobiście stara się, żeby Zachodnia Białoruś niczym nie różniła się od Związku Radzieckiego. Jednym słowem tu będzie wszystkim raj.

Teraz mamy zatwierdzić delegatów na walne zgromadzenie - kontynuował swój "dokład" -- kandydatów, którzy na Walnym Zgromadzeniu uchwalą oficjalne przyłączenie Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do Związku Radzieckiego. Tu nawet Gudziński wezwał do tego, aby wszyscy głosowali jednogłośnie, przez podniesienie rąk.

Po tych przemówieniach wyciągnięto kartę, z której odczytano nazwiska chyba pięciu kandydatów, których nam "przywieziono." Gudziński wezwał do głosowania, ale nikt nie podniósł ręki. Na to Żenczenko: no, co takiego, bunt? Nadal panowała cisza. Nadal nikt nie podnosił ręki.

Tu już Żenczenko zdenorwował się wyraźnie. Wstał i powiedział: tak? Tu milicjonera ubili. Tu jest mnogo różnych bandytów i takich, którzy są przeciwni Związkowi Radzieckiemu. Znajemy to dobrze, dobrze znamy. Radzę wam podnosić ręce.

Na zebraniu stała, gdzieś tam na końcu sali, kobieta, która była znana z ciętego języka. Miała wówczas jakieś 28 lat. Nazywała się Ewka Brodaczowa. Jej faktyczne nazwisko nie było takie. Nazywano ją tak dlatego, że jej ojciec nosił brodę, to ją nazywano dlatego "Brodaczowa". I tak już została. Otóż ona podniosła się z miejsca i krzyczy: To wy nie wiecie, dlaczego my nie chcemy głosować? Niech głosuje Gudziński i cały sielsowiet na nich głosuje. Bo to jest sama hołota, ma chcemy porządnych lu-

dzi. Sala udzieliła poparcia jej słowom wołając: tak, tak. Ewka ma rację. Ktoś gwizdał w kącie. A sala była nabita.

Personel sielsowietu był bardzo zdenerwowany. Jedni spoglądali na drugich. Było to widać dokładnie, bo oni siedzieli przed nami, w prezydium. Takie zebrania urządzało bardzo oficjalnie, z urzędowymi przedstawicielami.

Wśród ludzi powstał tumult. Gudziński aż zbladł ze zdenerwowania, podniósł się i zawołał: ludzie, pamiętajcie się, wy nie wiecie, co robicie. A z sali padły głosy: sam głosuj, ty "taki nie taki". I posypały się na niego wyzwiska z kąta.

Sytuacja stała się denerwująca, aż nawet groźna, że i mnie też udzieliło się to zdenerwowanie. Chwyciła mnie przede wszystkim złość, że z jakiej racji zgonili tych wszystkich ludzi i jeszcze się wytrząsają nad nimi. Byłem zły zwłaszcza na Gudzińskiego. Poprosiłem o głos i powiedziałem: słuchajcie, ludzie mają rację, że krzyczą. Mają rację dlatego, że w konstytucji wyraźnie jest napisane /a już wcześniej przeczytałem konstytucję Związku Radzieckiego/, że wszystkich kandydatów do jakichkolwiek władz zgłaszają robotnicy i chłopci. A wyście przynieśli do nas gotową kartkę i nam jedynie nazwiska odczytali. I dlatego tak to się stało. Trzeba pozwolić ludziom zgłosić swoich kandydatów - tłumaczyłem dalej - i zobaczycie, że ludzie to spokojnie przegłosują. Swoje słowa wyraźnie kierowałem pod adresem prezydium, bo ono było źródłem zamieszania.

Z sali rozległy się głosy: tak, nauczyciel Kozłowski ma rację. My nie chcemy tych kandydatów, my chcemy swoich ludzi. I aż trudno uwierzyć, ale ci zgodzili się na to. Tak na dobrą sprawę nie mieli innego wyjścia, gdyż sami już widzieli, że dalsze upieranie się przy swoich, to znaczy przywiezionych kandydatach grozi

otwartym buntem. Pozwolili wystawić własnych kandydatów. Ludzie wystawili odpowiednią ilość / już nie pamiętam: czterech czy pięciu trzeba było /. Pamiętam, że zgłoszono takie nazwiska jak Biłkowski i Tomczuk. Ale to już byli kandydaci swoi. Wszystkich ich przegłosowano jednogłośnie. I ludzie, z ogromnym poczuciem zwycięstwa rozeszli się do domu. Członkowie sielsowietu też się rozjechali.

Po powrocie do domu opowiedziałem Stachnie, jakim to było ciężkie to zebranie, w sumie przecież głupio prosta czynność. Zrobiłem też uwagę, że chyba niepotrzebnie się mieszałem w tę sprawę. A na to żona odpowiedziała: nie tylko że niepotrzebnie. Ty już chyby większego głupstwa nie mogłeś zrobić niż to. I po coś ty to zrobił? Po co ci się było mieszać? Nie wolno było ci się wcale odzywać.

Oczywiście musiałem przayanać rację żonie. Ale już się stało. Za jakiś czas przyszedł do nas ksiądz z drugim młodym księdzem. Zaczęliśmy się zastanawiać nad tym. I oni też podzielili stanowisko żony: nie należało się mieszać do tych spraw. W konkluzji stwierdziliśmy, że mojego wystąpienia nie darują mi ani Gudziński ani tym bardziej Żenczenko. Bo przecież podsumowując zebranie trzeba było stwierdzić bez ogródek, że ludzie w sprawie kandydatów postawili na swoim, wygwizdali i ich zrobili "na szaro". A teraz zapewne wszystką winę przypiszą mnie, że to ja byłem głównym mącicielem.

Ale co ja teraz mogłem zrobić? Uciekać! Nie mogłem uciekać. Tak naprawdę, to mogłbym uciec, ale zawsze bałem się o Stachnę i dziecko. Mogłem przecież uciec i gdzieś się ukryć. Ale całkiem wówczas nie wiedział, jak długo utrzyma się u nas władza radziecka. Bo gdyb to człowiek wiedział, że niedługo coś się mo-

że zmienić, to pewnie, że bym uciekał. Razem z żoną, oczywiście. Mieliśmy już w planiach uciekać do Biszégostoku do kuzynów. Chcieliśmy tylko tu pozostać do czasu, żeby ten rok tu dokonać tu, w Hodyszewie.

Sprawy się jakoś ciągnęły do czasu, gdy nadeszła już późna jesień. Odbyły się już chyba i wybory. A ja postanowiłem sobie i przyrzekłem Stachnie, że absolutnie na żadne zebrania nie będę chodził. Nie pójdę nigdy i już. Lepiej będzie, jeśli będę siedział w domu. Pewnego wieczoru, kiedy Stachna miała już podawać kolację, wpada nagle zadyszany dyrektor Dyczkin i mówi: Wiktor Karłowicz, ja was bardzo przepraszam /izwiniaju/, ale w tej chwili odbywa się, zwołane nagle zebranie, z całego rejonu. Są obecni mieszkańcy ze wszystkich okolicznych wsi. Zebranie prowadzi sam Karabaniuk - naczelnik. I on was liczno /bardzo/ prosi, bo jesteście potrzebni.

Co było robić? Pomyślałem sobie, że może naczelnik chce, że bym zdał sprawozdanie ze stanu szkoły lub coś ze spraw ze szkołą związanych. I Stachna też tak pomyślała. Ale powiedziała: nie wiadomo o co chodzi. Ale pamiętaj: nie zabieraj chociaż głosu, nie wrywaj się. Obiecałem jej to. No dobrze - powiedziałem, wy tu zjedzcie kolację, a ja niedługo tutaj przyjdę.

Poszliśmy z nim /Dyczkiem/. Od kościoła do szkoły było może jakieś osiemdziesiąt metrów, na pewno nie więcej niż sto. Weszliśmy na dziedziniec szkolny. I tu - cholera ciężka - zauważyłem, że na podwórku stoją dwie ciężarówki z wojskiem. Żołnierze są z karabinami i z granatami, którymi się bawili tak, jak tancowali koło Malawicz. Kierowcy siedzą w samochodach za kierownicami. Wszystko wskazuje na to, że są oni w pogotowiu.

W tym momencie stanął mi przez oczyma Brańsk i przesłuchanie. Pomyślałem sobie: no, szkoda tylko, że się nie pożegnałem z żoną.

ną i z dzieckiem. Bo chyba tym razem będzie ze mną źle. Bo jeśli tu wojsko jest i sam Karabaniuk, to nie wiadomo co będzie. A przecież i ksiądz mi tłumaczył i wszyscy doszliśmy do zgodnego wniosku, że mi tego nie darują.

Wchodząc do sali stwierdziła, że sala całutka jest zapchana po brzegi. Ludzie siedzą nie tylko za ławkami, ale i na ławkach. Siedzieli jeden przy drugim. A na samym przedzie stał stół, nakryty na czerwono. Za stołem siedzi sam Karabaniuk z orderami i w mundurze. Także w prezydium siedzieli nauczyciele: zauważyłem dwóch z Ferny i dwóch z Hołyszewa. A my przedsięwzięliśmy się takim bardzo wziętym przejściem, prowadzącym środkiem sali aż do samego przodu.

Wówczas odezwał się Karabaniuk:

- Nu, tak jest Kazłowski, tak my czekali na was. Tak prosili do prezydium.

Akurat stało wolne krzesło, na którym usiadłem. Obok siedziały nauczycielka Wierzbicka. Była to młoda nauczycielka. Dycskin usiadł dalej, też gdzieś z boku, obok gospodarzy. A Karabaniuk powiedział:

- No, tak. Teraz możemy zaczynać. I rozpocząć "dokład".

I zaczęła się prelekcja. Tu trzeba stwierdzić, że u nich to wszystko było na jedno kopyto: jakie to dobrodziejstwa nam dał Stalin. Jak to będzie dobrze mieszkańcom Zachodniej Białorusi, że oni wszystko będą mieli. My tu wam pobudujemy nową szkołę, bo ta jest za ciasna. I tak w kółko, trwało to może jakie z pół godziny, ta "prelekcja".

Wreszcie stwierdził: no tak. Tak by się to zdawało, że to tak wszystko dobrze idzie. A jednak nie jest tak, jak to powinno tu być. Oh choćby u was: nie wszyscy włączacie się do wspierania no-

wej władzy. W naszym sielsowiecie rzadko kto z was się pokazuje, żeby coś pomóc. Przecież teraz zbliżają się wybory. Czy u was tak powinno być? Ot, jak jest u was z wyborami, jak było. A czy wy wiecie, kto temu winowat? I to wskazując na mnie palcem - sam sobie odpowiedział: Kazłowski. Oto on, jako człowiek obrazowany /wykształcony/, on właśnie powinien pomóc radzieckiej władzy. A on nie tylko, że nie pomógł, on jeszcze podjudzał nieświadomy lud. On w tym celu podpierał się konstytucją radziecką ale tylko w taki sposób, żeby tylko podtołknąć /zamieszać/. My się na tym znamy. I zwracając się do mnie zapytał:

- A wy wiecie, gdzie wasz brat?

- Nie, nie wiem.

- To ja wam powiem. W Białostoku w więzieniu siedział.

Pomyślałem sobie: no tak. To ja już jemu nie pomogę, bo i ja już też przepadłem. A że siedziałem koło koleżanki Irony Wierzbickiej - to była nawet moja koleżanka z seminarium nauczycielskiego - Irka, przekaż, że ogromnie żałuję, że nie mogłem ucałować Stachny i Eli. I pożegnaj je ode mnie. Pamiętaj: musisz jej powiedzieć, żeby natychmiast wszystko rzuciła i natychmiast uciekała do Białegostoku do ciotki. To była rodzona siostra matki. Sama przecież widzisz, jaka jest moja sytuacja. Ona odpowiedziała, że zrobi wszystko, co tylko będzie mogła. Przyrzekam.

Nadal czekałem, aż on skończy. On zaś ani myślał kończyć. Mówił, że powinniśmy pracować z wdzięcznością, skoro nas spotyka tyle dobrodziejstwa otrzymujemy. Przecież tu dotychczas byli kapitaliści - wyzyskiwacze. Ten motyw już wcześniej poruszali i Zenczenko, a nawet i Gudziński. Władze radzieckie przepędziły obywateli i kapitalistów i że wreszcie teraz mamy dobrobyt. I on to teraz powtarzał. Zresztą oni wszyscy bez wyjątku klepali to sa-

mo w kółko. Ciągłe wygłaszali te swoje przemówienia.

Kiedy tylko on skończył swoje wystąpienie, natychmiast poprosiłem o głos. Uzyskałem pozwolenie /Pożądajsta/. Postanowiłem mówić, bo uważałem, że w przeciwnym razie wszystko już przepadło, że nie mam nic do stracenia. Tu muszę powiedzieć, że taką mam naturę, co było widoczne w więzieniu czy na zesłaniu na Syberii, to ja strasznie się denerwuję do czasu, kiedy się nie zacznie. Natomiast, gdy już coś się zacznie, to już jestem spokojny. Tak było i tym razem. Wiedziałem, że już wszystko przepadło. Gdy już miałem mówić, spojrzałem na ludzi. Niktórzy z nich wyraźnie mieli ochotę wejść pod ławki, na których dotychczas siedzieli. A inni - tak mi się wydawało - chcą uciekać, żeby tylko mieli ku temu okazję. Pomyślałem sobie: pokażę im, że ich w ostatniej chwili nie bałem się. Zacząłem:

- Naczelniku majorze - to, że mój brat siedzi w więzieniu - to jest jego sprawa. Nie moja. On jest dorosły i za siebie odpowiada. Ja o tym nic nie wiem.

Natomiast, gdy chodzi o poprzednie zebranie - to to co tu słyszę - nie jest prawdą lecz jest kłamstwem. Wychodzi na to, że was źle poinformowano. Otóż było tak, że ani Gudziński ani też Zenczenko nie potrafili przeprowadzić zebrania. Zamiast ludziom wytłumaczyć, jak powinny przebiegać zebrania według konstytucji - to oni ludzie straszli. A to przyniosło skutek odwrotny.

Właśnie moja interwencja pozwoliła przeprowadzić zebranie. To właśnie dzięki tej interwencji honor radzieckiej konstytucji został uratowany. Bo z obecnych wówczas, na zebraniu ludzi nikt nie znał tej konstytucji, jak węgla jej postanowień ta sprawa się przedstawia.

Oczywistą nieprawdą jest twierdzenie, że ja wrogo byłem nastawiony do władzy radzieckiej. Najlepszym tego dowodem jest to, że pracuję w szkole podobnie jak i moja żona. Zresztą sam Dyczkiewicz, który był akurat na tym zebraniu - może powiedzieć, że winien był wówczas nie Kozłowski czyli ja lecz Gudziński i Żenczenko.

Na koniec stwierdziłem jeszcze raz, że uważam się za niewinnego, a to co na mój temat w tej sprawie słyszę, jest kłamstwem.

To, co później nastąpiło, było dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Liczyłem się bowiem, że sprawa jest już całkowicie przegrana i że nic już dla mnie nie pomoże. Ale netychmiast, gdy skończyłem - o głos poprosił Paweł Michalczuk ~~Pawel~~. Nie sądziłem go o to, że się w ogóle odzwie. Pośniósł się, nawet wyszedł trochę na przód i mówi:

- Słuchajcie. Powiem bezstronnie, jak było. Winien jest Gudziński i Żenczenko. Oni to właśnie postąpili właśnie wbrew temu, co się do tej pory u nas działo. U nas też tak samo robili, zastraszali i ludzie się buntowali. A teraz zaczyna się to samo. Żeby nie nauczyciel Kozłowski, to by było jeszcze gorzej. To właśnie on swoim wystąpieniem zaprowadził porządek i uratował tę całą sytuację.

Jego relację podaję w znacznym skrócie. Pamiętam, że on przemawiał bardzo długo i cały czas w tym duchu. Siedząc z boku zauważyłem na twarzy naczelnika wyraźne zdziwienie. Podobnie zachowywali się dwaj sowieccy oficerowie, którzy także byli obecni na tym zebraniu. Zaskoczeniem dla nich było to, że sprawa ta przybiera właśnie taki obrót.

A Michalczuk zakończył swoje wystąpienie słowami: "uważam, że nauczyciel Kozłowski jest niewinny". On właśnie zasługuje na szacunek i pochwałę.

Z taką obroną mnie wystąpił chłop, prosty chłop w średnim wieku, człowiek poważny.

Wówczas Karabaniuk ponownie zabrał głos, wyjął konstytucję i zaczął czytać z niej poszczególne rozdziały. Komentując poszczególne postanowienia nie wykluczył, że błąd był nie po mojej stronie, że być może było to niedopatrzzenie ze strony przedstawicieli władzy. Wyraził jednocześnie nadzieję, że jeśli nawet i tak było, to tutejsza ludność właściwie to zrozumie i właśnie Hodyszewo da przykład, jak należy głosować.

A jeszcze wcześniej, kiedy tak na mnie wymyślał, powiedział, że ulokowanie punktu wyborczego w konkretnej miejscowości jest zaszczytem. Ale, że Kozłowski zerwał zebranie, to punkt został przeniesiony do Olendowa. Teraz oznajmił, że punkt zostaje ponownie przyznany do Hodyszewa. Ale dali do głosowania tych kandydatów, których oni sami przywieźli.

I mnie się nic nie stało. Po zakończonym zebraniu naczelnik powiedział mi, że życzy mi powodzenia, zdrowia i żeby głosowanie przebiegało jak najlepiej, żeby się okazało, że my głosujemy w stu procentach.

Oczywiście głosowanie odbyło się w stu procentach, a mnie zostawili. I tak przesiadziałem w Hodyszewie - z tobołkiem zawsze przygotowanym - do dwudziestego czerwca 1941-go roku. Planowaliśmy właśnie, gdy tylko się skończy rok szkolny / koniec roku był 15-go czerwca ale jeszcze trwały egzaminy końcowe / i właśnie byliśmy spakowani, aby dziewiętnastego wyjechać do Białegostoku - żeby to już wreszcie wszystko rzucić - w nocy

na dwudziestego czerwca nasz dom /dom w którym mieszkaliśmy/ został otoczony przez wojsko. Mnie już w pierwszej chwili aresztowali i zabrali do samochodu. Natomiast żonie kazali, żeby na piętnaście minut, a najdalej za dwadzieścia minut spakowała wszystkie rzeczy i była gotowa do wyjazdu.

Żona miała dziecko na ręku, zaczęła płakać i prosić komendanta grupy żołnierzy, żeby mnie uwolnił i pomógł spakować jej potrzebne nam rzeczy. Widać zresztą było, że żona z dzieckiem sama sobie z tym nie poradzi. Pozwolił.

Wróciłem do mieszkania i spakowałem nasze rzeczy. Sąsiadka, pani Pruszyńska, podrzuciła nam bochenek chleba i kawał wędzonej słoniny. Załadowali nas na fura. I tylko zauważyłem, jak ukryty za parkanem kościelnym, za drzewem - że tylko wystawała jego głowa - zegnał nas na drogę krzyżem. Na znak, że go widzę, pomachałem mu ręką. Nie wiedziałem, że widzimy się po raz ostatni. Bo kiedy wróciłem do Hołyszewa, już go nie zastałem. Zmarł. Z księdzem Dąbrowskim żyliśmy bardzo serdecznie.

Wiele, bardzo wiele możnaby jeszcze opowiadać. Jedno jest pewne. Kiedy przyjechaliśmy do Szepietowa - a po drodze zabierano jeszcze innych ludzi - wsadzono nas do bydłowego wagonu. Kiedy tam weszliśmy zauważyłem, że tam siedzi już jedna rodzina. Obok drzwi siedziała też jakaś kobieta z dziećmi. A w wagonie chyba pięćoro dzieci w wieku 5 - 7 lat przeskakują przez tobołki, biegają po całym wagonie i bawią się w łapankę. Nic ich nie obchodziło.

Na środku siedział - jak się później dowiedziałem - Kazimierz Kostro. Obok tobołków stała jego żona. Miała na sobie ciemną suknię w białe grochy. W ręce, a następnie w obu rękach trzymała za szeroką podstawkę metalowy krzyż i modliła się na cały

głos. "Matko Boska, Panie Jezu Chryste - Weź nas w obronę". Do
nie się tuliły dwie dziewczynki. Jedna z nich miała jakieś szes-
naście lub siedemnaście lat, a druga była mniejsza. A ojciec ich
obchodził dookoła. Miał sumiaste wąsy i zupełnie przypominał
swoim zachowaniem niedźwiedzia, który broni swoje przed zgrają
psów. Takie właśnie odniosłem wrażenie, gdy popatrzyłem na nie-
go. A jego synek, chłopak może dziesięcioletni stoi koło niego,
spogląda na wszystkie strony i kiwa głową. Natomiast ta kobie-
ta przy drzwiach - chuda i bardzo wymizerowana - dostała szału.
Zaczęła krzyczeć "bolszewik przeklęty" i zaczęła walić pięściami
w ścianę domagając się otwarcia drzwi: otwórz - wołała, bo
krowa zdechnie w chlewie. A Burek wyje, wyje i wyje".

Przez cały czas naszego pobytu w wagonie trwały aresztowa-
nia kolejnych osób. Co jakiś czas otwierały się drzwi do nasze-
go wagonu i wpychano kolejne ofiary. I znowu zamknięto drzwi wa-
gonu na sztaby.

I wtedy mi się prz-pomniała łapanka psów przez hycli. Tak sa-
mo łapali i zamykali, chociaż te psy tam wyły, a oni zamykali
dalej i wszystko niby było w porządku.

Byliśmy w Wołkowysku, kiedy Niemcy rozpoczęli wojnę. Tam nasz
transport był bombardowany. Tam też widziałem całą kolumnę więź-
niów prowadzonych nie na stację kolejową lecz w stronę lasu.
Eskortujący byli uzbrojeni w karabiny i mieli psy. W kolumnie
były kobiety z tobołkami i mężczyźni. Widziałem to dokładnie,
bowiem nasz transport stał najwyżej sto pięćdziesiąt metrów od
szosy. A do dworca kolejowego nie było więcej jak 30-50 metrów.

W pierwszej chwili myśleliśmy, że to manewry. W pewnej chwii-
li jak trzepnie b^opa w dworzec. Wcześniej już, przez szczeliny
w wagonie widzieliśmy jakiś dziwny ruch, ale myśleliśmy, że to

zwykle ruchy wojsk. Teraz już nie mieliśmy wątpliwości. Po uderzeniu bomby w budynek dworcowy usłyszeliśmy huk, zobaczyliśmy dym, pył, ujrzeliśmy szczątki konstrukcji budynku jak krokwie aż wreszcie zobaczyliśmy ogień. My nadal byliśmy zamknięci w wagonach, a dym utrudniał nam oddychanie. A tu nikogo nie było. Wszyscy gdzieś przepadli. Uciekła cała obsługa i konwojenci też. W tym czasie myśleliśmy, że nas w tej sytuacji wypuszczą. Po jakimś czasie - może po jakiejś półgodzinie - podszedł do nas kolejarz, była to może siódma godzina i zapytał, skąd nas wywieźli. Rozmowa toczyła się przez szpary, bo wagon nadal był za-ryglowany, a okienka były zabite grubymi deskami.

Gdy mu powiedzieliśmy, że jesteśmy z Białegostoku i okolic powiedział: nie martwcie się. Niemcy rozbili już wszystkie dworce. Mieliśmy już w tej sprawie telefony. U nas też już - jak widzicie państwo przez te dziury - też nie mamy dworca. Wszystko jest rozbite. Pojedźcie do domu.

Tymczasem nie było to prawdą. Do godziny ósmej wszystko zostało uprzątnięte, tory kolejowe jakoś tam naprawiono i ułożono. A my przez ten cały czas siedzieliśmy w wagonie obok stacji. Wyprowadzili nas z Wołkowyska i jedziemy dalej.

Oczywiście wszyscy byliśmy niesamowicie wystraszeni, zmęczeni i stłamszeni. Do załatwiania się była na środku wagonu dziura, na widoku. A my siedzieliśmy jedni na drugich. Jak po czasie policzyłem, to w naszym wagonie były osiemdziesiąt dwie osoby, licząc razem z dziećmi. A oprócz tego było pełno pakunków. Bo ludzie, zwłaszcza ci, którzy byli z rodzinami, zabierali różne rzeczy, wszystkie drobiazgi, swoje rzeczy zawiązane w toboły, worki i płachty. Wszystko to było powiąsane i zawłone na gromadę. Kto chciał przedostać się do ubikacji /dziury/, to musiał przez to

wszystko przełazić i przeskakiwać. A tam ludzie jakos maszerowali, czy to plecami czy w jakiś inny sposób. Chodziko o to, żeby nie być na widoku ludzkim, gdy ktoś się załatwił.

Okolo godziny jedenastej może dwunastej podjechaliśmy do Zelwy. Właśnie za Wołkowyskiem jest stacja Zelwa i rzeka o tej samej nazwie. Dojeżdżając do mostu na rzece tor robi taki łuk. Ponieważ był to spory łuk, wykorzystalem to i policzyłem wagony. Było ich ponad czterdzieści. Wszystkiego byłem ciekaw. W naszym wagonie tak się złożyło, że tylko ja z żoną mieliśmy jakieś wykształcenie. Reszta to byli prości ludzie.

Jeśli przyjąć, że w każdym wagonie było tylko po osiemdziesiąt osób - to w całym transporcie było kilka tysięcy ludzi. Podjeżdżamy tuż do mostu, już mamy przejeżdżać most, już przez szpary widać Zelwę położoną na wagórze, już widzieliśmy z daleka czy to cerkiew czy to kościół - było to może od nas jakieś pół kilometra - nagle usłyszeliśmy warkot. Były to odgłosy silników samolotowych. Nawet przez dziury zauważyliśmy, że nadlatują trzy samoloty. Były to samoloty niemieckie, które zatoczyły koło, obniżyły gwałtownie swój lot i zaczęły rzucać bomby na nas.

Nasz pociąg zatrzymał się natychmiast. Obsługa pociągu i konwojujący nas bojcy uciekli czym prędzej w żyto. Oczywiście oni wszyscy byli uzbrojeni w karabiny. Kilka wagonów zostało rozbitych przez bomby. Widać było bowiem dymiące wagony, gdy tak staliśmy na łuku toru.

Część ludzi w jakiś sposób wydostała się jednak na zewnątrz i zaczęła uciekać po dachu pociągu. Ci zostali zastrzeleni przez konwojentów leżących w żyte. Wielu innych jednak nadal uciekało, a konwój do nich strzelał.

Samoloty po obrzuceniu naszego transportu bombami zatoczyły łuk, zniżyły lot i zaczęły ostrzeliwać nas z karabinów maszynowych. Siedząc w wagonie słyszeliśmy charakterystyczne uderzenia o blachę na dachu. Ja na ten czas nakryłem poduszką głowę dziecka, żony i sam się też przykryłem. Jednocześnie prosiliśmy Boga, że jeżeli już ma w nas trafić, to żeby wszystkich razem nas zabiło..

Pomimo tego, że kule siekły nasz wagon, nic nam się nie stało. Przeżyliśmy. Ale nie wszystkim tak się udało. Kilka wagonów zostało roztrzaskanych.

Kiedy już samoloty odleciały, wróciła obsługa pociągu i konwojenci. A było ich sporo, bo przy każdym wagonie był jeden strażnik. Zrzucono na bok uszkodzone podczas nalotu wagony. Kilkanastu osób, które zginęły podczas ataku zakopano w pobliskim rowie. I pojechaliśmy dalej.

Kiedy już odjechaliśmy dalej, w okolicach Stołpc, to widzieliśmy samoloty tylko wysoko. Później miało się okazać, że one przyleciały tu tylko po to, aby stwierdzić za dnia, że stacja Stołpce jest dosłownie zapchana pociągami. Tam stało nie pięć lecz pięćdziesiąt pociągów. Stały sznurkiem jeden za drugim. Przechodzący kolejarz, z którymi udało się nam zamienić kilka słów przez dziury mówili, że nie wiadomo, czy my wyleziemy z tego piekła. A pociągi szły jeden za drugim bardzo wolno. A na drodze, wzdłuż torów było pełno uciekinierów ruskich. Była to ludność cywilna. Widać było osoby z dziećmi na rękach. Wszyscy nieśli walizki, torebki i worki różnego rodzaju. Czepiali się buforów w naszym pociągu. Była tylko dalej do Rosji.

Dopiero w Stołpcach zatrzymali nas i dali nam wody. Nic więcej. A ludzie byli zupełnie stłamszeni, wręcz niepodobni do lu-

dzi. Bo tu wszyscy dostali szoku. Dzieci były roz~~nie~~stane, bo było gorąco. Wszyscy byli spoceni, wymęczeni.

Na drugi dzień dojechaliśmy do Mińska. Tu, w Mińsku pociąg zatrzymał się na dłużej pod pompą, ~~bo~~ bo parowóz nabierał wodę, podobnie jak i w ^{tołpcach}. I nam też dano wody napić się. Wychodziło wówczas po dwóch z wagonu ze swoimi baniakami, wiadrami czy co tam kto miał, nabierali wody i dawali ludziom. ~~Idę~~ też się dzieliliśmy się za pomocą szklaneczki. Raźnie w Mińsku zobaczyłem coś, czego nigdy nie widziałem. Otóż patrząc dziurami widziałem miasto. Budynki miejskie oraz budynki stacyjne. Ale gdy zerkniesz na niebo - to było widać całą masę balonów. Były to balony zaporowe. Niektóre z nich były naprawdę ogromne. Mało powiedzieć, że wielkości kopuły cerkwi. One były rozmiarów dużego domu.

Były one kolorowe i uwiązane na linach. Szybowały wysoko i miały za zadanie utrudnienie samolotom bombardowanie miasta.

W Mińsku też nie dostaliśmy nic do jedzenia. Ludzie żywili się swoim, już zjeżdżonym jedzeniem. Przecież byliśmy w podróży już przez kilka dni. Upały były duże i w tym zaduchu to wszystko śmierdziało. Ludzie przecież nie mieli możliwości umyć się. Wszędzie był brud. Zawszad dochodził smród amoniaku i zgniłych jaj do tego stopnia, że nie można było wytrzymać. Ludzie bardziej wrażliwi nie mogli się powstrzymać i ~~oż~~ygali.

Z Mińska skierowano nas na Moskwę. Od tego momentu już nie mieliśmy już wątpliwości, że wiozą nas na Syberię. Bowiem jechaliśmy dopiero na Moskwę, ale magistralą kolejową, która prowadziła na Ural. Samą Moskwę ominęliśmy koleją obwodową i weszliśmy na główną trasę: Pęza i inne główne miasta. Gdzieś to se szczególnie mam to opisane, bo sobie notatki nawet robiłem.

Kiedy byliśmy jeszcze w okolicach Moskwy, pd~~aw~~ięciłem swój

Koś i zrobiliśmy z niego zasłonę wokół dziury. Rozwiesiliśmy ją ze Stanisławem Niemyjskim, który był młodym chłopcem. Miał wówczas może jakie osiemnaście lat. Całymi godzinami wyglądałem przez szpary i oglądałem mijany krajobraz. Poczynając od Stolpc, które były kiedyś polską stacją graniczną, wszystko było inne niż w Polsce. W całej okolicy nie było widać rozrzuconych osiedli, jak u nas. Rozciągały się tylko pola, nad którymi biegły w różne strony linie telefoniczne i linie wysokiego napięcia. Na stacjach kolejowych nigdzie nie zauważyłem sklepów czy nawet małych kiosków z papierosami.

Jak już mówiłem, od Moskwy jechaliśmy koleją, magistralą: Moskwa - Tambow - Kazań - Swierdłowsk na Uralu. Jechaliśmy więc szlakiem dawnych skazańców polskich. Akurat dzień był słoneczny, zbliżaliśmy się do Tuły. Na wielkich, niekończących się polach rosła pszenica. W mijanych wsiach widać było działki przyzagrodowe kolchoźników. Na wszystkich stacjach kolejowych panował tłok. Widocznie już ogłoszono mobilizację i tłumy odprowadzały swoich bliskich, którzy zostali powołani do Armii Czerwonej. Widać też było tłumy mężczyzn, którzy z łopatami na plecach byli kierowani do nudoj umocnień wokół Moskwy i Leningradu. Zapowiadało to długą wojnę.

Wreszcie dojechaliśmy do Tuły. Tu nasz pociąg zatrzymano na bocznym torze. Strażnicy zapowiedzieli, żeby po dwie osoby z każdego wagonu zgłosiły się z własnymi workami, bo trzeba przynieść z miasta chleb. Zgłosiłem się sam. Wiedziałem, że jest to okazja poruszać się trochę no i odetchnąć świeżym powietrzem po tylu dniach pobytu w zatęchłym wagonie. Ciekaw też byłem tego miasta, w którym produkowano słynne samowary.

Sformowano nas w cawórki i skierowano środkiem ulicy. Nie zo-

baczyłem wiele, chociaż magazyny były w znacznej odległości od stacji. Ulice były wąskie i brukowane kostką, a chodniki były ułożone z płyt kamiennych. Piętrowe kamienice z małymi oknami pamiętały zapewne czasy carskie.

Ponieważ wydostaliśmy się już ze strefy zagrożonej przez niemieckie lotnictwo, atmosfera w wagonie nieco się uspokoiła. Porobiliśmy też pewne porządki. Tobołki zgrupowaliśmy według rodzin i tak je poukładaliśmy, że każdy wiedział, gdzie są jego rzeczy. Wtedy dopiero luźno można było przechodzić do ubikacji.

Dotarliśmy do Ciurowska i tu nas podzielili, według wagonów. Swierdłowsk jest największym miastem Uralu. Na tej centralnej stacji transport kilku tysięcy zesłańców został właśnie podzielony i pojedyncze wagony z ludźmi wysyłano w różne strony na Syberię.

Część naszego transportu pojechała na Omsk i dalej na Siemiopiatyńsk i inne miejscowości. A nas skierowali do Tiumentia. Tam, gdzie później okazała się wielka ropa. Ja zauważyłem od razu - nie wiem, dlaczego bolszewicy tego nie zauważyli - że tam nie było ani jednego kamyka, a ziemia była czarna. Gdy się szło po deszczu, to ziemia tak się ciągnęła, że ślad był trzykrotnie większy niż but, który go zostawił. I właśnie tam później, już po wojnie odkryto ropę. Podobno jest tam największa ropa w całej Rosji. Myśmy tam właśnie byli. Ja tam wszystkie zakątki znałem.

W Tiumentiu nasz wagon przetoczono na przystań rzeczną. Tu brzeg był wysoki. I z tego wysokiego brzegu załadowano nas dwiema na długą barkę i z dymiącym parowcem, takim rzeczonym ciągnikiem /holownikiem?/ i jechaliśmy dalej już rzekami.

Jechaliśmy jeszcze tydzień, aż przywieszono nas aż na przystań. Jechaliśmy Tobołem, jechaliśmy Turą. Jechaliśmy też na Tawdę. Są to nazwy rzek, dopływów Obi.

Wreszcie dotarliśmy do rzecznej przystani, która nazywała się miśnaja Pristań, gdzie znajdował się łagier. Łagier znajdował się w zakolu rzeki. Przed nami przebywali tam rosyjscy kryminaliści, których wywieziono przed naszym przybyciem. Została tylko obsługa. Kryminalistów przesunięto dalej, pod Ławdę. A na ich miejsce dali Polaków. Byliśmy jako pracownicy "padsobnowo Chazajstwa" czyli gospodarstwa pomocniczego. Ale to też był łagier. Dyscyplina i wszystkie obyczaje były dokładnie takie, jak w łagrze. Jedynie to było inaczej, że przywiezieni tutaj ludzie musieli pracować na polu i w lesie.

A jak było dalej, jak szedłem do Pietropawłowska, jak byłem kowalem, jak byłem szewcem, jak przed samym wyjazdem na Ukrainę wysłano mnie na Ural po maszynę do robienia łyżek ~~nie wystru-~~ - o tym innym razem. Wysłano mnie po maszynę do robienia łyżek, bo dotychczas łyżki robiliśmy ręcznie. łyżki były z drewna. Myśmy je wystrugiwali. To wszystko jest heca, śmiechu to warte. Jak w Swierdłowsku sprzedawałem swoją marynarkę tylko po to, żeby koniecznie pójść na "Dagę Pikową". Obejrzałem więc "Pikową Dagę" w operze. Byliśmy też w operetce. Warto też będzie opowiedzieć i o tym, jak mnie tam zabierano do Armii Czerwonej. Jak nas złapali w pociągu i dwadzieścia kilometrów pędzili nas po płaskowyżu. Bo tam wykapywali wszystkich dezertersów, wszystkich tych, którzy uchylali się od służby wojskowej.

Sytuacja na froncie była na tyle groźna, że brali do wojska prawie wszystkich: jeden był bez dwóch palców, a drugi był ślepy. Wszystkich ich - przeszło dwieście osób - gonili z psami. Nawet takich gonili do wojska. Bo przecież mieli strasliwe strachy, jak na przykład pod Stalingradem.

Należy też opowiedzieć, jak wracaliśmy, jakie ciekawe miałem

w drodze. Byłem też szewcem przez pół roku. Temu nie mogli się Ruscy nadziwić. Podszywałem te ich "piny" czyli te ich walonki. Sam się tego nauczyłem, bo musiałem zrobić to Stachnie i tej mojej małej, ponieważ dostałem dziurawe i sam to wszystko robiłem. Później porobiłem odpowiednie szydła i inne narzędzia i tak utrzymałem się przy życiu. I potem szczęśliwie wróciłem tu, do Białegostoku. Myślałem, że jak wrócę do Białegostoku, to będzie wszystko dobrze.

I rzeczywiście dobrze było, bo przez pięć lat byłem wizytatorem i naczelnikiem szkół zawodowych w Kuratorium a następnie w "Doszu". Ale jak Okuszkę zwolnili - był kuratorem - razem byliśmy na Wszechnicy przed wojną, a on należał "tylko" do Stronnictwa Demokratycznego, to odrazu zainteresowali się mną.

Mną zainteresowało się "UB". Chcieli mnie wykończyć. Ale w dodatku ci ubowcy i poplecznicy nasi - Źni byli najgorsi - właśnie nasi. Donosili i różne rzeczy wyprawiali.

Pierwszy raz chcieli mi udowodnić, że ja byłem pod Pskowem przepraszam: pod Smoleńskiem razem z Niemcami pomagałem mordować Białorusinów. Na szczęście miałem odpowiednie dokumenty, z których niezbitnie wynikało, że w tym czasie byłem gdzie indziej - bo na Syberii. Wtedy jeden na drugiego paptrzył. Bo do mnie przyszli z UB z ulicy Mickiewicza sprawdzić, czy ja mówię prawdę. Obiecałem im, że im to dostarczę do urzędu. Ale oni powiedzieli, że pójdą razem ze mną do mojego domu. Obejrzelili te moje dokumenty i dali mi spokój. A w tym czasie byłem już naczelnikiem w kuratorium.

Od tego czasu przeszło trochę czasu - to było w 1950-tym roku - akurat pojechałem po dyplom do Łodzi /chodziło o dyplom ukończenia/. I przybiegł do mnie woźny - nazywał się Jan

Nowak. Był to taki wspaniały człowiek, któremu studenci dawali indeksy. On potrafił pójść do każdego profesora i załatwić jego podpis. Jemu dać indeks to było lepiej niż komukolwiek innemu. Ja bardzo dobrze z nim żyłem, bo ja przecież dojeżdżałem z Białocostoku, a on opiekował się moim indeksem i zawsze się jakoś z nim dogadaliśmy. On też był zadowolony ze mnie. Ja go lubiłem bardzo. On był wyjątkowo grzeczny. Podobno kiedyś był trochę nauczycielem. Gdy utworzono w Łodzi Uniwersytet, on został woźnym na Wydziale Pedagogicznym.

Kiedyś przybiegł do mnie wyraźnie zafalowany i powiedział: proszę pana, dwóch pytało o pana w dziekanacie czy pan tu był i czy pan dawał podpisać delegację. Poprosiłem go, aby on jeszcze raz poszedł do dziekanatu i dowiedział się, czego oni chcieli. A on ze wszystkimi był za pan brat, nawet z sekretarką. Poszedł więc i po jakimś czasie wrócił z wiadomością, że pytali, co ja tu robiłem, po co przyjeżdżałem i tak dalej. Było ich dwóch ale cała sprawa na tym się zakończyła.

=====
Cz. II-ga rozmowy - taśma nr 3.
=====

Na poprzednim spotkaniu omawiałem naszą podróż transportem pasażerów na Syberię. Po wielu przygodach, po miesięcznej podróży dojechaliśmy do wielkiego miasta na Uralu - Swierdłowska. Tam nasz transport wagonowy został podzielony i rozesłany w różne rejony Syberii. Nasz wagon został przydzielony do pociągu.

który miał zmierzać na Daleki wschód. Tym właśnie pociągiem dojechaliśmy do Tiumentia. Jest to ta właśnie miejscowość, w której po wojnie odkryto ogromną naftę. Właśnie tam trafiliśmy. Podróż była bardzo długa.

Na stacji w Tiumentiu nasz wagon przelocowano ze stacji na przystań rzeczną nad rzeką Turą. Tu, z ogromnego nadbrzoza, transportem przeładowano - razem z bagażami wszystkich ludzi - na wielką, długą barkę, która stała przy dymiącym holowniku. Był to holownik rzeczny.

Tu należy zaznaczyć, że w tym właśnie czasie, kiedy tych ludzi wyładowywano z wagonu na piasek, wiele osób - co najmniej piętnaście osób trzeba było z wagonu wynosić. Było to skutkiem tego, że po miesięcznym pobycie w wagonie nogi popuchły i do tego stopnia, że ci ludzie nie mogli wyjść o własnych siłach. Byli to przeważnie ludzie starsi - zarówno kobiety jak i mężczyźni. W tym też czasie pojawił się naczelnik miejscowego rejonu, obwieszony licznymi medalami. Przedstawił się nam, że nazywa się Gubienko. On to właśnie odczytał nam wyrok. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że jesteśmy skazani na dwadzieścia lat pracy w terenie tego właśnie rejonu, na którego czele on stoi. Na zakończenie powiedział: a teraz pojedziemy do rejonu osiedlenia.

Oczywiście ludzie, wycieńczeni do ostateczności prawie nie reagowali na odczytany wyrok. Byliśmy i wycieńczeni podróżą i bardzo przygnębieni przeżyciami ostatnich tygodni w duszanym, ciepłym wagonie, że nas to niewiele obchodziło. Nie już w tym czasie było obojętne, czy mnie skazano na lat dwadzieścia czy na więcej.

Kiedy nas załadowano na barkę, wtedy dopiero worgoczęła się nasza podróż rzekami siberijskimi. Jak to wyglądało, postaram się

teraz przedstawić.

Kiedy znaleźliśmy się na barce pod gołym niebem - poczuliśmy się na chwilę wolnymi ludźmi, bo nie było widać strażników z karabinami. Byli oni ukryci w kabinach statku, gdzie przebywali razem z naczelnikiem WKAD. Po pewnym czasie parowy statek wyciągnął nas na długiej linii po szeroko rozlane wody rzeki Tury. Przed nami rozciągał się piękny widok szerokiej przestrzeni, oblanej ze wszystkich stron wodą. Po miesięcznym zamknięciu w dusznym wagonie - świeże powietrze i woda zupełnie ożywiły całkowicie zrezygnowanych zesłańców. Nawet starsi - razem z dziećmi - czerpali wodę garnkami i miskami i oblewali się bez końca.

Na dużej barce było sporo wolnego miejsca. Można było swobodnie poruszać się. Jadące z nami dzieci ciągle urządzały wyścigi. Zachowywały się tak, jakby ciągle chciały nadrobić czas swojego "aresztu" w wagonie przez kilka tygodni. Każdy z jadących rozglądał się i oddychał pełną piersią. Trudno jest do dziś wyrazić uczucie lekkości i odprężenia. Prawy brzeg Tury był bardzo wysoki a daleki Tiundień wyglądał tak, jakby był osadzony na skałach. Natomiast lewy brzeg nie miał żadnej skarpy. Tu woda rzlewała się daleko między zielonymi kępami drzew tajgi daleko, gdzieś aż po horyzont. W tej sytuacji nam zdawało się, że jesteśmy na morzu.

Główne koryto rzeki wyznaczały kolorowe boje, wzdłuż których płynął nasz statek, ciągnąc naszą barcę. Czasami rzeka zakręcała blisko zielonego lasu. I wtedy to właśnie opadały nas całe boje zjadliwych komarów. Przez ten cały czas podróży wszyscy coraz bardziej przechodzili do siebie, oddychali świeżym powietrzem, rozmawiali ze sobą, próbowali żartować a nawet ... śmi

li się. Dla wielu młodych zaczynała się prawdziwa przygoda. Nastąpiła gwałtowna zmiana w ich życiu.

Na barce stały piecyki z przygotowanym drzewem, na których od razu zaczęto gotować zupy lub herbatę i częstować się wzajemnie. Stąd i nastrój stale się poprawiał. A przy końcu barki znajdowało się kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet miejscowych. Udawali się oni w dół rzeki, w stronę Tobolska. Mieli ze sobą garnki z dymem przeciw komarom. Odpędzali komary w taki sposób, jak u nas podkurza się pszczoły. Wielu z nich miało dodatkowo specjalne siatki na głowach. Tym ludziom wśdzie zabroniły kontaktowania się z nami. Toteż oni przez cały czas swojej podróży trzymali się oddzielnie. Nikt z nich do nas nie podchodził, wyraźnie się bali.

Pogoda była piękna. I gdyby nie te potworne komary, ta podróż pod gołym niebem byłaby przyjemna. Z daleku mogliśmy uchodzić za turystów podziwiających piękno syberyjskiej przyrody. Na trzech dniach wpłynęliśmy na wody Tobołu. Rzeka ta jest dopływem Irtysza, który wpada do Obi. Ob z kolei jest największą rzeką syberyjską wpadającą do Oceanu Lodowatego. Na tych wodach bez przerwy - dzień i noc - dawały o sobie znać a nam we znaki całe chmary komarów. Po trzech dniach Stachna i Mla miały twarze i ręce pstra od strupów po ukłuciach. Tylko Sybiracy kpili sobie z komarów. Z daleka pokazywali swoje siatki na twarzach, tak zwane nakomarniki oraz rękawice. Siedzieli tak zamaskowani, podobni do bandy rozbójników wyruszającej na wyprawę rabunkową.

Przez następne dwa dni płynęliśmy Tobołem do ujścia następnej rzeki o nazwie Tawda. Tu ujrzeliśmy ogromne kłębowisko spiętej rzecznej wody, gdzie wśród bryzgów wysokich fal statek nasz zawró-

cił w lewo i wprowadził naszą barkę w nowe koryto rzeki. Teraz poruszaliśmy się pod prąd, na zachód - w stronę gór Uralu. Prawy brzeg Pawdy również był wysoki, jak wszystkie zresztą rzeki syberyjskie. Na wysokim brzegu widać było mijane osady, daleko od daleko od siebie. Wszystkie tam budynki były drewniane, pokryte deskami, które już zczerniały od deszczu i słońca. Na miejscu lewy brzeg nadal przedstawiał jedno wielkie morze z wielkimi kępami zielonych drzew. Dwa kępy zieleni były ze wszystkich stron oblana lustrzaną wodą.

W czasie tygodniowej podróży szeroko rozlanymi rzekami syberyjskimi jakich nigdy w życiu nie widziałem mogłem teraz dokładniej przyjrzeć się towarzyszom niedoli i bliżej ich poznać. Okazało się przy tym, że tylko ja ze Stachną mieliśmy oboje jakieś wykształcenie - bo byliśmy nauczycielami. Reszta - to poważnie ludzie prości, wydarci nieoczekiwanie z gospodarstw rolnych. W większości byli to starzy i dzieci - ich całą winą było to, że ich dorośli synowie, córki lub bliscy krewni ukrywali się sabotując władzę radziecką albo też już wcześniej trafili do sowieckich więzień.

W całej tej grupie wyróżniali się wspomniany już organista z żoną i córką, których wywożono z Topczewa. Powodem ich wywózki była ich starsza córka - Helena - która wraz z mężem ukrywała się przed władzami radzieckimi. W tej grupie był też pan Jan Zalewski, brat księdza proboszcza /i prałata/ - Feliksa Zalewskiego - proboszcza parafii topczewskiej. Tenże pan Jan Zalewski był emerytowanym oficerem Wojska Polskiego.

Była też z nami starsza pani - pani Aleksandra Kamińska - sędziła samotnie. Była żoną byłego wójta w Piekutach w powiecie piasieckim Mazowieckie. Jej syn - Kazimierz - podporucznik czyn-

nej służby, ukrywał się od początku wkroczenia Sowieców do Polski i pod pseudonimem "Huzar" był postrachem Niemców w czasie okupacji. Natomiast po zakończeniu wojny nie ujawnił się i ze swoim oddziałem sprawował nocą sprawował przez ładnych parę lat władzę w powiecie Wysokie Mazowieckie. Został jednak podstępnie schwytyany i po publicznym procesie w łapach skazany na karę śmierci.

Wszyscy z tej grupy ludzi mieli coś na sumieniu wobec władzy radzieckiej. Wystarczył fakt ukrywania się członka rodziny. Wystarczała też wcześniejsze aresztowanie kogoś z rodziny a nawet donos, aby pozostali członkowie rodziny znaleźli się na liście osób przeznaczonych do wywózki.

Nigdy nie mogłem zrozumieć tej polityki radzieckiej. Często zastanawiałem się nad tym, czym mogli zagrażać państwu radzieckiemu tacy staruszkowie - dosłownie stojący nad grobem - jak na przykład oboje państwo Kostrowie ze Skłodów. Albo też na ten przykład starzy Wyszynscy z Krasowa, skoro ich synów aresztowano jeszcze przed wywózką. Maria Sutkowska z gminy Piekoty miała syna w więzieniu i za to właśnie musiała wieść ze sobą starą ciotkę, która była chora psychicznie. Owa jej ciotka - ciotka Róża - dała się porządnie we znaki nie tylko towarzyszącym jej Polakom ale także i Moszjanom. Otwarcie kpiała z nacelnika łagru i strażników w obecności Polaków i pracowników radzieckich. Wyśłała im łośno i publicznie od obarów, bydłaków i złodziei. Administracja radziecka wobec niej była po prostu bezradna i starali się schować jej z oczu.

W podobnej sytuacji był też i Józef Kostro, pochodzący ze wsi Krasowo Czajki. Za starszego syna, który od roku przebywał w radzieckim więzieniu jechał teraz na wyjazd z chorą żoną, ówczesną

córkami głuchoniemymi i najmłodszym - dziesięcioletnim młodkiem. Oprócz nich taszczył starszego brata Jana, kompletnego warjata, który nawet nie odróżniał Polaka od Rosjanina i wszystkich nugał "od kołnierza". Przy tym jego ulubionym zajęciem było śmieńnię się ustawianiu towarzyszących mu ludzi parami tak, jak się ustawia dzieci w przedszkolu. Na szczęście nie porywał się na nikogo ale i jemu też każdy wolał zejść z drogi, aby nie miał kłopotów.

Stosunkowo najlepiej prezentowała się rodzina Niemyjakich. Była to rodzina wyjątkowo licząca, bo tworzyła ją aż dwanaście osób. Pochodzili ze wsi Kostry Koski. Ich stara babcia spodziewała się rychłej śmierci i głośno rozpacziała, że musi umrzeć wśród pogan, bez księdza i spowiedzi. A pozostali byli przeciętnymi picaniakami.

Oboje ze Stachną odzyskaliśmy równowagę psychiczną i mogliśmy swobodnie snuć przypuszczenia - co się może stać z nami w najbliższej przyszłości. Przy tej okazji porównywaliśmy naszego pradziadka Adama, skazanego na dwadzieścia pięć lat katorgi na Sybirze za udział w powstaniu styczniowym z naszym, obecnym położeniem. Pytaliśmy jedno drugiego: czy wtedy on mógł przypuszczać - że jego prawnuk będzie podążać kiedyś tymi samymi śladami? Coby jednak nie. My przynajmniej mieliśmy jakąś iskierkę nadziei jakiegos powrotu do Ojczyzny. Bo przecież toczyła się krwawa wojna w wyniku czego Związek Radziecki w tej nowopowstałej sytuacji stał się sojusznikiem aliantów. Był związany sojuszem wojskowym z państwami zachodnimi. Teraz dla nas najważniejsze było przetrwać te najcięższe chwile.

Po tygodniu podróży wodnej nasz statek zatrymał się w miejscowości Niżna Frytań, która leżała na niskim brzegu Tawdy. Teraz naczelnik NKWD obwodu Niżnaja Tawda - Ignatiew Rybienko - w pa

radnym mundurze z orderami seszedł ze strażnikami z kajuty statku do nas na barkę i oświadczył, że tu na Niżnej Pristani będziemy żyć i pracować. Pod wieczór kazano wyładować nasze tobołki na szeroki pomost ogrodzony od wody niską barierką. Była to mała osada w lasach sosnowych, mieszcząca się w ogromnym zakolu rzeki Dawdy na jej niskim brzegu. Podobno przed rewolucją zamieszkiwali ją myśliwi irybacy. A od czasów utworzenia władzy radzieckiej mieścił się tu jeden z głównych północno-uralskich łagrów NKWD dla szczególnie groźnych przestępców. Obóz ten obejmował kilkanaście kilometrów kwadratowych otoczonych ze wszystkich stron wodą., za którą rozciągały się nieprzebyte bagna ciągnące się po lewej stronie Dawdy, Tobołu i Obu przeszło śladem tysięcy kilometrów, aż do Oceanu Lodowatego. Ucieczka z tego miejsca była niemożliwa. Sowieckich skazańców już tu nie było. Przeniesiono ich do innego łagru w lasy pod Wierchniotawdy. Teraz łagier w Niżnej Pristani przygotowany dla Polaków, którzy mieli dalej prowadzić prace łagierników sowieckich. Po przeniesionych skazańcach pozostały zniszczone baraki, zdewastowane karcery z grubych okrągłakówi zapadające się w trocinach wielki tartak. Wkoło zaś stopy rozwalonych różnych dešek. Wszystko to sprawiało wrażenie, że ktoś celowo dopuścił się tak olbrzymiej dewastacji tego przygnębiającego osiedla. Po wykarczowaniu wielkiej polaci lasu przez łagierników utworzono na tym obszarze gospodarstwo rolne. Sziwurołagu czyli gospodarstwo rolne północno-uralskich łagrów. Na tym gospodarstwie Polacy mieli być główną siłą roboczą.

Naczelne władze NKWD nie przewidziały w swoim planowaniu, że zamiast zdrowych polskich łagierników otrzymają gromadę niedołężnych starców i dzieci, a do tego jakby dla więk-

szej ironii kilku kompletnych wariatów. Nad brzegiem rzeki stało kilkanaście dawniejszych chałup, w których mieszkali miejscowi Sybiracy zatrudnieni na różnych stanowiskach w tym przedsiębiorstwie łagrowym. Naczelnik gospodarstwa Michaił Stiepanycz Kuimow i kilkunastu strażników przydzielonych do naszego nadzoru zajmowali duży budynek z okrągłaków między rozwalającymi się toczyniakami. Nad głównym wejściem do zarządu czyli prawlenija widniała tablica dużych rozmiarów z czarnymi literami na czerwonym tle "Isprawitielno~~o~~ Trudnoj Lagier NKWD Osobnoje Choziajstwo Szivurołag".

Do przeniesienia naszych tobołków z przystani podjecha-
li dwaj brodaci Sybiracy na jednokonnych teliegach. Ze
zdziwieniem oglądaliśmy te fury na drewnianych osiach. Na
takich wozach w Polsce chłopci jeździli wołami w XVIII wieku.
Uprząż na koniach i lejce nie miały ani kawałka skóry. A
wszystko sporządzone z lipowego łyka. Najlepiej to oceniła
niespełna rozumu ciocia Róża. Od razu podbiegła do wożaków
i zaczęła wołać: "Zobaczcie ludzie, jakie te chamy mają brycz-
ki. Teraz będziemy sobie jeździć". I bez ceremonii wgramoli-
ła się na tęgą. Dopiero z trudem pani Sutkowska ściągnęła
ją i rozpoczęła się zwózka bagażu do baraku.

Umieszczono nas wszystkich razem w jednym wielkim baraku
odległym około trzysta metrów od przystani i blisko urzędu.
Nasz barak miał czterdzieści metrów długości i sześć szero-
kości. W środku nie było żadnych przepierzeń, tylko dach pod-
party dziesięcioma słupami, a przy każdym z nich stał ogromny
żelazny piecyk z blaszaną rurą wybiegającą na dach. Sufitu tu
nie było. Ściany ocieplone trocinami, a i okna pojedyncze i
drzwi wejściowe mocno skoszone. Podłoga była prowizoryczna, uło-

żona z desek nieheblowanych wprost na ziemi bez legarów. W tym baraku kazano nam rozlokować się i mieszkać do czasu wybudowania nowych pomieszczeń.

Znalazłszy się w takich warunkach wielu załamano ręce i zaczęli narzekać, a kobiety płakać. Powoli jednak pozajmowali miejsca wokół piecyków, posiadali na tobołkach i spoglądali bezradnie jedni na drugich. Po chwilowym odpoczynku wyszedłem z baraku by rozejrzeć się w najbliższym otoczeniu. Rzuciły się w oczy poniszczone baraki jakby po wielkim huraganie, przy tartaku leżały porządne deski, a w walącej się szopie stały pełne skrzynki różnych gwoździ.

Widząc to wszystko postanowiłem namówić mężczyzn siedzących w baraku, abyśmy zaraz zabrali się do roboty i podzielili barak przepierzeniami na małe pomieszczenia, w których ulokują się rodziny według uzgodnionego doboru. Taka przebudowa baraku nie tylko go ociepli, ale zapewni każdemu lepsze samopoczucie i uchroni przed brudem i ogólnym robactwem, bo u każdego wszy łądziły go wierzchu wskutek długiego przebywania w stłoczonym wagonie i na barce bez należytego mycia się i bez zmiany bielizny.

Najpierw zwróciłem się do naczelnika Kuimowa z prośbą o pozwolenie przebudowy baraku. Spotkałem go przed prawieniem i wprost od razu powiedziałem: "Obywatelu naczelniku ten barak, który daliście nam wcale nie nadaje się do zamieszkania z małymi dziećmi!" Tritaocio przerwał mnie: "Aco chcielibyście, żebyśmy wam dali pałac? Sami nie mamy. * planie mamy wybudować nowe baraki. Teraz musicie być cierpliwi". "Słuchajcie naczelniku" - powiedziałem - wcale nie chcemy pałacu. Chodzi o pozwolenie przebudowy naszego baraku wewnątrz deskami, które leżą

prawy tartaku". Popatrzył na mnie zdziwiony i powiedział: "Ależ proszę, róbcie co chcecie, chętnie wam pomogę i dam potrzebne materiały". Uradowany przedstawiłem całą sprawę ludzkom siedzącym na swoich tobołkach w baraku. Własnym uszom nie wierzyłem i z trudem opanowałem gniew, kiedy wszyscy kategorycznie odmówili. Kazimierz Majewski odpowiedział mi ze złością: "To pan zapomniał, jaką bolszewicy krzywdę nam zrobili? Jeszcze mamy im budować mieszkania? Za nic. Niedługo Niemcy ich rozwe-
lą i pojedziemy do domu. Teraz jakoś przemogąmy się" - zakończył. Tak, tak - wołali inni. Malinowski ma rację, niech ich diabli wezmą cyłych bolszewików. Zbliża się na nich kara Boża - wykzykiwali. Byłem bezradny.

Tłumaczyłem na różne sposoby, że przecież nic nie tracimy. Deski i gwoździe nic nie kosztują, wszelkich materiałów mamy pod dostatkiem, a w do datku naczelnik obiecał pomóc. Jeśli nawet wkrótce odjedziemy - tłumaczyłem - to i tak tego nie będziemy tego żałować, co zostawimy. Nie wiemy przecież, kiedy odjedziemy, a mieszkać musimy i będzie nam przyjemniej, jak u siebie w domu, niż stłoczeni w gromadzie. Nie zdołałem jednak nikogo przekonać. Wszyscy dalej siedzieli apatyczni ze spuszczoneymi głowami wokół piecyków.

Zaraz wieczorem naczelnik postawił wszystkich na nogi. Oświadczył, że daje mieszkańcom dwa dni na odpoczynek i urządzenie się w baraku. W tym czasie można korzystać z dwóch bani czyli łaźni parowych, gdzie można kąpać się do woli, wyprać bieliznę i wyparzyć swoje ubrania od wszów.

Wielu z nas po kilka razy dziennie zażywało wspaniałej kąpieli w łaźni parowej. Byle jak najprędzej doprowadzić swój wygląd i samopoczucie do normalnego stanu. Niestety około dziesięciu osób - szczególnie starych, żadną miarą nie dało się

skłonić do rozebrania wykapania w bani, chociaż roznosili za sobą specyficzny zapach amoniaku i zgniłych jaj.

Po wyznaczonym odpoczynku urzędnicy z biura sporządzili spisy według zawodów i wszystkich przydzielono do odpowiednich brygad. Starych i dzieci pozostawiono bez zajęcia. Kilku mężczyzn w sześćdziesiątym piątym roku życia stróżów nocnych na fermach gospodarstwa. Szesnastu podało się jako cieśle i tych skierowano z brygadą budowlaną do budowy i naprawy pomieszczeń na fermie zwierzęcej. Resztę mężczyzn i młodych chłopców od piętnastu lat wysłano na zwalnię lasa i przygotowanie opału na zimę.

Kobiety przydzielono do brygady polowej, która zajmowała się teraz pielaniem kartofli i buraków. Pracującym przyznano osiemset gramów chleba dziennie, a dla niepracujących czterysta gramów. Pocieszono przy tym, że władze łagru mają w planie uruchomić stołówkę i wtedy będzie wydawana supa. Zostałem przydzielony do pracy w lesie. Prosiłem, aby mi dano jakąś pracę biurową, ale naczelnik i księgowy zaczęli śmiać się i poradzili najpierw popracować fizycznie. Naczelnik mówił: "Musicie grażdanin Kozłowski popracować najpierw rękami, chociaż wy i pedagog. Trzeba się najpierw przestroić, a potem uwidim" - zaśmiał się.

W lesie pracowano dwójkami. Moim towarzyszem był adrowy gospodarz spod Mazowiecka - Jan Kostro. Dostaliśmy z magazynu długą pilę, pół litra nafty do jej smarowania, pilnik do ostrzenia i dwie siekiery - jedną zwykłą, a drugą kołun z grubym obuchem. Były to początki sierpnia. Według norm we dwóch obowiązani byliśmy dziennie ściąć osiemnaście sosen dwudziestometrowej wysokości. Popiłować na siedemdziesięciocentymetrowe odcinki, rozkładać na szczyry i wszystko poukładać na metrowe sztaple.

3-ego sierpnia pod wieczór wróciłem z lasu i jak kłoda upadłem na posłanie w kącie baraku; taki byłem wynęczony i skłuty komarami. Myślałem ciągle o tej swojej normie, że nigdy jej nie potrafiły wykonać razem z Kostrą. Coprawda tylko parę polskich dwójek wykonywało powierzone zadanie. Byli to jednak zdrowi chłopcy, zaprawieni do pracy fizycznej. Większość Polaków normy nie wykonywała, podobnie jak my obaj z Janem.

Tego dnia wieczorem rozpoczęły się jęki na posłaniu u Niemczyjskich. Sądziłem, że to stara babcia tak zawodzi. Nic jednak nie słychać było o księdzu, którego ciągle głośno się domagała. Podszedłem do nich i okazało się, że obaj młodzi—Jan i Stanisław skrzęcają się z bólu, a obok na drugiej pościeli wtóruje im Henryk Dziemian. Z miejsca stwierdziłem silne zatrucie. Moje przypuszczenia sami potwierdzili, bo na obiad częstowali się zjełczoną szynką zaszczerdzoną jeszcze z domu. Próbowałem poić kroplami żołądkowymi, piołunem, ale to nie pomagało. Najbliższa pomoc lekarska mogła być w rejonowym szpitalu Niżnyj Tawdyń, odległy 70 kilometrów w dół rzeki. Rano poszedłem do biura prosić naczelnika Kuimowa o zawiezienie ich do szpitala statkiem, który kursował raz dziennie z Wirchniej Tawdy do Tobolska. Naczelnika nie było. Wyjechałem przed dwoma dniami do władz naczelnych w Wirchniej Tawdzie. Zastępował go brygadier Gubiński. Ten nie chciał podjąć decyzji na własną rękę. w obawie widocznie, że zesłańcy mogą uciec gdzieś w tajgę. Dopiero pod wieczór dał się przekonać, kiedy sam zobaczył, jak był bardzo ciężki stan chorych.

Otrzymałem przepustkę na kawałku papieru z gazety—mam to jeszcze— ale z pieczętką czołową łagru upoważniającą mnie do przewiezienia chorych w bolnicu. 5-ego sierpnia przed połud-

niew byliśmy na statku. Całe szczęście, że szpital w Tawdzie znajdował się blisko przystani, bo karetki pogotowia nie było. Na moje usilne prośby zgodził się dyrektor szpitala wysłać telegram na przystań po chorych. Była to ich ostatnia chwila ratunku - stwierdzili lekarze. Nie sądzono im było jednak umrzeć i po dziesięciu dniach wrócili do swoich brygad. Ja pracowałem dalej przy wyrębie lasu i układaniu sztapli.

W ciągu dziesięciu dni ani razu nie udało się nam wykonać normy. Parę razy przy dużym wysiłku i bez odpoczynku dochodziliśmy zaledwie do czternastu sosen, a zawsze dużo mniej. Piła mimo ostrzenia i smarowania zacinała się ciągle w cieknącej żywicy i po paru pociągnięciach zasapani przysiadaliśmy opuszczając ręk i twarzy komary kręcące się jak pszczoły przy ule. W rękawicach i z siatką na oczach w ogóle nie potrafiliśmy pracować.

Brygadier przyjmujący codziennie robotę stale kręcił głową i narzekał. W końcu wymyślał, że źle pracujemy. Po minionej dekadzie obaj otrzymaliśmy od naczelnika surową naganę za mało wydajną pracę. Oświadczono nam w biurze, że jeśli nie zabierzemy się porządnie do roboty, to będzie z nami źle. Marazie zmniejszono nam pająk chleba do sześciuset gramów.

Na następny dzień byliśmy dokładnie kontrolowani przez naczelnika Kuimowa i starszego brygadiera Iwana Morozowa. Pokazaliśmy im wtedy naszą ciężką pracę, której w żadnym wypadku mimo najszczęśliwszych chęci nie możemy wykonać. Przy pilnowaniu sosen w żywicy od razu traciliśmy oddech i zdawało się, że język nie może pomieścić się w gębie, ciągle wżasi do gardła i doci. Zdemoralizowany i wyczerpany oświadczyłem im wprost: "Możecie mnie wieść dokąd chcecie i chleba w ogóle nie dawać

ale tej pracy dalej nie sam rady wykonywać. Naprawdę było mi obojętne, co ze mną zrobią. Po cichej naradzie na uboczu oznajmili, że przydzielają nas do brygady sianokosów udającej się nad rzekę Tawdę. Obaj z Kostką przystaliśmy na to z radością, chociaż nie przypuszczaliśmy co nas tam czeka.

Na drugi dzień z rana przywieziono statkiem z Wierchniej Tawdy do Niżniej Fristani trzydziestu radzieckich skazańców. Dołączone do nich piętnastu Polaków i tak powstała brygada sianokosów. Brygadzie przydzielono pięciu starych Sybiraków jako specjalistów do naprawy i klepania kos. Na furę załadowano kuchnię polową i dwa wojskowe kotły do gotowania kawy zbożowej. Inne dwie fury wiozły drzewo do opalania kuchni i kotłów, kosy, tylko lipowe do wiązania namiotów z gałęzi oraz siekiery, wiadra, osaki, pilniki i młotki, no i różne narzędzia. Prowiant znajdował się na czwartej furze, która miała dowozić codziennie świerzy chleb z Niżniej na sianokosy.

Z samego rana przeprawiliśmy się promem na drugi brzeg rzeki i pod opieką siedmiu strażników oraz brygadiera wyruszyliśmy w tygę. Maszerowaliśmy w rękawicach i czapkach na głowie. Konie w jednej chwili były siwe od komarów. Na zmianę wysneczani byli z kolumny skaszący do opędzenia gałęziami z koni tej plagi syberyjskiej. Dziwnie wyglądał ten pochód w trawie sięgającej po pas. Mógłby nadawać się do nakręcenia interesującego filmu, do którego była nawet gotowa muzyka. Fury na drewnianych osiach skrzypiały, różnymi tonami, co sprawiało wrażenie, jakby nam przygrywała jakaś murzyńska kapela w buszu. Pod wieczór dotarliśmy na ogromne przestrzenie łąk rozciągających się po lewej stronie Tawdy. Od Fristani oddaliliśmy się o przeszło dwadzieścia kilometrów. W małej kępie drzew olchy i brzozy karłowej rozłożono się obozem, jakby

w ulu komarów .Nikt jednak na nie nie zwracał żadnej uwagi. Najpierw ustawiono kuchnię i kotły następnie наносzono wiadrami z pobliskiej rzeczki dwie duże beczki wody do picia i gotowania. Sianokosy zaplanowano na około dziesięć dni zanim siano zostanie wysuszone i złożone w stogi. Na ten czas w normalnych warunkach każdy musiałby zastanowić się o jakimś pomieszczeniu na tylu ludzi. Cały czas potem zastanawiałem się ,gdzie ci ludzie będą zakwaterowani, i do tego w takim roju komarów. Tymczasem problem ten władzom NKWD nie przedstawiał żadnych trudności. Każdy z uczestników wyprawy -nie wyłączając strażników i brygadiera- naciął siekierą długich prętów brzozi, następnie za pomocą Łyka Lipowego sporządził sobie rusztowanie jak bocian pomiędzy drzewami na wysokości około dwóch metrów, tam narzuciwszy gromadę skoszonych trawy można się było w nią zakopać i spać spokojnie i bez obaw przed żmijami w trawach. Przy takim zakwaterowaniu nie potrzebne były poduszki, koce i prześcieradła. Zbyteczne też było jakiegokolwiek sprzętanie. Po przygotowaniu w ten sposób noclegu dostał każdy porcję chleba i po dużym kubku słodkiej kawy. To była nasza kolacja i zarazem obiad, gdyż od rana maszerowaliśmy bez odpoczynku. Zaraz po kawie każdy niezwłocznie polazł po uwiązanej drabinie do swego gniazda. O świcie pobudka. Znowu dano chleb i gorącą kawę. Zanim słońce wzniosło się parę metrów nad ziemię kosiarz poostrzywszy kosy zaczęli ustawiać się jeden za drugim w wysokiej trawie. O jakieś kilometr stojąca samotnie brzoza miała oznaczać zasięg pierwszego pokosu. z zadowoleniem patrzyłem, jak nasi Polacy dzielnie ciągnęli za Sybirakami następując im na pięty. Kiedy wszyscy kosiarze machali już kosami i po tajdze

rozchodził się chrobot ścinanej trawy, na szarym koncu też włączyłem się do szeregu szarych postaci. Zaczęłam śmiało machać kosą, ale ta nie chciała kosić tak jak u innych. Suka ze mną wyglądała poszarpana niby źle ostrzyżona owca. Rzadko udawało mi się ścinać równo trawę. Z trudem udawało mi się też uformować pokos. Najczęściej kosa wślizgała mi w mech i z trudem musiałem ją wyciągać. Gdy starałem się puszcząć kosę w żęć, ścinałem trawę tylko do połowy. A ze mną pozostawała cała strzyga żywej łaki.

Zanim przesunąłem się kilkadziesiąt metrów do przodu - już ten pierwszy kosiarz w szarym ubraniu kosiarnika zakończył swój pokos przy brzoście i wracał, aby ze mną zacząć następny. Zaraz za nim podobnie postępowali inni. W rezultacie w takiej sytuacji już po krótkim czasie musiałem zejść ze swoją kosą na bok aby nie tamować drogi innym. Coraz to inni kosiarze mnie dopędzali i trzeba było przed nim uciekać.

Brygadier i strażnicy z wściekłością patrzyli przez jakiś czas na mnie i wreszcie powiedzieli: ty jesteś ni czerta niegodny i do niczego się nie nadszjesz.

Przed południem przyjechali dwukólką ze z Kołmowem dwaj główni naczelnicy z Wielkiej Tawdy. Jeden był w randze pułkownika a drugi majora MKWD. Właśnie oni to przeprowadzali kontrolę sianokosów na wielkich łakach. Obaj byli świetnie odkarmini. Mieli pokasane brzuszki i byli w błyszczących mundurach i z naganami za pasem. Przy obiedzie jedliśmy trochę zupy jaglanej z chlebem. Wszystkich kosiarzy pochwalili za dobrą robotę a ze mnie urządzili powszechne, publiczne poamięwisko.

- Powiedzcie nam - pytał wobec wszystkich pułkownik - kto za was kosił w Polsce. Widocznie mieliście dużo parobków?

© mało nie zapytałem go, czy sam umie kosić, ale na szczęście z porę ugryzłem się w język i spokojnie odpowiedziałem: w Polsce

nie kosiłem i nikt inny za mnie nie kosił. Tam siano nie było mi potrzebne. W Polsce nauczyciele nie kosili i nie hodowali krów tylko zajmowali się nauczaniem. Może mi jednak dacie taką pracę, którą będę mógł spokojnie wykonywać bez poniżenia godności człowieka.

Po moich słowach naradzali się dość długo z naczelnikiem Kuimowem i w końcu przywołali mnie do siebie. Pułkownik oświadczył: no tak - Kozłowski - najlepiej chyba będzie, jeśli zostaniecie młotobojcem.

- Co to takiego - zapytałem. Nigdy takiego słowa nie słyszałem.

Naczelnicy zaczęli zaśmiewać się serdecznie aż w końcu Kuimow poważnie mi wyjaśnił, że będę pracował w kuźni z kowalami. Tam właśnie nauczą mnie bić młotem i poruszać miacchem.

Zorientowałem się, o co chodzi, przystałem od razu, podziękowałem im za ludzkie podejście do mnie. Pomyślałem sobie jednocześnie, że przynajmniej komary nie będą mi dokuczać. Pomyślałem też z ulgą, że będę też pod dachem.

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór wróciłem z wozkiem chleba na Niżną. Siankosy moje - chociaż nieudane - były już poza mną. A co jutro nastąpi - nie wiadomo.

Kowale przyjęli mnie dobrze - bez żadnych uwag czy komentarzy. Po paru dniach przygotowałem się do nowego zajęcia i tak mi się zdawało, jakbym od dawna z nimi pracował. Z początku było ciężko bić dużym młotem. Usiadałem posługiwać się na smiane tociatero to ośmiokilowym. Powoli jednak wciągnąłem się i praca stała się interesująca. Wajsterkowanie mnie pociągało. Stale robiłiśmy coś nowego. Robiła naprawą maszyn i urządzeń gospodarstwa remontowaliśmy też ciągniki barek na rzecce. Wymieniano też su-

te części w motorach statku. Często także dobabiano całe nowe zespoły. A mieliśmy też i takie przypadki, że przychodziło nam spawać wały grubości ręki. Dymu było pełno i tym samym nie musiałem nosić na głowie nakomarników - to wątpliwa przyjemność. Z tego względu nie musiałem nosić rękawów. A w dodatku od paleniska rozchodziło się przyjemne ciepło.

Wreszcie Stachna otrzymała pracę w szrotowni i ona z tego również była zadowolona. Oboje byliśmy zajęci na miejscu, blisko baraku. Teraz, kiedy już miałem pracę jako tako unormowaną - postanowiłem jak najprędzej, o własnych siłach - urządzić sobie mieszkanie. Już nie mogłem już dłużej patrzeć na to wspólne legowisko na podłodze w baraku, gdzie jedni przeskakawali przez pościel drugich z przy rozbieraniu i ubieraniu oglądając niedyskretnie wdzięki starych babć.

Wszystkie rodziny wolna były podwiązane ściąganiem desek z barkaku. Za zgodą współlokatorów zajęłem kąt barkaku z płaszczyzną właśnie, przy pomocy Stachny - zrobiłem przegierzenie. Ściany wewnątrz obikłem tekturą otrzymaną w gospodarstwie na rozkaz Kuimowa. Natomiast drzwi wejściowe dopełniłem ze starego barkaku. Teraz już wchodziłoby do naszego pomieszczenia nie we wspólnymi drzwiami a oddzielnie - jak w prawdziwym mieszkaniu. Jak się okazało, w ciągu tygodnia zrobiliśmy sobie całkiem przyzwoity pokój.

Przyświe do spania zbiłem z desek, które wyglądały jak normalna łóżka. Na ostatek zamajstrowałem stoł na krzyżakach i kilka stołków w miejsce krzesel. Poprawiło to nam samopoczucie, bo mieliśmy już jakieś mieszkanie i nikt nas już nie podglądał. Natomiast Stachna nawet śartowała, że teraz to nawet może przyjmować gości. Natomiast sąsiedzi zza ściany nadal uparcie czekał

na boskie zmiłowanie. Mimo naczonego przykładu - do roboty nie sahnali się. Wyglądało to tak, jakby im nie zależało na tym, aby poprawić warunki mieszkaniowe sobie i najbliższym. Kobiety otwarcie srodnościły stacynie i ciągle do niej przychodziły, żeby chociaż chwilę posiedzieć w pokoju, który przygomiwał im własny dom.

Nasze przyzwyczajenie do ładu i porządku zwróciło uwagę naczelnika Kuimowa. Z czystej ciekawości zachodził do nas aby zobaczyć, jak żyjemy. Przy okazji chętnie rozmawiał z nami o porzednim naszym życiu i pracy w Polsce. Był on wyjątkowo ludzkim funkcjonariuszem NKWD. Jako major NKWD szezycił się wyższym wykształceniem jako kandydat nauk z zakresu historii. Pewnego razu w rozmowie ze mną podkreślił, że Białystok był zawsze rosyjski. Odpowiedziałem mu na to: bardzo się mylicie - obywatelu naczelniku - bo od wieków nie tylko Białystok, Grodno, Wilno, Brześć i Lwów były polskie. Kiedyś do Polski należały takie miasta jak Mińsk, Smoleńsk, Witebsk i Psków. Na to są niezbite dowody historyczne nie tylko w polskich archiwach ale i we wszystkich państwach na Zachodzie. A tam przecież nie potrzebowano fałszować historii.

Bardzo go zaitrygowała moje twierdzenie. Dlatego bardzo często tak mi kazał przydzielać pracę przy naprawie inwentarza w gospodarstwie, że mogliśmy całymi godzinami dyskutować czy też rozmawiać na tematy dawniejszych stosunków między Polską a Rosją. Odpowiedziałem mu o walkach naszego króla Stefana Batorego z bojarami moskiewskimi i o pokoju pod Pskowem. nawet pewnego razu zaśpiewałem jemu - majorowi NKWD:

- Nasz Batory wielki
- gromiąc moskiewskie bojary,
- nie przywdziewał kamizelki,

- lecz kontuzje i czamery.

On słuchając mojej piosenki był nią bardzo ubawiony. Dowiedział się również odemnie o Stanisławie Żółkiewskim, który w zwycięskim pochodzie zajął Moskwę i całą rodzinę carów Szujskich z bojarami sprowadził do Warszawy - przed tron Wymunta III-go. Króćce zaś bojarzy obrali jego syna Władysława Wielkim księciem moskiewskim i pragnęli bardzo, aby został ich carem. W tym czasie w wielkich miastach Rosji jak w Moskwie czy Peteraborgu mowa polska uchodziła za wykwint mowy i kultury Rosjan. Świetność i potęgę Polski tamtych lat uwiecznił na obrazach światowej sławy polski artysta malarz - Jan Matejko. Jego dzieła do dziś znajdują się w Krakowie na Wawelu i jeszcze teraz można je oglądać.

Bardzo się dziwił tym wiadomościom - bo jak sam mówił - nigdy o tym nie słyszał w czasie swoich studiów uniwersyteckich. Na zakończenie naszej dyskusji dodałem swoją uwagę: jak więc widziecie naczelniku - tylko krótkowzroczność króla polskiego sprawiła, że ciągle odwlekał i odkładał wyjazd księcia Władysława do Moskwy tak długo, aż znicierniwiemi bojarzy obrali carem księcia Michała Romanowa. Sami musicie przyznać - że gdyby polski następca tronu pozostał wówczas carem - to nasi Polacy nie znajdowaliby się obecnie w waszych łagrach, jak to teraz jest.

Uśmiechnął się na to kandydat nauk Stepan Stiepanych i z tajemniczą miną odpowiedział: da, da - Wiktor Karłowicz. Ale teraz przyznać, że od czasu tej szczerzej dyskusji odnosik się do Polaków grzeczenie, każdego nazwał po nazwisku. Natomiast w stosunku do mnie do nazwiska dodawał zwrot grzesznościowy tak zwane "obczestwo". Stąd "Wiktor Karłowicz".

Leży wojny tak się potoczyły, że Rosjanie nie zostali dop

bici. Natomiast nas zastąpiła zima syberyjska na Wiśnej Przystani. Patrząc na naszych asystentów rosłyślatem, że jednak miałem szczęście zostając młotobojcem. Bardzo często musiałem bić ciężkim młotem przy spawaniu wałów i wielki innych okazjach. Ale stałem w miejscu i w każdej chwili mogłem nagrzać ręce, co miało duże znaczenie.

W ciągu ostatnich miesięcy nauczyłem się w kuźni bardzo dużo. Pilnie przypatrywałem się majstrom, jak wykonywali różne roboty i sam próbowałem ich naśladować. Starałem się wszystko widzieć - na przykład z jakiej stali były wykonywane były narzędzia do obróbki żelaza czy też części do maszyn, czy też przedmioty codziennego użytku. Po pewnym czasie doszedłem do takiej wprawy, że wystarczyło mi obejrzeć przekrój kawałka żelaza, gdzie widoczna była jego budowa cząsteczkowa i już wiedziałem, do czego jest przydatny.

Nauczyłem się odróżniać stal miękką od twardej oraz jak należy hartować wykonane części do maszyn, narzędzia do obróbki żelaza lub inne przedmioty. Potrafiłem też określić temperaturę hartowania po kolorze ognia w palenisku i kolorze nagrzanego żelaza a także temperaturę wody po włożeniu do niej wałca czy innego detalu.

Pod wiosną już wykonywałem wiele robót samodzielnie. Teraz już mniej biłem ciężkim młotem a na nowego młotobojca i do poruszania miechem przyjęto młodego Wańkę Czupryna. Był on synem koniucha z fermy zwierzęcej. Mnie natomiast coraz częściej powierzano odpowiedzialne roboty kowalskie do wykonania. Po pewnym czasie pozwalano mi samodzielnie pracować w kuźni i wtedy wyrabiałem noże kuchenne, siekiery, scyzoryki składane oprawiane w rękawiczki z rogu zwierzęcego. Kawałek roku na przykład pod-

grzewałem do odpowiedniej temperatury i w prasie otrzymanyem wyprostowaną masę i pilkami wycinałem odpowiednia części o-
kładziny. Po odpowiednim wyszlifowaniu wyglądały bardzo efek-
townie ze szłojsmi i deseniami rogowymi. Biorąc pod uwagę abso-
lutny brak takich przedmiotów w sprzedaży, miałem na nie stałe
zamówienia od miejscowych Sybiraków a nawet strażników. Wiele
takich wyrobów sprzedawałem albo też wymieniałem u Sybiraków
na kartofle, mleko. Czasami udawało mi się otrzywać masło to-
pione.

Zważywszy, że otrzymywaliśmy tylko dwa kilogramy chleba
na trzy osoby i raz dziennie po misce zupy ze słożów. Ki i to
tak śludkiej, że jeśli ktoś miał jeden kartofel - to mógł uwa-
żać się za szczęśliwego. Była to sama woda z uolekającymi przez
dawnianą tyżkę krupkami jaglanymi i do tego bez odrobiny
tłuszczu. rzywaly w niej pocięte liście kapusty a niekiedy żół-
trodzki. Politrucy tłumaczyli, że wszystko należy oddać Czerwo-
nej Armii, która broni nas przed niemieckimi szaszystami. Dosta-
waliśmy tylko produkty niezbędne do przetrwania i to przy tak
ciężkiej pracy w kuźni.

Dokładałem wszelkich sił, aby Stachna i wata Ela nie zapad-
ły na zdrowiu na skutek głodowania. Naprawiałem ludziom wiadra,
garnki, niednice, miski. Było to latanie do biur. Wauczyłem się też
różnych robót blacharskich. Dlatego też mogłem wykonywać nowe
wiadra oraz garnki do gotowania. Żebyżem w ten sposób i teraz
nie chciałbym pójść do pracy biurowej - gdyby mi ją nawet pro-
ponowano. Wyuczony tu zawód kowala pomógł mi przetrwać ciężki o-
kres na Syberii. Zapuściłem brodę i zostałem prawdziwym, syberyjs-
kim "kuaniecos".

Po otrzymaniu konwentu opuściłem miżną Prytań. Jeden w ko-

wali ścigając się ze mną powiedzieć: słuchaj, bratime - gdy ty przyjechałeś do kuźni to ja od razu powieściłem: ten pan to obrazowany człowiek. I podając mi rękę dodał: ty na pewno poradzisz sobie w życiu.

Dalsza moja opowieść zawiera opisy: jak przeżyliśmy boże narodzenie w tajdze. Jak za to, że nie wyeszliśmy do roboty zostaliśmy uwięzieni i skazani na rok przymusowych, ciężkich robót. Jak dowiedziałem się z gazet, że w Kuzybasowie została utworzona przedstawicielstwo polskie /ambasada/ i przedstawicielstwo tej ambasady w Pietropawłowsku. I stamtąd postanowiłem iść pieszo do armii generała Andersa. Szedłem pieszo przez tajgę i step od mniej więcej Pietropawłowska do Tobolska. W prostej linii na mapach szkolących odległość wynosi jakieś tysiąc dwieście kilometrów. A że droga biegnie różnymi zakolami i budozami - przeszedłem więcej kilometrów. A ile w tej drodze przeżyłem, ile od bandytów uciekałem. Bandyci chcieli grabować moją tarczę i suchary.

Zajęcia tylko z tej podróży starczyły by za temat na niejedno nagranie. Potem oczywiście, kiedy dojechałem tam szczęśliwie - do ambasady - okazało się, że przybyłem o dwa tygodnie za późno. W międzyczasie została odkryta zbrodnia w Katyniu i Sikorski zarządził, aby dochodzenie przeprowadził szef Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Wówczas Stalin udebił obrotowego. Efektem tego było rozpoczęcie nagonki na Polaków oraz akcja oczerniania rządu. Wiadomą została zerwana całkowicie stosunki a Polacy nie mieli nic do gadania. Tych wszystkich, którzy zaczęli podnosić głowę i wyrażać własne zdanie - sadzano do więzienia na nowo.

Potem musiałem wrócić z powrotem, bo - jak już powiedziałem -

dwa tygodnie wcześniej Anders wyprowadził swoje wojska do Ir-
 nu. Z wielkimi przygodami, w czasie których moje życie ciężow-
 rniało na wiosek - wróciłem do domu. Jednej córki już nie was-
 tałem. Tu muszę dodać, że w czasie naszego pobytu na Syberii
 urodziła się nam córka. I ona właśnie teraz zmarła. Kiedy wró-
 ciłem, już było po pogrzebie. Natomiast starsza córka, która te-
 raz jest ze mną - powiedziała do mnie - kiedy wróciłem: tuśku,
 nie ma już Donki, ale zobaczysz - ona nam przyniesie dużo kwia-
 tów. Ją złożono do ziemi.

Ile to mnie kosztowało - też by wystarczyło na osobne nagre-
 nie. Wróciłem i ponownie musiałem stanąć do pracy w kolchozie,
 nadał jako kowal. Kolchoz nazywał się "Czerwony Proletariat".
 Potem w tym kolchozie nie było co jeść. W zimie był dotkliwy
 głód. Znowu musiałem jakoś się ratować, bo nawet przydziałowego
 chleba nie było, jak w gosuderstwiennym łagrze. Więc udałem się
 z powodu braku chleba - w nieszanę, do Sybiraków. Wzjąłem sanecz-
 ki tylko i tak przed siebie poszedłem i zatrudniłem się jako
 szewc.

Przez pół roku byłem szewcem. A jak mi to szewcstwo mi szło
 i jak przerabiałem buty - z futrych na małe - chodziło o prze-
 rabianie butów po tych, którzy zostali zabici na froncie. Często
 matki chciały takie buty przerobić. Jak ja to robiłem, jak przy-
 bijałem do kopyta - z tego warto by było chyba nakręcić film.
 Ponieważ kowalstwo było jednak bardzo opłacałne, znowu znalaz-
 łem kolchoz, w którym potrzebowano kowala. Akurat stamtąd szła
 kobieta w tajgę odwiedzać swoich znajomych. Szła jakieś pięć-
 dziesiąt kilometrów, bo tam takie są odległości od wioski do
 wioski. Poszła do kuźni i zapytała, czy można się ogrzać. Spoj-
 rzała na mnie i zawołała: radi Boha, toż eto nasz sapożnik.
 Następnie złożyła ręce i powiedziała: jej Bohu, eti Palaki, oni

miejąc złotyje ruki.

Potem musiałem pracować w kołchozie, który nazywał się "Droga do socjalizmu". Tu też przeżyłem wiele przygód... W tym czasie zaczęła już działać Wanda Wasilewska z grupą komunistów polskich. Inna rzecz, że ja do nich za nic nie chciałem przystać. Gdybym przystał, to do dziś nie był tym poniewieranym nauczycielem w Polsce Ludowej ale może jak na przykład Sokorski - zajmowałbym jakieś eksponowane stanowisko. Ale ja po prostu brzydziłem się nimi, bowiem oni propagowali komunizm i błogosławili Stalina.

Przez pewien czas starano się zabrać mnie do armii. Tu muszę przyznać, że kiedy już mi kazano stawić się do wojska /chodziło o pobór do Armii Czerwonej/, to pomogła mi od tego uwolnić się jedna z działaczek tego Związku Patriotów Polskich. Dzięki niej udało mi się uniknąć tej służby.

Po jakimś czasie Stalin pozwolił Polakom udać się na Ukrainę - na roboty. I właśnie stamtąd - z tych robot - udało mi się uciec. Dlatego wróciłem wcześniej niż inni. Temu poświęcam oddzielny rozdział. Po powrocie długo nie mogłem dostać pracy, dwukrotnie "siedziałem" w UB-e. Tam zatrzymano mnie pod jakimś zarzutem; jak ja mogłem przybyć wcześniej z Rosji, skoro przede mną jeszcze nikt nie wrócił. Któs z całą pewnością musiał mi pomagać. A kto? Odpowiedź była bardzo prosta: ocywiście podziemie. Musieli mi pomagać bandyci. Podczas pierwszego zatrzymania starano się wmówić mi jeszcze i to, że pod Pektowem a właściwie w okolicach Smoleńska byłem z Niemcami i tam pomagałem im mordować Białorusinów. Kiedy im przedstawiłem nie do podważenia dowody na to, że właśnie w tym czasie byłem na Ukrainie - wtedy dali mi spokój - ale nie na długo. Po paru miesią-

cach - a trzeba tu zaznaczyć, że w tym czasie byłem już bezcel-
nikiem szkół zawodowych - to nic nie pomogło; nawet to, że w
tym czasie zorganizowałem dwadzieścia siedem szkół na terenie
województwa białostockiego w dawnych granicach.

Aresztowano mnie ponownie. Tym razem przyjęto takie założenie,
że z całą pewnością musiałem współpracować z tymi bandami
/tak wówczas nazywano AK/ i wywieziono mnie z Białegostoku.
Wywieziono mnie krytym samochodem "bułg" do wysokiego Mazo-
wiecka do UB-e. Tam dopiero zaczęło się przesłuchiwanie mnie,
badanie i wmawianie. W pewnym momencie przedstawiono mi dwóch
takich "gości" którzy twierdzili, że byli w AK i utrzymywali,
że we wsiach Zalesie i Hodyszewo ja zdecydowanie, kogo należy
zamordować, kogo bić za to, że ci ludzie kiedyś współpracowali
z Sowiecami.

Tak się ułożyło - miałem tu trochę szczęścia - moją sprawę
prowadził prokurator Władysław Olszak. Zdziwiłem się mocno, kie-
dy już po przesłuchaniach, po upływie paru miesięcy spostrzeg-
łem na jego biurku moją teczkę. Łatwo można było rozpoznać, bo
na teście było wypisane moje nazwisko. W pewnej chwili ten pro-
kurator zapytał mnie: słuchajcie, jak się nazywa wasza żona z do-
mu? Odpowiedziałem, że Piaseczyńska. Wówczas on zapytał: z Kolna?
Odpowiedziałem, że tak. Zapytał ile mam dzieci /odpowiedziałem,
że dwoje - jedno dziecko ma lat dziesięć a drugie pięć/. Wów-
czas nie wiedziałem, co to znaczy.

Po chwili prokurator powiedział: słuchajcie, przejrzałem wa-
szą sprawę dokładnie. Jeżeli będzie podstawa - to ja tę sprawę
umorzę. Ta wasza sprawa raczej będzie umorzona. Nie mogę tego po-
wiedzieć z całą pewnością, ale może coś z tego będzie. I rzeczy-
wiście - po jakichś dwóch lub trzech tygodniach ponownie wez-

wał mnie do siebie. Na stole ponownie leżała moja teczka. Ale tym razem prokurator nie otwierał tej teczki. tylko od razu mówi: "Proszę pana, sprawa prawdopodobnie będzie umorzona i czasowo zwalniam pana, ale będzie pan musiał się meldować w milicji." Oczywiście, kiedy przyjechałem do Białegostoku zwolnił mnie; oczywiście strażnika nie było już za drzwiami. W Mazowiecku zaszedłem jeszcze na podwórko. Zaróżnięty on był zupełnie, tak jak nie człowiek. Patrzę, że dwa wozy, takie gumiaki na podwórku stoją, takie duże obejście wygląda. To zdaje się na ulicy Mystkowskiej było w Mazowiecku. No i fur- tka zamknięta, więc ja tam wszedłem do nich i tam trzech było mężczyzn; jeden starszy i dwóch widocznie synów i mówię: "Panowie, wypuścili mnie z więzienia i wracam do Białego- stoku, ale wstydzę się tak wrócić. Czy panowie nie pozwolili mi się ogolić i umyć się?" "Ależ proszę - wacek, mówi do starszego syna - zaprowadź pana do Łuzienki, tam mi ja brzytwa leży." Zaprowadził mnie, ogoliłem się, umyłem. Potem zaraz przyszli we trójkę, poczęstowali herbata, szynką, domowej ro- boty nakroili. Żaden nie zarybał się ze co i co siedziałem. tylko powiedziałem im sam, że jestem nauczycielem i chcieli mówić, że jestem wrogiem ludu. Ale to jakoś się im nie udało. "Ależ proszę pana - mówi - to nas wszystkich cała" /ten stary to powiedział/. Ale nie powiedziałem, że Mystkowski w Ma- zowiecku to jest właśnie dyrektor, którego ja zatrudniłem i szkołę zorganizowałem w Mazowiecku, bo się po powrocie wsty- działem tego powiedzieć. Kiedy przyjechałem do domu, to Stachna mówi: "O, Boże jesteś już - mówi - jacy to jednak ludzie są dobrzy, to jednak cię wypuścili". Ja mówię: "Rzecz jasna, że wypuścili". "A dostałeś paczkę, i dostałeś pieniądze, a zegarek?" "Co ty mówisz, jaki zegarek?" "A przecież - mówi - naczelnik ~~niel to wszystko~~

wziął to wszystko i miał ci oddać ". Od razu sorientowałem się, że coś tu jest nie w porządku ."Słuchaj-mówię- opowiedz /a dzieci słuchają Ula i Leszek / wszystko, o co tu chodzi, bo ja nic nie wiem."

"Toż dwa dni temu-mówi- dostał paczkę naczelnik od tego ORMO, zegarek tobie i dwadzieścia tysięcy złotych /a to wtedy była duża gotówka/, conajmniej parę pensji naszych i jeszcze więcej. Ja pytam-"Skąd ty wziąłeś tyle pieniędzy?" A ona mówi: "Nauczyciele się złożyli, bo ona pracowała wtedy w szkole zawodowej na Dąbrowskiego/.- i ciotka Reinkowa dała jeszcze swoje dołożyła i zapłaciła. Przyszedł naczelnik /parę razy brał paczki/ i mówi, że chyba cię zwolnią i prosił, żeby na poczęstunek dać paczkę naczelnikowi i pieniądze , a zegarek tobie miał dać -Atlanti/dałem jak raz kupiony od takiego kolegi/. Ja mówię,"Słuchaj ,już ja wiem kto to był .Siedział ze mną oprych taki zdrowy , ale wiadomo ,jak to człowiek do śmierci jest głupi .W celi siedziało kilku Żydów i on siedział i go wypuścili .Kiedy przyszedł i mówi, że już wychodzi, to jak dobry duren powiedziałem mu:"Słuchaj ,powiedz Stachnie, tu mieszka-Dąbrowskiego 10 w Białymstoku --/bo on mówi, że do Białegostoku jedzie/ ,gdzie ja jestem, bo ona nie wie."A jeszcze jak mnie dzieci znalazły w Białymstoku w więzieniu w okienku -to druga opowieść by była przed wysłaniem do Mazowiecka/.-i powiedz, że nic mnie nie mogą zarzucić, zobaczymy co będzie. W każdym razie niech będzie dobrej myśli, powinienem wrócić. -tak jamu powiedziałem. Ten drań wykorzystał to wszystko i przyszedł i powiedział/od razu udał się do niej, taki umorusany i powiedział, że on prowadził tutaj ćwiczenia z ormowcami pod więzieniem białostockim i zobaczył, jak mnie prowadzą związanego drutem kolczastym na przesłuchanie .I on od razu z miejsca poszedł do naczelnika

bo to jest jego kolega i powiedział ,żemają obchodzić się ze mną po ludzku,jak się należy i więcej,żeby czegoś podobnego nie było. Na łączność została nawiązana. Pozwoliła mu się umyć w łazience, ogolić się jak się należy.A ten chłopak mój 5-letni zaglądał dziurką od klucza,co on tam robi. I mówi do mnie;"Muszku,ja od resu pomyślałem,że musi to być dobry ptaszek,bo ja należę do partyzantów z Popielskim/Popielski jest naszym komendantem na gruzach/ i kazał meldować,kogo tylko zobaczymy ,żeby zaraz meldować. Ja Muszka nie nie powiedziałem,ale widziałem u niego na piersiach gołą babę-mówi. I kiedy się obcierał Tuszka ręcznikiem,to wcale się nie starało.Ma on szczęście,że myśmy go pilnowali i drugi raz zdołał Muszkę tak nabrać.Bo Popielskiego ojciec siedział w więzieniu z głównymi bandytami i mówi,że wódz tych bandytów porozumiewa się tymi znakami .Ten wódz bandytów to miał mysz na tyłku gołym,jak ucieka do dziury .I my się zaczęliśmy śmiać,a on mówi,-wy się nie śmiajcie,to poważna sprawa,my to wszystko meldujemy.

I tego partyzanta położyliśmy spać ,a my oboje poszliśmy na milicję na Lipową ulicę.Opowiedziałem to wszystko milicjantom,a oni powiedzieli:"My wiemy,kto to jest.Na Krakowskiej ma malingę ". Poszli,go tam złapali.ale tylko znaleźli zegarek , reszta wszystko przepadło .O takie przygody miałem.

Później to życie moje i Stachny różne było.

Boże Narodzenie w tajdze.Więzienie.

Przewidywania Polaków na rychły powrót do Polski zawiodły. Front zatrzymał się w okolicach Moskwy i Związek Radziecki nie został rozbity,jak wielu z naszych zesłańców przepowiadało.Ludzie w zimnym baraku stali się całkowicie zre-

zognowani. Po ciężkiej pracy w tajdze przy ściąganiu surowych gałęzi na gromady i nie lżejszej harówce w gospodarstwie mężczyźni i kobiety nakładali na siebie najcieplejsze ubrania i okryci różnymi kocami na prymitywnych prycsach wyglądali jak kukły lub toboły w rozwalonym magazynie. Dym wydobywający się z piecyków utrudniał oddychanie. Jedni na głos przeklinali, a inni do wtóru głośno się modlili.

Był początek listopada. Mroź dochodził już do dwudziestu stopni Celsjusza, śniegu stała dokładała i ani razu nie było odwilży. Do ponurego nastroju przyczyniła się też śmierć obojga starców Wyszajskich z Krásowa-Częstych powiatu Wysokie Mazowieckie. Najpierw zmarła Wyszajska. Do kopania dołu w sosnowych lasach na cmentarzu za rzeką oddalonych dziesięć kilometrów, brygadier wyznaczył czterech ludzi: Jana Kostkę, Cygana z rumuńskiej Besarabii, Niemca znanego wójci i mnie. W ciągłej zimoci śnieżnej udaliśmy się w czwórkę na cmentarz. Żenia znaleźliśmy go w wielkim lesie już byliśmy wymęczeni. Ziemia gliniasta całkowicie była zamrażnięta. Muciliśmy najpierw palić duże ognisko, aż glina trochę odtajała, a potem na zmianę rąbaliśmy siekierami i grubymi ubuchami. Przy wielkim wysiłku dopiero na drugi dzień zdołaliśmy wykopać odpowiedni doł w tej zmaralinie. Kondukt pogrzebowy tworzyli czterej grabarze, wyznaczeni uprzednio do kopania dołu, i wczak na tleńdse wiozący trumnę. Mąż zmarłej dogorywał w baraku. A bliższej rodziny nie miała. Reszta Polaków jako jej obcy musieli iść do swoich codziennych zajęć w tajdze i na farmach gospodarstwa. Po dwóch dniach zmarł Stanisław Wyszajski. Chcieliśmy pochować oboje w jednej mogile, ale kiedy zaczęliśmy odgrasbywać ziemię było już tam trzy obce trumny. Okazało się, że Sybiracy, z osady Miazg zdążyli pochować z naszą nieboszczyką

troje swoich zmarłych. z wielkim trudem podkopaliśmy z boku
glinę i zasypaliśmy wyszyskiego we wspólnym grobie polsko-
syberyjskim. Gruby kopyt brzozy znaczyl tę wielką mogilę.
W tym czasie Stachna spodziewala się dziecka. Sowiesci zabrali
ją do pociągu i wywiezli będąc w ciąży. Oboje byliśmy ogromnie
zmartwieni, gdyż nie było mowy, ani o szpitalu, ani o jakimkol-
wiek lekarzu. Od Sybiraków dowiedziałem się, że za Mijasami
znajduje się obóz przesiedleńców - Niemców z Powoła - i u nich
jest felczer. Uprosiłem naczelnika Kuimowa, aby polecił wozako-
wi przywieść tego felczera do Stachny. Na co szycaliwia się zgo-
dził. W ostatniej chwili przywieziono na saniach tego Niemca.
6-tego listopada przyszła na świat zdrowa, wyjątkowo duża
dziewczynka. Stachna była bardzo wyczerpana i mało reagowała
na otoczenie. Dziecko zawinięte w pieluszki i prześcieradła
leżało na swojej prycy, a ja zająłem się początkiem felcze-
ra, który zaraz odjechał saniami za rzekę do swojego obozu.
Po pewnej chwili matka otwarła oczy i zaczęła pytać: "Wiktore,
powiedz - dziecko zdrowe?" Pokazałem córeczkę - "Zobacz Stachno
wszystko w porządku, mała wygląda ślicznie. Nie potrzebujesz
się o nią martwić. Będę się nią opiekował, a panie z baraku mi
pomogą". Wkrótce Stachna zasnęła, a ja usiadłem na prycy przy
obu dziewczynkach. Ela przykucnięta na poduszce bez przerwy
mówiła i zglądała do małej siostrzyczki. Była bardzo zaintry-
gowana nową osobką. Prosiła mnie: "Tuszkule, teraz musisz nam zrobić
taką telegę z heciską, jaką Wanika wozil wodę z rzeki. Ja też chcę
z tą nową siostrzyczką wozic wodę". "Dobrze Ela, zrobię wam
telegę i kupię nawet konia, ale mała siostrzyczka płacze, musimy
ją przewinąć". Rozwinąłem dziecko z pieluszek i z przerażeniem
zobaczyłem, że lewa nóżka za kolanem jest zupełnie złamana.
Dostałem szoku. Byłem bezradny. Zdażyłem wyjąkać: "O, Boże, dlaczego

to maleństwo spotkało takie nieszczęście, przecież nic nie zawiniło". Praykryłem dziecko i natychmiast zacząłem wystrugiwać trzy małe łupki z wycięciem na kolano i łydkę. DREWNIENKA owinałem watą, przyłożyłem do złamanej nóżki i obandażowałem. Nóżkę chorą razem ze zdrową zawinałem szerokim bandażem. Sprawdzałem też wielokrotnie, aby obydwie były równe. Wkrótce dziecko uspokoiło się, a przebudzona Stachna była pewna, że jestem zajęty przewijaniem. Przez trzy dni matka karmiła dziecko nie wiedząc o wypadku i o nieudolności felczera. Stale przewijałem i podmywałem tak, aby niczego nie zauważyła. Dopiero, kiedy wstała na nogi sama chciała wykapać małą, powiedziałem o wypadku. Bardzo dzielnie zniosła wiadomość tak bolesną. Zdążyła powiedzieć z wielki żalem: "Matko Boska, za co to wszystko na nas spada? Czy byliśmy tacy źli?" I zaczęła szybko rozwijać dziecko.

Ku naszej radości zawiązta nóżka w łupki była równa z drugą i miała ten sam kolor skóry. Nabraliśmy jeszcze większej nadziei, kiedy dziecko wyraźnie poruszało paluszkami tej nóżki. Cały czas była zabandażowana i podmywana watą bez kąpieli. Siostrzyczkę Mli nazwaliśmy Aldoną.

Dopiero 9-ego grudnia uwolniliśmy Donkę z bandażu. Nóżka nie różniła się od zdrowej i po paru dniach obiema poruszała jednakowo. Stachna zajęła się dziećmi, a ja ze spokojem mogłem dalej pracować w kuźni.

Od końca października do połowy grudnia śnieg ciągle padał i padał, mróz dochodził już do trzydziestu stopni Celajusza. Baraki naszego łagru i dalej pod lasem budynki gospodarcze były całkowicie zasypane. Roskopane wzdłuż kasp drogi i wąskie ścieżki o ścianach sięgających miejscami do dwóch metrów świadczyły tylko, że żyją tu ludzie. Najszersza droga prowadziła

do rzeki Tawdy, skąd z przerybni czarpano wodę. Dla bydła i koni w gospodarstwie dowożono wodę w rzeki beczkami. A Polacy z baraku i Sybiracy z odległych ^echt nosili paręset metrów wiadrami przy pomocy specjalnych nosidek na plecach tzw. karawysłów. W tym czasie z urwistego brzegu Tawdy rozciągał się piękny widok. Cała Niżnia i okalające lasy jak okiem sięgnąć daleko po horyzont były pokryte jednym dywanem śniegu. To w tych lasach nasi mężczyźni i kobiety brnąc po pachy w zaspach ściągali gałęzie wyciętych w lesie drzew i na wielkich gromadach je palili. Głęboki śnieg zabezpieczał od pożaru tajgi.

W łagrze nastąpiły zmiany. Naczelnika Kuimowa i wielu innych (funkcjonariuszy NKWD) zabrano na front. Miejsca jego zajął starszy brygadier Iwan Płotowicz Morozow. Umiał zaledwie pisać i czytać, ale za to mocno partyjny. Typowy ruski stupałka. Przed swoimi przełożonymi prężył się na baczność i starał się wszelkimi sposobami im się przypodobać. Gdy naczalstwo chwaliło go wobec zesłańców za dobrą robotę nie posiadał się z radości i przyrzekał na ogólnych zebraniach, że w każdej chwili gotów jest oddać życie za radziecką ojczyznę i ukochanego generalisimusa Stalina. Zostawasz naczelnikiem od razu zajął dwie izby po Kuimowie w budynku służbowym, bo dytyczas z żoną i pięciorgiem drobnych dzieci gnieździł się w jednej izbie rozwalającej się chaty nad rzeką. Robotnicy gospodarstwa łagrowego bali się go jak ognia. Za najmniejsze uchybienie z niejasną pajok i groził sądem wojennym za sabotaż. W obliczu zagrożenia naszej ojczyzny radzieckiej przez podłych Germanców - głosił - należy wszystkie zasoby poświęcić Czerwonej Armii. A tu na Sybirze musimy wapólnymi silami umacniać tyły naszego Związku Radzieckiego.

Teraz nie może być mowy o uchyłaniu się od wielkiego wysiłku pracy, zasłanianie się brakiem obuwi, ciepłej odzieży czy chorobą. Nikomu się nie uda, takich sabotażystów sam będę sprawdzał i surowo karał-groził.

Sybiracy opowiadali, że przez ubiegłe lata był odpowiedzialny za pracę więźniów na Niżnej przy wyrębie lasów i przygotowywaniu pól uprawnych. Po przesiedzeniu kagarzników pod wierzchnią Tawdę, Morozowa pozostawiona na miejscu do pilnowania pracy zesłanych tu Polaków. Z obwidą przejął absolutnej władzy w łagrze, wydał zarządzenie, że kartofle w stołówce można używać według normy tylko do zupy i to z kąpi-
nami, bez obierania, przez co unikanie się ich nadmiernej strawie. Mimo tego zarządzania i do tej pory zupa była tak rzadka, że nie zawsze dostawało się kartofel, liść kapusty czy kawałek rzepy, oczywiście bez odrobiny tłuszczu. Jedyną miarą kaszy jaglanej świadczyły o nazwie tej potrawy. Z kawałkiem własnego chleba był taki obiad, za który pracowano przy wyrębie lasu i wielkim gospodarstwie. Morozow pochodził z Ukrainy, gdzie w 1929 roku na rozkaz Stalina przymusowej kolektywizacji zginęło z głodu setki tysięcy ludzi. Jego rodzina też zginęła. Oboje rodzice, trzy siostry i dwaj młodszy bracia. Żył się upiwszy spirytusem. Sam uratował się dzięki temu, że ochotniczo wstąpił do milicji, a potem znalazł się w oddziałach NKWD w Sibiru. Na Niżnej ożenił się z córką komendanta łagru i pozostał jako starszy brygadier więźniów. Rozpoczęła się syberyjska zima. Od października mroź był tegi, wszystko zasypało śniegiem. Do tej pory już dość dobrze realizem sobie w kuźni. Kowale często dawali mi do wykonania różne odpowiedzialne roboty. Ciężkim młotem mniej biłem, a po godzinach pracy pozwalano samemu majsterkować. Z dużym

zadowolaniem naprawiałem garnki Sybirakom, wyrabiałem noże kuchenne i składane, szczyrki na wzór, jakie wykonywali moi sąsiadowie. .

Pewnego razu wykonałem zamówienie Sybiraczki o chaty nać bręką. Zakończyłem dwie laty w garnku czuchuną i wykonaniem duży stalowy nóż do skoblenia podłóg. Otrzymałem za to trzydzieści pięć sztuk kartofli średniej wielkości i dwa litry mleka. Ze względu na małe dzieci mleko sibiaraża Stachna przez catary dni po pół litra. Uradowana Stachna chcąc urozmaicić nasze życie wzięła kilka kartofli na tarce zrobionej przez mnie w kuźni i po odjęciu wody zrobiła kluseczki. Po ugotowaniu, zabielona mlekiem bardzo nam smakowały, a szczególnie Eli, która zjadając mówiła: "Młuska, te kluseczki są takie dobre, jutro znowu ugotuj takich. A tej zupy ze stołówki, to już jaść nie będą". Patrząc na zadowoloną Elę przypomniały mi się dzieci Morozowa.

Kilkanaście kroków od naszego baraku stał budynek z okrągłaków, w którym mieskał z rodziną. Codziennie przechodząc do kuźni koło tego budynku widziałem przez okna bez firanek jego dwa pokoje. Nie widać było żadnych mebli; stały jedynie stare, duże prycze przykryte łachami, stół na krzyżakach, parę ław i to wszystko. Na pryczach siedziało pięcioro dzieci; najstarsze może było około dziesięciu lat. Wszystkie bose, bez należytego ubrania i na pewno głodne. Ojciec stale biegał po łęgrze i ukreplał był Związku Radzieckiego, a matka pracowała na fermie zwierzęcej, gdzie najczęściej wносиła widkami gnój na wielką przysmę. Kiedy tak zjadaliśmy te kluseczki, powiedziałem do Stachny: "Dzisz co Stachna, te dzieci Morozowa siedzą głodne na pryczy same, nikt ich nie pilnuje - zaniesć im trochę naszego przysnaku, może uśmiechną się, jak nasza Ela". Po

paru minutach Stachna była z powrotem. Opowiedziała z jaką radością rzuciły się do drewnianej miski, gdzie im włożyła te kluski kartoflane. I o tym zapomnieliśmy. Po dwóch dniach zostało zwołane zebranie do obszernego baraku wszystkich robotników łagru Rosjan i zesłanych Polaków. Jak zwykle mowę miał naczelnik. Długo opowiadał o bohaterstwie Czerwonej Armii, o mądrości wielkiego generałsimusa Stalina, który potrafił zatrzymać podłych germańców pod Moskwą, gdzie nas pewno zostaną pobici i kraj zostanie oswobodzony. Do tego jednak potrzebny jest wysiłek całego narodu. Tego wymaga od nas nasza partia i jej włochany Stalin. Następnie zaczął wyliczać osiągnięcia w naszym gospodarstwie łagrowym, które także ma obowiązek dostarczyć Krasnej Armii mięsa z fermy zwierzęcej, a z pola kartofli i rzepy. Nasze rebiata, bojcy muszą jeść - krzychał - żeby mieli siłę gromić okrutnych faszystów - groził pięścią. Ale czy wszyscy z was pracują szczerze i wydajnie? - zapytał. Wielu zastania się brakiem obuwia, ciepłego ubrania, chorobami. My wiemy, że to wszystko wykręty; dla prawdziwego patrioty nie ma żadnych przeszkód służenia naszemu generałsimusowi (Wisarianowiczowi Stalinowi). Do braku wydajnej pracy dochodzą sabotownie wydajnych zarządzeń i będziemy mieli obraz patriotyzmu tu w naszym łagrowym charakterze. O tym najlepiej świadczą postępowanie silnego Polaka Kozłowskiego. Wy wiecie do czego on się dopuścił? Słyszając te słowa - zdębiałem. "Czego u diabła on chce ode mnie? - pomyślałem. Wszyscy zaczęli spoglądać w jego stronę pod okno, gdzie siedziałem wśród Polaków wystraszonych. Przecież pracuję w kuchni dobrze i nikt na mnie się nie skarżył. Naczelnik podniósł rękę do góry i ścisłym głosem mówił: "On, znajecie rebiata zderł kartofle na blaszanej tarce

i z żonką strapali małe lepieszki , małe tego , żeby pokazać , co potrafią, jego żonka przyniosła tych lepieszek moim rebiatiskom . Prawda, to było wkusne , ale podumajcie tylko skokko on karoski isportik czyli zmarnował? Zapytał rozglądając się po wszystkich: "Czy to nie groźny sabotaż? A ja przykazał uprawiać kartoszki tylko do zupy i zawsze z łupinami, dla oszczędności naszego wyżywienia, bo głód jest gorszy od najcięższej roboty" dodał kiwając głową. Po chwili wskazał na mnie palcem i powiedział: "Zapamiętajcie Kaszowski , u nas prędko zapomnicie o swoich burżuazyjnych nawyckach". Morozow nie lubił Polaków. Będąc brygadierem zawsze nas skarżył przed naczelnikiem Kuimowem, twierdził, że źle pracujemy, nie wyrabiamy przydzielonej normy i wszyscy Polacy to są darmozjady. Za dużo dostają chleba radzieckiego, trzeba ich wziąć wszystkich za mordę—kończył usasadnienie swojej nienawiści. Spodziewaliśmy się teraz wszystkiego najgorszego.

Tymczasem nadeszły święta Bożego Narodzenia. Na obcej ziemi daleko od Polski. Wigilię urządziliśmy wspólną na środku baraku przy piecu żelaznym. Koło słupa podtrzymującego dach postawiliśmy sosenkę z tejgi. Zamiast srebrnych i złotych nici ubrana była szarowato ze starej kufajki. Małe dzieci Kostrów i Majewskich tańczyły wokół drzewka i opowiadały, jakie to piękne bombki i zabawki z cukierkami wisiąły na ich choinkach w Polsce. Pięcioletni Wacek Perkowski zakasował wszystkich, kiedy oświadczył: "a na naszej choince to był Żyd z dużą brodą", a ciśtka jak prawdziwe ryby i nawet żółty ptaszek siedział na gałęzi". Pozostałe dzieci przerywały opowiadanie i wykrzykiwały nawzajem, co u nich jeszcze było na choince. A nasza choinka nie miała żadnego świecidełka. Jedynie z boku zamiast gwiazdy wisiąca kopczą lampa z pamiętym szkłem kalepionym

kawałkiem gazety z napisem "Prawda". Jedenaście rodzin i kilku samotnych weseńców związanych wspólną niedolą rozsiadło się na przyczach wokół drzewka. Najbardziej aktywne panie Kostrowa, Dziamianowa, Kamińska rozdzielają między wszystkich po kawałku chleba, zamiast tradycyjnego opłatka. Spożyliśmy go w milczeniu, a potem życzyliśmy sobie wzajemnie tylko powrotu do Polski. Naszym wspólnym przyjęciem wigilijnym była czarna kawa bez cukru, z pośladu jęczmienia spalonego na patelni. I zaoszczędzony oczywiście od paru dni chleb. Mimo brakujących tradycyjnych dań wytworzył się nastrój przyjemny, uśmiechano się serdecznie, a nawet żartowano opowiadając zabawne i smutne sceny podczas pracy w tajdze, kiedy kobiety ubrane jak kukły, przepasane sznurami giętko zaszypane w śniegu i bezwładne trzeba było ciągnąć do ogniska, żeby odgrzały. W baraku zrobiło się duszno, chociaż za pojedynczymi oknami był wielki mroź i szalejąca zima. Para unosiła się kłębamii z gorącej kawy i od osób rozgrzanych przy rozgrzanym piecu. Istasio Nieryjski, Kazik Majewski i Honiek Dajemian zruszili fufajki i tylko w koczulach stanęli przy choźnce. Do nich podszedł pan Saubada jako dyrygent i donośnym głosem zaintonował kolędę "wśród nocnej ciszy". Wszyscy śpiewali i zdawali się, że w tej chwili jesteśmy w błogiej stajance zagubieni w bezkresnej pustyni, ale przy małym dźwięczniku. Kiedy nasz organizmista rozpoczął nową kolędę "Bóg się rodzi" miły i swobodny nastrój zakłamał się. Ludzie zaczęli szlochać, a wiele kobiet głośnie płakać. Ni śpiewano więcej.

Parę godzin przesiadzieliśmy rozpaniętując nasze przeżycia. Snuliśmy przypuszczenia, jak potoczą się losy wojny i co nas jeszcze może tutaj spotkać.

Na pierwszy dzień świąt nikt nie wyszedł do roboty. Z sa-

niego rana wpaść do baraku naczelnik Morozow z dwoma strażnikami rozkazując wszystkim natychmiast udać się do wyznaczonych robót. Ale nikt nie ruszył się z miejsca. Wszyscy siedzieli na swoich pryczach przy dymiących piecach całkowicie obojętni na wszystko, co się wokół dzieje. Najbardziej wygadana z kobiet Maria Grzybowska wprost mu oświadczyła: "Grażdanin naczelnik, dzisiaj u Polaków jest wielkie święto i do roboty nikt nie pójdzie. Nie jesteśmy Żydami" - dodała. Majewski próbował odezwać się i zaczął: "Towarzyszu naczelniku może później odpracujemy ten dzień?" Ale wściekły Morozow przerwał mu: "Ja już wam wiele razy przekazywałem, że dla was ja nie jestem towarzyszem, jesteście wrogami Związku Radzieckiego i do mnie wolno wam tylko zwracać się - Grażdanina naczelnik." Zaczął nerwowo obrywać z wąsów sople lodu i straszyl pozabawieniem przydziału chleba oraz karnym raportem do naczelnictwa Szewurałagu w Wierchniej Tawdzie. Ale i to nic nie pomogło. Ludzie jak manekiny owinięci w najcieplejsze kołuchy i sukmany siedzieli nadal nieruchomo. Naczelnik Morozow roztrzęsionym głosem zwrócił się bezpośrednio do mnie: "Ja wam rozkazuję Kazłowski w tej chwili pójść do roboty do kuźni, dajcie przykład tym niezdyscyplinowanym lentiajom". Odpowiedziałem spokojnie: "Nie jestem gorszym Polakiem od innych i nasze wielkie święto muszę uszanować". Widząc zdecydowany opór wszystkich pogroził mi i wyszedł ze strażnikami.

Na drugi dzień świąt pracowaliśmy normalnie, ale zaraz po pracy zwołano ogólne zebranie wszystkich pracowników gospodarstwa. Naczelnik Morozow długo rozwodził się o obowiązkach patriotów radzieckich, o konieczności wytężonej pracy, dzięki czemu naszą niezwykłą armia pokona faszystowski wroga. Z całą mocą podkreślił, że radzieccy ludzie muszą ukraplać tył.

I wszystko poświęcić dla armii i jej ukochanego wodza Stalina. Następnie zaczęli wyliczać, jakicito przestępstw dopuszczają się tutejsi zaskani Polacy. Nie tylko źle pracują, ale urządzają sobie święta i sabotują zarządzenia władzy radzieckiej. Nie chcą zrozumieć, że państwo nasze karmi ich chlebem sobie od ust odejmując w chwili ciężkich zmagania z podżyma germaniem. Przynależą wam, buntownicy, zostaną surowo ukarani - z naciskiem podkreślił. Zarządzenie już wydane. Za wczorajszy sabotaż wszyscy Polacy nie dostaną przez trzy dni chleba. Jeśli to nie pomoże i dalej będą postępować jak wrogowie narodu radzieckiego, ich przywódców przeniesiemy z Niżnej Krystani do Szimuroka-gu o obostrzonym rygorze. Ciarki mnie przeszły po plecach, bo wiedziałem, że w pierwszym rządzie mnie to dotyczyło. Boże - pomyślałem - co zrobi Stachna chorowita z tymi małymi dziećmi, gdy mnie zabiorą.

Mimo żalu z powodu niezasłużonej kary nasi ludzie bez chleba pracowali w szepach i na mrozie. W tym czasie pilnie czytałem gazety sowieckie i z "Prawdy" dowiedziałem się o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między rządem polskim Władysława Sikorskiego w Londynie a rządem radzieckim. Wiedziałem też o utworzeniu w Kujbyszewie polskiej ambasady, gdzie ambasadorem został znany polski uczonej prof. Stanisław Kot. Jego "Historia wychowawcza" była podręcznikiem w seminariach nauczycielskich w Polsce. I ja z niej też się uczyłem. Byłem bardziej obeznany w bieżących sprawach i wydarzeniach na świecie od reszty Polaków i dlatego mogłem wszystkim podtrzymać na duchu. Wierzyliśmy, że rząd polski o nas nie zapomni i byliśmy iskierką nadziei na lepsze. Napisałem skargę do generalnego prokuratora Związku Radzieckiego Andrzeja Wycańskiego, o złym traktowaniu i prześladowaniu Polaków w łagrze na Niżniej

Prisłani. Skoro nie otrzymałem odpowiedzi przez długi czas, napisałem podobne pismo do Stalina. Byłem przekonany, że władze naczelne Moskwy nie wiedzą o naszym trudnym położeniu na Niżnie. I wkrótce ukrucą samowolę takich kacyków jak Iwan Morozow. Obydwie przesyłki w wielkiej tajemnicy nadałem na pocztę

Nadał na pocztę za rzeką Sybirak Jarmołów/w Antropowej/.

I przyniósł mi pokwitowanie z poczty, a za przysługę tę zrobiłem mu później w kuźni nóż do skoblenia podłóg.

Pod koniec stycznia zostałem wezwany do biura, gdzie naczelnik Morozow oświadczył z uśmiechem, że otrzymał telefon od naczelnika rajonu Niżnaja Tawda - samego majora Gubienki, który polecił, abym osobiście do niego się zgłosił, bo ma dla mnie ważne wiadomości. Na zakończenie powiedział krótko: "Jutro dostaniecie siana i utartym korytem rzeki pojedziecie do wojonu". W pierwszej chwili urodawałem się. Byłem przekonany, że jakiś odpowiedź jest od prokuratora lub Stalina, a może też są jakieś wiadomości z ambasady polskiej. Tak rozmyślając pobiegłem do Stachny ze swoimi przypuszczeniami. Stachna wysłuchiwała moich wywodów i odrzekła: "Coś mi się tu nie podoba, zrozum tylko Wiktorze, przecież każdą wiadomość mogli przekazać telefonicznie, bez potrzeby pędzenia koni przeszło 150 kilometrów w obie strony." Uparcie podejrzewała jakąś zasadzkę. Ja jednak byłem dobrej myśli i uważałem swoją obecność u naczelnika NKWD za konieczną, chociażby z tego powodu, że może będę musiał odebrać osobiście jakieś dokumenty, a może trzeba coś pokwitować. Wszystko możliwe - dowodziłem. Chwytałem się każdej nasuwającej się myśli na moją korzyść.

Skoro świt ucałowałem obydwie śpiące dziewczynki, pożegnałem się ze zmartwioną Stachną, z resztą współtowarzyszy z

baraku i pojechałem zamrażającym korytem rzeki na północ do Tawdy. Raz tylko popasałem konia w przybrzeżnej osadzie Jar mołowce; sam też sjadłem kawałek chleba i popiłem herbatą ziołową z bułki. W ciągu jazdy ciągle myślałem, co mnie może spotkać w tej bezkresnej przestrzeni? wszędzie było białe. Po prawej stronie traktu wznosiła się wysoka ściana skarpy rzecznej, a po lewej płaska, niekończąca się biał. Wijały lasy tajgi nad rzeką, teraz zasypane śniegiem urozmaicały monotony krajobraz. Po wieczór przyjechałem na miejsce. Zatrzymałem się na obszernym rynku, wokół którego stały domy różnej wielkości budowane z okrągłaków i kryte szesnastymi deskami. Dwie stare Sybiraczki wskazały drogę do urzędu rejonowego. We wskazanym kierunku zauważyłem cały kompleks drewnianych, wysokich budynków otoczonych ogrodzeniem z grubych okrągłaków. Tablice umieszczone wysoko na frontowym budynku wskazywały siedzibę władz rejonu Niżnaja Tawda, komendę NKWD i milicję. W głębi widoczne były inne budynki podobne do więzienia. Sanie z koniem zastawilem na brzozi szerokiej ulicy całkowicie zasypanej śniegiem, a sam odjechałem szeroko oczyszczonym ze śniegu podjazdem do stajni w budce. "Здравствуйте - przywitałem go - proszę powiedzieć mi, o której godzinie mogę zastać naczelnika Gubienkę? Jestem z Niżnej Pristanii" - powiedziałem. "Знаю, знаю - odpowiedział - czekamy na was. Był telefon z Pristanii, że jesteście w drodze." Otworzył bramę i pozwolił wjechać na obszerny dziedzielniec między budynkami. Konia wyprzągłem, nakryłem wiatrową berką, dałem mu sieno i zapytałem, gdzie tu można przenocować? Zdziwiony długo patrzył na mnie i skinął, abym szedł za nim. Zaprowadził mnie do dużego pokoju wyglądającego na poczekalnię i powiedział: "Tu вам казано czekać", możecie spać na ławie przy tym ciepłym piecu,

a ustępy są za budką strażniczą- uśmiechnęło się. Ważnym konikiem
sajmnia się teraz koniach milicji, o niego się nie martwie-po-
informował mnie i wyszedł. Poprawne zachowanie strażnika napoi-
niło nadzieję na dobre spotkanie z maczelnikiem NKWD. Zjadłem
przeznaczony na kolację chleb, popiłem zimną wodą z kranu przy
piecu i zwinąwszy się w kłębek zasnąłem na twardej ławie z
ręką pod głowę. Rano obudziła mnie stara Sybiraczka, która przy-
szła zamiatać pokoje biurowe. Kiedy wyszedłem na podwórko, konia
z saniami już nie było, a przy budce stał inny strażnik. Zegarka
nie miałem i czas mi się nie dłużył. Śniadanie także nie zajęło
mi wiele czasu, bo był tylko chleb z wodą, podobnie jak na kolację.
Najpierw zjawiły się do pracy trzy młode kobiety/widocznie sekre-
tarki/. Były w bluzach jak milicjantki. Niedługo cały budynek
zapełnił się urzędnikami w większości w mundurach z orderami
i dużymi pistoletami w kaburach na pasach. Nikt na mnie nie
wracał uwagi. Siedziałem przy piecu i pilnie wypatrywałem,
kiedy wejdzie do budynku naczelnik. Dobrze go zapamiętałem od
pierwszego spotkania w Tiumeniu na przystani rzecznej- wtedy
ogłaszał nam wyrok dwudziestoletniego zesłania do jego
rejonu. Po pewnym czasie podszła do mnie milicjantka i kaza-
ła iść za sobą. Przeszliśmy schodami na piętro .W dużym po-
mieszczeniu z kilkoma wojskowymi za stołami zauważyłem
otwarte drzwi do drugiego pokoju, gdzie za biurkiem siedział
sam Gubienko. Z orderami na całej pierwi wyglądał jak gene-
rał, chociaż był major. Kazał mi usiąść obok biurka na sto-
jącym taborecie i odpowiedzieć jak Polacy na Niżnej włączyli
się do pracy w umacnianiu wielkiego frontu ojczyźnianego.
Odpowiedziałem mu z troską: "Grażdanin naczelnik, wacie na-
szych ludzi, jacy są biedni, ciężko pracują na mrozie i w za-
spach, a do tego bez ciepłych walonek na nogi, bez fufajek

ale mimo to starały się jak możemy". Spodziewała się paru słów pociechy". A tymczasem naczelnik NKWD uderzył pięścią w blat biurka i wrzasnął: "Dość wydlania oczu, ja wiem, jak wy tam pracujecie, wam marzy się burżuazyjna Polska! I tu próbujecie bunt podnosić, naszych radzieckich obywateli podjudzacie i pokanujecie im, jak umiecie świętowsć!" Spatrując się na mnie krzyczał: "Twierdzicie, że wam u nas krzywdę nie zrobili w Związku Radzieckim? I wypisujecie kłębstwa i oświadczenia do władz centralnych w Moskwie, a nawet do samego pana Stalina. A wiecie, gdzie te wasze pisydła? Tu, u mnie w koozu" i wskazał palcem na drewniany kooz w kącie. "Myślicie, że uda się wam rozwalić nasz ład i porządek w łagrze i będziecie robić, co się wam podoba? Tu my rządzymy" - stuknął pięścią w biurko - i za brak dyscypliny, podjudzanie do buntu będziemy surowo karać".

Chciałem się usprawiedliwić, ale wasechwiłony naczelnik nacisnął guzik kolo kałamarza z atramentem i w tej chwili weszło dwóch funkcjonariuszy NKWD. Gubienko skłonił głowę, na mnie powiedział jedno słowo: "Lubrad".

Kazali mi iść ze sobą. Wyszliśmy innymi drzwiami od wrot na korytarz i zeszliśmy na bardzo azoocki dziedziniec ogrodzony wysoką ścianą z grubych okrągłych. Na tym placu była widoczna brama z budką strażniczą i furtka. Przez ponownie no mnie koło strażnika na nowy plac ogrodzony wysokim płotem z grubych słupów, obciążonych druznami kolczastymi. Nie trzeba było wielkiego domysłu, że znalazłem się w więzieniu. W obzernym pokoju z szafami przekazano mi trzech innych funkcjonariuszom, a moi opiekunowie odeszli. Jeden z NKWD-dziestów kazał mi opisać wszystkie łóżeczka i rzeczy położone na stół. Inny przygotował kwestionariusz i prętki do pisania. Po opóźnieniu kieszani ten sam osobnik sprawnie mnie

obmacał od kolaniska do stóp i polecił oddać pasek na spodni i sanurowadła od butów. Spisano moje personalia, wzięto odciski palców obu rąk i moje rzeczy wpisano na protokół: dwie chusteczki do nosa, se, seryk składany, pusta butelka, zapalnik, igła z nicią, pasek, dwa sanurowadła i jeden guzik. Odcięto mi go w ostatniej chwili, żeby spokojnie lubno spaść w ranie próbowania ucieczki. Jedynie spory kawałek chleba pozwolili zostawić przy sobie. Po takim nabiegu trzeci funkcjonariusz wyprowadził mnie na korytarz i tym jakby pаса-żem znalazliśmy się w budynku z oknami zakratowanymi. Brodkiem prowadził korytarz, a po obu stronach widać było długi szereg zamkniętych drzwi z judasami. Trzeci po lewej stronie mój opiekun otworzył dwoma kluczami i polecił mi wejść do środka. Drzwi zostały za mną zamknięte - znalazłem się w celi.

W półmroku zauważyłem kilkanaście prycz, w tym siedem były zajęte. Leżeli na nich, na gołych deskach bez koców obrośnięci osobnicy. Przywitałem ich rosyjskim pozdrowieniem: "Zdrastwujcie" - i usiadłem na wolnej pryzy po przeciwnej stronie pieca pobielonego wapnem. Ordynarnie wyglądający drab przy piecu kazał mi opowiedzieć "podrobno" czyli dokładnie - skąd jestem i za co popadłem? Nie chciałem wrażeń do siebie nowych towarzyszy i przedstawiłem im dokładnie mój przyjazd do naczelnika NKWD w Tawdrie. Wszyscy zaśmiewali się długi czas, aż pryca trzaszczała, kiedy w nie tłu-kli nogami z uciechy. "No, gadujecie bratcy - jeden z kąta wołał - jacy ci Polacy są durnie, sami zgłaszają się do więzienia i wierzą pięknym słówkom NKWD. Powiedz bracie, to ty chyba w Polsce nie siedziałeś w tiumie?" - indagował mnie mocno zdziwiony. "U nas nie zamykali ludzi w więzieniach,

wszyscy byli wolni"- odpowiedziałem. Kilku podszło do mojej pryczy, oglądali mnie kładąc głowy. Rozmawiali między sobą na mój temat. Współczuli Polakom wywiezionym na Sybir. "Szkoda was- mówił sąsiad z prawej strony- ale władza radziecka już was nie wypuści ze swoich łap, przyzwyczaicie się do najgorszego i pokochacie Związek Radziecki". Bojce spod pieca dodał: "Słuchaj Polak, w myśl więziennego regulaminu powinieneś przez trzy dni wynosić kibel, boś nowy w naszej celi. Ponieważ jesteś pierwszy raz w turmie na Sybirze- awalniamy cię z tego obowiązku i będzie normalna kolejka, aż przyjdzie nowy więzień". Podziękowałem brodaczom za dobre przyjęcie do swego grona i zapewniłem, że zawsze będę pamiętał rosyjskich towarzyszy w sowieckim więzieniu. Jeszcze pod wieczór zjawił się nowy współlokator naszej celi, a w ciągu tygodnia mieliśmy pełny komplet. Wszystkie prycze były zajęte. Już po paru dniach byłem ze wszystkimi w celi jak stary znajomy. Dyskutowaliśmy na różne tematy i usłyszałem tak ciekawe kawały, jakich nigdy w życiu nie mógłbym nawet sobie wyobrazić.

Czas przechodził nieubłagalnie na wolności jak i w celi więziennej. Zdążyłem w kolejce wiele razy kibel wynosić do jamy przy ogrodzeniu i parokrotnie chodziłem z innymi więźniami pod eskortą strażników na wycieczkę do stoczni przy fabryce suchej destylacji drewna, oddalonej o dwa kilometry od więzienia. Mijani Sybiracy na zaśnieżonej ulicy obojętnie ustępowali nam z drogi, bo był to widok odzieni. Jedynie po ilości noszonych wiader z zupą i kawą przez więźniów w celi orientować się, ilu kuracjuszy przebywa pod opieką NKWD. Mni towarzysze byli już osądzeni i czekali na transport do łagrów na daleki wschód. Kilku miało najniższy wymiar od 5-ciu do 10-ciu lat za kradzieże zboża w kolchozach lub

innej żywności z magazynów i sklepów państwowych; pozostali zarobili dużo więcej do odsiadki.

Czas służył się okropnie. Mogłem rozmyślać do woli. Wyobrażałem sobie wystraszone miny Polaków na Niżnej Pristanii, jak pracują w tajdze zbierając się w grupki dyskutując o moim aresztowaniu. Myślałem o Morozowie bez żadnej włości. Po prostu starałem się zrozumieć motywy, dlaczego jest taki sły?mściwy? Mam na pięcioro drobnych dzieci, wszyscy siedzą na pryczy dosłownie boso i nagie, wcale nie wychodzą z domu. W Polsce nawet dzieci biednych ludzi bażyły się na sankach i jeździły na łyżwach, a jego dzieci na twardym wyrku. Kiedy podrosną też chyba będą siedzieć, ale w więzieniu, bo w domu nikt się nimi nie zajmuje. Matka pracuje na farmie bydłowej, a ojciec jest bezrusznym, sprężynowym robotem NK D i sowieckiej partii. Może dlatego też nie go nie obchodzi, że wycieńczona Stachna niechybnie zginie bez mnie ze swoimi małątkimi dziećmi i to jeszcze jedno przy pierśi. W rzeczywistości nic złego mi nie zrobiłem, a jednak za to święto Bożego Narodzenia mści się i prześladowuje wszystkich Polaków. Przypomniał mi się policjant z "Wędzników" W. Hugo - Ławert, który z ogromną nienawiścią tropił Żana-Żelżana, i i nasz Morozow pewnie jest tym samym typem. I kiedyś może się opamięta, ale będzie za późno.

Leżąc na gołych deskach pryczy ciągle przychodziły przed oczy nasze małe dziewczynki. Bawiłem się z nimi jak we śnie, a matka krzątała się po naszym pokoiku i nawet z nią rozmawiałem na głos. W dzień myśli klębiły się, a w nocy niemilobiernie cięły płaską. Cały byłem w bąblach i piasach od rozgniecionych owadów. Pryczne zrobione z desek fugowanych z tej samej serii co krycia dachów, idealnie nadawały się do hadowli pluskiem. We wszystkich rowkach i wnękach jedna przy drugiej

siedziały przyczajone w ciemno brązowych mundurach w każdej chwili gotowe do ataku. Dla odprężenia całymi dniami urządzałem wyścigi największych pluskiew-samych dowódców. Ustawiałem w rowku gryczy po trzy sztuki i małe kawałki drzazgi odłupanej z deski zmuszałem je do biegu. Jedną taką zawodniczkę, wyjątkowo długą, chyba samego generała, nasnaçałem wapnem z pieca i przetrzymałem trzy dni. Za każdym razem pierwsza przybiegała do sęty. Wiosną 1945 roku przesłałem do mojej kolonii, silnie przesłałem na inną przesyłkę, gdzie niewątpliwie objęła macierne dowództwo.

Zaczął się przesłuchanie. Pod eskortą stróżnika wyprowadzono mnie do oddzielnego budynku, gdzie oficer z protokolantem prowadzili dochodzenie. Określano mnie o bunt, rozpowszechnianie propagandy, podburzanie radzieckich obywateli, zachęcanie ich do urządzania świąt i poświęcanie zaufania do Związku Radzieckiego. Za każdym razem wrawiano mi, że przewinienia moje są wielkie i grozi mi długoletni lagier o obciążonym rygorze. Jeśli jednak przyznam się do winy i okażę skruchę, odważę się to pod uwagę i wymierz mi łagodny wyrok kary. Do czego miałem się przyznać? - pytałem sam siebie. I za każdym razem stanowczo wszystkim zaprzeczałem. Nie przewidziałem to jednak oficerom NKWD, by następnym razem stawiać te same zarzuty i zmuszają do przyznania się do winy. Po paru tygodniach sporządzono akt oskarżenia, ale o terminie rozprawy nie mi nie powiedziano. Siedziałem dalej. Jenożem kibol w kolejce i wiele razy naszczerwiałem ze skądś w tym czasie przynieść po zupę i kawę do fabrycznej stołówki. Jedynie chleb raz dziennie dostawaliśmy na miejscu. Jednego dnia przy tej okazji wyprowadzono mnie z celi. Sądziłem, że znów będzie przesłuchanie, ale dwój ustrańców wyprowadzili mnie

za bramę i znaleźliamy się na szerokiej asfaltowej ulicy. Swobodnie przechodziłem jezdnię, a ubrojeni strażnicy ze mną. Wujani przeobrażeni nie zwracali na mnie żadnej uwagi. Strażnicy pod strażą eskorty byli normalnym zjawiskiem. Dość daleko od więzienia zobaczyłem na dużym budynku tablicę wskazującą: "Sąd Rejonowy w Niżnej Tawdzie". Tu mnie wprowadzono. Ku mojemu największemu zaskoczeniu przed wejściem sądu na śniegu, moją tatara Stachna. Sądziłem że jestem chory i sam przywiodłem. Dobrze się obrząsałem, przetrząsałem zasaronione oczy i nie wylikałem się. To była ona. Podjeżdżać bliżej nie pozwolono. Przejawialię się tylko ręką. Nie wolno jej było wejść na salę rozpraw, a o terminie mojej rozprawy wiedzieli Polacy na Niżnej Pristanii od samego Morozowa, który nie krył swego zadowolenia z mojego aresztowania i wytoczenia mi procesu dając tym przykład, że władza radziecka podobnie postąpi z każdym, kto nie podporządkuje się przepisom w łagrze. Zarządczona Stachna zostawiła dzieci pod opieką kobiet z baraku i z trudem uprosiła naczelnika, by ją zabrał ze sobą na rozprawę, gdzie zobaczy się ze mną i przekaże trochę zapaszczonej sucharów, bo była pewna, że spełnia się słowo Morozowa i do Pristanii już nie wrócę.

Do sali sądowej przy drzwiach zamkniętych znajdował się sędzia, prokurator i protokolant. Po jednej stronie stałem ja ze strażnikami jako oskarżony, a z drugiej jedyny świadek - naczelnik łagru w Niżnej Pristanii - Iwan Morozow. Sędzia odczytał akt oskarżenia i wezwał naczelnika do potwierdzenia stawianych mi zarzutów. "Wysoki Sądzie - zaczął Morozow - od chwili przywiezienia zesłanych Polaków do łagru na Niżną Pristan - Wiktor Kaszkowski ich jest przywódcą, którego słuchają. On jeden posiada wykształcenie i dobrze orientuje się w polityce. Żeby chciał pomóc sowieckiej władzy w okrapieniu tyłu, to mógł zachęcić swoich Po-

Isków do dobrej roboty w naszym gospodarstwie, a on tego nigdy nie zrobił. Na odwrót - twierdził zawsze, że im się krzywdzi dzisiaj. Wyski Sądzie, ludzie ci jedzą radziecki chleb, ale nie chcą pracować i wykręcają się brakiem ubrania, obuwi, a najczęściej symulują chorobę. Mało tego, oni urządają sobie różne święta na oczach całego łagru, wprowadzają rozprężenia i brak dyscypliny nawet wśród naszych ludzi radzieckich, do czego nie można dopuścić; wyski Sądzie - głosił dalej - kiedy Kozłowski nie ma na Fristani, to pozostali Polacy chodzą jak zegarki i nie mamy z nimi żadnego kłopotu. Uważam, że podstępny Kozłowski zasłużył na najwyższą karę i proszę o prawniejsze go do innego łagru Szewurołagu o obostrzonym rygorze, gdzie przestanie być groźnym buntownikiem."

Po naczelniku zabrał głos prokurator. Przemawiał tak samo wrogo. Zarzucał mu brak dyscypliny, nieposzanowanie władzy, podjudzanie obywateli radzieckich przeciw państwu i to w czasie, kiedy cały Związek Radziecki jest niezwykciężona jego Czeryona Armia walczy na wielkim froncie ojczyźnienym z faszystowskim wrogiem. Wina oskarżonego jest bezsprzeczna. Żądam zasłużonej kary 5-ciu lat łagru o obostrzonym rygorze - zakończył.

Sądzie zwrócił się do niego - co mam na swoją obronę?

"Wyski Sądzie - mówiłem - zarzuty mi stawiane są pozbawione jakiegokolwiek podstaw. Nikt z Polaków przywiezionych do Niżnej Fristani nie zgłaszał o żadnym buncie, bo jak mogli buntować się ludzie starzy i dzieci? Kilkeró z nich zmarło, a wiele jest ciężko chorych. Prawda, że stare kobiety we wspólnym baraku medliły się na Hoże Narodzenie, ale czy można je za to tak mocno potępić? Kiedy czyniły to przez całe życie i nikt im tego nie zabronił? Na drugi dzień bez żadnego oporu wszy-

szy poszli do lasu pracować i to bez chleba, bo naczelnik Morozow wszystko wstrzymał pajok, że na trzy dni i to nawet małym dzieciom. Prawdą jest, że ludzie ci nie mają ciepłych butów i ciepłego ubrania, bo ich zabrano niespodziewanie w środku lata, mimo to jednak pracują. I nie są darmozjadami jak naczelnik Morozow twierdzi. Jeżeli chodzi o mnie, to sam naczelnik tutaj obecny musi przyznać, że dobrze pracuję w kuzni, nie ma na mnie żadnych skarg, kowale są ze mnie zadowoleni, powierzają mi odpowiedzialne prace do wykonania, a i przecież sam naczelnik Morozow nigdy nie czynił mi żadnych uwag odnośnie dyscypliny mojej pracy. Nie mogę pojąć - dodatek, dlaczego naczelnik Morozow osuje do mnie taką nienawiść? chociaż nic złego mu nie zrobiłem? Nie dobrze, że moja chora żona z dwójgim małych dzieci /i do tego jedno karmiące/ zginie bez mnie. Naczelnik Morozow nie ma serca i domaga się dla mnie niezasłużonej kary. Na zakończenie oświadczam, że stawiane mi zarzuty są nieprawdziwe i proszę o uniewinnienie". Przez pewien czas sędzia pisał, trwała cisza, potem oświadczył, że sąd udaje się na naradę.

Po piętnastu minutach ta sama trójka weszła z powrotem za stół i sędzia odczytał wyrok, "Wiktor Karłowicz Kosłowski przebywający na zesłaniu z grupą Polaków w gospodarstwie Sziwurołagu na Niżnej Pristanii Omskiej Obłasti zostaje skazany na jeden rok przymusowych robót w tym samym gospodarstwie na Niżnej Pristanii. Odpowiednie prace będą mu wyznaczone przez naczelnika łagru. W wypadku złego wykonywania przydzielonej pracy Wiktor Kosłowski Karłowicz zostanie przeniesiony do innego łagru o obostrzonym rygorze. Uzasadnienie wyroku znajduje się w protokole rozprawy".

Po odczytaniu wyroku sędzia zwrócił się do naczelnika

Morozowa z poleceniem odwiezienia mnie na Niżną Przystań i przydzielanie mi odpowiedniej roboty. Ucieszyłem się, że przynajmniej na krótko wrócę do Stachny i dzieci, a temu draniowi nie udało się wsadzić mnie do innego łagru. Morozow nie potrafił ukryć swojej wściekłości.

Odebranie depozytu z więzienia nie zabrało mi dużo czasu i z radością mogłem rozmawiać ze Stachną o dzieciach, na spacerach bliskich z baraku i o tym, że niespodziewanie snów jestem ze sobą. Cieszyłem się, jakbym coś wielkiego zdobył, a tymczasem nadal pozostałem pozbawiony wolności i własnej woli, bo w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Byliśmy ciągle więźniami chociaż nie zamknięci w celi. W takim nastroju podjeżdżaliśmy oboje do wsi z koniem. Najwyśszy czas było wrócić na Niżną. Naczelnik gniewnie rozkazał mi: "Grażdanin Kazkowski natychmiast zaprzęgać konia". Byłem jednak wobec tego stupajki tak nastawiony bojowo po tym wyroku i bez zastanowienia się odpowiedziałem: "Sam zaprzęgać, chanie! Sądais kusał ci odwieźć mnie na Niżną. Ja zajmę się chorą Stanisławą Antonową i koń mnie nie obchodzi". Mój opiekun zupełnie stracił panowanie nad sobą. Bez sprzeciwu zabrał się do roboty. Usadwiłem Stachnę na tylnym siedzeniu, okryłem nogi futerkiem, usiadłem przy niej i czekałem, aż przeklinający naczelnik zaprzęgał konia i z batem usadził się na koźle.

Po drodze jedynie Stacha parę słów z nim zamieniła. Przejeżdżając siedemdziesiąt kilometrów przejechaliśmy nocą traktem raki. Tylko raz poprzestaliśmy w Jarmutowce. Ciągłe myślenie o jednym - jak najprędzej zobaczyć i ucałować obie dziewczynki pozostawione na opieczce obcych w baraku. Stachna nie znosiła długich jazdy na sankach, dostawała zawrotów głowy i nawet mdlała. Le po tyłu grzechociach drogę uniosła dzielnie. Cały

czas panowała nad sobą jako trzęskającego uroru. Po szczęśliwym powrocie do baraku, wszyscy cichyli się jakby to był ich najbliższym członkiem rodziny i opowiadaniem mia być końca. Każdy siebie stawiał w moim położeniu i nie mógł opanować swego przerażenia.

Niedługo potem, w pierwszych dniach marca, Polacy zostali wstrząśnięci tragedią, która dotknęła rodzinę Szubadów. Po nocnym stróżowaniu na farmie zwierzęcej (stary Kazimierz Szubada) wybrał się szneczkami otartym szlakiem, aż za rzeką do Sokółki, przeszła dwadzieścia kilometrów od naszego łagru, aby wymienić u kolchozników trochę kartofli za swoją marynarkę. Mróz dochodził do 30 stopni Celsjusza. W drodze powrotnej był już tylko parę kilometrów od swego baraku, kiedy dosięgła go biała śmierć. Odpoczywając na zamaranionych kartoflach, zasnął na zawsze. Znaleźli go Syhiracy i przywieźli na Nięgę. We trójkę: Niemyski Stanisław, Majewski Kazimierz i ja wykuliśmy w zamrażonej glinie dół, zbiliśmy trusnę i pochowali towarzysza tużaczka. Bardzo smutny był pogrzeb. Patrząc na rozpacz obłożnia chorej żony, pragnącej odprowadzić męża do mogiły. Za parę dni zmarła Szubadowa. We wspólnej mogile pochowaliśmy oboje. Krzyż z grubego okrągłaka wskazywał kres ich wędrówki. Samotna córka, Irena, była bezradna i całkowicie osamotniona. Prosiła bez przerwy o głęboki dół, aby wilki nie dostały się do mogiły.

Każdego dnia pilnie czytałem gazety i śledziłem wydanie na wojnie i świecie. Wiedziałem o organizowaniu polskiej armii przez gen. Wł. Andersa i o Polakach ewakuowanych z łagrów. Byłem przekonany, że z nami musi się coś stać. I nasz los się zmienił. Przed roztopami przyjechał na Nięgę Pristań naczelnik NKWD, Gubienko, z trzema oficerami. Wszyscy byli

w mundurach z wieloma orderami. Czuliśmy wszyscy, że w naszej sprawie. Na drugi dzień z rana wezwano Polaków do świetlicy, gdzie naczelnik Gubienko podał do wiadomości, że generałissimus Stalin okazał wielkooduszność wobec Polaków i podpisał dekret, mocą którego wszyscy resztki ludności otrzymają amnestię. Zaraz też każdemu dorosłemu wydano przygotowany dokument z okrągłą pieczęcią NKWD. Niedawno jeszcze tak groźny major podał mi rękę wobec wszystkich i uśmiechając się powiedział: "Wiktor Karłowicz nie bierzcie mocno do serca naszego spotkania w rejonie. Teraz razem będziemy bić Faszystów, aż wrócicie do swojej Polski".

Mogliśmy odtąd przebywać we wszystkich osadach, wsiach i posiadłościach Omskiej i Swierdłowskiej Obłasti, z wyjątkiem miast wydzielonych. Radość była niezmierną. Po wspólnej naradzie postanowiliśmy wszyscy wyjechać z ponurą przystanią za rękę do najbliższych kolchozów, gdzie było brak rąk do pracy. Tam mieliśmy czekać na powrót do Polski. Skoro tylko po roztopach wody trochę opadły, spora ilość Polaków znalazła pracę i mieszkanie w kolchozie numer czternaście uczastku, inni ulokowali się w dalszych kolchozach za ręką Tawdą. Po tygodniu i ja zawarłem umowę jako kowal w kolchozie "Czerwony Proletariat". Otrzymałem za Stachną duże, ciepłe mieszkanie w starym domu syberyjskim i wielką, rozbitą bramę - po dawniejszym kłaku. Po ziarnie, ciasnym baraku, mieszkanie to wydawało się pałacem. Stachna z bląd nie mogła się nacieszyć prawdziwym mieszkaniem, nawet matka Donka siedziała na malowanym łóżku Bybiraków i śmiała się, gdy starsza siostrzyca opowiadała jej, jak to będą bawiły się przed tym domem, na wielkim podwórku. Obydwie potrafiły porozumieć się doskonałe, co nas wprawiało w wielką radość. A nóżki były zupełnie

równa.

Kiedy na Niżnej załadowałem na sanie kołchoza nasze skromne rzeczy, podszedłem do naczelnika Iwana Morozowa podziękować za gościnę w Izgrye. Podziękowany naczelnik oświadczył mi: "Nie zapominajcie groźdani (Kankowscy), że za wami pozostała ostatni wasz cyroch i mac nadzieję, że rychło znówu spotkamy się w Izgrye. Związek Radziecki pamięta o swoich wrotach" - zakończył na pożegnanie. Na szczęście nie zobaczyłem go więcej. Dowiedziałem się później od Sybiraków, że poległ pod Stalingradem.

Pieszko przez tajgę i step.

Wczesną wiosną 1942 roku otrzymaliśmy amnestię. Niektórzy Polacy zdążyli jeszcze na saniech z znienawidzonego baraku na Niżnej. Pozostali poszli ich śladem skoro tylko wody opadły po rastopach. Wszyscy wyjechali do kołchozów za czakę Tawdę. W kołchozach brakowało ludzi do pracy, bo wszyscy mężczyźni w sile wieku zostali zabrani na front. Przybyłych Polaków chętnie zatrudniano i przydzielano dobre mieszkania. Ja także znalazłem zajęcie jako kowal w kuźni. Kołchoz ten o nazwie "Czerwony Proletariat" miał przeszło sześć tysięcy hektarów ziemi uprawnej rozrzuconej po różnych miejscach tajgi nieraz odległych od kołchozu od 20-tu do 30-tu i więcej kilometrów. Przedsiębiorca Foma Doroskin Borysowicz był inwalidą wojennym. Ucieszył się bardzo, kiedy podpisał umowę i stanąłem do pracy w kuźni. Od dwóch lat kołchoz nie miał kowala, bo zabrano go do wojska i zginął pod Stalingradem. W myśl umowy zapłatę za pracę miałem otrzymywać za przepracowane dniówki w postaci zboża /dwa kilogramy za każdy trudodzień/. Do roboty zabrałem się rzetelnie. W pier-

wszym rodzaju narzędzi kowalskie, a następnie z
młotobojcem Saska przystąpiliśmy do remontu inwentarza
kolchoznego. W ciągu niespełna dwóch miesięcy, zania wody
całkiem opadły, kolchoźnicy mieli naprawione troleje na
drewnianych osiach, plugi, brony, siewniki i wszystkie inne u-
rządzenia konieczne do pracy w polu. Dzięki temu "pasznia"
czyli uprawna pola były na czas zasiane i pełnomocnik rejonu
Wieleżony Umkiej Obłasti wyraził swoje uznanie przed-
siędatelowi za sprawną organizację kampanii siewnej. Pełno-
mocnik ten, ważny działacz rejonowego komitetu partii, nadzoro-
wał przebieg kampanii siewnej w kolchozie przez cały dwa ty-
godnie. Otrzymał izbę w budynku zarządu kolchozu, w której za-
kwaterował. Tu przeprowadzał kontrolę koligowości i odbywał
narady z przedsiębiorcą i zarządem kolchozu. Nie pozwolił
sobie na luksusy, ani na sprzątanie czy gotowanie. Wszystko wy-
konywał sam. Przyniósł ze sobą kociołek do gotowania kartofli.
W kolchozu codziennie wypisywano mu jeden litr mleka i je-
den kilogram kartofli. Do tego z Szelsowietu w Sokołowie co
trzeci dzień przywoził mu milicjant konno jego tradycyjny
pajek/po osiemset gramów chleba/. Takie było jego całkowite
wyżywianie. Wydawałoby się, że to skromne wymagania, ale wic-
lu kolchoźników z dziećmi nie widziału w tym czasie ani ka-
wka chleba, nie mówiąc już o codziennym mleku. Bo te kolcho-
źnicy, które miały krowy musiały w pierwszym rzędzie, pod groź-
bą utraty krowy, dostarczyć mleko państwu. Po prostu zbiera-
ne lądodę, osot, pszy młodych sosanek i z tego gotowano zupę.
Było dobrze, gdy dołożono sabeliś ją riekim. W kolchozu zabra-
no do armii wszystkich mężczyzn do pięćdziesięciu lat. Zo-
stało kilkunastu sparuchów i kobiety z dziećmi. Taka była si-
ła robocza kolchozu, którego areal ziemi ornaj przekraczał,

jak wspominałem, sześć tysięcy hektarów. Kobiety w ubraniach po węgach wykonywały bez ubezpieczenia ciężkie prace na polu i fermach, pozostawiając w domu dzieci głodne i bez opieki. Pełnomocnik partii widział to wszystko, kręcił głową, a mimo to zaganiał do wysiłku i jak najęzybszego ukończenia dzieł. Powoływał się na patriotyzm kolchoźników, na partię i ukochanego Stalina, który po rozgromieniu bryndytów faszystowskich, wrył wszystkim kolchoźnikom zapewni dużo chleba. Miało to pomagać. Kobiety ponuro spoglądały i wyśledziły o jednym, - jak swoją działkę przyzagrodową zasorać, zasiać trochę warzyw, kartofli, rzepy, bo to jedynie uratuje ich od głodu podczas długiej zimy. Do obietnic władzy byli przyzwyczajeni i wiedzieli, że to próżne gadanie propagandowe. Przed zakończeniem siewów w kolchozie nikt nie mógł otrzymać konia do zasolenia działki przyzagrodowej, a czas uciekał. Zaś wczesne zasianie na działce rekowało lepszy zbiór. Kobiety były zmęczone. Wieczorami, przed wschodem słońca kopały zapadłami, bo dniem każda musiała stawić się do pracy w swojej brygadzie. Tym bardziej, że pełnomocnik stale sam wszystkie kontrolował. Wtedy właśnie została wykryta afera w kolchozie, która poruszyła kolchoźników i władze partyjne w rejonie.

Bohaterem zajęcia był Iwan Bykow, lat ponad pięćdziesiąt, tęgi, zdrowy chłop, swoim wyglądem od razu rzucił się w oczy. Szeroki w barach, wielką głowę miał całkowicie obrońniętą. Spód baranej czapy wystąpiły włosy czarne, skręcone i na całej twarzy taka sama szorstwa broda. Widoczny był tylko nos i czerwony pszek ust oraz wyłupiaste, brązowe oczy między kępami ciemnych brwi. Robił wrażenie wodza czterdziestu rozbójników, brakowało mu tylko potężnej maczugi. Jego wygląd stawał się bardziej interesujący, zważywszy, że jego

zielona bluza, w której stałe chożał była obwieszona meda-
lami różnej wielkości. Mieszkał samotnie w wielkim domu na
końcu wsi, po zamordowanym kulaku w czasie rewolucji, a nocą
stróżował na fermach kolchoznych i przy magazynach zbożo-
wych. Z kolchoźnikami bliższych stosunków nie utrzymywał.
Jedynie gościł u siebie dwie samotne kolchoźnice, których
mężowie zginęli na froncie: Nataszę - lat trzydzięści - po Ki-
canowie i jej przyjaciółkę Wierę Gusiewą - lat trzydzięści
pięć. Wieczorami popijali u niego spirytus drzewny i pocie-
szali się wzajemnie. Tak opowiadała w tajemnicy ich sąsiadka
stara warwara. Twierdziła też, że do rewolucji Iwan Bykow
był parobkiem u kulaka Worobieja, który z żoną i córką Iwon-
ką mieszkał w tym starym domu zajmowanym teraz przez Bykova.
Podczas walk białogwardystów z czerwonymi Bykow próbował
zmusić starego Worobieja, aby mu oddał córkę za żonę, czemu
stanowczo odmówiła sama Iwonka. Rozwścieczony Bykow zarządził
oboje rodziców i to samo chciał uczynić z córką. Ta jednak
zdążyła uciec do tajgi. Była późna jesień, trafiła na gro-
dę wilków, które ją rozszarpały. Znalaziono tylko jej ubranie
i kości. Iwan Bykow uciekł wtedy do czerwonych. Podobno wal-
czył aż na granicy chińskiej i otrzymał dużo orderów. Brał
paru laty wrócił w rodzinne strony zupełnie zdrowy, postre-
dał tylko dwa palce u lewej ręki. Z początku przebywał w są-
siadnich kolchozach i wreszcie zamieszkał w pustym domu
włego dawnego pana i ofiary Worobieja. Nikt nie przypuszczał,
że pełnomocnik partii zakończony kampanią sielną w kolcho-
zie i zarabem historię Iwana Bykova. Zmęczony pełnomocnik
skłóceniem po polach między lasami tajgi, gdzie komury klu-
ty niewielosiernie, postanowił wypocząć na kwaterze i zna-
lazł się na spacerze późnej między domami kolchoźników.

Oglądał ich gospodarstwa i ze zdziwieniem zauważył wiele działek ogrodowych całkowicie zasoranych. Niektóre były nawet zasiane. Od razu pomyślał, że przedsiębiorca Doroszkina w tajemnicy przed nim daje konie kolchoźnikom i ci nocą zasorują swoje działki. Opóźnia to tym samym akcję siewną kolchozu, co w myśl zarządzeń partii było dużym przestępstwem. Chciał w tej chwili pociągnąć Doroszkina do odpowiedzialności, ale po zastanowieniu postanowił winnych słapać na gorącym uczynku. Całą noc stróżował ukrywając się między domami i dopiero o brzasku usłyszał głosy w zabudowaniach Bykowa. Zaintrygowany podsłuchiwał, tym bardziej, że Bykow powinien być w tej chwili na dyżurze przy magazynach. Zobaczył z ogromnym zdziwieniem, jak kosmety Iwan zakłada uprzęż z łyka lipowego na dwie zdrowe baby i zaczepia je z orczykiem do pluga. Zaintrygowany widokiem, czekał, co będzie dalej? Bykow tymczasem ze swoim zaprzęgiem przedostał się przez brzoźnik na ogrodzoną działkę i rozpoczął orkę. Skiby odwalały się tak samo, jak przy oraniu końmi. Nie wierzył własnym oczom. Dopiero po uformowaniu równego wozu, uwierzył w rzeczywistość i przystąpił do akcji. Całą trójkę w zaprzęgu zapędził do zarządu kolchozu, zamknął wszystkich na klucz i sprowadził przedsiębiorcę Doroszkina. W toku dochodzenia obie kolchoźnice: Natacza i Wiera zeznały, że opłaty za orkę pobierał Iwan. Ich jedynym karmikiem przed orką był spirytus z drzewnym, dla podniesienia ich energii. Tak oryginalna ekipa zdobyła zaorać siedemnaście działek, uzyskując za to od kolchoźnic około kwintala pszenicy, sporo jaj, parę kur, a nawet barana znalaziono w chlewie Bykowa. Kuchnia była wypełniona kwaśnym mlekiem, z którego Natacza z Wierą wyrabiali sery. O niedoświadczonym wydarzeniu natychmiast zawiadomiono komitet rejonowy, który na-

kazał aresztować Bykova i niezwłocznie odesłać do rejonu. Na przyćmiewionej rozprawie skazano Iwana Bykova jako wroga ludu, na piętnoście lat ciężkich robót w łagrze o obostrzonym rygorze.

Otrzymałem mieszkanie w starym domu szberyjskim w czasach carskich, gdzie Stachna z dziećmi uładziła się całkiem dobrze. Po pracy w kuźni pilnie czytałem gazety i śledziłem gazetkę, co dotyczyło dzieł wojennych, a szczególnie Polaków znajdujących się w Związku Radzieckim. Dowiedziałem się wiele o polskiej armii gen. Andersa, o rządzie polskim w Londynie i o polskiej ambasadzie w Kujbyszawie. Mimo uzyskania amnestii czułem się cały czas występowany i zagubiony po doznanych przeżyciach w łagrze na Niżnej, a szczególnie po przebytym więzieniu w Niżnej Tawizie i dodatkowym wyroku, oprócz dwudziestoletniej zsyłki/. Ciągle stała mi przed oczyma postać naczelnika morozowa z racją mi przy wyjściu z Niżnej, że obaj spotkamy się jeszcze w łagrze. Niezależnie od tego, iż mimo amnestii, zawsze będę traktowany przez NKWD nieprzychylnie i wrogo.

Pewnego razu znalazłem notatkę w gazecie delegatury ambasady polskiej w Pietropawłowsku - stolicy północnego Kazachstanu. W mapach znalazłem tę miejscowość i okazało się, że w wielkim przybliżeniu odległość od naszego kolchozu. Droga była niebagatelna. W prostej linii dużo, dużo więcej niż tysiąc kilometrów przez bagna i step, po różnych białkach, bagnach i wielkich lasach. Przez wiele dni i nocy myślałem tylko o jednym - jak skontaktować się z polską delegaturą ambasady w Pietropawłowsku? Miałem pauszkę w Niżnej Poistani, kiedy moje pośanie do prokuratora Andrieja wyszyńskiego i samego Stalina było konfiskowane na paczcie i prze-

kwytowane NKWD; o czym powiedział mi sam naczelnik Gubienki podczas przesłuchania. Początkowo więc całkowicie odpadała w moich zamiarach. Postanowiłem osobiście dotrzeć do Delegatury ambasady w Dniestrzańsku. Liczyłem na szczęście, że po drodze może podjadę ciężarówkami wożącymi drzewo z lasów na skraj do rzek, może jakimś traktorem, bo o pociągu nie mogło być mowy bez naczelnika NKWD w Wiliżanach, do którego teraz należeliśmy. Na przejazd pociągami trzeba było mieć przepustkę z rejonu i delegację służbową. Ludzie maszerowali tylko piechotą, i to za pozwoleniem. Stachna ze strachem plan zaakceptowała i zezwoleniem jej było przygotowanie sucharów na drogę jako głównego pożywienia. W tym czasie nie było mowy o kupnie jakiegokolwiek żywności w sklepach, za wyjątkiem mleka u kolchoźników i to najczęściej za wymianę bielizny lub części ubrania. W połowie czerwca mieliśmy około 5-ciu kilogramów sucharów i wytyczyliśmy marszrutę przez większe miasta, które musiałem dobrze zapamiętać. Stachna zapakowała suchary w kolorową poszewkę z poduszki, do tego przymocowałem stare szelki i przymerzyłem się do marszu. W znośnym ubraniu i starych, dość dobrych butach, z zarodniętą brodą wyglądałem na Sybiraka podróżującego z jednej miejscowości do drugiej. Postanowiłem odpowiadać pytającym, że idę tylko do sąsiedniej miejscowości i niesę suchary bratu odchodzącemu na front. O nazwę następnej miejscowości miałem pytać się tylko starych Sybiraków, którzy z reguły byli wręcz nastawieni do władzy radzieckiej i nie potrzebowałem się ich obawiać. Zignorowałem pod uwagę syberyjskie odległości 50 -lat i więcej kilometrów między osadami, mogłem uważać, że podróż moja nie będzie wyglądała na podejrzaną. Dotarwszy do ambasady miałem nadzieję dostania się do armii Andersa

i przekazania w opiekę Polaków przebywających w sąsiednich kolchozach. W kuźni wykończyłem naprawę narzędzi do prac polowych i zbliżających się sianokosów i ze spokojem mogłem pomyśleć o podróży. Sianokosy były dość daleko, a żniwa dopiero w połowie sierpnia. Pełen otuchy udałem się z ówiartką spirytusu (darewnego do przedstawiciela Womy Doroszkina. Po opróżnieniu ówiartki prawie przez niego samego, poprosiłem o udzielenie mi urlopu na tydzień, a może trochę więcej, gdyż chcę udać się do Tiumenta odległego prawie sto kilometrów, gdzie jest duża grupa Polaków, w których chcę się skontaktować. O tamtejszych Polakach nic nie wiedziałem, ale przecież musiałem coś wymyślić, co by usprawiedliwiło moją dłuższą nieobecność. Opłata nie wchodziła w rachubę, bo według umowy, wynagrodzenia za pracę stanowiły roboczodniówki. Podczas mojej nieobecności kolchoz nie na tym nie tracił. Doroszkina chętnie udzielił mi urlopu, życząc escaśliwej drogi i szybkiego powrotu przed sianokosami.

Wybierałem się w niezamieszany i pożegnania w rodziną było bardzo smutne. Jedynie Donka nie zdawała sprawy z mojego odejścia. Całą buzią uśmiechała się do mnie, pachła rączką na pożegnania. Prawie trzyletnia Ela porzuciła przekazać nie tylko swoje uczucia, ale i Stachny. Praytuliła się do mnie i mówiła: "Tusku, wracaj prędko do nas, nie daj się zamknąć znów w więzieniu, bo Muska mówiła. że wy zginiemy bez ciebie". Stachno nie mogła powstrzymać się od łez. "Wiktorsze, bardzo mi smutno i boję się o ciebie, uważaj, na litość Boską i jaśli zauważysz, że są trudności - natychmiast musisz wracać. Będziemy modliły się za ciebie". Byłam już na drzwiach, gdy zawołała: "Zaczekaj, weź te chusteczki, zamieszaj je w Grodzie na mleko i wadryła mi do kieszeni ostatnich

dwanaście setek, które trzymała w swojej walizce. Wczesnym rano
kiedy 17 czerwca 1942 roku opuściłem kolchoz "Czerwony Prole-
tariat" i śmiało maszerowałem przez las brzozy na połud-
niowy-wschód w stronę Wielizhan, rejonowego miasta w połowie
drogi od Tiumentia. Ciężkie chmury komarów utrudniały mi pochód.
Trzeba było bez przerwy opędzać się gąsienicą, bo larwy (nawet
do nosa i oczu zupełnie zapalając widok. Do Wielizhan do-
tarłem pod wieczór. Pierwsze moje pięćdziesiąt kilometrów
były wyczerpujące. Przed sobą nie chciałem się przyznać,
jak żalowałem pozostawionego domu z wielką zieloną bramą,
a w niej trójkę przytulonych do siebie główek. Na przedmies-
ciu przed starym domem z otrąglaków spotkałem dwoje staru-
szków siedzących na ławce. Podszedłem ich po rosyjsku: "Zdra-
stwujaicie" i poprosiłem o wodę. W rozmowie powiedzieli mi, że
w tym domu mieszkają sami, ich syn i dwóch wnuków od roku
są na froncie. Powiedziałem im wyuczoną wersję o dostarczeniu
sucharów bratu w Tiumentiu udającemu się do armii. Byli bardzo
wzruszani i sami zaproponowali mi nocleg i kąpiel w bani.
Z wdzięcznością podziękowałem tym Sybirakom za ich dobre
serce chociaż wstyd mi było wobec nich za moje kłamstwo.
Bałem się powiedzieć prawdę, że zamierzam dotrzeć przez tajgę
aż do Kazachstanu, daleko na stepach. Na drugi dzień z samego
rana byłem już na swoim szlaku. Po paru kilometrach za Wieli-
żanami dopędził mnie traktor jadący do bazy remontowej pod
Tiumentiem. Młody traktorzysta zgodził się zabrać mnie ze so-
bą za kolorową chusteczką do nosa. Obaj zrobiliśmy dobry
interes: ja mogłem przędzej posunąć się naprzód, a on zdobył
płatok, piękny podarunek dla swojej dziewczyny Gali. Cały
czas trzęsło niemiłosiernie po wybojach, ale przynajmniej
jechałem. Około drugiej po południu byłem już w Tiumentiu.

Traktorzysta, Paszka, poradził mi, gdzie w mieście można dostać kupa. Według jego wskazówek łatwo znalazłem ogólną jadłodajnię. Ciepła polewka z odrobiną kaszy i suszonymi kartoflami pokrzepiła mnie mocno. Pojadłem za trzy ruble, trochę odpocząłem i zabrałem się w dalszą drogę. Bardzo asfalcową, piesszczystą ulicą, na której po obu stronach były chodniki z desek wysadzkiem na południowy-wschód do miasta leżącego za Tobołem - Ilutrusk. Po kilkunastu kilometrach za Tiumeniem wszedłem w wielkie lasy mieszane o przewadze brzozy. Kiedy było już pod wieczór, pilnie wypatrywałem jakiegokolwiek kołchozu lub chociaż pole uprawnego między lasami, gdzie zwykle są małe i buszki, w których kołchoźnicy mieszkają i gotują w czasie zasiewów i sprzątu zboża. Do zachodu słońca bez pracy ciągnęły lasy. Wnocy nie mogłem iść dalej. Musiałem wyśledzić noclegu w lesie. Wilków nie obawiałem się, całe ich stado odessały w tajgę wczesną wiosną w daleką tundrę. Samotniki pozostające w tajdze rzadko napadały na ludzi o tej porze. Główniej było ze źnijami. Masowo gnieździły się one w suchej trawie i często były wypadki śmiertelnych. Blisko drogi znalazłem rozłożystą brzozę z wieloma odnogami. Na nią postanowiłem urządzić spanie. Naszywałem całe narógasse suchej trawy i wyłożyłem wygodne siedzenie między trzema roznochami, na wysokości około półtora metra. O dwa konary mogłem opierać się plecami, a trzeci z przodu zabezpieczał od spadnięcia. Kozelok, czyli swój tłumaczek, z sucharami prziesiłem nad głowę. Na wszelki wypadek przywiązałem się sznurkiem za pasek od spodni do przedniego konara i ze spuszczoneymi nogami próbowałem wspanąć. Czapka nasunięta na oczy i uszy wraz z kołnierzem marnyarki zabezpieczały od komarów. Trudno powiedzieć, żeby spał. Prawie cały czas

drzewałam. W środku nocy na dobre wybił mnie ze snu świszczący wilczy roachochodzący się daleko za mną, a po chwili drugi w innej stronie. I tak na zmianę trwało to nawidywanie może godzinę. Jak już zasnaczyłem wilki nie poświęcałem się, ale słysząc to przeciągłe wrzanie, nie chciałem w tej chwili oglądać się pod moją brzołą. Tuż przed świtem rozpoczęło się granie tocujących cietrzewi. Muszka poruszała się różnymi tonami. Wydawało mi się, że ta sama gra przesuwała melodię. O jakimkolwiek drzemce nie było mowy. Czarnujący koncert wprowadził nastrój zadumy nad moim losem. Widziałem Stachnę i dzieci pozostawione w chacie u Sybiraków. Następnie przeszedłem do głowie myśl: co też by powiedziała, widząc mnie na tej brzości, chyba by zemdlła. I uśmiechnęłam się przez łzy.

Wyśli dalej kłóbiły mi się po głowie. Pytałem sam siebie: ileż to można przetrwać tylko w ciągu jednego roku. A nawet miesiąc. Obrasy przesuwały mi się jak w kalejdoskopie. Widziałem długi transport przez cały miesiąc w zamkniętych wagonach. Następnie widziałem łagier roboczy na Niżnej, wyruch lasu w roju komarów, bicia ciężkim skotem w kuźni, więzienie w tajdze i wreszcie amnestia.

Zastanawiałem się: co czeka mnie dalej? Kiedy tak się nad tym zastanawiałem, spostrzegłem błąd brzości pomiędzy drzewami. Tę na siebie samego za ślamszarność zsunąłem się z noclegowego gniazda, przetarłem oczy i ruszyłem szarówką dalej. Nawet nie próbowałem gryźć sucharów, która przez cały czas uwiierały mnie w kieszeni.

Najchętniej napiłbym się zimnej wody do syta, ale nigdzie nie było jej widać. Dopiero po południu wyszedłem z lasu i trafiłem do wielkiego kolchozu. Tu skądś chłopcy z naryt i stary mężczyźni byli zajęci pracy spalanie drzewa na Tobole. W do-

mach pozostały kobiety i dzieci. W zagrodzie na skrajni moi
począstowała mnie babuszka herbatą a mięty i sprzedała litr
mleka za trzy ruble. Wypocząłem u niej i skierowałem się pięć
dziesiątą drogą do rzeki. Po paru godzinach kąpiłem się z wiel-
ką przyjemnością w szeroko rozlanym Tobole, na bezleśnej
przestrzeni wielu kilometrów. Komarów było wyjątkowo mało, ze
względu na brak w pobliżu lasów. Praca dłuższy czas mogłem
odpocząć wyciągnięty na piasku, a nogami zanurzony w wo-
dzie. Po takiej kąpieli suchary zapijane czystą wodą bardzo
mi smakowały. O zachodzie słońca doszedłem do kołchozu przy
wielkich lasach sosnowych. Nocleg znalazłem u kobiety z czwór-
giem dziećmi. Najstarsza dwie czynniki miała dziesięć lat, a
najmłodszy chłopiec sześć lat. Matka była dojarką w
kołchozie. Ojciec ich został przywalony drzewem na Tobole i
nawet go nie znaleźli. Spałem u nich w bani na twardej ławie,
ale o wiele lepiej się czułem niż w ubiegłą noc na drzewie.
Rano zapytałem Sybiraczkę o drogę do Kurganu. Poradziła mi,
abym ominął miasto Jelutorosk nad Tobolem i skręcił bardziej
na południe do rzeki Isaty, dopłyną Tobolu, gdzie promem trzeba
przejechać na drugą stronę i stamtąd skierować się do Tobolu,
który prosto na południe doprowadzi do Kurganu, starego miasta
syberyjskiego. Z mapy szkolnej wiedziałem, że z Kurganu do Pie-
trogawłowska na stepach Kamschatanu pozostanie mi jeszcze około
600 kilometrów.

Za nocleg dałem kobiecie kolorową chusteczkę i ruszyłem
we wskazanym kierunku z myślą o ciągłym posuwaniu się naprzód.
Po paru godzinach wreszcie trafiłem na ogromny wgrąb lasu. Wiel-
kimi samochodami z przyczepami wywołano ogromne kłosa do rzeki
na spław. Kierowcy jadący w moim kierunku pozwilił mi uwiązać
do szoferki i w ten sposób podjechałem przez to 40 kilometrów.

Tego dnia przebyłem drogą ponad 70 kilometrów i ze swego wyczynu byłem ogromnie zadowolony. Kierowca poinformował mnie, że będę musiał przebyć jeszcze przez nieznane lasy około 100 kilometrów, zanim dojdę do dużej osady Krugłoje Sielo. Mieszkańcy ci mają już swoje "państwo" czyli pola uprawne na stepie. Stamtąd będziesz miał niedaleko do Kurganu, jakieś 100 kilometrów - powiedział.

Pod wieczór przechodziłem przez wielkie pola zasiane pszenicą. Na skraju znalazłem pustą buszkę koźchożników i w niej zanocewałem. Jadłem tylko suchary bez popicia, ale cieszyłem się nadzieją, że może jutro uda się dotrzeć do stepów. O brzasku opuściłem legowisko ze stopy, obajrzałem się kilkakrotnie za małą chatką z jednym okienkiem i poszedłem do przodu wyciągając obolałe nogi. Przez ostatnie dni przynierzałem głodem. Bez dłuższego odpoczynku ciągle starałem się iść do przodu. Nie wiadomo kiedy poczułem się bardzo zmęczony. Z kilkoma kilogramami na plecach trudno mi było się wyprostować i stałe szedłem w pozycji zgarbionej. Mimo wszystko szedłem licząc głośno; raz, dwa, raz, dwa - byle dalej, byle do przodu. Po południu doszedłem do osady Jakimowka. Ominąłem urząd Sielsowietu i na drugim końcu tej wsi zaszedłem do chaty prosiąc o wodę do picia. Czuję się zupełnie wyczerpany i bez odpoczynku nie mogłem się dalej ruszyć. W dużej izbie zastałem dwie starsze kobiety i dziadka z białą brodą do pasa. Przy drzwiach z dużej beczki napiłem się wody drewnianym czerpakiem i zdołałem powiedzieć: "Pozwólcie mi trochę odpocząć, bo już dalej iść nie mogę, jestem bardzo zmęczony". Z drugiej izby wyszła młoda kobieta z małą dziewczynką i zaczęła pytać: "Skąd dotąd idę?" "Chcę dostać się do Kurganu, tam jest moja rodzina wywieziona z Polski" - odpo-

wiedziakem. "Ojczyzna Boha" - krzyknął się staruszek - taki kawał
drogi prasa t je, biedni ci Polacy, tyle muszą cierpieć - mó-
wiła jedna. "U nas też nie lekko - dodała druga - minęły dobre
czasy" i pokiwala głową. Młoda prądkowiczka się rozgadała
i zapropozowała: "Przejdźcie u nas, mamy dużo miejsca i w
boni się wypraszycie, bo to na pewno dość nam się do dalszej
drogi". O, to jeszcze daleko - uśmiechnęła się. O takiej goście-
nie i odpoczynku nawet nie marzyła. Po kąpieli wzięła
mocno otartą piętę. Chciała ręką zawinąć chusteczką, ale Sy-
biraczka przyniosła dwie czyste szmatki bawełniane i zawinęła
mi nogę. W zamian dała oczyścić kolorową chusteczkę. Kobiety
z ciekawości oglądały i zawiadyły się, że w Polsce wyrabiają
takie piękne "płatki". Poczestowano mnie także koleją. Kawałek
świeżego chleba i kawałek mleka - nakłoniły mi nadawczą
dobrze. Rano wypiliśmy gorący czaj wielowy z białym mlekiem,
a na drogę dostałem kromkę świeżego chleba. Bardzo miła Aniuta
zapytała o męża. "Oż roku nie mam żadnej wiadomości od Waniu-
ski - odpowiedziała - chyba już go więcej nie zobaczę" - odpowia-
dała mi smutkiem. Bardzoż podziękowałem i pożegnałem
dobrych ludzi i z otuchą maszerowałem do Kruczego Siela.
Chciałem jak najprędzej obciążać stop. Droga kręciła się między
lasami o przemiśle brzozy. Między pola z wydmianą pszenicą
i całe przestrzenie jak pokrytych polną koniczyną z anóstem
kolorowych kwiatów. Teren wyraźnie był suchszy niż w okolicach
Tiumenia i to było powodem, że konary tak mocno nie dokuczały.
Słońce było jeszcze wysoko na niebie, gdy zobaczyłem wielką sy-
beryjską wieś. Dachy domów były kryte deskami czarnymi od desz-
czy i słońca, część szczytów dotykała lasów, a druga połkołem wy-
sunęta w odkrytą przestrzeń stepu. Bo tajga była wyżej położo-
na, aniżeli step, to było dobrze widać/.

Wszedłem na podwórko jednej zagrody. Ludzi nie zauważyłem, więc poszedłem do otwartych drzwi domu. W sieni też nie było nikogo. Usłyszałem głosy w dalszym pomieszczeniu, a potem ciche jęki. Wsunąłem się tam przez uchylone drzwi. Sałnąłem jak wryty i nie mogłem ust otworzyć. Pod oknem na drewnianym łóżku leżała naga młoda kobieta, a przy niej dwie starsze kobiety z sitami w rękach odprawiwały różne podskoki i zaklęcia. Trzecia trzymała garnek z dymem i dmuchała na sita. Na mnie nie zwróciły żadnej uwagi. Kiedy oprzytomniałem nastychniałem uciekłem i udałem się szeroką ulicą w drugi koniec wsi, po stronie południowej. Pomyślałem tylko - tę nieboraczkę baby leczą po swojemu. Wyjątkowo nie miałem szczęścia. W dwóch domach odmówiono mi noclegu. Wszedłem w boczną uliczkę i zauważyłem kobietę z małą dziewczynką. "Zdrastujecie - pozdrowiłem - i od razu zaczęłem mówić - jestem Polakiem, idę do Kurganu i bardzo jestem zmęczony, poświęćcie chwilę chociaż odpocząć. Już w dwóch domach mi odmówiono". Ku mojej radości - poprosiła za sobą do domu. Niesskała w ojcem i sześciolatnią córką. Po nawiązaniu rozmowy ze starym Sybirakiem, okazało się, że był on w Polsce. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i pod Warszawą został ranny. Wrócił na Sybir 1921 roku, po wymianie jeńców wojennych. Zona mu zmarła dwa lata temu, a zięć jest na wojnie; pozostała mu tylko córka z wnuczką. Dobrze wypocząłem u tych ludzi.

Wieczorem wykąpałem się w parowej łaźni i na nono przebiegłem startą nogę. Rano wydałem sobie z tobozka do kleszani porcję sucharów na drogę, wypiliśmy dwie szklanki świeżego mleka, podziękowaliśmy za miłą gościnę i ruszyliśmy przed siebie w otwarty step.

Od Krugłego Siola daleko widniał szeroki gościniec

skropany szarekimi rowami. Prowadził przez miasto Uporowa aż do Omaka. Według informacji gospodarzy z ostatniego noclegu miałem iść tym "gregarem" / tutaj goście nazywają gregorem / około trzydziestu kilometrów do skrzyżowania dróg nad rzeką Teati. Do Omaka przez Uporowa prowadzi gościniec prosto na wschód, a do Kurganu trzeba przejechać rzekę na drugą stronę i uciec się na południe. Po kilku kilometrach droga będzie prowadzić nad Tobolem do samego Kurganu. Opuszczałem ostatnią osadę na pograniczu tajgi ze stepem i ponie maszynowałem przed siebie środkiem tego gościa. / gościniec ten był sbudowany przez skazanece ze cars /. Po obu stronach rozciągały się niezmiernie przestronne wysokie trawy, a w nich pełno różnych kwiatów przeważnie lawonkowatych o kolorach niebieskich i czerwonych. Poprzedzałem się na wszystkie strony i podziwiałem ogromną przestrzeń, na której aż po horyzont nie widać było drzew, ani jakichkolwiek sbudowań, tylko trawy i trawy, chyba od zamierachłych wiatków takie same.

Kiedy obejrzałem się za siebie, domy Kruglowo Siola były wyraźnie zmniejszone i cała osada wyglądała jakby w dole, zaś dalej na północ, po prawej i lewej stronie osady do wschodu do zachodu rozciągał się siny pas tajgi.

Jestem już na stepie - głośno do siebie mówię. Już chyba połowę drogi sam na sobą. Żeby choć tylko szczęśliwie dobrać do celu, do Pietropawłowska. Nawet bólu otartej nogi nie czuję, pochłonięty kłębiącymi wiewkami.

W pewnej chwili zerknąłem w lewo i spostrzegłem na poboczu rowu siedzącego chłopca. Podrówiłem go: "Zdrastujcie" i szedłem dalej. On jednak nie ruszając się z miejsca odezwał się: "Poczekaj / poczekaj /, dokąd tak ci śpieszno? Mamy dużo czasu".
"Idę z Krugłowa do kokchozu w Strzykowiek - odpowiedziałem - wy-

szedłem naprzód, ale zaraz dopędzą mnie moi towarzysze. Kowal w Krugło Siolole naprawia tam koło telegi. Niezłoty rąpe do basy! Osobnik podniósł się z pobocza i podszedł do mnie. Poczulem się bardzo nieswojo, kiedy zobaczyłem go w całej okazałości. Drab w wieku około trzydziestu lat, ordynarnie zarostnięty, wysoki, kropy, bez lewego oka i bosy. Spodnie wąskie sięgające łydek, jakby z jakiegoś chłopca. Do tego w jednej tylko rubaszce i to bez koszuli, w starym kapeluszu bez żadnego tołka przy sobie, jedynie w garści ścisnął parządy brzozykij. Odniosłem wrażenie, że specjalnie tu na mnie czekał, i naraz grzotnie mnie tą pałą. Lypnął na mnie jednym okiem, a pusty oszczędził drugiego zrobił się ciekawym i powiedział: "Polak?" "Nie, jestem Białorus-odrzeskim-mieszkan z rodziną w Szczakowej, a byłem u znajomych w Krugłom Siolole". Na moją odpowiedź uśmiechnął się obleśną gębą i mówi: "Ty nie wryj/nie kłam/, twój pindżak/czyli marynarka/ wskazuje, kim jesteś. To wszystko, co masz na sobie jest polakie". "Długo idę na wschód, aż z Ukrainy, tam mnogo Polaków, pracowali na mnie w kopalni i siedzieli na mnie w turmie w Krzywym Rogu, kiedy Krasnaja Armia oswobodziła naszą Polskę. Znam dobrze Polaczków, na pewno i ty byłeś krupnym pomieszczaykiem i kapitalistą. Zresztą o polityce pogadamy po drodze. Idę w tym samym kierunku. Dobrze żeśmy się spotkali, dawno nie miałem do kogo gębę otworzyć" i zaczął się śmiać.

Nie pokazując po sobie strachu ani zdenerwowania, zagrytałem: "A dokąd ty idziesz?" " O Gorazda, dalej niż ty. Ja idę przez Upoworo aż do Omaka, tam żyje mój dawny drab, któremu nie się podarunek za wielką przysługę, jaką mi w życiu wyrządził". W tym momencie zaczął się ponuro śmiać, aż przyciskał ręką występy gęby brzuch. Patrząc na niego odniosłem wrażenie, że

spotkałam jakiegoś groźnego obłąka. "O Boże, pomyślałam - co to będzie, kiedy zmuszony jestem z nim podróżować przez te trzydzieści kilometrów? Bo jakaś pobliska Duszakowa, to mógł na poczekaniu wygasi."

A tymczasem wokół nie widać żywej duszy. Wreszcie ścisnąc się i oglądając mnie od góry do dołu, wyrzucił taksówkę, ile jestem wart, a jednocześnie palnęł wspaniałą pod pachę, to znaczy brał w garść. Szybko podszedł do mnie i mocno po tchawczkę na plecach. "O bratnie, toś ty bogaty, żąj suchara, jeszcze dzisiaj nie jadłem. Podła baby w Krugom Siola nie dały mi nawet jednego kartofla, żeby ich nagła helera zadawila-sakląk. Wako tego dwóch staruchów pobiegło po milicję, ładnie by mnie u-razdaili, ale zdłżyłem im uciec w step. Idźciez Polaku, jak ci dronie człowieko traktują, jaka to ich sprawiedliwość?" - i splunął, wyciągając jednocześnie rękę po suchary. Dalsze mu kilka sztuk z kieszeni, które schrupał w jednej chwili. "Wiesz te suchary brata, jutro odechodzą do Krasnej Armii" - powiedziałam. A on uśmiechnął się szeroką gębą i odpowiedział: "No, no, toś ty wykołobinował, patrzcie tylko, niesie brata tyle sucharów. Tylko pomyśleć - ciągnął - a człowiek na pustym stepie zdycha z głodu. Nie pomyślałeś ty o tym?" - zapytał ściszonym głosem i dalej potrząsł na mnie tchawczyż. "To ty nie wiesz, że Krasna Armia ma teraz wszystko od Amerykanów, co tylko zaproszenie? Każdy bojąc żre do syta święty chleb i świętą buszonkę. Twój brat dostanie również to wszystko. Na co mu te suchary. Sam tylko pomyślał, potrzebne są one tu dla nas" - zakończył.

Siabo mi się zwobilo, bo widać było jasno, że sytuacja moja jest ciężka. Popatrzyłem w stronę Krutkiego Siola i zaśmiał się: "Coś to twoje towarzysze nie jedzą, widocznie przerygnowali

a drogi". " Na pewno musimy jechać-twierdziłem-, bo to ostatni termin dostarczenia rzeczy do bazy w Szczykowie".

Myśli mieszały się w głowie, czułem, że niedługo czeka mnie dramatyczna przeprawa z tym zbirem, a tu nie widać nikogo na gościńcu. Wokoło trawji trawy po pas. Byłem jak mysz osaczona przez wielkiego kocura. Dziwna rzecz, nad którą później wiele myślałem. Chociaż jasno uświadamiałem swoją przegraną, wcale nie wystraszyłem się i spoglądając na niego spokojnie myślałem, kiedy zdecyduje się rąbnąć mnie tą pałką spod pachy? Dałem mu nową parę sucharów i mimowoli podaliśmy dalej gościńcem.

Zanim przeszło około godziny wszystkie suchary rąbkami odłożone do kieszeni oddałem i ciągle był głodny. Stale miał oko zwrócone na mój tobołek. Z każdą chwilą stawało się pewnością, że moment krytyczny jest bliski. Przypomniały mi się ostrzeżenia kobiet w kolchozach, ostrzegające przed bandytami grasującymi na drogach. Podawały wypadki, kiedy zabijano ludzi, obdzierano z ubrania, nawet z byle jakiego. Zdawałem sobie sprawę, że dla tego draba przedstawiałem nieładną kłasek, nie licząc sucharów, sama bielizna, ubranie i buty miały dużą wartość. W każdej kolchozie mógł je wymienić na żywność lub sprzedać za wysoką gotówkę.

Walka nie dawała żadnej szansy. Przewyższał mnie wagą i wzrostem, a w dodatku był uzbrojony w dobrą pałkę. Ja - zupełnie bezbronny. Dokoła wysokie trawy nigdy by nie zdradziły tajemnicy. Moje ponure myśli przerwał opowiadaniem swoich przysięg. "Widzisz bracie-szczęśliwy- ty nawet nie wyobrażasz sobie, ile ja w życiu z ciebie przecierpiałem. Abiegłemu poru naczelnik tutejszy w Kijowie kazał mnie wyrzucić z innymi trzupami do wspólnego rowu, a dając, że zдохnę na tyfus.

A tymczasem wlekłam z jany i tyję dalej, z przymiódzobinie
wciąż się poklonie się objemu Wiszy w Uralsku." "Co ty
wiesz - wczajem z prajciem mówię - praccieś to nieokłama,
abyś po takiej chorobie mógł praccieś z Ukrainy, aż
daleko za Ural?" "Miałem biega, nadszając, że jak abo nie spo-
wiadać dalej, odwołana się moja kragiedia. Odważał na drogę
stronę drogi i jakby sam do siebie opowiadał." "Wczajem się
dwadzieścia lat temu. Na Ukrainie był wielki głód. Ludzie
umierali jak muchy, wtedy mój serdeczny przyjaciel Misza
zorganizował brygadę odważnych chłopców, którzy wzięli
się do roboty i wyciągali różne rzeczy. Najcenniejszą były
to produkty żywności, a przeznaczano dla partii i władzy
radzieckiej. Przez rok powodziło się nam dobrze. Nie zna-
liam głodu i unikaliśmy nawet podejrzeń. Nagle nas trzech
najbardziej aktywnych aresztowano i postawiono przed sąd
ścisły. Dostaliśmy po piętnaście lat ciężkich robót w ko-
palniach Kuznieckiego. Czy ty wiesz, Polaku spo-
brozić nasze więzienie pod ziemią i to o cięglym ścianie?..
- mówił w wielkim żalem.

W czwartym roku naszej katorgi ujrzaaliśmy wśród
paru więźniów Wiszę w stopniu kapitana, NKWD, jako następcę
komendanta ośrodka. Za pomocą zaufanych strażników wstąpi-
liśmy w całą pewnością, że w ręce NKWD rył się nasz przy-
wódca, a teraz następcę komendanta - odsapnął i ponurym gło-
sem ciągnął swoją opowieść - wyrok na zdrajcę został wydany.
Czekaliśmy tylko odpowiedniej chwili. No, i nadeszła. Podczas
inspekcji kopalni znalazł się bez strażników w chodniku
wąskim, gdzie dostał cios w szyję. Byliśmy pewni, że nie
żyje i wrzuciliśmy kanał na pas transmisyjny z brykami
węgla. Zauważono go jednak i zabrano do szpitala. Po trzech

miesiącach postawiono mnie i dwóch innych przed sądem, gdzie kapitan Misza sennał jako świadek. Był bez ręki, którą mu zmiąłęły bryły węgla. Za usiłowanie samobójstwa przełożonego dostaliśmy dożywotnia ciężkie roboty w kopalni. Od tego czasu Misza zniknął ze straży więziennej. Dowiedziałem się od strażnika, że został przeniesiony za Ural, jako zasłużony pracownik NKWD. I pomyślałem tylko, jakie miałem szczęście. Po pięciu latach odkryłem jego kryjówkę.

Przyszli do naszej kopalni kryminalistę z Omska i on mi dał adres Miszy". Nagle zatrzymał się, popatrzył na mnie i powiedział: "Po co ci to opowiadam? Z tym świadczeniem będzie tylko mój raszczoł". "Wstrząsające jest twoje opowiadanie, nie dziwię się, że masz ślad do słych ludzi - mówiłem, żeby podtrzymać rozmowę - a co było dalej? Pracowałeś w tej samej kopalni?" "A tak - zaczął - wkrótce nastąpił wybuch gazu w kopalni. Moi dwaj przyjaciele zginęli, ja ciężko ranny - po zasypieniu węglem. Po pół roku wróciłem, ale bez oka" - przestał mówić, a ja z prawdziwym współczuciem odezwałem się: "Trudno wyobrazić, że mogłeś tyle wycierpieć i wyjść z takiego piekła".

Na moje słowa zatrzymał się i wpatrywał się we mnie, po czym z ponurym grymasem powiedział: "Co ty Polaku możesz wyobrazić o radzieckim piekło? Ja każdego dnia byłem z groźnymi diabłami. Wy Polacy nie zazналиście poniżenia i upodlenia człowieka. W 1939 roku, kiedy Krasna Armia oswobodziła Zachodnią Ukrainę - posnłem wielu Polaków, którzy trafili do więzienia i kopalni. Oni to właśnie opowiadali, jak wy tam żyliście. A teraz i wam dobro się skończyło. Sowiecka władza już was nie wypuści. Wszyscy zginiecie tu, na Sybirze. Zresztą - jakie to ma znaczenie? Wcześniej czy później każdy padochnie /zdechnie/. I tymi słowami zakończył.

Przez jakiś czas szliemy w milczeniu

Nagle w powietrzu zobaczyliśmy kilka sępów zataczających koło, które po jakimś czasie zaczęły spadać jak piłki w dół po prawej stronie drogi. Kiedy tam podeszliśmy za kilkanaście minut, spostrzegliśmy gromadkę wielkich, szarych ptaków z nastroszonymi piórami, które w podskokach, bijąc skrzydłami, dziobały coś czerwonego. Na nasz widok wcale nie zareagowały, nie uciekły. Dopiero odfrunęły, gdy odpędziliśmy je kamieniami. Ale i wówczas nie odfrunęły gdzieś dalej, lecz krążyły nad naszymi głowami wydając ponure głosy, jakby szykowały się do ataku na nas.

W trawie leżał, nagi - rozszarpany człowiek. Na głowie sterczały krótko ostrzyżone, ciemne włosy. Twarzą już nie miał. Suche i bielejące kości policzkowe, puste oczodoły, wyszczerzone zęby, wszystko to robiło upiorne wrażenie. Żołądek, piersi i uęda były całkowicie obdarte z ciała. Widoczny był kręgosłup i piszczele nóg.

Mój towarzysz wcale się tym nie przejął i spokojnie powiedział: Już piątego spotykał w takim stanie na swojej drodze od Uralu. Widocznie ktoś bardzo potrzebował jego ubrania. A może on miał jeszcze suchary? I tu wymownie, bardzo wymownie spojrział na mnie.

Nie mogłem dłużej znosić widoku tego człowieka i śmiechu Ukraińca. W tym momencie chwyciły mnie torsje. Chwyciłem dłonią za usta i wybiegłem na gościniec. Za chwilę moj towarzysz dopędził mnie i powiedział: daj suchara - zaschło mi w gardle. Już wcześniej oddałem mu wszystkie suchary z kieszeni. Teraz zacząłem macać odruchowo po kieszeniach i z prawdziwą radością odkryłem, że mam jeszcze jednego suchara za podszewką marynarki, który dostał się tam zapewne przez dziurę w kieszeni.

Wydobyłem go stamtąd i oddałem Ukraińcowi.

W tym momencie przemknęła mi myśl, że on teraz będzie próbował zabrać mi mój tobołek. Stał obok mnie i trzymał w ręku pałkę gotową do zadania ciosu. Słońce było już wysoko na niebie i zaczynało się robić gorąco. Przez cały czas miałem przed oczyma rozdartego trupa w trawie. Szedłem zrezygnowany, ze spuszczoną głową jak w transie i odruchowo zacząłem szeptać "Pod Twoją obronę".

Do rzeczywistości przywołał mnie głos idącego obok Ukraińca: co ty tam szepczesz po cichu? Może chcesz rzucić na mnie czary? Ja się ich nie boję. Nie jestem babą - mówił.

Podniosłem głowę i zauważyłem przed nami, może na kilometr po prawej stronie gościńca wielki jar, a po lewej niskie drzewa i krzaki jałowca wystające z wysokich traw.

- Widzisz te krzaki - zapytałem. Tam odpoczniemy spokojnie i pokuszamy sobie suchary z tobołka. Jestem bardzo zmęczony tym upałem prażącego słońca i cień bardzo dobrze nam zrobi.

- Tak, tak. Masz rację. Już dawno chciałem odpocząć. W krzakach to najlepsze miejsce.

Podczas tej rozmowy Ukraińiec lypał na mnie jednym okiem i się uśmiechał.

Po kilkunastu minutach zbliżyliśmy się do wielkiej kępy drzew po obu stronach drogi. Rosnące tu brzozy i osiki nie przekraczały grubości ręki, prawdopodobnie ze względu na zasolenie gleby stepowej. Podszycie natomiast stanowiły gęste krzaki jałowca i jeryzyny i kępy wysokiej trawy, która sięgała po pas. Wreszcie weszliśmy w głóby zarośli, ciągnących się po obu stronach drogi. Tu zdjęłem tłumoczek z sucharami z pleców i prze-

wiesiwszy go przez jedno ramię powiedziałem:wiesz,najpierw trzeba posrać.

- a,nada,nada - odpowiedział - i obaj zeszliśmy za głęboki rów w krzaki.Tu zdjąłem pasek i przysiadłem za rozłożystym jałowcem.Tymczasem on rozwiązał sznurek u spodni i odszedł w krzaki.

Obaj byliśmy sobie niewidoczni.Słyszałem,jak on w głębi robił swoje.Po chwili poderwałem się,pobiegłem w stronę rowu i wszedłem w gęsty krzak jałowcowy,który był otoczony wielkimi jerzynami i trawą.Tuż za krzakiem zobaczyłem wielki kopiec mrówek,od którego to kopca biegły w moją stronę liczne dróżki niczym alejki.Ale w tym czasie nie zwracałem na nie uwagi - czekałem,co będzie dalej.

Po kilku dłuższych chwilach mogłem obserwować z mojego ukrycia draba,jak zdziwiony - rozglądał się na wszystkie strony.A po chwili zaczął wołać:

- Palak,Palak - co z tobą.Następnie zaczął szybko biegać po najbliższych krzakach.Wreszcie zatrzymał się.Po jakimś czasie przysiadł i zaczął rozkładać trawę wyraźnie chcąc ustalić kierunek mojej ucieczki.I znowu zaczął biegać.W pewnym momencie przebiegł nawet tuż koło mrowiska,popatrzył na nie.W tym momencie byłem prawie pewien,że już mnie zdemaskował.Ale nie - po chwili znowu pobiegł do miejsca,w którym się rozstaliśmy.

Tu podniósł głowę do góry,jakby coś wietrzył.Po chwili widocznie chwycił go straszny gniew.Cisnął pałkę na ziemię,cisnął kapeluszem zerwanym z głowy przed siebie.W końcu chwycił się obiema rękami za zmierzwione włosy i strasznym głosem zaczął wołać:

- I tak, i tak mi nie ujdiesz - przeklęty Polaczku. Myślisz żeś mnie przechytrzył? Nie ujdiesz mi. I tak cię złapię i zatłukę jak parszywą sobakę.

Był strasznie był rozwścieczony a jednocześnie miał do mnie żal, bo chwilami słyszałem jego łzy, gdy żałośnie zawodził.

Po chwili znowu usłyszałem jego głos: oj ty durny Harwyło, durny. Czemuś jego nie rąbnął na stepie. Już by było po wszystkim. I tak przejadło tyle dobra, tyle dobra i to takiego dobra"ot, swołocz Polak - udrał. No i udrał so wsiam.

I nadal żalił się z płaczem w podobnych słowach. Zrobiło mi się ogromnie gorąco. Culem, jak pot spływa po mnie. A i mrówki też już dobrały się do mnie. Bolały mnie ich ukąszenia. A on stał ciągle i rozpaczał. Wydawało mi się, że to trwa nieskończenie długo.

Wreszcie uspokoił się, zdjął z krzaka kapelusz, który przez niego ciśnięty w furii zawisł na suchej gałęzi i wsadził go na głowę tak, że aż wszedł mu na uszy. Następnie chwycił pałkę do ręki i skoczył w krzaki. Nie było go słychać przez kilkanaście minut. W pewnym momencie zobaczyłem go, gdy szedł bardzo wolno przy rowie od strony zachodniej, a więc od strony, od której razem weszliśmy w krzaki. Widocznie chodził się upewnić, czy nie zdecydowałem się uciekać z powrotem do Krugłego Siola. Zatrzymał się kilka zaledwie kroków ode mnie i nawet przez pewien czas przyglądał się wielkiemu kopcowi mrówek. Następnie przeszedł przez rów i wyszedł na gościniec. Wówczas dokładnie się mu przyjrzałem. Stał z gębą wyktzywioną złością. Nagle podniósł pałkę w zaciśniętej garści i krzyknął: stój, proklata cholero. Daleko nie uciekniesz. I zdecydowanym krokiem ruszył na przód. Co chwila pokrzykiwał jakieś przekleństwo, które

dochodziły do mnie coraz mniej słyszalne, ponieważ Ukrainiec oddalał się szybko. A ja przez cały czas siedziałem w swoim krzaku, w którym mrówki oblażyły mnie już całkowicie. Najbardziej piekło mnie podbrzusze. Mrówki tam właśnie najbardziej powłaziły przez nogawki i cięły bezlitośnie.

Kiedy głos Ukraińca zamilkł, zdecydowałem się przejść niezauważalnie o kilka metrów w dalsze krzaki. Osłonięty gałęziami i trawą zacząłem zrzucać z siebie mrówki. Co najmniej godzinę siedziałem w tym krzaku w obawie, że mój prześladowca może jeszcze powrócić. Woląłem znosić dalej dotkliwy ból niż ryzykować wyjście na gościniec.

Kiedy słońce już wyraźnie przesunęło się na niebie - zdecydowałem się wreszcie wyjść z ukrycia. Natychmiast poszedłem daleko w głąb zarośli, aż doszedłem do wolnego stepu po drugiej stronie zarośli. Tam, skrajem, wśród traw posuwałem się na przód. Nadal bardzo obawiałem się spotkania z jednookim Ukraińcem. Zajęty ucieczką prawie nie zwracałem uwagi na ból, który mi sprawiały mrówki. Kiedy już znalazłem się dość daleko od niebezpiecznego miejsca - odprężyłem się. Cieszyłem się przede wszystkim z tego, że żyję i że jestem wolny. W tym czasie zrobiło mi się słabo i upadłem, zaplątany w wysoką trawę. Czuję piekący ból na całym ciele a spodnie zaczęły wrzynać się w podbrzusze. Odpiąłem pasek i spodnie opadły na kolana. Ukazał się brzuch i kolana całkowicie pokryte czerwonymi bąblami. Przypominało to poparzenie ukropem.

Zacząłem natychmiast zrywać mech z wilgotną ziemią i okładać obolące miejsca, co przynosiło chwilową przynajmniej ulgę. Z trudem oddychając próbowałem zapiąć spodnie, ale nie zdołałem tego uczynić. Brzuch gwałtownie spęczniał. Wydawało mi się,

że na kolanach mam rozgrzany melon, do którego przykładałem opasnicę spodni i starałem się je przypasać paskiem, zapinając go na ostatnią dziurkę. Starannie ukryty w trawach bezustannie posuwałem się do przodu.

Pod wieczór skończyły się zarośla i doszedłem do pól uprawnych. W niskim brzeźniaku trafiłem na polną chatkę kołchoźników. Nie prędko zdecydowałem się do niej wejść. Dopiero po zachodzie słońca zajrzałem dyskretnie do okienka i z ulgą stwierdziłem, że były pusta. Byłem tak zmęczony przeżyciami ostatniego dnia, że bez przerwy spałem do samego rana. Słońce było już wysoko na niebie - kiedy wyszedłem na gościniec i uważnie rozejrzałem się na wszystkie strony.

Opuchlina z brzucha i nóg zeszła. Pozostały jedynie ciemne plamy. W południe doszedłem do promu na Iseti. Natychmiast napiłem się wody z rzeki, bo byłem rozpalony od wczorajszych mrówek oraz przygrzewającym niemiłosiernie słońcem. Domyślałem się, że mój cyklop poszedł na wschód - przez miasto Uporowo - do Omska.

Musiałem dołączyć do grupy ludzi i jednokonnych fur - aby przeprowić się promem na drugą stronę rzeki. Stąd miałem już prostą drogę na południe - do Kurganu.

Za rzeką krajobraz zmienił się wyraźnie. Przechodziłem teraz wśród pól, na których rosła dojrzewająca już pszenica. O zachodzie słońca przybyłem do kołchozu, który zamieszkiwali wyłącznie sami Kazachowie. Wszyscy byli o płaskich nosach i rozmawiali ze sobą podobnie jak Tatarzy, których mowę słyszałem już w Tiumeniu. Łamanym językiem pytali mnie - kim jestem: Ruska? - Nie - odpowiedziałem, Polak. A, Polaczka - i uśmiechali się przyjaźnie kiwając głowami. Mieli u siebie w kołchozie parę

rodzin polskich, które już jednak wyjechały do Taszkientu. Dwoje staruszków zamieszkujących z dorosłą córką poczęstowali mnie kaszą i plackami kukurydzianymi, smarzonymi na baraniną i żółtym. U nich też przenocowałem, śpiąc na owczych skórkach.

Następnego dnia mijalem wielkie obszary stepu, na których pasły się stada bydła i owiec. Pod wieczór spostrzegłem izbuszkę przy kępie brzeziny i osiki. To było znakiem, że nie będzie w pobliżu kołchozu i w niej postanowiłem przeno-cować. Na drugi dzień w południe dotarłem do Kurganu. Miasto wywarło na mnie przyjemne wrażenie. Pczułem się jakbym był w Zamościu lub Grodnie. Większość domów było murowanych, z pięknymi fasadami. Niektóre miały tarasy i balkony obudowane artystycznymi białymi balkonami. Budynki drewniane widziałem tylko na przedmieściu. W centrum miasta wokół brukowanego placu stały budynki z podcieniami i pasażami, gdzie widoczne były sklepy, ale bez żadnych towarów. Wszędzie świeciły pustki.

Ledwo znalazłem hotel, w którym doatałem nocleg i porządnie wykąpałem się w kamiennej wannie, a potem wyparzyłem się gorącą parą w prawdziwej łaźni. Po takiej kąpieli stałem się normalnym człowiekiem, zdolnym do myślenia i snucia dalszych planów w swojej upartej wędrówce. W sąsiedniej restauracji dostałem dwa razy zupę za trzy ruble, chociaż wprawdzie rzadką, ale sucharami głód odpędziłem i czułem się dobrze.

Kurgan jest położony na magistrali kolei transsyberyjskiej Czelabińsk-Kurgan-Pietropawłowsk-Omsk-Nowosybirsk-Władywostok. Z zazdrością spoglądałem na pociągi idące w tym kierunku, ale bez przepustki i delegacji służbowej nie mogłem z nich skorzystać.

Przy każdym wagonie stała konduktorka i nie pozwalała wejść do środka bez okazania wymaganych dokumentów, chociaż wagony były puste. Musiałem liczyć tylko na własne nogi.

Z Kurganu miałem jeszcze do pokonania drogę przez step, przeszło czterysta kilometrów. Pierwszą większą miejscowością, do której zmierzałem było Lebiaże, miasto w większości zamieszkałe przez Kazachów. Nie popasałem w nim długo. W małej jadłodajni na przedmieściu kupiłem za dwa ruble drewnianą miskę ciepłej polewki, która z sucharami dobrze mnie pokrzepiła i udałem się dalej. Po drodze ciągle spotykałem ludzi o płaskich nosach i wystających policzkach. Jednego dnia przed południem przybyłem do kolchozu o nazwie "Wesoły Trud". Była to duża osada. Zobaczyłem domy z chrustu połączonego gliną i budynki murowane, a nawet kilka piętrowych z grubych okrągłaków, jak w tajdze. W jednym w największych budynków z wysokim podcieniem mieścił się Sielsowiet, posterunek milicji i zarząd kolchozu. W osadzie znajdowała się także Okręgowa Baza traktorów i maszyn rolniczych. Cały jej park maszynowy widoczny z daleka stał na dużym placu ogrodzonym wysoką siatką. Zaraz przy wejściu do osady spotkałem Kazacha, który mi powiedział, że jest to stare osiedle kazachskie, a Rosjanie są tu urzędnikami i pracownikami bazy maszynowej. Muzułmanie mają duży meczet, ale nie wolno się w nim modlić. "Roski zamienili go na magazyn zbożowy" - mówił ze smutkiem.

O stosunkach w tej osadzie dowiedziałem się więcej w lepiance rodziny kazachskiej, gdzie odpocząłem i kupiłem litr świeżego mleka. Po pożegnaniu gospodarzy znalazłem się na szerokim placu w środku osady. Była tam wielka studnia z kółwrotem, przy której rozmawiało po swojemu kilka kobiet kazachskich, a obok nich kilkoro dzieciaków chlapało się w dużej

Kałuży. Postanowiłem - przed czekającą mnie dłuższą podróżą - zanurzyć twarz w wodzie w korycie, bo słońce coraz bardziej dogrzewało. Po zanurzeniu głowy zabrałem się do rozczesywania włosów na głowie i brodzie grzebykiem, kiedy przedemną stanął młody, krępy Rosjanin bez lewej ręki i zaczął mnie oglądać ze wszystkich stron, obchodząc dookoła. Był tylko w spodniach i rozpiętej koszuli koloru ceglastego z krótkimi rękawami. Najbardziej rzucał się w oczy świeżo zagojony kikut wystający z koszuli. Wszystko to wyglądało bardzo szokująco, niecodziennie.

Po dłuższej lustracji odezwał się wreszcie: chcę kupić twoją marynarkę. Popatrzyłem na niego zdziwiony i odrzekłem spokojnie: czy nie widzisz, że jestem w podróży? Jak w takiej sytuacji mogę zostać bez marynarki. Zobacz zresztą - jest znoszona - mówiłem. Ale on na to odpowiedział: nie szkodzi. Odprasuje się i będzie jak nowa.

Po chwili milczenia powiedział zdecydowanie: muszę ją mieć. Tu cena nie ma znaczenia - powiedz, ile chcesz?

Nieco już zirytowany powiedziałem: mówiłem ci, że ta marynarka nie jest na sprzedaż. I chciałem już odejść. Wówczas on chwycił mnie za ramię mówiąc:

- radzę ci nie zaczynać ze mną. Dam ci za nią tysiąc, a jeśli taka będzie twoja wola - to i dwa tysiące rubli.

Były to naprawdę wielka suma zważywszy, że pensja dobrze zarabiającego pracownika - miesięczna najwyższa pensja - nie przekraczała trzystu rubli. On nadal nie rozumiał tego, że w mojej sytuacji ruble nie miały żadnego znaczenia. Dlatego znów stanowczo mu odpowiedziałem:

- marynarki za żadne pieniądze nie mogę ci sprzedać, bo jest

tem w podróży.

Następnie oderwałem jego rękę z ramienia i odskoczyłem w bok zastanawiając się jednocześnie - jak tu odzepić się od tego łobuza z tym odrażającym kikutem.

- Słuchaj, Polaku - wrzasnął - ze mną nie wygrasz i dalej nie pójdziesz. Ty nie wiesz - kto ja jestem.

I już nieco cichszym głosem mówił:

- zaczynasz wojnę z naczelnikiem bazy, oficerem Krasnej Armii, gierojem Sowieckiego Sojuza, ordieronoszcem sześciu orderów wojennych zdobytych w obronie radzieckiej ojczyzny. Na wojnie straciłem rękę.

I zaczął potrząsać mi swoim kikutem przed nosem.

- A kim ty jesteś? - wołał.

Stojące obok kobiety szeptały coś między sobą w niezrozumiałym dla mnie języku. A ten - nadal podniesionym głosem krzyczał:

- No, powiedz Polaku - kim ty jesteś? Milczysz? To ja ci powiem: jesteś obrzydliwym kapitalistą, wyzyskiwaczem i krwiopijcą, a do tego faszystowskim szpionem. Jutro mogłeś być u mnie na weselu, bo właśnie żenię się z Nataszą - córką samego naczelnika milicji. Do tej marynarki - to wskazywał na mnie - będą przypięte moje ordery - krzyczał.

Następnie zwrócił się do stojących obok kobiet: powiedzcie babuszki; czy do koszuli mogę przypiąć tyle orderów? A ten sukinsyn Polak odmawia mi drobnej przysługi. Mnie - gierojowi Sowieckiego Sojuza. I zaczął bić się ręką w piersi.

Kobiety wtuliły głowę w ramiona, nic się nie odzywały tylko bojaźliwie spoglądały na siebie.

Nagle rozejrzał się po placu, jakby kogoś wypatrywał i powiedział do mnie:

- pójdziesz do tiumry. A wy babuszki - uważajcie - gdzie ten szpion będzie próbował uciekać. Ja tymczasem pobiegnę po Mikołę.

Kiedy zniknął za najbliższym budynkiem - kobiety zaczęły mówić jedna przez drugą:

- uciekaj Polaczka, bo przepadniesz. To są zbójnicy. Oni robią co chcą. Oni tu rządzą. On pobiegł po swego komendanta milicji - zaraz tu będą. Uciekaj tym zaułkiem na zachód. Tam na łąkach stoją stogi słomy i siana, w których koniecznie się ukryj. My natomiast powiemy, że ty uciekłeś w step na północ.

Nie miałem nic do stracenia. Usłuchałem ich rady i już po paru minutach byłem między stogami. Obok stały puste zabudowania i jakieś szopy kołchozowe. Zagrzebałem się w słomę z widokiem na odkryty step. Wyciągnąłem się swobodnie i czekałem na dalszy bieg wypadków. Rozmyślałem w ten sposób: chcąc znaleźć mnie w kilkunastu stogach - trzeba by do tego zaangażować kilkunastu ludzi. A moi prześladowcy - jak myślałem - nie dysponują taką ilością ludzi.

Mimo napięcia i grozy sytuacji nie byłem tyle wystraszony co ostrożny. W dodatku Kazachska ludność była wyraźnie po mojej stronie. Siedziałem dość długo ukryty w stogu w pozycji półleżącej. Słońce już dochodziło południa. W pewnym momencie, kiedy już poczułem się dobrze wypoczęty - chciałem chyłkiem wydostać się na step, aby zatoczywszy wielkie koło na wschód udać się do miejscowości Makuszyno.

I nagle usłyszałem tętent koni. Po którejś chwili zobaczy-

łem dwóch jeźdźców na spoconych szkapach. Przodem jechał mój znajomy bez ręki. Za nim podążał ryży drab z gołą głową w rozchełstanej koszuli przepasanej pasem ze zwisającą kaburą naganą. Zatrzymali się opodal mnie, rozglądali się na wszystkie strony i rozmawiali: "Za późno dorwaliśmy koni-mówił gieroj bez ręki- uciekł cholera, daleko w step i u zaszył się w trawach jak lisica. A prżklęty Palak, a byłem pewny, że dostanę tę marynarkę. I pomyśl tylko Nikoła, za darmo, całkiem za darmo- i dalej narzekał- krew mnie zalewa na samo wspomnienie mojej głupoty. Miałeś rację Nikoła, że trzeba mi było trzymać go przy studni i wołać pomocy. Byłby mój. Ślad by po nim zaginął, był ną pewno faszystowskim szpionem, a takich drani musimy likwidować bez litości" pienieł się ze złości.

"Nie martw się Kola- pocieszaj go ryży z naganem-będziemy żyli i bez tego parszywego Polaka. Ważne, że żenisz się z moją Nataszą, a na wesele pożyczę ci moją rubaszkę. Do niej przyniesz medale i będziesz wyglądał jak generał. Teraz musimy dobrze odpocząć. Wszystkie gnaty mnie bolą" narzekał komendant milicji.

Muszą was boleć dranie- myślałem- jazda po rozpalonym stepie i to na oklep nie sprawia przyjemności. "Jedziemy do mnie- powiedział Nikoła- mam butelkę prawdziwej gorełki, to nam ulży, a sukinsyn Polak niech zdechnie na stepie". Do ich odjeździe przesiedziałem spory kawał czasu, aż słońce przechyliło się na stronę zachodnią, po czym wysunąłem się na step i trawami wyszedłem do gościńca za tym kołchozem o pociągającej nazwie: "Wesoły Trud".

Jednego dnia w skwarne południe mijałem kilkanaście lepianek, przy których stały duże piramidy z cegiełek

kiziaku. Byłem bardzo wyczerpany i mocno spragniony. Z radością zauważyłem na jednym podwórku starego Kazacha układającego nową pryzmę z tego oryginalnego opaku. Podeszedłem do niego i po przywitaniu poprosiłem o wodę. Jakie było moje zdziwienie, kiedy od razu powiedział: "Witaj Polaczka, widzę, że jesteś zmęczony, zajdź do mojej chaty i odpocznij". W szerokiej izbie ze skórą baranią pośrodku, podsunął mi stołek, a sam natychmiast zapalił prymus i przygotował ziołową herbatę. Dobrze u niego odpocząłem i odchodząc wyraziłem mu swoją wdzięczność mówiąc: "Długo jestem w podróży, bo idę aż z tajgi do Pietropawłowska, do swoich nigdzie nie byłem tak serdecznie przyjmowany jak u was w Kazachstanie. Jesteście bardzo mili i szczerzy ludzie". Na to stary Kazach uśmiechnął się i odpowiedział: "Skromna była moja gościna, bo sam mam mało. Dawniej miałem wielkie stado baranów i każdemu gościowi zarzyłem tłustego barana. Tylko czajem mogę częstować. Allah jednak widzi nasze serca, bo pamiętamy słowa Koranu. Jeśli do ciebie przyjdzie nieznajomy i poprosi, żebyś go przyjął pod swój dach, ugość go a znajdziesz łaskę w oczach Allacha.

Kiedy wychodziłem z jego podwórka usłyszałem: "Niech Allah ma cię w opiece Polaczka". Nie zapomniałem słów z Koranu i często myślałem - jak to byłoby pięknie, żeby w naszej religii znalazły się takie wskazania.

W kołchozach, przez które przechodziłem na wszystkich podwórkach wyrabiano opak tzw. kiziaki. Mężczyźni i kobiety za pomocą łopat i nóg miesili gnój bydlęcy i owczy z pociętą słomą na ciastowatą masę, z której wyrabiano gegielki podobne do torfu i układano je w przewiewne pryzmy do suszenia. Po kilka piramid takiego wysuszonego kiziaku stało koło każdego obejścia. Domy mieszkalne, a raczej lepianki budowane

były z gliny, chrustu i darniny—nędznie to wyglądało, ale Kazachowie często się uśmiechali, widocznie czuli się dobrze w swoich zagrodach.

Z noclegami nie miałem kłopotu. Zazwyczaj pytano mnie na podwórku, czy Polaszka? Odpowiadałem, że Polaszka. Wtedy uśmiechano się do mnie całą szeroką gębą, aż płaski nos jeszcze bardziej przylegał do twarzy i zapraszano do chaty, gdzie częstowano czajem ziołowym. Często mówili: "Ruska nam wszystko zabrali. To były nasze stepy i nasze barany. Zarzynaliśmy barana, gdy do nas przybył gość, a teraz nie mamy nic i częstujemy tylko czajem".

W jednej miejscowości już za miastem Makuszyno, zaszedłem do większego obejścia pod wieczór, prosić o nocleg. Powiedziałem, że jestem Polaszka i idę do swoich w Pietropawłowsku. Okazało się, że trafiłem do rodziny, z której wywodzili się Muzłowie i miejscowa ludność darzyła ją dużym szacunkiem. Przyjęto mnie bardzo uprzejmie. Stary Kazach z siwą brodą i wąsami zaprosił do swojej chaty. Zasadniczo trudno powiedzieć, że miał brodę i wąsy, bo w miejscu brody i wąsów zwiślało po każdej stronie po kilkanaście długich włosów. Jak się później dowiedziałem każdy prawowierny Kazach już za młodu ma powyrywane z cebulkami niepotrzebne włosy na twarzy, po zostawiając do hodowli tyle, ile wymaga religia muzulmańska. Dostojnie wyglądający starzec wprowadził mnie do dużej izby wysłanej dywanami i skórami owczymi ze strzyżoną wełną. Za przykładem gospodarza przy progu zdjąłem buty, na środku pokoju stał okrągły duży stół, ale bardzo niziutki, najwyżej 30 cm wysoki i więcej żadnych mebli nie było. Za to całe ściany zawieszono makatami i ładnymi skórami o różnej długości wełny.

Po pewnym czasie weszła starsza kobieta i cztery młode. Gospodarz przedstawił: "Polaszka, poznaj je, to jest moja żona i synowe. Ich mężów Ruska zabrali na wojnę, zostały u mnie z małymi dziećmi". Nie czekaliśmy długo. Dwie synowe przyniosły z dalszego pomieszczenia trzy czubate miski placzków kukurydzianych i dzbanek roztopionego łożu baraniego. Przyniosły także duży czajnik z wrzątkiem oraz gliniane kubki malowane na niebiesko. Gospodarz podszedł do drzwi, przy których wisiał czajnik z wodą nad szrołą miednicą. Umył ręce i tósamo mnie zaproponował, co chętnie uczyniłem. Potem naleł do kubka wody i popłukał usta, wykonał kilka pokłonów w kierunku drzwi szepcząc modlitwę i poprosił wszystkich usiąść do stołu. Cała rodzina usiadła w kucki na skrzyżowanych nogach, a mnie posadzono przy gospodarzu na maleńkim stołeczku. Zaraz też weszło pięcioro większych dzieci - trzech chłopców i dwie dziewczynki oraz dwoje ledwie chodzących. Gospodarz dał znak do rozpoczęcia posiłku, wtedy każdy brał palcami placek, maczał w garnku łożu i zajadał. Pierwszy placek gospodarz umoczył w łożu, ugryzł kawałek i mnie podał do ust. Tak postępował kilkakrotnie, a ja za każdym razem uprzejmie mu dziękowałem. W końcu i ja zdobyłem się na odwagę. Ugryzłem kawałek swego placzka i podałem gospodarzowi do ust, który z wielkim zadowoleniem zostawił mi za ledwie resztkę w moich palcach.

Cała rodzina była ubawiona moim wyczynem i wtedy wszyscy śmiejąc się zajadali na własną rękę, aż po palcach lój ściekał. Po tłustych placzkach otrzymaliśmy ziołową herbatę z mlekiem i obiad z kolacją był skończony.

U tych gościnnych Kazachów nocowałem na wełnistych skórach baranich. Leżąc na jedwabistej wełnie wyobrażałem łożo sułtana, który nie mógł zażywać większej przyjemności ode mnie.

W dowód wdzięczności za taką gościnę oddałem kobietom trzy kolorowe chusteczki. W rozmowie z gospodarzem dowiedziałem się, że jeszcze wczesną wiosną było dużo Polaków w tej okolicy a szczególnie w Pietropawłowsku i wszyscy wyjechali daleko na południe aż do Persji. Byłem zdziwiony tą wiadomością i sądziłem, że gościnny Kazach pomylił się zaskłyszane wiadomości, ale za parę dni przekonałem się o jego słuszności i poznałem gorzką prawdę.

Od samego rana w upalnym słońcu posuwałem się do przodu. Przeważały czas nie spotkałem strumyka z wodą, a usta miałem spieczone i ledwie poruszałem językiem. Pocieszałem się nadzieją, że już niedaleko do celu. Jeszcze jakieś 70 kilometrów, co to znaczy w porównaniu z tysiącem, a może i dużo więcej, które już przebyłem. Muszę i te resztę pokonać - mawiałem sobie na głos.

Tymczasem słońce chyliło się ku zachodowi. Wiadziałem, że przed nocą nie dojdę do kazachskiego kołchozu Ułan ~~Dike~~. Przepuszczalnie byłem od niego około 15 do 20 kilometrów. Zacząłem rozglądać się po stepie za izbuszką kołchoźników, ale nic nie zauważyłem. Po pół godzinie spostrzegłem na prawo wielki kierdel owiec, a z boku przy szalasi dym. Uradowany skręciłem z drogi i zmierzałem wprost do pastuchów. Nawet nie pytali, czy jestem Ruska. Od razu stary Kazach zawołał: "Witaj Polaszka. Skąd i dokąd cię Allach prowadzi? Po przywitaniu z dwunastoma przysadzistymi pastuchami, powiedziałem im: "Przyjmijcie mnie dobrzy ludzie na noc. Jestem Polakiem i bardzo zmęczony. Idę aż z Kurganu do Pietropawłowska, do swoich".

Dziwięciu z nich było w starszym wieku, ale bardzo energiczni, poruszali się w podskokach jak chłopcy. Trzech

młodych siedziało przy ognisku z cegiełek. Trzymali strzelby na kolanach. Trzy nich przycupnęły - spoglądając na mnie - cztery owczarki kaukaskie. Swoim wyglądem były bardzo podobne do wilków stepowych. Z boku szałas krytego skórą - były owce i owce. Jak się później dowiedziałem - w tym stadzie znajdowało się ponad pięćdziesiąt tysięcy sztuk. Były tu wszystkie odmiany kurduki. Każda owca u nasady ogona miała zgrubienie podobne do dzbanka odwróconego szyjką do dołu. W tym zgrubieniu - zbiorniku był sam łój. Opiekunowie tego stada mówili mi, że każda stuka daje z tego zbiornika od pięciu do ośmiu kilogramów łaju. Kiedy owca porusza się, jej cały zad wraz ze zbiornikiem łaju podskakuje jakby był na sprężynie.

Nie mogłem się wprost nadziwić temu zjawisku, z czego Kazachowie byli bardzo ubawieni. Tłumaczyłem im, że w Polsce nie ma takich baranów.

Na kolację zostałem uraczony kaszą jaglaną pokrajaną w plasterki i tak mocno okraszoną łojem, że poszczególne kawałki pływały w tłuszczu. Następnie piliśmy herbatę ziołową. Była tak aromatyczna, że od tego zapachu dostałem zawrotu głowy jak po dobrej wódce. Kolor napoju był ciemno - czerwony. Zagryzaliśmy plackami kukurydzianymi prosto z patelni, które maczaliśmy w roztopionym łaju. Łój był nalany do szerokiej, glinianej miski. To wszystko bardzo mi smakowało, chociaż herbata była bez cukru, a łój zciekał każdemu po palcach.

Słońce szybko zaszło. Trzeba było pomyśleć o spoczynku. Moi gospodarze dali mi za posłanie skórę baranią. Dawno nie wypożycywałem tak wspaniale: na miękiej skórze, przy ognisku i na świeżym powietrzu. Spałem bez żadnych majaczeń sennych, całkiem spokojnie.

Kiedy się obudziłem - słońce stało już wysoko na niebie.

Dwaj starzy Kazachowie byli zajęci rozpalaniem ogniska. Natomiast reszta pastuchów obchodziła stado daleko na stepie. Dwaj Kazachowie poczęstowali mnie na drogę kubkiem czerwonej herbaty, przy której zjadłem kawałek własnego suchara. Następnie pożegnałem się z nimi i ruszyłem na wschód. Obaj pastuchowie podnieśli za mną ręce do góry i zawołali: niech cię Allah ma w opiece, Polaszka.

A ja zmierzałem do zapowiadanego już wcześniej kołchozu Ułan - Dżuke. Pastuchy twierdzili, że po południu powinienem tam dojść. Słońce zbliżało się już do południa i grzało coraz bardziej. A ja szedłem bez przerwy, bez odpoczynku. Step dookoła był wypalony słońcem, miejscami spękany i nigdzie nie było widać ani żywej duszy. Poczujęm się bardzo zmęczony. Kiedy popatrzyłem na słońce zauważyłem - że było bardzo czerwone. Zacząłem szybko mrugać oczami. Po chwili cały step wydał mi się ~~xx~~ czerwony.

Poczujęm się niespokojnie. Pomyślałem, że może jestem chory. Odczuwałem wielkie pragnienie. Oblizywałem wargi zupełnie suche. Z trudem otwierałem usta i czułem, że nie mam czym oddychać. Brakowało powietrza. Rozejrzałem się na wszystkie strony i nagle stwierdziłem brak jakiegokolwiek wiatru. Panowała zupełnie cisza. Ani jedna trawa, ani jedna gałązka chwastów stepowych nie poruszały się.

Spadło ciśnienie - pomyślałem. Widocznie przed nocą zbierze się na burzę. Żeby chociaż zdążyć przed tem dojść do tego kołchozu - pomyślałem, a właściwie powiedziałem głośno sam do siebie. Jeśli step rozmięknie - ugrzęznę w gliniastej mazi. Już wcześniej dowiedziałem się od Sybizaków, jak gwałtowne i ulewne są burze na stepie. Z powodów bliżej mi nie znanych nagle

ogarnął mnie niepokój. W jednej niemal chwili tak osłabłem, że musiałem położyć się na wznak i odpocząć.

Zaledwie swobodnie się wyciągnąłem i zakryłem oczy dłońmi aby się odprężyć poczułem, że coś spadło mi na nogi. To coś spadło z głośnym szumem. Zanim zdążyłem oderwać dłonie i zobaczyć, co to takiego, poczułem ostry uciska na rękach i głowie. Przeraziłem się do najwyższego stopnia tym bardziej, że przecież przed chwilą dookoła mnie nikogo ani niczego nie było. W jednej chwili zerwałem się na równe nogi machając wokół siebie rękami i wówczas ujrzałem odlatujące odemnie dwa wielkie sępy. Były to sępy stepowe.

- Ach wy obrzydliwe dranie - krzyczałem - jeszcze nie tak prędko mnie pożrecie. Poczekajcie - ja wam pokażę. Ale serce moje prawie zamarło z wrażenia.

Ledwie ochłonąłem, gdy nagle usłyszałem, jak nade mną przeleciała chmura czarnych wron z łopotaniem skrzydeł i głośnym krakaniem. Napięcie moje jeszcze bardziej wzrosło, gdy zobaczyłem z boku dwa lisy, uciekające wielkimi susami za wronami. Ich kity odchylały się na boki sprawiając wrażenie, jakby płynęły w powietrzu.

Spojrzałem w lewo i spostrzegłem pięć królików pędzących za lisami. W normalnych warunkach byłby to pocieszny widok. Jednak po mojej przygodzie z sępami i widoku pędzących i bojaźliwie kraczących wron moje zaniepokojenie rosło. A już byłem w najwyższym stopniu przerażony, gdy zobaczyłem, ja potężny wilk umyka w wielkich skokach. I wszystko to zgodnie uciekało w jedną stronę: na wschód.

Po dłuższej dopiero chwili odetchnąłem i powiedziałem do siebie głośno: widocznie step się pali. Zacząłem rozglądać się

wokół siebie i stwierdziłem, że jestem w trawach, które objęte pożarem pochłoną i mnie. Ale dalej było wszędzie głośno. Step był suchy i wypalony z trawy i chwastów zjedzonych przez owce, po których prawie wszędzie leżyły gromady bobków. Zaniepokojony kręciłem się wkoło wypatrując dymu. Ale nic nie mogłem zobaczyć. Na niebie nadal stało czerwone, rozjarzone słońce. Na ziemi nadal panowała przejmująca cisza. Tylko cykanie świerszczy było tak głośne, że w tej ciszy bębenki bolały w uszach. Ja nadal stałem w miejscu i czegoś oczekiwałem. Ani przez myśl mi nie przeszło, że trzeba iść dalej.

Gdzieś po około dziesięciu minutach zauważyłem, jak na południowym zachodzie pojawiła się ciemna ściana na horyzoncie. Z daleka była zupełnie podobna do pasma sinego lasu. Ta ściana z każdą chwilą rosła, ciemniała i obejmowała coraz większy pas nieba.

Po dwudziestu minutach słońce zupełnie zniknęło i zaczęło się ściemniać jak o zmierzchu. W tym momencie zauważyłem pędzące w powietrzu całe kopy jakby siana, słomy i przeróżnych chwastów. Wszystko to w powietrzu kotłowało się, skręcało, spadało na dół i ponownie podrywało się do góry, rozpadało się na drobne cząsteczki i pędziło nade mną.

Wreszcie nastąpiła zupełna noc. Ani się spostrzegłem, jak owionął mnie ciepły pęd powietrza. Zostałem ogarnięty ze wszystkich stron jakąś siłą i porwany. Pamiętam, że machałem nogami, ale ziemi nie dotykałem. Pędziłem z kłębami traw i różnej słomy nie odczuwając ani szybkości ani kierunku. Byłem zawieszony nad ziemią. Czuję pełną pustkę bez żadnej świadomości. Dopiero gwałtowne uderzenie o jakąś zaporę czy ścianę przywróciło poczucie rzeczywistości.

-Chwycił mnie burian, cyklon stepowy - pomyślałem. Zacząłem macać rękami koło siebie. Okazało się, że leżałem w ogromnej stercie zbieraniny siana, słomy, badyli i różnych chwastów. Wiedziałem, jakie spustoszenia czyni burian na stepie. Największe szkody wyrządza samo oko cyklonu. I właśnie - jak się później dowiedziałem - wpadłem w to oko.

Po gwałtownym wstrząsie spowodowanym uderzeniem zdążyłem pomyśleć, dlaczego przy tak potężnym huraganie nie ma piorunów. Ledwie o tym pomyślałem - rozdarło się niebo i cała przestrzeń wokół mnie została oświetlona tysiącem ogromnych reflektorów. Rozległy się niesmowite grzmoty, o wiele potężniejsze, niż bombardowanie Niemców podczas naszej wywózki na Syberię. Wtedy, w wagonie zamkniętym na sztaby, przykryłem poduszkami głowy Stachny i Eli i prosiłem Boga, żeby bomba roztrzaskała nas razem. Teraz siedziałem sam, skulony i czekałem - kiedy piorun trzepnie i będzie koniec mojej udręki.

Po chwili uspokoiłem się. W świetle nieustannych błyskawic zobaczyłem, że znalazłem się na skarpie jaru na wysokości około dwóch metrów nad poziomem stepu. A pod mną pozostaje głębokość co najmniej trzech metrów.

- Pioruny uderzają zazwyczaj tylko w miejsca wyżej położone, zacząłem się pocieszać. Ponieważ jestem w dole - niczego nie powinienem się obawiać. Dobrze, że cyklon nie uderzył mną w skarpe niezabezpieczoną warstwą siana i słomy. Wtedy na pewno nie podniósł bym się więcej - pocieszałem się jak tylko mogłem.

Miałem błogą nadzieję przesiedzieć w zaciszu cały huragan, kiedy nagle lunęło z nieba. To nie była ulewa, o jakich mówimy potocznie. Z nieba spadały strumienie wody podobne do wodospa-

du spadającego z wysokiej góry. Wydawało się, że gdzieś wysoko w chmurach są umieszczone tysiące beczek i że jakaś niepojęta siła przechyliła je na mnie. Kaskady wody lały się bez przerwy przy nieustannym biciu piorunów i oślepiających błyskawicach.

Zerknąłem na oświetlony dół jaru i z przerażeniem spostrzegłem bałwany fal, coraz bardziej podnoszące się ku mnie. W tej samej chwili poczułem, jak podściółka wyrywa się spod mnie i ucieka z prądem wody. W tej ulewie poderwałem się i nie bacząc na ogłuszające pioruny i błyskawice zacząłem piąć się do góry na step. Ściana jaru zupełnie rozmiękła i wydawało mi się, że wcale nie posuwam się do góry. Byłem cały utyłtłany w mazistej glinie i ślizgałem się po zboczu jaru. A tymczasem cała moja podściółka już została podchwycona przez gwałtownie przybierającą wodę.

Wyglądałem jak potworny krab wydostający się na powierzchnię z odmentów kłębiącej się, żółtej wody. Nigdy później nie potrafiłem uświadomić sobie, jak i kiedy znalazłem się wreszcie na skraju ~~xx~~ stepu. Pamiętam jednak, że wówczas jar był już całkowicie zapełniony wodą, która już zaczynała się wylewać na wszystkie strony.

W pobliżu zauważyłem krzaki. Były to krzewy brzeziny i osiki grubości ręki. Między tymi drzewkami rosły jałowce, łożyna i jeryzyny. Chwyciłem za najbliższą brzoźkę i natychmiast ją puściłem w obawie, aby w nią nie uderzył piorun. Uczepiłem się gałęzi łożyny i tak sterczałem przyglądając się okolicy, którą mogłem nadal oglądać przy ciągłych, oślepiających błyskawicach. Już zapomniałem, że to jest dzień. Wokół mnie ciągle była noc z nieustannym hukiem piorunów. Na miejscu jaru powstał rów

z kłębiącą się wodą. Początkowo woda sięgała mi do kostek. Po paru minutach poziom podniósł się do połowy łydek i wody było coraz więcej.

Nadal trzymałem się krzaka i myślałem: o Boże - czy to tak wygląda potop? Czy mnie napewno zatopi? Jak się z tego wyratować? Już się nieco przyzwyczaiłem do tego otoczenia, nie czułem strachu i próbowałem rozumować. Przecież taki cyklon nie może objąć całego, ogromnego stepu. Taka trąba powietrzna mknie po określonej przetrzeni, a więc jest to zjawisko lokalne i wady muszą opaść po przejściu tego niesamowitego huraganu. Kiedyś to się skończy.

Po tych przemyśleniach poczułem się lżej. Drżąc w wodzie przyglądałem się temu niesamowitemu zjawisku, które mnie tu spotkało. Przez cały czas czułem się tak, jakby we mnie siedziało dwóch "ja". Jedno "ja" jakby mnie usiłowało nastraszyć a drugie mnie pocieszało.

A tymczasem nadal nieustannie lało, a pioruny waliły niemal bez przerwy. Żółta woda sięgała już moich kolan. Byłem oblany ogromnym morzem. Na skutek podnoszenia się poziomu wody brzoźki i osiki jakby się zmniejszyły. Jałowce i inne krzewy stepowe były widoczne od połowy, a niektóre mniejsze znikły zupełnie.

Już kilkakrotnie próbowałem chwycić się za brzoźkę, ale natychmiast puszczałem w obawie przed uderzeniem pioruna. I dalej stałem - skulony, trzymając się krzaka łoziny. A tymczasem ten pierwszy "ja" szeptał mi do ucha: tak, za dużo chciałeś, teraz nadszedł twój koniec w tym potopie. Wody cię pochłoną i nie wiadomo - dokąd zanoszą. I w ten sposób nikt nigdy się nie dowie, w jakich okolicznościach i gdzie zginąłeś. A Stachna i maś

że dziewczynki czekają na mnie. Na myśl o moich najbliższych zrobiło mi się słabo. Nogi w kolanach zaczęły drżeć. Tylko się woli powstrzymywałem się, żeby nie usiąść w wodzie. Woda była wystarczająco głęboka, aby utonąć.

Myślałem: tym razem doszedłem do kresu. Nikt nie wie o mnie, że tu jestem; jedynie Pan Bóg i święty Krzysztof. Kiedy przypomniałem sobie o świętym Krzysztofie, od razu zacząłem go prosić o pomoc i opiekę. Zetknąłem się z tym świętym w dzieciństwie, kiedy to w czasie kolędy otrzymałem od księdza obrazek z jego wizerunkiem. Na obrazku widniał potężny mężczyzna w koszuli przepasanej sznurkiem, z gołą głową i brodą sięgającą pasa, był zanurzony po kolana w rwącej rzece. W jednej ręce trzymał potężny kij, a na drugim ramieniu trzymał małego chłopczyka i coś obaj do siebie mówili. Obrazkiem tym byłem ogromnie zafascynowany do tego stopnia, że zaraz po wyjściu księdza pobiegłem do babci Maryli prosząc, aby mi powiedziała, o czym to tak rozmawiają święty Krzysztof z tym małym chłopczykiem.

Babcia wyjęła z szafki książkę o wszystkich świętych i przeczytała mi: święty Krzysztof jest patronem podróżnych. Za swego życia przenosił ludzi przez wielką rzekę. Pewnego razu przyszedł do niego mały chłopiec i poprosił o przeniesienie go na drugi brzeg rzeki. Kiedy znaleźli się na środku rwącej rzeki - święty Krzysztof poczuł nagle wielki ciężar tego chłopca. Zdziwiony zapytał go: dlaczego jesteś taki ciężki? Nikt z dorosłych nie sprawiał mi tyle trudu. A chłopczyk odpowiedział: bo widzisz Krzysztofie, ty teraz dźwigasz cały świat - powiedział chłopczyk.

Wówczas święty zrozumiał, że przenosi pana Jezusa.

Opowiadanie babci utkwilo mi w pamieci na cale zycie. Teraz - w krytycznym momencie - zwróciłem się o pomoc do tego świętego. I dziwna rzecz: poczułem się lepiej. Do głosu doszedł ten drugi "ja". Moimi ustami mówił na głos: niem martw się. Burian musi ustać. Wody spłyną jarami do rzek. Gdyby wody bezustannie przybywało, musiała tu by być jakaś niecka w postaci jeziora. A to nie jest możliwe, bo ziemia może zapaść się tylko po trzęsieniu. A tego przecież nie było. Miej ufność. Coś mi mówiło do ucha: Bóg da, burian przejdzie, woda opadnie i będzie uratowany.

Podniosłem się, aby chociaż na chwilę rozprostować zdrtwiałe kolana i spojrzałem na zachód. I uradowałem się: O Boże i święty Krzysztofie - tam na horyzoncie widać pasemko jasnego nieba.

W tej chwili grzmoty zaczęły oddalać się na wschód. Zrobiło się jaśniej do tego stopnia, że już bez błyskawic widziałem całą okolicę. Po następnych dwudziestu minutach zobaczyłem słońce, a na wschodzie uciekającą, czarną noc.

Chwyciłem za brzoškę i pociągnąłem mocno chcąc upewnić się, czy jej korzenie mocno tkwią w rozmięklej ziemi. Chciałem na tym drzewku wysuszyć ubranie. Następną myślą było sprawdzenie, w jakim stanie zachował się mój jedyny dokument. Wyciągnąłem maleńki pakiecik spód pachy wewnątrz marynarki, który był zgwinięty w kawałek ceraty i pieczołowicie go rozwinąłem. - O Boże, westchnąłem z ulgą: papier i trzydzieści dwa ruble były suche. Z radością odczytałem treść po rosyjsku: Wiktor Kozłowski Karłowicz ur.... administrowan jak polskij grażdanin, może przebywać we wszystkich wsiach i pasiołkach i innych osadach oprócz miast wydzielonych Związku Radzieckiego.

Tu następowały podpisy i pieczęcie władz NKWD. Byłem uradowany. Bez tego papierka w żaden sposób nie mógłby udowodnić, że nie jestem faszystowskim szpiegiem czy dezertorem z Krasnoj Armii.

Wody zaczęły opadać. Ich poziom sięgał już tylko do połowy łydek. Wówczas szybko zająłem się praniem umarusanego w glinie ubrania. Następnie wszystko rozwiesiłem do wysuszenia na brzoźce. Kiedy poszczególne części ubrania zaczęły parować na grzejącym słońcu, na upranych rzeczach pokazały się przeróżne plamy o odcieniu stepu. W ten mimowolny sposób przystosowywałem się do otoczenia jak kameleon. Jedynie spodenki, które mi uszyła Stachna ze starych kaleson były w całości rude. Inne rzeczy były różnokolorowe.

Umyłem się, złamanym grzebykiem uczesałem się /włosy na głowie i brodzie/ i w ten sposób nieci upodobiłem się do człowieka. Woda wówczas sięgała już tylko do kostek. Jar obok był teraz rwącą rzeką.

Rozejrzałem się po krzakach i zauważyłem na wysokiej kępie zmokłego liska, a obok niego zmokłego królika z obwisłymi uszami. Podeszedłem do nich i wyciągnąłem rękę do lisa, ale ten natychmiast pokazał mi swoje ostre zęby. Natomiast jego towarzysz nie bronił się. Bez sprzeciwów pozwolił, abym go pogłaskał. Gdy się wyprostowałem - obydwa zwierzątka porwały się i szybko znikły w pobliskich krzakach.

Pomyślałem, że wielkie niebezpieczeństwo ich złączyło. A teraz, gdy może kiedyś spotkają się na stepie w normalnych warunkach - czy wtedy lisek daruje życie królikowi? Chyba nie. I ze smutkiem wróciłem do suszącego się ubrania.

Mój cały majątek - skromna ilość sucharów oszczędzanych

każdego dnia - zmiękły na papkę, którą odrazu zjadłem. Kilka sztuk utrzymało się cało. Położyłem je na gałązkach do przeschnięcia i ostrożnie włożyłem je do kieszeni. Miały mi służyć na dalszą drogę.

Słońce przechyliło się zdecydowanie na zachodnią stronę. Trzeba było myśleć o dalszej podróży. Przed nastaniem nocy musiałem dotrzeć do kołchozu, bo teraz, na rozmiękłym stepie o noclegu nie mogło być mowy. Na mokrej ziemi w chłodną noc i to w dodatku bez jedzenia - z całą pewnością byłoby po mnie. To było zbyt ryzykowne.

Najpierw musiałem ustalić moje położenie. Najważniejsze było umiejscowić ten zbawczy kołchoz na wielkim, kazachskim stepie, na którym przecież nie było drogowskazów. Wiedziałem, że mój gościniec prowadził z zachodu na wschód. Ale nie wiedziałem, jak dalego zostałem zniesiony przez cyklon w głąb stepu. Zacząłem rozumować: burian uderzył we mnie z południowego zachodu. Tym samym zostałem zmieciony na północny wschód. Aby teraz trafić do gościńca - musiałem wyobrazić sobie, że posługuję się ekierką. Przykładam dłuższą przyprostokątną do mojego gościńca zwróconą kątem prostym w kierunku wschodnim. Po lewej stronie mam przeciwprostokątną, po której zostałem zniesiony w głąb stepu. Teraz, aby trafić na właściwą drogę, muszę udać się wzdłuż drugiej przyprostokątnej. Oznaczało to, że muszę pójść dokładnie na południe od miejsca wylądowania w jarze, który przebiegał z południa na północ.

Po namyśle zarzuciłem buty na plecy i bosy, z podwiniętymi nogawkami ruszyłem brzegiem powstałej rzeki na południe. Gdybym mógł obejrzeć swoje ślady jutro, gdy one wyschną, napewno twierdziłbym, że tędy przechodził jakiś olbrzym. Tak były wiel-

kie w rozmięklej glince stepowej. Szedłem jak po miękiej papce gumowej, z trudem odrywając od niej nogi.

Po niespełna godzinie trafiłem na wielki gościniec, okopany rowami. Nie wiedziałem, jak jest jeszcze daleko do kołchozu, ale byłem pewien, że znajduje się przedemną - na wschodzie. Pod sam wieczór zauważyłem małe, gliniane chaty, a przy nich ludzi krępych, o skośnych oczach. Niewielkie chaty były kryte darniną.

Ci, na mój widok - nie pytali jak wczoraj pasterze, czy jesteś "ruska." Jeden z nich na mój widok zawołał: O, Allach, przybył do nas ze stepu Polaszka. Wyglądałem mizernie, z butami przewieszonymi przez ramię. W dodatku byłem umazany po kolanach gliniastym błotem.

Po przywitaniu otrzymałem półwiaderka wody. Umyłem się na podwórku i założyłem suche buty. W tym momencie poczułem się jak normalny człowiek. Przeżycia z ostatnich kilku godzin stały się jedynie przykrym wspomnieniem. Reszty dopełniła ciepła herbata z plackami. Mogłem z ludźmi swobodnie rozmawiać. Kazachowie - na mój widok wołali: O - Allach, Allach, jesteś wielki. Wyprowadziłeś Polaszkę z samego oka cyklonu. Rzadko kto wychodzi z tego żywy, gdy go porwie trąba powietrzna. Oko cyklonu rozbija wszystko na stepie. Stada bydła i owiec stają się jego ofiarą. Cyklon na swojej drodze wszystko zmiata. Podnosi do góry i ciska o step - opowiadali ze strachem moi rozmówcy. Nasz kołchoz chwyciło tylko bokiem, a i to przeżyliśmy grozę. A ty - Polaszka, miałeś wielkie szczęście. Wielkie szczęście i łaski Allacha miałeś, że do nas trafiłeś zdrów i cały. Miałeś wielkie szczęście.

I spoglądali na mnie z podziwem, że miałem takie szczęście.

Sen na owczych skórach miałem niespokojny. Śniłem, że płynę w żółtej wodzie, a z kłębiących się bałwanów wystaje mi tylko głowa. Nie widzę brzegów tylko dookoła wodę.

Po trzech tygodniach nieustannego marszu doszedłem wreszcie do Mamlutki. Była to ^{po}statnia większa miejscowość pod Pietropawłowskiem. Zaraz za tym miasteczkiem, na wielkiej przestrzeni zauważyłem mnóstwo kolorowych namiotów. W pierwszej chwili sądziłem, że to jakaś baza cyrkowa, bo tych ogromnych kopuł stało tysiące. Dopiero napotkany Kazach wyjaśnił mi, że są to namioty amerykańskie, pod którymi przechowywano podobno pomoc dla Krasnoj Armii. Wielkie ilości żywności i innego zaopatrzenia dowożono z Ameryki do Murmańska, skąd już samolotami ^{do} bazy w Mawluce. Z tych magazynów także delegatura ambasady polskiej w Pietropawłowsku rozdzielała dary amerykańskie w postaci żywności, ubrania Polakom na całej Syberii. Pod Pietropawłowskiem byłem już po południu, ale wielka rzeka Iszyn zagrodziła drogę do miasta. Przeszło dwie godziny trzeba było czekać na prom z przeciwnej strony. Stolica Kazachstanu to miasto zupełnie niepodobne do Kurganu. Ulice bardzo szerokie, nie brukowane z głębokimi koleinami po samochodach ciężarowych, bez żadnych chodników po bokach. Sprawiały niemiłe wrażenie.

Po obu stronach ulic stały niskie domy, przy których nigdzie nie zauważyłem jakiegoś trawnika lub ogródka, tylko dzikie krzewy i karłowate akacje. Całe miasto wyglądało jak szeroka osada rozrzucona na pustyni.

Bez trudności dopytałem się o polskie przedstawicielstwo, ale kiedy doszedłem do posesji z kilkoma budynkami zajętymi przez delegaturę, drzwi były już zamknięte na klucz,

a urządowanie rozpoczynało się o ósmej rano, co przeczytałem na tabliczce.

Byłem głodny, bo wszystkie suchary skończyły się. Jedyne trochę okruszyn znajdowało się w kieszeniach. Zacząłem rozglądać się za jadłodajnią i na głównej ulicy trafiłem na piękny, nowoczesny budynek z podcieniami i dużymi lampionami od ulicy. Na wielkim kolorowym szyldzie widniał napis: "Restaurant". Po szerokich schodach wszedłem do środka. Wzdłuż długiej sali prowadził czerwony, szeroki chodnik obstawiony palmami w drewnianych pojemnikach. Po obu stronach w czterech rzędach stały stoliki. Kilkadziesiąt osób zajmowało miejsca, jedząc tylko zupę w własnym chlebem. Po prawej stronie stała długa kolejka za łyżkami, a po lewej druga, gdzie przez małe okienko wydawano zupę.

Stanałem po łyżkę na końcu kolejki. Po pewnym czasie zapłaciłem dziesięć rubli kaucji za łyżkę wystruganą z drzewa i trzy ruble za zupę. Na co dostałem numerki. Przeszedłem do drugiej kolejki, otrzymałem porcję zupy w drewnianej misce. Nie dopatrzyłem się w niej żadnej zawiesiny, ale z polewki wystawał jeden kartofel. Zająłem wolny stolik przy chodniku i zacząłem wybierać z kieszeni okruszyny sucharów, żeby zagęścić nimi swoją zupę. Kiedy miałem głowę schyloną nad kieszenią, zauważyłem kątem oka rękę, która chwyciła mój kartofel z miski i gdy się obejrzałem bosy wyrostek pakował do gęby i jednocześnie wiał chodnikiem na dwór. Siedzące obok kobiety widziały to zajście i głośno krzychały: "Dzierżi chuligana, dzierżi chuligana"! A ja pomyślałem tylko - o, Boże, daj mi wrócić do Polski i opowiedzieć, jak żyją dzieci w komunistycznym raju.

Przenocowałem w zajeździe na przedmieściu i na drugi

dzień witałem posła pana Matusiewicza. Dwa tygodnie przybyłem za późno. W tym czasie Sowieci rozpoczęli gwałtowną propagandę w gazetach i przez radio przeciw Rządowi Polskiemu w Londynie. Niemcy odkryli masowe groby polskich oficerów w Katyniu i oskrzyli o te zbrodnie sowieckich oprawców.

Władysław Sikorski zarządał dochodzenia przez ^{dowy} ~~Radkynaro~~ Czerwony Krzyż, ale Stalin nie zgodził się i tów końcu wystarczyło do zerwania stosunków z polskim rządem.

Równocześnie gen. Anders wyprowadził polską armię na Bliski Wschód i wszelkie kontakty z pozostałymi na Syberii Polakami przepadły. Kilkanaście osób personelu delegatury musiało wyjechać zaledwie przed tygodniem do Iranu. Likwidacją placówki dyplomatycznej w Pietropawłowsku zajął się poseł pan Matusiewicz i dwie panie.

Mój Kazach spod Mamlutki miał zupełną rację mówiąc, że Polacy wyjechali do Persji. Wszyscy trójce przejęli się naszą sytuacją. Starali się pocieszyć, chociaż nie osiągnąłem zamierzonego celu, mimo tak ogromnego wysiłku. Jedzenia było pod dostatkiem, przeważnie różnych konserw. Tylko chleba otrzymywano na kartki. Wielkie magazyny z odzieżą i żywnością pod Mamlutką, wydzielone dla Polaków nie były jeszcze przejęte przez władze radzieckie i delegatura mogła rozporządzać według uznania darami amerykańskimi. W pierwszym rzędzie otrzymałem czystą bieliznę. O ubraniu i butach nie mogło być mowy, bo w zaistniałej sytuacji musiałem niezwłocznie wracać do rodziny i po drodze wyglądać jak Sybirak.

W ciągu parudni pan Matusiewicz kilkakrotnie chodził do miejscowego NKWD z prośbą o wydanie mi zezwolenia na przejazd koleją do Tiumentia. Niestety, niczego nie osiągnąłem. Z początku odkładano decyzję, a w końcu powiedziano mi wprost - wasz

Polak jak przyszedł, niech wraca jeśli chce. Żadnej przepustki nie dostanie. Równocześnie interesowano się kim jestem i dlaczego przybyłem do delegatury aż z Tiumentia. Na podstawie czyjego zezwolenia?

Na wspólnej naradzie doszliśmy do wniosku, że im prędzej zniknę władzy NKWD z oczu, tym lepiej, bo w każdej chwili mogłem być aresztowany pod jakimkolwiek zarzutem. Obie panie postarały się mi o suchary na drogę oraz zastanawialiśmy się, co mogę wziąć dla dzieci i Stachny z pełnych magazynów, które i tak za parę dni Sowietci zabiorą. Wiele nie mogłem brać, bo przy setkach kilometrów każde deko stawało się na plecach conajmniej kilogramem, czego już doświadczyłem niosąc tylko suchary. Mimo ogromnej chęci na różne delikatesy odłożyliśmy do zapakowania parę puszek czekolady w proszku, mleka skondensowanego, trochę cukru, kilka konserw i koncentratów zup. Z odzieży zdecydowałem się zabrać do tobołka koszulę wełnianą, sweter i spodnie. Stachnie, pantofle, wełnianą sukienkę i sweter. Cały ten majątek został zawinięty w wełniany koc i włożony do tej samej poszewki z szelkami, w której uprzednio niosłem suchary.

Staraliśmy się, aby pakunek wyglądał na razówkę do pieczenia chleba. Suchary miałem zapakowane oddzielnie i przywiązane z boku do tobołka. Pamiętam, jak przydały mi się chusteczki przy różnych okazjach/teraz też poprosiłem panią o parę sztuk/które dodały mi jeszcze kilka par wełnianych skarpetek. Wziąłem tylko tyle, aby rażąco nie rzucało się w oczy, że mam kieszenie przeładowane. Byłem gotów do drogi powrotnej. Pan poseł Matusiewicz wystawił mi zaświadczenie opatrzone pieczęciami, że jestem pełnomocnikiem delegatury polskiej ambasady w Pietropawłowsku, upoważnionym do sprawowanie opieki

nad Polakami przebywającymi w rejonach Wieliżańskim i Niżnie-Tawdzińskim Omskiej Oblaści.

Na dokładnych mapach w delegaturze ustaliliśmy nową trasę powrotną. Postanowiliśmy, że będę wracał nie przez Kurgan, a wprost z Pietropawłowska przez miasto Kazanskoje do Iszymu i dalej do Tiumenia, potem do Wielizan i pięćdziesiąt kilometrów do swojego kołchozu. Była to droga znacznie krótsza od poprzedniej, ale za to miałem przewagę węglikich lasów i ogromnych bagien.

Po omówieniu trasy powrotnej z trójką pracowników delegatury i pożegnaniu z nimi odpoczywałem w pokoju gościnnym. Rozmyślałem o Stachnie i dzieciach, wyobrażałem, co ona tam przeżywa? 17 czerwca ppuściłem je, a mija już 13 lipiec. Do tej pory nie ma ode mnie żadnej wiadomości. Na pewno straciła nadzieję, że żyję. Wiedziała dobrze jak jest niebezpiecznie w czasie wojny. Grabieże i rozboje na drogach były na porządku dziennym, a brak odpowiedniego wyżywienia zawsze groził chorobą.

Tak rozmyślając dziękowałem Bogu, że ustrzegł mnie w krytycznej chwili i pozwolił szczęśliwie dotrzeć do celu. Polecałem się dalszej opatrności, abym mógł wrócić do rodziny. Siedziałem w poczekalni i przeglądałem gazety, kiedy otworzyły się drzwi i ukazał się polski porucznik. Przywitaliśmy się serdecznie i pytając wzajemnie - skąd jesteście i co słyście? Jakież było nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że jesteście obaj z białostockiego. W dodatku porucznik Piotr Roszkowski był kierownikiem szkoły w Kolnie i uczył Stachnę od klasy pierwszej do siódmej. Czuliśmy się jak bliscy powinowaci. Rozmowom i wspomnieniom nie było końca.

Kolega Roszkowski w 1939 roku dotarł przez Rumunię

do Francji, a następnie do Anglii. Tam otrzymał z kraju wiadomość za pośrednictwem AK, że jego żona i dwie córki zostały wywiezione z Kolna do Kazachstanu. Po wielu staraniach w ambasadach polskiej i radzieckiej udało mu się przyjechać do Związku Radzieckiego w celu odnalezienia rodziny i zabrania jej z Rosji.

Podobnie jak ja - przyjechał za późno. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy rządami polskim i radzieckim znalazł się w próżni. Delegatura rządu polskiego będąca w stanie likwidacji nie mogła mu pomóc.

Długo rozmawialiśmy o naszych przeżyciach i ciężkim losie Polaków, rzuconych na tułaczek w tajgę syberyjską i stepy Kazachstanu. Rozstając się z kolegą Roszkowskim - serdecznie mu współczułem. Bo chociaż sam znajdowałem się w ciężkiej sytuacji, to przynajmniej wiedziałem, gdzie jest moja rodzina. Natomiast on dosłownie nie wiedział, w którą stronę ma się obrócić, dokąd pójść.

Opuszczałem step i wracałem do tajgi. Idąc od Pietropawłowska przez kilka dni spotykałem ludność kazachską. Zawsze byłem przyjmowany z uśmiechem i życzliwością. W czasie odpoczynku w kołchozach, przez które przechodziłem, zawsze mnie częstowano mlekiem i czajem ziołowym. Innym razem jadłem placzki kukurydziane z łojem u pastuchów wielkiego stada bydła na stepie. Jednak za każdym razem Kazachowie pytali mnie - czy jestem Polakiem.

/ U nas było bardzo dużo Polaków - mówili. Bardzo dobrzy ludzie, ale odjechali daleko na południe, aż do Persji.

W ciągu czterech dni trzy razy nocowałem u Kazachów w lepiankach a tylko raz w izbuszce wśród dorodnej pszenicy. Codziennie starałem się maszerować całymi dniami i wreszcie mój

tłumoczek stał się tak ciężki - jakby był z łożwiu. Kiedy po kolejnym odpoczynku przy drodze zbierałem się do dalszego marszu - musiałem przy wstawaniu podpierać się ręką, a następnie wręcz zmuszać się do dalszego marszu.

Zbliżałem się do tajgi. W pewnym kołchozie na stepie Sybirak poradził mi, abym do miasta Kazanskoje nie szedł utartym traktem tylko na wprost - jak to czynią wszyscy. W ten sposób skrócę swoją drogę o czterdzieści kilometrów.

- Słuchaj Polaku - powiedział - musisz ciągle iść na północ. A wówczas dojdiesz do tego samego gościńca. Aby utrzymać dokładnie północny kierunek - trzeba sprawdzać go oglądając się na słońce, które będzie dokładnie za plecami. Step o tej porze jest wypalony przez słońce, bez traw i łatwo po nim pójdziesz. A i droga będzie krótsza.

Usłuchałem jego rady i pomaszerowałem na przełaj we wskazanym kierunku. Dookoła - jak okiem sięgnąć - nie było widać nikogo. Dookoła miałem bezkresną równinę bez żadnych drzew. Płaszczyzna stepu była jedynie poprzecinana wielkimi jarami po rzędistych ulewach. W słoneczny dzień widoczność bywa tak dobra, że można obserwować step w promieniu do czterdziestu kilometrów, a nawet więcej.

Byłem sam na stepie z czerwonym słońcem na niebie, na które spoglądałem od czasu do czasu - aby nie zboczyć z obranego kierunku. Koło południa - po prawej stronie na horyzoncie zauważyłem furę jednokonną. Fura poruszała się po starym gościńcu w tym samym kierunku co i ja. Z odległości wyglądała teraz jak dziecinna zabawka. Przyspieszyłem w obawie, aby mnie nie wyprzedziła. Koniecznie chciałem spotkać jadącego na niej człowieka. Miałem taką szansę, ponieważ on jechał utartym gościń-

cem, a ja podążałem przez step na przełaj. Nogi piekły mnie niemiłosiernie. W pewnej chwili napotkałem jar, w którym płynęła struga wody. Tu zdjąłem buty i przez kilka minut moczyłem obolałe nogi. Po tym stopy dokuczały mi już znacznie mniej. Poczujęm się wyraźnie lepiej. Aby nadrobić stracony czas do fury, która nieustannie oddalała się - co chwila podbiegałem truchtem. Czas upływał. Słońce przechyliło się już na stronę zachodnią. Ale i ja wyraźnie zbliżyłem się do fury. Sylwetka fury i siedzącego na niej woźnicy była już czytelna. Gdy koń zaczynał biec truchtem - robiło mi się niedobrze i ze wszystkich sił przyspieszałem kroku. Zachowywałem się podobnie - podbiegałem też truchtem.

Mój wysiłek nie poszedł na marne: doszedłem pierwszy do gościńca tak, że fura musiała do mnie dojechać.

- Zdraśwujcie - pozdrowiłem nadjeżdżającego Sybiraka, który miał czarną brodę - bądźcie tak dobrzy i pozwólcie mi iść koło waszej fury. Będzie mi raźniej. Jestem Polakiem. Jak widzicie - idę do Kazanskoje.

Odpowiedział mi z uśmiechem: już od rana obserwowałem cię na stepie i domyślałem się, że chcesz podjechać. Ale sam widzisz - wiozę pełną furę rzepy kołchozowej do Kazanskoje właśnie na bazar. Sam widzisz, że nie mogę cię zabrać. Koń i tak ma co ciągnąć. Twój koszulok czyli tłumoczek możesz położyć - będzie ci lżej iść.

Skorzystałem z tego i odrazu poczułem się innym człowiekiem. Teraz swobodnie szedłem przy furze. Rozmawialiśmy o Polakach wywiezionych tu - na Syberię - przez sowieckie prawicielstwo. Po jakimś czasie - kiedy zjeżdżaliśmy z pochyłości jaru - kazał mi siadać z tyłu na rzepę i przez jakiś czas je-

chaliśmy razem. W takich chwilach czułem się błogo. Mój towarzysz był bardzo rozmowny. Opowiadał o pracy na stepie i o ciężkim wysiłku przy wyrabianiu opału na zimę, tak zwanego "kiziaku" z obornika bydlęcego i owczego. Tak rozmawialiśmy przez całą drogę i dzięki temu czas się nie dłużył, bo byliśmy zajęci rozmową.

Zapomniałem o obolałych nogach i zmęczeniu. Po pewnym czasie woźnica skręcił nagle z drogi w step - na zachód. Kiedy zdziwiłem się bardzo - uspokoił mnie mówiąc: nie obawiaj się. Znam ten step jak własną kieszeń. Teraz jedziemy do kolchozu o nazwie "Proletariat". Tam mieszka moja siostra - Kławdia. Nie widziałem jej od dziesięciu lat. Zobaczysz - będziemy mieli dobrą gościnę. Od siedziby kolchozu zaczyna się już tajga i blisko do naszego Kazanskoje.

Dwukrotnie przejechaliśmy szerokim brodem wzburzoną rzekę. Wówczas dostrzegliśmy bardzo daleko na horyzoncie sine lasy tajgi, wyraźnie odcinające się od stepu. Słońce przez ten czas zdecydowanie przechyliło się na zachodnią stronę nieba, kiedy to ponownie wyjechaliśmy na drogę uczęszczaną, bo widoczne były na niej koleiny. Jednak ta droga była zupełnie zarośnięta trawą. Po jakimś czasie zbliżyliśmy się do urwistego brzegu rzeki i przez dłuższy czas jechaliśmy jej brzegiem w milczeniu, spoglądając na spienione wody w dole.

Wówczas to spostrzegłem, że siedzący obok woźnica kręci głową ze zdziwieniem i sam do siebie coś mruczy. Wreszcie rozejrzał się na wszystkie strony, podrapał za uchem, na koniec zatrzymał konia,

- Czyżbym zbłądził? - Mówił to bardzo powoli spoglądając na mnie. Przez cały czas zdaje mi się, że kiedyś tu rzeki nie

było. Owszem, rzeka tu była, ale płynęła w znacznej odległości od tej drogi. No cóż - jedziemy dalej. Zobaczymy, czy mam rację. I popędził konia.

Widoczny od jakiegoś czasu na horyzoncie pas lasów tajgi zbliżał się wyraźnie. Przez jakąś godzinę jechaliśmy w milczeniu. Nagle woźnica udwrócił się nagle w moją stronę wyraźnie uradowany:

- Smotry - tam żyje moja siostra Kławdia. A jednak nie zbłądziłem, nie zapomniałem drogi - powtarzał z wyraźną satysfakcją i popędzał konia batem.

Podjechaliśmy do skarpy wysokiej na kilka metrów, która ciągnęła się przez wiele kilometrów po lewej i prawej stronie i musieliśmy się zatrzymać. Drogę zagradała rzeka, wcinająca się pod skarpe, tworząc w tym miejscu ostry zakręt w stronę stepu. Na górze widzieliśmy lasy tajgi, a pod nami - głęboko w dole - kłęby spienionej wody. Za tą przeszkodą w odległości około kilometra widać było dużą wieś syberyjską, do której właśnie zmierzaliśmy.

Nie mieliśmy wątpliwości: w czasie ulewnych deszczy zmieniło się koryto i rzeka wbiła się jakby klinem pod skarpe, na której porastały lasy. Tym samym droga do wsi od tej strony została odcięta. Pieszko wprawdzie można było przejść po wysokim zboczu, które było jednak mocno nachylone - około czterdziestu stopni. Pod sobą miało się wówczas spienioną wodę o głębokości do dwudziestu pięciu metrów. W tych warunkach mało kto próbował tędy przechodzić. Widoczna na górze ścieżka była zarosnięta, bo skarpa podmyta przez wodę w każdej chwili mogła zawalić się do rzeki.

Teraz trzeba było zdecydować: czy wracać przed nocą prze-

szło dwadzieścia kilometrów do brodu i dojechać do widocznej już wsi z drugiej strony czy też ... próbować szczęścia i forsować furą pochyłą skarpe. Jakiś czas patrzyliśmy obaj na wzburzoną wodę w przepaści. W tym czasie ja w napięciu myślałem: co też ten Sybirak postanowi?

W pewnej chwili brodacz zdjął czapkę, przeżegnał się trzykrotnie i po chwili stanowczym głosem powiedział:

- Spróbujemy przejechać, Boże dopomóż. Ściągnął z siebie rubaszkę i naciągnął ją na głowę konia. Chodziło o to, ~~ka~~ aby koń niczego nie widział i tym samym nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Następnie ujął dłonią uzdę tuż przy pysku i głaszcząc pieszczotliwie po szyi zachęcał:

- chęć, mileńki, nie bój się. Wcześniej mnie kazał trzymać mocno za kłonicę, żeby wóz się nie przechylał. Ja zdjąłem z fury swój tłumoczek i zawiesiłem na jedno ramię. Natomiast drugą ręką ze wszystkich sił przyciągałem wóz do skarpy. W napięciu czekałem, kiedy ziemia pod nami zacznie się zapadać. Z dawało mi się, że to powolne przesuwanie furyn nad przepaścią nie ma końca i nigdy się nie skończy. A niebezpieczny odcinek miał zaledwie około pięćdziesięciu metrów. Byliśmy obaj bardzo zdenerwowani.

Kiedy rzeka była już za nami, Sybirak nałożył rubaszkę i powiedział:

- Sława Bohu - szczęśliwie. Mówił to do mnie z uśmiechem. A następnie dodał: widziałem, że wzięłeś swój koszelok z fury. I ja też myślałem o swojej ostatniej godzinie. Gdyby skarpa obsunęła się pod nami - ną pewno byłoby po nas. Nikt i nigdy nie dowiedziałby się - gdzie i jak zginęliśmy.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższy czas nic nie mówiąc.

widocznie obaj myśleliśmy o tym samym.

Po niespełna pół godzinie dojechaliśmy do wsi i tu zatrzymaliśmy się przed wysoką, rzeźbioną bramą. Z pobliskiego, drewnianego domu wybiegła tęga kobieta z małą dziewczynką i zaczęło się powitanie. Po chwili za nimi ukazały się dwie mniejsze dziewczynki, a na końcu najmłodszy - Griszka.

Kilka razy musieliśmy opowiadać, jak była forsowana góra. Wszyscy słuchający nie mogli nadziwić się, że fura tamtędy przejechała. A matka za każdym razem żegnała się i powtarzała: Bóg miał was w swojej opiece mój ty braciszku - Stiopa.

Kiedy zajadaliśmy gęstą kaszę z czosnkiem - okraszoną baraniną łojem - dziewczynki przygotowały nam kąpiel parowa postawiła mnie na nogi. Po tak wyczerpującym dniu mogłem oddychać całą pierśią.

Mąż Kławdi - jak się dowiedzieliśmy teraz - zginął już na początku wojny. Ona teraz żyje sama z dziećmi w kołchozie. Cała rodzina zrobiła na mnie bardzo miłe, sympatyczne wrażenie. Zajęto się nami serdecznie, a wszyscy byli bardzo ciekawi: jak żyliśmy w Polsce.

Po kąpieli ułożono mnie na podłodze, na którą położono watawną kołdrę. Usnąłem prawie natychmiast. Natomiast mój towarzysz rozmawiał ze swoją siostrą do samego rana. Nie widzieli się przez dziesięć lat.

Na śniadanie dostaliśmy zupę i pok kawałku baraniny i kromce chleba.

Do miasta Kazanskoje było - przez lasy - dziesięć kilometrów. Przy pożegnaniu dałem gospodyni chusteczkę i ciepłe skarpety, z czego była bardzo zadowolona.

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę i na długo przed po-

ludniem byliśmy w mieście Kazanskoje. Rozstaliśmy się na rynku jak starzy przyjaciele złączeni wspólną przygodą. Przy pożegnaniu dałem mu na pamiątkę wełniane skarpetki czyli tak zwane "noski".

On zajął się sprzedażą rzepy, a ja rozpytywanie napotykanym kierowców ciężarówek, czy któryś z nich udaje się w stronę Iszymu. Pytałem pięciu, ale żaden z nich nie udawał się w tamtą stronę. Zrezygnowany szedłem ulicą na północ rozmyślając o swojej sytuacji. W pewnej chwili zauważyłem po przeciwnej stronie ulicy wielki, ciężarowy samochód, załadowany workami. Akurat do szofrki wsiadało dwóch mężczyzn - za chwilę mieli odjeżdżać.

Szybko przebiegłem na drugą stronę ulicy i zapytałem, czy może oni jadać w stronę Iszymu? Odpowiedzieli, że tak. Ale mnie ze sobą nie chcieli wziąć:

- Nie wolno nam brać nikogo - jedziemy służbowo, odpowiedział kierowca. Nie ustępowałem jednak tak łatwo i dalej prosiłem ich cierpliwie:

- Słuchajcie bratcy, muszę koniecznie dostać się do Iszymu. Tam jest moja rodzina. Każdemu z was dam wełniane "noski". Tylko mnie zabierzcie ze sobą.

To szybko poskutkowało. Kazali mi wejść na skrzynię samochodu na worki z pszenicą. Tym samochodem oni przewozili zboże z magazynów z Kazanskoje do młyna w tajdze, który był oddalony od miasta przeszło pięćdziesiąt kilometrów.

Gościniec w lasach był nierówny i worki na wybojach przesuwwały się z jednej strony samochodu na drugą. Przez cały czas tej podróży miałem "duszę na ramieniu". Obawiałem się, że wyładowany samochód przewróci się razem ze mną. Natomiast kierow-

ca jechał szybko i wcale nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na skrzyni jego samochodu. Kiedy przy dużej szybkości samochód przechylał się pod ciężarem na jedną stronę - zatrzymywano się. Wówczas kierowca z pomocnikiem układali worki na środku samochodu.

Byliśmy już chyba około pięciu kilometrów od młyna, kiedy nagle tylne koło zsunęło się do rowu i całkowicie ugrzęzło w miękiej ziemi. Bort samochodu pękł i w jednej chwili kilkanaście ^{worków} ~~samochodów~~ wypadło aż za rów. Na swoje szczęście w tym momencie byłem przy kabinie kierowcy i nie zostałem nimi przygnieciony.

Kierowca z pomocnikiem obejrżeli dokładnie to wszystko, co się stało i obaj orzekli, że o dalszym kontynuowaniu jazdy nie może być nawet ~~dx~~ mowy. Uznali, że sami nie zdołają wyciągnąć samochodu z rowu. Koniecznie trzeba będzie udać się po pomoc do młyna, po traktor.

Kiedy kierowca ^{został} ~~udał~~ się przy samochodzie, jego pomocnik ze mną udał się pieszo po pomoc. Mój towarzysz był starszym wiekiem Sybirakiem, którego zmobilizowano do pracy na tyłach frontu. Po drodze rozmawialiśmy. Wówczas on poradził mi, abym szybko, nie zatrzymując się nawet, przeszedł koło młyna, bo przy młynie jest straż przez dzień i noc. Zadaniem straży jest ochrona młyna przed sabotażystami. Oni mogą mnie nawet aresztować - dodał. A czy byłbyś zwolniony? To trudno powiedzieć, bo z tym nigdy nic nie wiadomo.

- Dwadzieścia kilometrów za młynem trafisz do dużego kołchozu. Tam będziesz mógł spokojnie odpocząć i przenocować - dodał. I na tym zakończyliśmy rozmowę.

Na mijany w lesie, wielki młyn tylko zerknąłem i prędko poszedłem dalej. Byłem bardzo zadowolony, że mnie nikt nie zau-

ważył. Dopiero pod wieczór doszedłem do kołchozu, o którym mówił mi pomocnik kierowcy.

Zobaczyłem dużą wieś, która przytykała do dużego, sosnowego lasu. Zatrzymałem się przy studni przy szerokim dziedzińcu. Przy studni było kilku starych mężczyzn oraz starych kobiet czerpało wodę. Pozwolili mi napić się, gdy ich o to poprosiłem.

Jeden z obecnych mężczyzn zapytał mnie:

- Dokąd idziesz Polaku? Przecież wasi już wyjechali na południe. W naszym kołchozie były trzy polskie rodziny. Wszystkie te trzy rodziny wyjechały na wiosnę do Persji.

- Nie zdążyłem opuścić Związku Radzieckiego, bo byłem daleko na północy - odpowiedziałem. Teraz idę do Iszymu.

Ten starszy mężczyzna sam zaproponował mi nocleg:

- Chodź do mnie, do domu. Mam w nim dużo miejsca. Musisz dobrze wypocząć, bo do Iszymu jeszcze bardzo, bardzo daleko.

Jego propozycja bardzo mnie uradowała. Mój gospodarz mieszkał tylko z żoną, a pracował w miejscowym kołchozie jako koniuch. Oboje małżonkowie przyjęli mnie serdecznie. Na kolację poczęstowano mnie zapiekаныmi kartoflami z mlekiem. Ta potrawa była bardzo smaczna. Po herbacie ziołowej zabiłonej mlekiem z kawałkiem pachnącego chleba, byłem zupełnie najedzony. Wypocząłem u nich dobrze. Dowiedziałem się też, że następna miejscowość, do której teraz muszę dojść, nazywa się Borowlanka. Leży ona w wielkich lasach, w których nigdy nie prowadzono wyrębu na spław do rzek Iszymu lub do Irtysza. Było tak dlatego, że tę połąć lasu otaczają bardzo rozległa bagna. Dowiedziałem się też, że z Borowlanki do Gniłego Ługu prowadzi greder, droga okopana rowami przez skazańców, którzy tu praco-

wali jeszcze w czasach carskich. Przestrzegano mnie też, że w tych lasach bardzo łatwo zbłądzić. Poradzili mi, abym dobrze uważał na znaki, które były umieszczone na drzewach:

- Do Borowlanki trzeba iść długo. To wielki kawał drogi - zakończył kiwając głową.

Mając takie wiadomości - co tu mówić - niezbyt pocieszające, mogłem poruszać się dalej bez rozpytywania ludzi, których wiadomości były często niepewne.

Na drugi dzień, o wschodzie słońca, zagłębiłem się w stare lasy sosnowe. Na niezmiernych przestrzeniach rosły sosny jedna przy drugiej. Wierzchołkami sięgały tak wysoko, że aż trudno było je dojrzeć. Ile lat mógł mieć ten las - zastanawiałem się. I nie byłem w stanie sobie na to pytanie odpowiedzieć. Drzewa były bardzo grube. Tylko niektóre z nich mogło objąć dwóch mężczyzn. Większość były jeszcze grubsza. Gdyby mi ktoś wcześniej opowiadał o istnieniu takich lasów, nigdy bym nie uwierzył.

Nigdzie nie było widać jakiegokolwiek wyrębu. Droga bez przerwy wiała się większymi to znów mniejszymi zakolami i tak omijała skupiska potężnych drzew. Tak szedłem przez wiele, wiele godzin, z rzadka widząc słońce, chociaż dzień był pogodny. Za to przez cały ~~dxk~~ czas pilnie śledziłem nacięcia na mijających przy drodze drzewach, które wskazywały mi drogę czyli były moimi drogowskazami.

Po południu poczułem wielkie zmęczenie, a mój tłumoczek na plecach stawał się coraz cięższy. Kiedy usiadłem pod sosną aby odpocząć, a następnie usiłowałem wstać, aby kontynuować dalszy marsz - najzwyczajniej w świecie nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Z trudem podnosiłem się na czworakach do pozycji sto-

jącej i jednocześnie zastanawiałem się: którą nogę jako pierwszą wysunąć na przód, tak obie były bardzo obolałe. Wystraszyłem się na dobre, gdy pomyślałem sobie, że pod którymś z tych drzew mogę pozostać na zawsze. Zebrałem wszystkie siły, zmobilizowałem się wewnątrz i uparcie szedłem do przodu, chociaż kręciło mi się w głowie. Przez cały czas powtarzałem sobie uparcie, na głos:

- Lasy skończą się. Musi być Borowlanka.

Do rosnącego z każdą chwilą zmęczenia zaczęło dołączać się coraz większe pragnienie. Przy kolejnym zakolu drogi była odkryta polana, porośnięta wysoką trawą. Popatrzyłem na słońce i z niepokojem stwierdziłem, że do zachodu słońca pozostało mi zaledwie parę godzin. A przecież szedłem od samego rana, bez przerwy. Głowę miałem wyraźnie rozpaloną. Położyłem się w trawie, rozchylałem ją do gołej ziemi, do której przykładalem to jeden policzek to znowu drugi.

Po tych zabiegach poczułem się wyraźnie lepiej. Znowu, z wysiłkiem podniosłem się na czworakach. Następnie oparłem się pierściami o sosnę i powoli założyłem szelki tłumoczka na ramiona. Cały czas mówiłem do siebie przez mocno zaciśnięte zęby:

- Musisz iść. Nie siadaj. Raz, dwa - śmiało naprzód.

Posuwałem się jak automat. Nie wiem, ile minęło czasu, gdyż traciłem jego rachubę. Przez długi chyba czas szedłem ze spuszczoną głową, pochylony do przodu. Przestałem nawet wypatrywać znaków na drzewach. W pewnej chwili podniosłem głowę i bardzo zdziwiony zacząłem rozglądać się na wszystkie strony. Nie wiedziałem, co się stało. Las zniknął /skończył się/, a przede mną roztoczyła się wielka przestrzeń o promieniu kilku kilomet-

rów, na której stało mnóstwo czarnych zabudowań. Na środku wznosiła się wielka cerkiew z ~~dwoma~~ błyszczącymi kopułami. Wcale się nie ucieszyłem z tego widoku. W tym momencie poczułem jeszcze większe zmęczenie połączone z narastającymi zawrotami głowy. Czuję się tak, jakby był po dobrej wódce. Było mi zupełnie obojętne, co się ze mną stanie dalej, tak bardzo byłem zmęczony.

W trzeciej zagrodzie zobaczyłem wysokiego starca z białą brodą. Wszedłem na to podwórko i zdołałem tylko powiedzieć:

- Zdastwujcie, dalej iść nie mogę.

Po tych słowach usiadłem tuż przy bramie na grubym kłocu drzewa. Stary podszedł do mnie i powiedział:

- Ty jesteś balnoj. Chodź prędzej do chaty.

I zaprowadził mnie po drewnianych schodach do szerokiej sieni, a następnie do pokoju, w którym zauważyłem dwa łóżka, stół i kilka krzeseł. W kącie stała żelazna kuchenka z kilkoma garnkami na wierzchu. Mój tobołek położył pod oknem i następnie pomógł mi zdjąć moją marynarkę i położył do łóżka.

- Teraz musisz odpocząć - powiedział - i zajął się przygotowaniem herbaty. Poprosiłem go o zimną wodę, ale odmówił zdecydowanie:

- dostałbyś natychmiast zapalenia płuc. Zaraz przygotuję ci czaj.

Po herbacie z mlekiem i świeżym chlebie szybko zrobiło mi się lżej do tego stopnia, że mogłem swobodnie rozmawiać. Opowiedziałem mu dokładnie, jaką miałem podróż z Pietropawłowska i że teraz powracam do rodziny. Bardzo mi współczuł i powiedział:

- Rozumiem cię dobrze, Polaku. Ja sam przesiedziałem w łagrach na ciężkich robotach aż piętnaście lat. Wiem dobrze, jak ciężkie jest życie

Dobrych ludzi jest mało.

Po herbacie zaprowadził mnie do bani, która znajdowała się tuż za domem. Polewał mnie ciepłą wodą z beczki. Następnie ułożył mnie na łóżku i kazał spać.

- Porozmawiamy jutro. Teraz spokojnie odpoczywaj - powiedział z uśmiechem.

Gdy rano otworzyłem oczy natychmiast zobaczyłem, że mój "dzieduszka" już krzątał się po pokoju, a gdy zobaczył, że nie śpię - powiedział:

- No, widzisz - teraz już jesteś inny człowiek. Odpocząłeś i nabrałeś sił. A jak jeszcze sobie pokuszasz - będziesz nawet się śmiać. Taki to już jest człowiek - mruzczał do siebie. Na śniadanie przygotował po dwa jajka i kaszę z mlekiem. Podczas rozmowy pytałem go o rodzinę. Na te słowa popatrzył uważnie na mnie i spokojnie mówił:

- Kiedyś w Moskwie miałem żonę i małą córeczkę. Zginęły w czasie rewolucji. Ja natomiast ocalałem w łagrach. Następnie zesłano mnie na Sybir - tak trafiłem tu - do Borowlanki. Tu ożeniłem się z Sybiraczką w tym domu. W ubiegłym roku zostawiłem ją na kładbiszczu /cmentarzu/. A teraz jestem już sam. Zupełnie sam.

Po śniadaniu chciałem się zbierać do dalszej drogi, ale mój gospodarz stanowczo mi to odradzał:

≠ koniecznie musisz wypocząć do jutra. Podczas dalszej drogi możesz znowu opaść z sił. Kto wie, czy znowu spotkasz jakiegoś drugiego "dzieduszkę" - zaśmiał się.

Chociaż już dużo wcześniej postanowiłem nie marnować w czasie podróży ani chwili - rozsądek przeważył - i zostałem u dobrego staruszka. Tego dnia po południu siedzieliśmy koło

pustego ambaru czyli śpichlerza. Przyglądaliśmy się zabawie kota z maleńkim pieskiem. Zapytałem wówczas mojego dobroczyńcę, dlaczego Borowlanka powstała akurat w tak nieprzebytych, ogromnych lasach, tak daleko od innych osiedli. Czym zajmują się tutejsi ludzie?

Wówczas starzec opowiedział mi historię tej osady, która liczy już sobie około dwustu lat. Miało to być tak, że jeden z carów zakreślił kółko na mapie i w tym miejscu kazał osiedlić najgroźniejszych skazańców z całej Rosji. Na koszt państwa zbudowano tę cerkiew, którą widać teraz przed nami widać oraz przysłano dwóch popów - również więźniów - którym polecono nawracać na drogę prawdziwej wiary prawosławnej i choty. Przy cerkwi osadzono trzystu więźniów, którzy swoim wysiłkiem zbudowali osadę. Wówczas wielu z nich postanowiło założyć rodziny. W tym celu utworzono brygadę, którą tworzyło kilkudziesięciu kryminalistów. Zadaniem tej brygady było łapanie kobiet w tajdze i dostarczaniem ich swoim towarzyszom. Kobiety były dobrze traktowane i na oczekaniu łączone przez popów w stadła małżeńskie. Po kilku latach same tu przychodziły ze wszystkich stron i natychmiast tu właśnie wychodziły zamaż.

Tutejsi ludzie trudnią się rolnictwem. Swoje pola mają za lasami, daleko, niekiedy pięćdziesiąt i więcej kilometrów. Niektórzy z miejscowych trudnią się spławem drzewa na rzekach Irtyszu i Iszymie.

Stary dziadek doradzał mi, abym ominął Zgniły Ług i poszedł do Iszemu inną drogą. Ostrzegwał, że w oklicznych lasach ukrywają się dezertery z Krasnoj Armii oraz liczni przestępcy, którzy zdołali zbiec z łagrów. Ci złoczyńcy urządzą zasadzki

na gościńcu, obdzierają podróżnych ze wszystkiego. Okrężna droga lasami w stronę Irtysza byłaby bezpieczniejsza, ale za to dłuższa o prawie siedemdziesiąt kilometrów.

Było to jednak ponad moje siły i postanowiłem planu nie zmieniać. Zdałem się na los szczęścia.

Na drugi dzień mój dobry opiekun dał mi na drogę kawałek świeżego chleba i litr mleka i życzył mi szczęśliwej drogi. Ominąłem cerkiew. Zaraz, za najbliższym zaukiem zaczynał się mój gościniec, ginący w ciemnym lesie. Przy pobliskiej chacie, której dach już się rozwałak - zauważyłem kilka kobiet i kilkoro dzieci o czymś głośno rozprawiających, wyraźnie czymś poruszonych. Postanowiłem do nich podejść. Kiedy już byłem blisko, spostrzegłem na poboczu przydrożnego rowu zupełnie nagą kobietę. Leżała na trawie. Wyglądała młodo i miała szeroko otwarte oczy. Jej długie warkocze oplatały dookoła jej szyję. Robiła upiorne wrażenie.

/ Jeszcze wczoraj rozmawiała z nami, a dzisiaj już nie żyje - zawodziły kobiety. Zamordowali naszą Tanię bandyci. Teraz pełno ich grasuje w tych lasach, uciekają od wojny - żeby ich zaraza wydusiła - zawodziły.

- Polaku, nie wchodź w te lasy, bo cię zabiją - wołała jedna przez drugą. Stanowczą odradzały mi dalszej drogi. Ale ja nie miałem innego wyjścia: musiałem przez te złowrogie lasy wracać do Stachny i dzieci.

Przez parę godzin maszerowałem tym grederem okopanych rowami, na których rosły już takie sosny, że nadawałyby się do budowy domów. Rozmyślając o historii, którą usłyszałem od staruszka na temat powstania Borowlanki zastanawiałem się nad losem skazańców, którzy budowali właśnie ten trakt, który prowadzi do

Iszyna. A trakt ten prowadzi przecież przez ogromne lasy i rozległe bagna. Moje myśli przeskakiwały na dom w kolchozie. Oczyma wyobraźni widziałem małą Elę bawiącą się z małą Donką a przy nich Stachnę.

W pewnej chwili usłyszałem jakiś głos, jakby gdzieś postukiwał dzięcioł. Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Wyraźnie słyszałem za sobą: ta-tata, ta-tata. To stukanie stawało się coraz głośniejsze. Ukryłem się w rowie za jałowcowym krzakiem i z za niego wyglądałem ostrożnie na gościniec.

Najpierw zobaczyłem samotnego konia maści kasztanowej, a następnie chłopca, który siedział na furze. Rozeschnięta tielega wydawała to charakterystyczne stukanie, które tak mnie w pierwszej chwili bardzo zaniepokoiło.

Kiedy już był blisko - wyszedłem na drogę i poprosiłem, aby mnie podwiózł. Chłopak, który z wyglądu miał najwyżej siedemnaście lat - wyraźnie ucieszył się na mój widok i zawołał radośnie:

- Bog cię zesłał! siadaj, będzie mi raźniej. A wiesz ty - zapytał mnie - że w tych lasach wczoraj zabito dwie baby i chłopca. Ludzie znaleźli ich ciała w rowie - całkiem nagich - mówił mocno przerażony.

- Co ty wygadujesz? To nie jest prawdą, nic o tym nie słyszałem - chciałem go jakoś uspokoić.

✓ jak to nieprawda, skoro mi dzisiaj o tym mówiono w Borowlance - upierał się. Dałem mu parę sucharów i nalałem nieco mleka do pustej bańki, aby się posilił, bo jak mi sam powiedział - dziś jeszcze nic nie jadł.

- Skąd jedziesz? - zapytałem.

- Wracam aż z Irtysza, aż za Zgniły Łuk - do domu. Odwozi-

łem swoich kołchoźników do rzeki na spław drzewa. Innej drogi nie ma. A tu bandycia zabijają, mówił ze smutkiem.

W tym momencie obejrzałem się do tyłu i spostrzegłem osobnika w koszuli, z gołą głową, który biegł za nami. Dzieliko go od nas około dwustu metrów. Chłopak zobaczył go także i zdążył jedynie szepnąć: "O Boże". Przepadliśmy.

A tymczasem leniwa klacz uderzona batem z jednej strony wychylała zad na drugą stronę i nadal biegła sobie leniwym truchtem. W jednej chwili wyskoczyłem z fury, nagiąłem rosnące przy rowie dwie brzośki i ściałem je ostrym scyzorykiem własnej roboty. Następnie wskoczyłem na furę będącą cały czas w biegu i w mig oberwałem gałęzie. Jedną różgę dałem chłopcu a drugą zatrzymałem sobie. Krzyknąłem:

- Ty z jednej strony wal drania leniucha, a ja będę walił z drugiej.

Wynik był zadziwiający. Klacz oberwawszy solidnie natychmiast "znalazła nogi". Zaczęła bić kopytami i dała szybkiego susa do przodu. W tym czasie goniący nas mężczyzna był już zupełnie blisko nas. Wyraźnie widziałem z tej odległości szeroką twarz i płaski nos. Cały czas biegł za nami i groźnym głosem krzyczał:

- Stój, nie ujdiesz, nie uciekniesz.

Ku naszemu niemałemu przerażeniu tuż za nim ukazało się dwóch innych mężczyzn.

Tymczasem my galopem wjechaliśmy na wzniesienie drogi. Gdy zaczęliśmy zjeżdżać z górki - klacz jeszcze bardziej przyśpieszyła. Trójka ścigających nas bandytów zatrzymała się na górcie. Zrozumieli już, że nas nie dościgną i w złości bezsilnie grozili nam pięściami.

Nagle padł strzał. Echo odbiło się po lesie tak, jakby ktoś

uderzył ogromnych młotem w blachę. Natychmiast rzuciłem się plackiem na furę i przycisnąłem do siebie chłopca. Po chwili usłyszeliśmy dwa kolejne strzały. W tym momencie nasza klacz poderwała się do biegu, a nasza tielega aż podskakiwała w pędzie.

Podniosłem nieco głowę nie zdając sobie do końca sprawy, że przecież za chwilę mogą paść następne strzały i zacząłem pocieszać Gryszkę, który trząsał się ze strachu:

- Nie bój się - mówiłem - już uciekliśmy bandytom. Zobacz, jak szybko klacz biegnie.

Po jakimś czasie chłopiec otrząsał się ze strachu i zaczął gryźć suchara, którego mu podałem. Patrząc na mnie mówił powoli nadal trzęsącym się głosem:

- O radi Boha, żeby nie ty, ja już bym nie żył. A i naszą ryżuchę bandyci by pożarli.

- Uśmiechnąłem się tylko i pomyślałem: i ja nic bym nie poradził, gdyby bandyci wyszli nieco wcześniej na gościniec. Obaj mieliśmy trochę szczęścia.

Powoli oprzytomnieliśmy tym bardziej, że bandytów już nie było widać. Tymczasem nasza ryżucha nadal pędziła jak szalona. Ujechaliśmy już spory kawał drogi, kiedy uważnie przyjrzałem się naszej spoconej wybawicielce. Wówczas to stwierdziłem z przerażeniem, że jest ranna. Z jej lewego uda spływał strumień ciemnej krwi, której było tak wiele, że między koleinami pozostawał wyraźny ślad. Włosy stanęły mi na głowie, gdy pomyślałem sobie, że może bandyci to odkryli i dalej nas ścigają. Nie powiedziałem tego głośno w obawie, żeby nie przetrzaszyć Gryszki. W duchu prosiłem Boga o ratunek: niechby ta klacz nie straciła siły i mogła nas ciągnąć jak najdalej od tych okropnych ludzi.

z płaskimi nosami. Bez przerwy o tym myślałem i z narastającym napięciem śledziłem bieg klaczy. Po kilkunastu minutach wyraźnie zwolniła i biegła już tylko truchtem.

Wtedy Griszka zauważył krew. Zaczął mocno chlipać, ocierając łzy rękawem. A nasza klacz ciągle pokonywała drogę, ciągnęła bez wytchnienia jakby rozumiała i słyszała to, o co ją w duchu prosiłem.

Za wielkim skupiskiem ogromnych sosen gościniec skręcał w prawo omijając jezioro, które płytkim, piaszczystym brzegiem dotykało gościńca. W tym miejscu klacz gwałtownie skręciła z drogi i wjechała do samej wody. Obaj jednocześnie zeskoczyliśmy z fury. Natomiast kobyła zaczęła pić bardzo gwałtownie. Jej boki w tym czasie gwałtownie podnosiły się i opadały. Myśmy się tem napili, bo również mieliśmy niemałe pragnienie. Samopoczucie wyraźnie się nam poprawiło.

Sądziłem, że gdy klacz napije się po takim szaleńczym biegu zyska siły na dalszą drogę. Tymczasem ku naszemu wielkiemu przerażeniu kobyła zaczęła drżeć na całym ciele. Po chwili upadła: najpierw na przednie kolana, a następnie przewróciła się na bok. Mocno sapiąc ciężko oddychała jak człowiek. I jednocześnie wyraźnie się nam przyglądała. Griszka przyklęknął przy jej łbie i czule głaskał jej pysk. Musiałem oderwać go siłą. Musieliśmy uciekać jak najspieszniej, bo przecież już za najbliższym zakrętem mogli być ścigający nas bandyci.

Wystraszeni do ostatnich granic uciekaliśmy gościńcem przede siebie. Ja miałem tobolek na plecach, a obok mnie biegł Griszka z batem w jednej ręce, a z uzdą po swojej Reżusze w drugiej.

Dopiero po południu, niesamowicie zmęczeni dobrnęliśmy do wielkiej osady położonej w lasach Gniłego Ługu. Weszliśmy do za

zagrody, która stała obok olbrzymich jodeł. Na takich jodłach rosną duże ilości orzeszków, które Sybiracy zbierają późną jesienią. W dużej izbie zastaliśmy starego Sybiraka i dwie młode kobiety. Poprosiłem o wodę do picia. Kiedy zaczęły pytać skąd i dokąd jedziemy, opowiedziałem im naszą niedawną przygodę z bandytami i o tym, że udało się nam szczęśliwie uciec. Wszyscy troje byli tym bardzo poruszeni i dziwili się - jak wielkie dopisało nam szczęście.

- Przecież was o obu mogli zastrzelić. Taka fura to wspinała cel - mówili z przejęciem - ratowała was ta Ryżucha, ale sama zapłaciła życiem. I zęgnęły się przed ikoną, która stała w rogu izby. Co chwila powtarzały:

- Dzięki ci Mikoła, żeś ich uratował.

Opowiadali, że i dookoła i w Gniłego Ługu bywają zabójstwa. Takie wypadki zdarzają się nawet w biały dzień, a milicja jest bezradna i nic nie może poradzić. Obie nasze rozmówczynie były żonami synów starego dziadka. Ich mężów już przed dwoma laty zabrano do armii. Jedna z nich żaliła się:

- Mój Pietia pogib pod Stalingradem. Przyszło pohoronne.

- A mój Wołodia przepadł bez wieści - skarżyła się druga.

Bardzo smutne wrażenie sprawiała na nas ta rodzina. Widoczne było to nieszczęście, które tak ich gnębiło.

Kobiety poczęstowały nas gotowanymi kartoflami i łupinami i ziołową herbata. Herbata była oczywiście bez cukru. Ale i to nas wyraźnie pokrzepiło do tego stopnia, że czuliśmy się dobrze.

Stary Sybirak nie odzywał się dotąd wcale. Dopiero podczas pożegnania zwrócił się do mnie:

- Słyszałem Polaku, że idziesz do swojej rodziny w Iszymie. Radzę ci, abyś jak najprędzej opuścił Gniły Ług, bo w przeciw-

nym razie milicja może zatrzymać cię na przesłuchanie. A jak już oni kogoś wezmą - to nie wiadomo, kiedy wypuszczą. Dłużej wypoczniesz gdzieś przy drodze, bo do Iszymu jeszcze daleka droga. Będziesz teraz szedł przez lasy ciągnące się na północ aż dojdiesz do wielkiego pola z pszenicą. To będzie stąd trzydzieści kilometrów. Za tym polem - po następnych dwudziestu kilometrach oczywiście przez lasy - dojdiesz do kołchozu o nazwie "Komuna". Tam dopiero odpoczniesz i z pomocą Bożą dojdiesz do swoich.

A po chwili jeszcze dodał:

- Zapamiętaj, lepiej przespać się pod krzakiem w lesie niż na kojce w milicji. A ty parniszka /chłopcze/ - zwrócił się do Griszki - prędko wracaj do swojego kołchozu. Tu już nikt ci nie zwróci twojej Ryżuchy.

Minęło już wiele godzin od opuszczeniu Gniłego Ługu. Maszerowałem na obolałych nogach traktem przez lasy tajgi do Iszymu. Było to stare miasto syberyjskie, położone nad rzeką o tej samej nazwie Iszym. Przez cały czas rozpamiętywałem swoje ostatnie przeżycia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę - ile miałem szczęścia, a przede wszystkim opieki boskiej, że jestem żywy i że zbliżam się do Stachny i obu małych dziewczynek. Przecież dzisiaj rano mogłem zginąć w wielkich lasach za Borowlanką - myślałem z przerażeniem. Przecież trzej uzbrojeni bandyci byli za nami zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Gdyby nie Griszka z furą - niewątpliwie przepadłbym.

Tacy bandyci morłowali ludzi bez skrupułów tylko po to, by zyskać liche nawet ubranie. Byle jaki ciuch w tamtych warunkach mógł być wymieniony w kołchozie na chleb czy inne produkty spożywcze. W tych warunkach zawartość mojego tobołka

przedstawiała majątek. Drżałem o niego. Tyle już przeszedłem w swojej podróży, że dary otrzymane w Delegaturze postanowiłem w całości zanieść Stachnie i dzieciom.

Po drodze najbardziej cieszyłem się z tego, że zrobię dziełczynom niespodziankę, bo żadna z nich tak coś dobrego jeszcze nie próbowała w swoim życiu.

Tak rozmyślając zauważyłem, że lasy kończą się i że mam przed sobą wielkie łany dojrzewającej pszenicy. Dowodziło to, że stary Sybirak mówił prawdę. Musiałem przebyć już ponad trzydzieści kilometrów od Gniłego Ługu - pomyślałem, skoro dotarłem do pola pszenicznego, o którym mi mówiono.

Słońce było tuż nad zachodem i noc nadchodziła bardzo szybko. Natomiast do najbliższego kołchozu miałem jeszcze około dwudziestu kilometrów. Jak wiele razy w swojej długiej wędrówce - w takich przypadkach szukałem izbuszki kołchoźników. Stały one o tej porze roku puste, najczęściej gdzieś przy lesie. Puste dlatego, że do żniw pozostawało jeszcze około dwóch tygodni.

Wkrótce zauważyłem taką chałupkę. Stała na uboczu, przytulona do wielkiego lasu, który za polami z pszenicą łączył się daleko z sinym pasmem tajgi. Chatka robiła wrażenie domku "Baby Jagi". Coś mnie do niej ciągnęła, ale też jednocześnie czułem jakiś wewnętrzny niepokój. Otrząsnąłem się z chwilowego wrażenia i z pewnej odległości uważnie przypatrywałem się izbuszce. Widziałem ją wyraźnie. Była kryta słomą. Z daleka rysowały się drzwi oraz jedno okienko. Komina nie było. Kołchoźnicy w czasie uprawy dalekich pól w czasie zasiewów i zbiorów gotowali przed chatą na żelaznych trójnogach. Taki budynek zabezpieczał od deszczu i służył do spania na słomie.

Po rannej ucieczce przed bandytami byłem niespokojny, ale i ostrożny. Obawiałem się zbliżyć odrazu do tej chatki. Obawiałem się, że we wnętrzu chałupki mogą być nieporządani lokatorzy. Obszedłem dyskretnie cały krąg pszenicy starając się aby nie być widocznym i powoli, ostrożnie zbliżałem się do celu. Będąc w pszenicy ciągle ją obserwowałem. Do zachodu słońca nie zauważyłem niczego.

Dopiero szarówką podszedłem - na czworakach - ostrożnie do okna, przez które zajrzałem do środka. Na całej powierzchni podłogi leżała wygnieciony słoma. Otworzyłem drzwi i wszedłem do sieni. W sieni stała drabina przystawiona do strychu. Ostrożnie wszedłem po niej i ostrożnie rozejrzałem się po szerokim poddaszu. I tu także na całej przestrzeni była słoma z wklęsnięciami po legowiskach.

Odruchowo wciągnąłem drabinę za sobą i usiadłem blisko strzechy. Koło mnie były szpary w suficie prześwitujące na dół. Choć deki były ułożone nieszczelnie to jednak zawalone słomą dobrze oddzielały górę od dołu. Tobołek położyłem pod strzechą, poprawiłem wokół siebie słomę i ułożyłem się do snu.

Ściemniło się już na dobre. Nie minęła nawet godzina - już zaczynałem drzemać - kiedy przed chatką usłyszałem głos. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. W pierwszej chwili pomyślałem, że to chyba przewrażliwienie. Przechyliłem się na bok i już nie miałem złudzeń - byłem pewien, że mam gości.

Zdrętwiałem z napięcia: co będzie dalej? Serce zaczęło mi łomotać i sądziłem, że słoma szeleści tak, jakby koło mnie coś łąziło. Byłem przekonany, że są to tacy sami ludzie, od jakich dziś rano uszedłem z życiem w lasach Borowlanki. Zostałem złapany jak mysz w pułkę - przemknęła mi przez głowę myśl. Tym

razem stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyłem się wystraszyć. Nawet nie pomyślałem, że mnie zabiją. Cała moja uwaga była skoncentrowana na tobołku.

Zrobiło mi się ogromnie przykro i coś ścisnęło w dołku. W ustach zaschło z żalu, że niestety, nie zaniosem tobołka Staci i dzieciom. Nagle je wszystkie ujrzałem przed sobą. Ela i Donka były przy mnie tak blisko, że je dotykałem. Czułem to z całą pewnością.

A tymczasem drzwi wejściowe skrzypnęły i rozbliżyło żółte światło. Dokładnie słyszałem syczenie zapalanej zapałki. I usłyszałem rozmowę:

- Wiesz, Szura, w ubiegłym tygodniu w sieni stała drabina. Co się z nią mogło stać? - pytał zdziwiony głos. Po chwili odpowiedział mu drugi głos:

- Foma, ty ciągle jesteś podszyty tchórzem. Z byle jakiego powodu rąbiesz w portki. Kto i co tu może robić w głuchej tajdze - żeby zabierać drabinę? Za dużo pociągnąłeś spirtu i przyczepiłeś się do drabiny. Na co ona komu potrzebna? Musiałeś widzieć drabinę w innej izbuszce. Durak i majaczysz. Żebyśmy tylko tyle mieli biedy.

Po chwili milczenia mówił dalej:

- Worki postaw przy drzwiach. Odpocznijemy trochę, aby przed wschodem trafić do łodzi. Gorzej będzie, jeśli ją ktoś podpatrzył i ukradł. Już przeszedł tydzień, jak ją zostawiłem w zakolu. Bez łodzi byłoby nam ciężko dostać się z tym mięsem do Gawryły - mówił z wyraźną czkawką.

Wreszcie weszli do środka i usiedli dokładnie podłówną przy ścianie. Kiedy zapali papierosy zobaczyłem przez szparę dwóch nieogolonych drabów. Byli to mężczyźni o szerokich barach a ich wyciągnięte nogi wydawały mi się dwa razy dłuższe od moich

Między nimi zauważyłem stojącą butelkę, napełnioną spirytusem drzewnym. Po paru minutach usłyszałem gulgotanie i bełkotliwe słowa:

- No, Foma, dokończ. I bądź odważny. Przy mnie nie zginiesz.

- Prawdę mówisz, Szura. Gdyby nie ty - chyba nie wytrzymałbym dłużej tego ciągłego uciekania przed milicją i psami jak dzikie zwierzę.

- Ale przynajmniej żyjesz i nie jest ci tak źle - odparł. Na froncie gryzłbyś ziemię - mówił Szura z pijacką czkawką. A następnie dowodził dalej:

- Widzisz, Foma, to wszystkiemu winien ten sukinsyn naczałnik. Mógł przecież zostawić nas dla umacniania tyłów i nie wysłać na front. A on - swolocz - chciał się nas pozbyć, otoczył się swoimi zaufanymi, żeby nikt go nie krytykował za jego machlojki. Przeklęta chalera - zaklął - jeszcze cię kiedyś dorwę. Dobrze nam było w milicji - nie powiem. Ale wolę zacekać w tajdze aż wojna się skończy niż ginąć od Niemca.

- Dobrze mówisz, Szura, bo ty jesteś mądry. Ale kiedy pomyślę, że Giermaniec przegra, to mi się słabo robi.

- Boś głupi, jak baba i nie znasz się na polityce. Mówiłem ci wiele razy: Giermaniec jest mocny i ma wszystkiego pełno. Nasi ledwie zipią i w dodatku nie mają co żreć. Sam Gawryło to mówił. A jemu trzeba wierzyć. On ma świeże wiadomości z rejonu i wie, co się dzieje na froncie. Tylko czekać, jak Japoniec stuknie ze wschodu naszych po srace i będzie drugi Port Artur. A z nim koniec sowieckiego sojuza. Zobaczysz Foma, będziemy gieroje. I ty też połączysz order tylko bądź odważny i nie zalamuj się.

Po krótkiej przerwie usłyszałem:

- Niepotrzebnie Foma dźgnąłeś tego predsedatiela. I tak by nam nie uciekł. A musiałyby powiedzieć - co słychać w rejonie.

- Czyż nie widziałeś, że już wsiadał na konia? - tłumaczył się Foma. W ostatniej chwili go dopadłem. Byłby uciekł i zawiadomił milicję. Ładnie byśmy wyglądali z psami na piętach. Do tego nie mielibyśmy ani mięsa ani alkoholu. Rubaszka i buty też były mi już bardzo potrzebne. Buty wprawdzie są trochę za ciasne, ale to nie szkodzi. Moje, po roku bezustannej tułaczki po tajdze zupełnie się rozlazły. Sam widzisz.

- No tak, masz rację. Rzeczywiście mógł uciec. Nie mam o to do ciebie pretensji. Tylko widzisz Foma martwi mnie to, że on musiał powiedzieć w zarządzie kołchozu, że jedzie na lustrację pszenicy i po jakimś czasie zaczną go szukać, gdy nie powróci na noc do Gniłego Ługu.

Po jakimś czasie mówił dalej:

- Z psami znajdą resztki konia i samego predsedatiela - usłyszałem złowrogi śmiech - bo widzisz Foma, mam nadzieję, że przez noc wilki pomogą nam zatrzeć ślady. Po ogryzionych kościach trudno im będzie dojść, co się stało w tajdze - tu znowu usłyszałem ten sam, ponury śmiech.

Mnie, siedzącemu na górze robiło się słabo i z trudem powstrzymywałem oddech. Po chwili usłyszałem dalszą rozmowę:

/ Foma, nie możemy zasnąć. O wschodzie słońca musimy dostać się za rzekę, do Gawryły. Za wodą psy zgubią ślad. U Gawryły będziemy bezpieczni. On nam wszystko załatwi: uwędzi szynki, postara się o спирт i spokojnie będziemy odpoczywać. Tam nas nikt nie znajdzie.

Słuchałem tego wszystkiego jak w makabrycznym śnie i nawet

nie byłem w stanie prosić Matkę Boską i wszystkich świętych o pomoc i opiekę. Przechyliłem głowę na bok, bo mi już całkiem szyja zdrętwiała od ciągle tej samej pozycji i wtedy, zupełnie nieoczekiwanie - ukląknąłem się słomą pod nos. Zakołysało mi się wszystko w głowie i gwałtownie chciałem kichnąć. W jednym momencie oszalałem ze strachu.

Rozpaczliwie chwyciłem garścią za nos i zaczęła cisnąć ze wszystkich sił. Język zaś wystawiłem na brodę i gryzłem do chwili, aż poczułem słony smak krwi. W jednej chwili zrobiło mi się słabo. Ale też przeszła chęć kichania. Strach i ból doprowadzały do tego, że jednak zdobywałem się na jakąś wytrzymałość. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymałem się przed utratą przytomności. Ciężko oddychając sądziłem, że już mnie słyszą na dole. Dzieliko bowiem mnie od nich zaledwie dwa metry. Mogli mnie dosięgnąć ręką, bo w zasadzie dzieliły nas deski słomy. Sam sobie w duchu nieustannie mówiłem: uspokój się, jeszcze cię nie odkryli. Nie zdradź się. A w ustach miałem pełno krwi, którą z trudem połykałem. Zamiast języka w ustach czułem wepchnięty surowy kartofel.

Po paru minutach usta musiałem trzymać otwarte, bo do tego stopnia skołowaciał i zgrubiał mi język. Natomiast broda i cała twarz były lepkie od krwi. W tym czasie na dole panowała zupełna cisza. Wirowanie w głowie ustało. Z dołu słyszałem teraz dochodzące mnie sapanie.

- O Boże, pomyślałem - może mnie jednak nie odkryją. Po chwili uspokoiłem się i zacząłem sam siebie pocieszać: jeśli ci bandyci obawiają się pogoni z psami, to nie będą sprawdzać strychu - czy ktoś tam jest - i prędko zabiorą się stąd. Muszą to być dobrzy dranie, skoro zabili człowieka tylko po to

aby zdobyć końskie mięso, ubranie i butelkę denaturatu. Biedny predsiedatiel, skombinował gdzieś butelkę spirytusu i sam nawet nie zdążył spróbować. Zapewne miał rodzinę, która czeka na niego. A on w tym czasie leży w tajdze obdarty z ubrania, porzucony wilkom na pożarcie. I tego dokonali dezernerzy, milicjanci - obrońcy sprawiedliwości proletariackiej.

Takie i podobne im myśli cisnęły mi się do głowy. Ciągłe nasłuchiwałem z napiętą uwagą. Tymczasem z dołu dochodziło miarowe sapanie. A w moich uszach bębienki tak łomotały, że za mi głowa pękała. I wówczas przychodziły mi do głowy niedorzeczne myśli, że siedzący na dole zbóje to usłyszą i zaczną dobierać się do mnie.

W takich mękach psychicznych przesiedziałem parę godzin. I nagle usłyszałem głos z dołu:

- Foma, wstawaj leniuchu. Już zbliża się dzień, słyszysz? Psy szczekają - i zaczął się śmiać - Musimy jeszcze przed wschodem słońca dojść do rzeki - rozumiesz? No, prędko, ruszamy - popędzał.

Z dołu dochodziło głucho pokasływanie, a następnie dobitne wydzielenie gazów i zaspany głos:

- No tak dawaj, tawariszcz. Zabieramy się.

Usłyszałem najpierw skrzypnięcie, a po chwili odgłos zamkniętych drzwi. Ostrożnie, ale też i niecierpliwie poderwałem się i podszedłem do okienka w szczycie i odetchnąłem z ulgą. Widziałem ich, jak obaj z workami na plecach migali między drzewami. Odprężyłem się i zaraz usiadłem na słomie myśląc, że zemdleję. Tak mocno odczułem zmianę położenia.

Skulony przesiedziałem do brzasku. Wówczas spuściłem drabinę i jak gdyby na drewnianych nogach zszedłem na dół - do

do sieni. Rozejrzałem się uważnie wokoło. Na miejscu, gdzie nie tak dawno leżeli jeszcze bandyci - pozostała butelka. Przy drzwiach, gdzie stały worki z końskim mięsem - słomę była zmoczona ciemną krwią.

Pomyślałem z przestraszonym: gdyby ci dranie zobaczyli te ślady krwi, mogliby - dla zatarcia śladów - podpalić chatkę. Wówczas upiekliby mnie żywcem.

Po raz kolejny zrobiło mi się słabo. Kolana mi zwiótzczały do tego stopnia, że z najwyższym trudem posuwałem się w stronę pszenicy. Idąc wielokrotnie oglądałem się na izbuszkę. Zagłębiłem się w ciemny las i jego skrajem doszedłem do traktu prowadzącego do Iszyna.

Słońce jeszcze nie weszło. Ale był już dzień. Czułem się jak wyjęty z magła. Z najwyższym trudem poruszałem nogami. Język miałem obolały. Patrzyłem na ręce. Cały byłem umazany krwią. A kiedy dotknąłem brody - sam uśmiechnąłem się przez łzy. Włosy na niej tak się sklepiły, że utworzyły suche strąki. Z przerażeniem oglądałem się w lusterku, które otrzymałem w Delegaturze. Miałem twarz upióra: wargi miałem rozchylone, a cała twarz była umazana krwią.

Jak najprędzej musiałem się umyć. Ale nigdzie nie było wiadać wody.

- Jeśli ktoś mnie spotka na drodze w takim stanie, a najprawdopodobniej będzie to milicja, to ze mną będzie po prostu koniec - myślałem. Wyglądałem potwornie, tak, jak wygląda chyba morderca. Jednak powoli uspokoiłem się i zacząłem sobie tłumaczyć: jeśli wszystko opowiem - to nie powinni mnie zamknąć. Ale jeśli i nawet mi i uwierzą - zejdzie wiele dni i mój tobołek przepadnie.

O Boże - powiedziałem na głos i z żalu ponownie zacząłem gryźć twarde język. Wystraszony szedłem przez następnych kilka kilometrów wypatrując jakiegoś strumyka czy bagna w tajdze. Z daleka poznałem zarośla olszyny i ruszyłem biegiem w tym kierunku. Między kępami olszyny błyszczała woda.

Z wielką radością oglądałem swoją twarz po umyciu się i odejściu od bagna. Chociaż bolały mnie usta, a językiem trudno było poruszać - odzyskałem równowagę psychiczną i poczułem przypływ pewności siebie.

Maszerowałem teraz wielkim gościńcem okopanym rowami wykonanymi przez skazańców, którzy byli tu zesłani na katorgę jeszcze przez carów. Rozglądałem się po tajdze i myślałem: Polacy także tu byli. Idę ich śladami. Kto powie - ilu ich zginęło przy budowie tego gościńca? Gdzie leżą ich kości? Czy każde pokolenie Polaków znowu musi przemierzać szlaki Syberii. Tak rozmyślałem ze smutkiem i posuwałem się do przodu, byle być jak najdalej od tej okropnej izbuszki.

Głód odpędzałem nadzieją, że w Iszymie znajdę jadłofajnię, w której dostanę dwie porcje zupy. Tak posilony będę mógł przystąpić do pokonania ostatniego etapu mojej podróży, który już powiezie mnie do Tiumentia. Stamtąd pozostanie mi "tylko" sto kilometrów do Stachny i dzieci.

Cieszyłem się ostatnim odcinkiem drogi wcale nie zastanawiając się, że z Iszymu do Tiumentia trzeba pokonać jeszcze około trzystu kilometrów. Przez cały czas byłem opanowany tylko jedną myślą: jestem żywy, mam tobolek na plecach i niosę go swoim najdroższym.

Do Iszymu dotarłem około godziny piątej po południu. W restauracji udało mi się dostać ciepłą zupę z odrobiną kaszy ja-

glanej i paroma plastrkami suszonych kartpfli, którą zagęściłem sucharem i zjadłem ze smakiem. Ciągle myślałem o Eli i Donce, przecież niosłem im skarb.

Udałem się na dworzec kolejowy z nadzieją, że może zdołam dostać się do pociągu w stronę Tiumenia. Niestety, dwa pociągi odeszły, ale przy każdym stała konduktorka i za nic nie pozwoliła wejść do pociągu bez delegacji i biletu. Próbowałem kręcić się koło pociągów towarowych. Tu strażnik mnie odpędził i miałem szczęście, że nie zatrzymał, czego najbardziej się obawiałem, bo przy rewizji na pewno skonfiskowano by mój tobołek, a to było całe bogactwo, które tak wytrwale dźwigałem dzieciom i Stachnie.

Tuż przed zachodem zauważyłem, jak do jednego z kolejarzy zwracają się inni: "Towariszcz zawiadujuszczci stancji". Kolejarz ten wydał mi się godny zaufania i kiedy oddalił się od innych szybko podszedłem do niego i powiedziałem: "Mam ważną sprawę do was. Jestem Polakiem i muszę koniecznie dostać się do rodziny w Tiumeniu. Dam wam wełniane skarpety i dwie chusteczki, tylko wsadźcie mnie do pociągu". Pomyślał chwilę i kazał mi za budynkiem poczekać. Po kilku minutach wrócił i powiedział: "Idiom". Weszliśmy między pociągi towarowe, dałem mu skarpety i dwie ostatnie chusteczki. Rozsunął drzwi wagonu i kazał wejść między opakowania drewniane maszyn i jakichś narzędzi. Pociąg ten odchodzi za pół godziny. Powinien być w Tiumeniu przed południem. Obserwuj szparę słońce i wysiąć przed Tiumeniem. Na tej stacji są ścisłe kontrole i strażnicy mogą cię przyłapać. Na zakończenie pocieszył: "W tym wagonie nikt ci nie będzie przeszkadzał i możesz spokojnie spać". Zasunął za mną drzwi i odszedł.

Siedząc na wiórkach drewnianych między pakami zastana-

wiałem się ,dokąd też zajadę? Z Iszymu pociąg mógł iść do trzech kierunkach: do Omska -na wschód, do Pietropawłowska-na południe i na zachód do Tiumentia.

Zanim pociąg ruszył prześladowała mnie myśl-co toby-łaby za ironia losu,żebym znowu zajechał do Pietropawłowska, lub jeszcze parę setek w stronę przeciwną do Omska?Przecież po cienku kolejarz mógł pomylić pociągi.

Jeszcze słońce nie zaszło,kiedy pociąg ruszył.Przez szparę zobaczyłem,że w kierunku czerwonego słońca porusza się,a więc dobrze.Ucieszyłem się bardzo i zaraz rozprostowałem nogi na wiórach ze swoim tłumoczkim pod głową.Jakiś czas spałem,a potem ciągle rozmyślałem.Myśli przeskakiwały od więzienia w Niżnej Tawdzie do ostatnich wydarzeń w podróży.I tak przeszła noc.

Od samego wschodu ciągle obserwowałem wysokość słońca.Na wielu stacjach pociąg rzadko się zatrzymywał. Nadszedł czas,gdy słońce było wysoko i musiało zbliżać się południe,bo chcąc je dojrzeć tą samą szparą musiałem mocno przekręcać głowę.Postanowiłem wysiąść,gdy tylko pociąg się zatrzyma.Byłem przekonany,że znajduję się blisko Tiumentia. A więc jestem już chyba w swoich stronach- pocieszałem się.

Do mojego kołchozu i Stachny z dziećmi było przeszło sto kilometrów.Dla pewności sprawdziłem,czy drzwi mogę łatwo odchylić.Próba wypadła pomyślnie i czekałem na zatrzymanie się pociągu.

Po pewnym czasie usłyszałem kilkakrotny gwizd i pociąg ze zgrzytem stanął.Przez szparę widoczne były stojące obok inne pociągi.Uchyliłem drzwi i wyskoczyłem na ziemię.Nikogo nie było widać.Przelazłem pod dwoma pociągami i trfiłem na wydeptaną ścieżkę przy torach.Kilkaset metrów na wprost była

jakaś stacja, a na prawo wieś, dokąd rozwidlała się dróżka. W tej osadzie dowiedziałem się, że do Tiumentia mam siedem kilometrów.

Zdołałem tu kupić zaledwie pół litra mleka, co z sucharem zaspokoilo wzmagający się głód. Miałem nadzieję na polewkę dopiero w Tiumentiu. Chociaż zapas sucharów był na ukończeniu nie przejmowałem się tym zbyt, bo do swoich było zaledwie sto kilometrów, a to już bliźniutko w porównaniu z tym, co już przebyłem.

W Tiumentiu odwiedziłem dwie restauracje i w każdej dostałem zupełną w jednej polewkę z odrobiną kaszy jaglanej, a w drugiej osoloną wodę z kilkoma rybkami małymi zwaną "ucha". Głód zaspokoilem i około czwartej byłem na gościńcu do Wielizan naszego rejonu Swierdłowskiej Oblasti.

Dopisało mi szczęście. Dopędził mnie samochód ciężarowy z dwoma kosiarkami na wierzchu. Bez trudu zabrał mnie kierowca do szoferki i do zachodu słońca byliśmy w Wielizanach. Zaoferował także u siebie nocleg, gdzie spałem bardzo niespokojnie. Ledwie nastąpił świt byłem już w drodze do swojego domu. Te ostatnie pięćdziesiąt kilometrów do Stachny i dzieci wydawały mi się małym spacerkiem, w porównaniu z tym, co były za mną. W kołchozie kupiłem litr mleka za pięć rubli i wykończyłem resztę oszczędzanych sucharów. Ciągłe przyspieszałem kroku, bo zdawało mi się, że idę zbyt wolno. Było już dobrze po południu, gdy wszedłem w znajomy las brzozowy, za którym znajdował się kołchoz "Czerwony Proletariat" i moja kuźnia.

Nie zwracałem na nic uwagi tylko bez przerwy wyobrażałem, jak rozpakowuję tobołek w otoczeniu Stachny i dziewczynek, widziałem ich zdziwione i ucieszona miny. Zastanawiałem się

czy po tych długich tygodniach Donka już chodzi? Ela przed rokiem chodziła i dobrze mówiła- przypomniałem chwile, gdy Ela czuła się niepewnie na nóżkach i przewracała się, wtedy zawsze ze śmieshem wołała: "Garagū. Botem Stachna ją podnosiła i obie zaśmiewały się, ale było to jeszcze w Polsce. Tak rozmyślając wszedłem na szeroki dziedziniec kołchozu z wielką studnią pośrodku, a dalej już tylko patrzyłem na dom z zieloną bramą, do którego zmierzałem. Z boku bawiła się dzieci na trawie.

Nagle spostrzegłem Elę między nimi. Oderwała się od swoich rówieśników i biegła do mnie. Podniosłem ją i długo tuliłem w uścisku. Zaraz zacząłem pytać o Muszkę i Donkę. Ela od razu spoważniała i powiedziała: "Muszka w domu, a Donkę zawalili do ziemi- i w tej chwili dodała- nie płacz Tuśku, Donka przyniesie nam dużo kwiatów" sama to mówiła w płesie na mogiłce.

Jak weszliśmy do mieszkania z Elą, jakie było nasze powitanie z Stachną nie potrafię opisać. Wszystko zawaliło się przede mną. Ela tuliła się i próbowała ocierać moje łzy, przez które nic nie widziałem. Kiedy wypłakaliśmy się oboje nad nieszczęściem, które nas dosięgło, Stachna opowiedziała, co się wydarzyło w czasie mojej nieobecności. Jednego dnia odwiedziły Stachnę polskie kobiety z tego kołchozu. Chciały dowiedzieć się, czy nadeszły jakieś wiadomości ode mnie. Wszyscy Polacy byli przekonani, że w tych trudnych warunkach musiało mi się coś przydarzyć. Stachna częstowała herbatą ziołową i nikt nie zauważył raczkującej Donki, która podsunęła się do błyszczącego czajnika przy piecyku i ściągnęła go na siebie. Lekarza nie było, a do szpitala przezmtajgę w Wierchniej Tawdzie przeszło 70 kilometrów. I w tych warun-

kach dziecko zmarło. Z wielkiego żalu nie mogłem znaleźć miejsca. Uparcie przygniatała myśl, że zły los, który nie mógł mnie dosięgnąć, zemścił się teraz i zabrał mi najdroższą Donkę.

Na drugi dzień udaliśmy się we trójkę na cmentarz. Na małej mogile z krzyżem brzoźowym zasadziłem sosenkę i w modlitwie prosiliśmy, aby naszej Donce szumiała o dalekiej Ojczyźnie przez długie, długie lata.

Tego samego dnia odwiedził nas przewodniczący Foma Doroszkina Borysowicz, współczuł nam szczerze i prosił, abym zajął się dalej pracą w kuźni.

Nadal pracowałem w kołchozie "Czerwony Proletariat". Po męczącej podróży do Pietropawłowska i stracie Donki musiałem znowu stanąć do Pracy w Kuźni. Przecież każdy upływający dzień wymagał pożywienia, a zapasy Stachny kończyły się. Ludzie nie mieli co jeść i wszyscy z prawdziwym utęsknieniem oczekiwali żniw.

Zamiast chleba pieczono już tylko placki z otrąb, czasem z mąki razowej. Zależało to od tego, jak kto był zamożny i co posiadał. Codziennym pożywieniem była lebioda, młody osiet polny, a nawet czubki młodych sosenek. Ziemiaki były rzadkością, prawdziwym rarytatem.

W takich to warunkach rozpoczynałem pracę kowalską, zaś kołchoźnicy w tym czasie przystępowali do sianokosów. Przewodniczący - Foma Doroszkina Borysowicz - był dobrym człowiekiem. Szczerze współczuł ludziom i chciał im pomóc. Ale nic nie mógł zrobić, bo magazyny były puste. Sam zresztą miał czworo dzieci i żonę - zapracowaną na kołchozowej fermie. A w jego domu niepodzielnie panowały głód i nędza. Sam to parokrot-

nie widziałem.

Predsedatiel wprost ze skóry wyłaził, aby otrzymać jakąś pomoc kołchoźnikom. Starał się o jakiś przydział otrąb lub chociaż drugiego gatunku pszenicy. Wielokrotnie jeździł do władz w Wieliżanach, gdzie przedstawiał krytyczny stan kołchozu, ale nic nie wskórał. Odpowiadano mu zawsze jednakowo, że wszystkie zasoby musi oddać Krasnej Armii, która nas broni przed Giermańcem. Później Doroszkina żalił się do mnie:

- Widzicie, Wiktor Karłowicz, do czego doszliśmy. Od wielu lat należę do partii, jestem oficerem Krasnoj Armii. Na froncie straciłem zdrowie. Moja lewa ręka jest zupełnie bezwładna. I co mi z tego, że noszę tyle orderów. W rejonie wprowadzie nazywają mnie gierojem oraz ordieronoszczem - ale moja rodzina zdycha z głodu i nikt wcale się nie liczy ze mną, ani z losem mojej rodziny. Takie żale mi wylewał, kiedy go prosiłem o zaliczkę za przepracowane dni w kuzni, bo już nie miałem z czego żyć.

- W rejonie twierdzą - ciągnął dalej - że nasz kołchoz źle pracuje, że zalegamy z dostawami państwu zboża, mleka i mięsa aż za pięć lat. A czy my kiedykolwiek oddamy te olbrzymie ilości? Sama ziemia przecież nie urodzi. Przecież w kołchozie zostały tylko kobiety, kilku podrostków i piętnastu staruchów. No i bądź tu mądry i gospodaruj - mówił wyraźnie roztrzęsiony.

Tymczasem w kuzni nabierało się dużo roboty. Przed zbliżającymi się żniwami trzeba było szybko naprawić kosiarki, kosi tym bardziej, że zaplanowany do skoszenia areał był wielki i w porównaniu z siłą roboczą kołchozu - nieporównywalny. Siano należało zebrać z łąk o powierzchni tysiąca he-

tarów, w dodatku porozrzucanych w różnych miejscach tajgi. Siana nie mogło zabraknąć fermom zwierzęcym, bo to była podstawowa karma bydła, koni i owiec na okres aż ośmiu miesięcy długiej zimy.

Oprócz tego kołchoźnicy musieli zaopatrzyć się w zapas paszy dla własnej krowy, którą wolno było hodować jako dodatek do działki przyzagrodowej. Kosiarki psuły się ciągle, gdyż łąki w tajdze były zarosnięte karłowatą brzezina i krzakami łożyny. Z tego powodu wiele trzeba było kosić kosami. I tę bardzo ciężką, męską pracę wykonywały przeważnie kobiety, gdyż wszyscy bez wyjątku zdrowi mężczyźni byli zabrani na front.

Chcąc zachęcić ludzi do lepszej pracy, prezydentiel postanowił zabić największą i najlepiej wypasioną jałówkę i rozdzielić mięso między kołchoźników. Wieczorem kołchozowy pastuch otrzymał polecenie, aby nazajutrz wypędzając bydło do tajgi pozostawił "czarnuchę" w okólniku. To mu się jednak nie udało. Mimo wielu chytrych manewrów od reszty stada - jałówka wpadła w uchylone wrota i garbatego pastucha - Andreja Boruchina - przewróciła. Potoczył się żałośnie jak beczka w stronę kuźni. Kołchoźnicy, którzy w tym czasie znajdowali się na fermie zawrócili szybko część bydła z "czarnuchą" z powrotem - do ogrodzenia.

Tym razem za wrota weszło aż pięciu wyrostków. Natomiast trzech starych chłopów stanęło przy uchylonej bramie i powoli wypuszczali odłączane sztuki na zewnątrz - aż jałówka została sama w okólniku.

Widząc swoje odosobnienie - zrozpaczona ryczała i biegała dookoła przy płocie, Koniecznie chciała wydostać się do

reszty stada. Nie zwlekając - do okólnika weszło ośmiu naj- silniejszych kołchoźników i dwie dojarki: Warwara Kożuchina i Jewdokija Tarłukowa. Obie były ubrane w męskie kombinezo- ny sprawiały wrażenie z wyglądu dwóch zdrowych parobków. One właśnie wysunęły się z grupy do przodu i wyciągając rę- ce zaczęły pieszczotliwie przemawiać do zapędzonej w róg ogrodzenia ofiary już skazanej na śmierć:

- Moja mileńka, nie uciekaj, nic ci się nie stanie. No, chodź do mnie, chodź - zachęcała Warwara.

Tuż za nimi posuwał się powoli, przykucnięty, najmocniej- szy w kołchozie - Griszka Łopuchow. Nie miał lewego oka, a na lewym policzku nosił dużą bliznę, która swym kształtem była podobna do grzyba. Była to pamiątka po ogierze, który go kopnął kilka lat wcześniej.

Teraz - dufny w swoją siłę - postanowił "czarnuchę" schwa- tać za rogi. Kiedy we trójkę posunęli się dość blisko do o- fiary - Griszka nagle runął zza Warwary i złapał jałówkę za rogi. W jednej chwili - człowiek i zwierzę - stanęli dę- ba i w jednej chwili zwałili się na ziemię.

"Czarnucha" zaczęła gwałtownie wierzgać nogami i nie wia- domo kiedy - kopnęła Łopuchowa w podbrzusze, a sama poderwa- ła się na nogi.

Griszka natomiast nadal leżał, rozciągnięty na ziemi, w ro- zerwanej rubaszce na piersiach i portkami ściągniętymi aż za kolana. Kręcił się, okropnie jęczał z bólu. Natomiast ja- łówka - wykorzystując powstałe zamieszanie - zakręciła się w oka mgnieniu, przewróciła obie dojarki i jak koń - skoczy- ła na płot. Żerdzie popękały na kawałki, a oswobodzona "Czar- nucha" pobiegła do tajgi do swego stada.

Powstał ogólny rwetes i zamieszanie. Wszyscy wzajemnie obwiniali się za nieudane schwytnie jałówki, ale leżący, ranny Łopuchow był teraz ważniejszy. Zobaczyłem go w tragicznym stanie. Uda z przodu oraz brzuch miał mocno okrwawione. Natychmiast przeniesiono go do dyżurki na fermie, położono na podłodze i wszyscy - na swój sposób każdy - zaczęli uważać się nad jego nieszczęściem.

Tymczasem Griszka bez przerwy jęczał. Gdy momentami tracił przytomność - kobiety natychmiast polewały go wodą i kładły okłady na brzuch.

W końcu przyprowadzono dobrze zbudowaną staruchę o nazwisku Kuchalska. Starucha w kółchozie leczyła wszystkie choroby. Rannego Griszkę oddano pod jej opiekę.

Griszka Łopuchow wiele przecierpiał. Przez kilka dni leżał nieprzytomny, ale w końcu wylizał się z tego. Już po miesiącu poszedł z innymi do roboty. Jedynie dzieci kółchoźników nie zapomniały tego wypadku i przez długi czas jeszcze odtwarzały przebieg walki Griszki z "Czarnuchą".

A jednaj jałowce nie darowano życia. Już po południu dzie sięciu starych kółchoźników z wyrostkami wspólnie zapędzili ją do gęstych zarośli na trzęsawisku. Tam, za pomocą liny z łyka powalono ją na ziemię i zarżnięto na miejscu. Gromada starych brodaczy i dzieci przywiozła zdobycz na trolejowozie przed budynek kółchozowego uprawienia. Tu stary Leon Jazgułow ściągnął skórę z bohaterskiej "Czernuchy". Natomiast zarząd kółchozu natychmiast przystąpił do rozdziału mięsa między kółchoźników.

Jeszcze przez długi czas wspomniano to wydarzenie, bo też od dawna nie próbowano tak wkusnych "pielemieni" czyli pierożków z mięsem. Pierożki z mięsem są ulubionym przysmakiem

Sybiraków.

Po tygodniu prezes Dorożkin otrzymał z rejonu przydział na trzy kwintale pszenicy jako specjalną premię dla kołchozu na sprawne przeprowadzenie akcji sianokosów. Z tego powodu radość w kołchozie była wielka. Po pszenicę należało pojechać do głównych magazynów państwowych aż za Tiumeń. Była to trasa wynosząca około stu dwudziestu kilometrów w jedną stronę. Do odbioru zboża został natychmiast wydelegowany kurlawy Andrej Piskin. Podróż zajęła aż całe pięć dni. Być może Andrej wróciłby i prędzej, bo konie miały w tajdze trawy do syta, ale wóz był na drewnianych osiach i woźnica nie mógł zbyt popędzać. W dodatku w drodze powrotnej pękła szyna na kole. Ten defekt opóźnił o cały dzień powrót, tak bardzo przez wszystkich oczekiwany.

Każdy z niecierpliwością liczył na swój "pajok", z góry obliczał, ile będzie miał kaszy na placki. Jednak wszystkich czekało niemałe rozczarowanie. Okazało się bowiem, że zamiast obiecanych trzech kwintali - wydano Pieskinowi tylko stąki-logramów.

Cóż było robić? Kołchoźnicy otrzymali ostatecznie jedną trzecią obiecanego "pajka" i musieli być z tego zadowoleni. Zamiast pestek słonecznika - żuli ziarenka pszenicy, żartowali między sobą i śmiechem podtrzymywali się na duchu. Jedy- ną nadzieją była pszenica, która jeszcze dojrzewała na kołchozowych polach. Z niecierpliwością liczono dni do żniw.

W tym czasie predsiedatiel Dorożkin często zaglądał do naszej kuźni. Interesował się postępem naprawy maszyn, a i sam - jak się okazało - też lubił majsterkować mimo, że jak wspomniałem - jedną rękę miał niesprawną. Z czasem zaprzyjaź-

niliśmy się obaj. To sprzyjało prowadzeniu szczerych dyskusji o Polsce i Związku Radzieckim. Zresztą głównym tematem naszych rozmów była wojna. On opowiadał mi swoje, wstrząsające przeżycia z frontu. On sam - ciężko ranny - zdołał przeczołgać się z obronnego przyczółka obronnego dopiero po dwóch dniach. Przez te całe dwa dni był pod ostrzałem niemieckim bez żadnego opatrunku czy pożywienia. Dostał zakażenia ręki i tylko cudem zdołał się uratować. Jednak bardzo długo przeleżał w różnych szpitalach specjalistycznych, gdzie go leczono.

Foma Borysowicz lubił popić. W naszych tam warunkach prawdziwa wódka była w zasadzie nie do zdobycia. W tym czasie na Syberii korzystali ze spirytusu drzewnego, wytwarzanego z trzciny w zakładach suchej destylacji drewna. Na nasze tereny taki spirytus był dostarczany potajemnie. Przywożono go z wielkiej fabrycy, która była w wierchniej Tawdzie. Przez taką odległość wynosiła sześćdziesiąt kilometrów. Czasem i mnie udawało się zdobyć "czetuszkę" czyli ćwiartkę tego denaturatu. Była to częsta forma zapłaty za wykonane prywatnie usługi kowalskie. Był on jednak zawsze poświęcony Doroszkiniowi. Dzięki tym prezentom stosunkowo często mogłem otrzymać kilkanaście kilogramów pszenicy jako zaliczkę za przepracowane dniówki.

Picie spirytusu drzewnego odbywało się w ten sposób, że każdy nalewał sobie do kubka lub szklanki pewną ilość denaturatu. Następnie do tego dolewał pewną ilość wody i za jednym "zamachem" wypijał. Kto życzył sobie "zapojki" czyli popicia wodą - mógł pić wodę do woli. Towarzystwo piło w ten sposób aż do wykończenia butelki.

Zakąskę stanowił najczęściej pieczony kartofel na żelaz-

nym piecyku albo też kawałek placką a w lecie był też szczy-
piorek z solą. Przez jakiś czas w ogóle nie mogłem przełk-
nąć tego denaturatu. Już sam zapach przyprawiał mnie o mdłoś-
ci. Próbowałem, ale jakoś przez nos wychodził mi na zewnątrz.
Kiedy z konieczności znalazłem się w towarzystwie, które pi-
ło ten spirytus - śmiano się ze mnie, że jestem delikatnym
"Polaczkiem". Pocieszano przy tym:

- Zobaczysz, bratiec, w Związku Radzieckim przyzwyczaisz
się do wszystkiego - i do spirtu także.

Cóż jednak mogłem poradzić? Chociaż do alkoholi nigdy nie
miałem szczególnych skłonności - trzeba było w tej sytuacji
próbować. Tego przecież wymagała konieczność życiowa. Prze-
cież sam, bez "układów" - zginąłbym.

Nawet najmniejszą ilość tego spirytusu, którą z koniecz-
ności musiałem spożyć - z zasady odchorowywałem. Mój orga-
nizm wyraźnie nie akceptował tego napoju i sam bronił się
przed tą trucizną. W takich sytuacjach czułem gorąco, chwyta-
ły mnie wymioty. A dodatkową przykrością było to, że przez
parę godzin roznosiłem za sobą niesamowity smród, bijący ode
mnie na kilka metrów.

Ale mimo tego ludzie pili. W ten sposób chcieli oderwać
się od gnębiącej rzeczywistości, dopiekającej biedy. A głód
dokuczał nam coraz bardziej, a pomocy znikąd nie było. Koł-
choz musiał być przecież samowystarczalny. Jedyne ratunek
wszyscy upatrywali w nadchodzących żniwach. Ludzie teraz już
każdego dnia niecierpliwie oglądali pszenicę na polu i opo-
wiadali sobie z przejęciem, że już nabiera złocistego ko-
loru.

Pewnego dnia, po południu, kiedy już zabierałem się do za-

mykania kuźni, kiedy wpadł do mnie Borysowicz i prawie szeptem zapytał:

- Wiktor Karłowicz, nie macie czasem "czetuszki" spirytu? Odpowiedziałem, że tak. A na to prezydent powiedział - z rozjaśnioną twarzą:

- dobrze się składa, Wiktor Karłowicz, zapraszam was do siebie, na kwaterę. Nina Afajewna /jego żona/ upiekła placek i jest okazja spóbować. W dodatku dzisiaj żona ma dzisiaj dyżur na fermie, a dzieci zabrała do siebie babuszka. W tej sytuacji będę wam mógł coś powiedzieć.

Przed zachodem słońca zabrałem swoją "czetuszkę" i poszedłem do domu prezydenta. Kiedy wychodziłem z domu i byłem już we drzwiach, zmartwiona Stachna upomniała mnie:

- Wiktor, na litość boską, nie pij za dużo tej śmierdziuchy, bo zachorujesz. Sam wiesz przecież, jaka to trucizna. Pamiętaj, żebyś dolewał dużo wody.

Dorożkina zastałem rzeczywiście samego. Siedział za stołem. Przed nim stał dzbanek z zimną wodą, a obok puste szklanki i kawałek szarego placka.

- Wiktor Karłowicz, sądziłem, że już nie przyjdziecie. Czekam już na was od godziny - mówił uradowany.

Po pierwszych dwóch kolejkach skierował rozmowę na żniwa:

- Wkrótce skończy się nasza bieda - powiedział. Na polach mamy naprawdę piękną pszenicę. Wczoraj zakończyłem lustrację wszystkich paszni /czyli pól/. Najładniejszą pszenicę mamy za jeziorem, prawie dziesięć kilometrów od naszego kołchozu. Jest to naprawdę piękna pszenica, którą już prawie można kosić. Jej ziarno z każdą chwilą twardnieje - mówił z powagą.

Na tym polu, zaraz po niedzieli, rozpoczynami żniwa - oświadczył.

Był mocno podniecony. Po następnej kolejce Doroszkina przestał rozmawiać, napił spirytus tylko wodą. Placek pozostawał nadal nienaruszony. Dłuższy czas o czymś myślał intensywnie. Potem wstał, nalał spirytusu do obu szklanek, każdy z nas dolał sobie wody i tręciliśmy się w milczeniu. Czułem, że on chce mi coś powiedzieć. I rzeczywiście tak się stało.

- Wiktor Karłowicz, musicie wypić wszystko z tej szklanki, bo to co teraz powiem - jest sierożne.

Kiedy wypiliśmy, on nadal stał i wpatrywał się we mnie. Przemogłem się - bo cóż było robić? - i też wypilem, chociaż oczy wyszły mi na wierzch. A Foma Borysowicz mówił do mnie zciszoną głosem:

- Zawierzyłem wam, Wiktor Karłowicz, bo jesteście mądry i obrazowanyj człowiek. Przybyliście z pomocą naszemu kołchozowi w bardzo trudnym czasie i dlatego was wysoko cenię. Zapłaćta, którą wam dajemy za waszą ciężką pracę jest mała. Ale widzicie, że i sami nic nie mamy, żyjemy w biedzie.

Czułem niesamowity szum w głowie i zdołałem tylko pomyśleć: do czego on zmierza? Czego on u diabła chce ode mnie?

A tymczasem Doroszkina mówił dalej:

- Wiktor Karłowicz, ja was szanuję i dlatego chcę wam pomóc. Widzę, jak wasza żona i dziecko głodują, chociaż do biedy nie były przyzwyczajone. Długo nad tym myślałem i wszystko dokładnie zaplanowałem. A teraz dobrze uważajcie, Wiktor Karłowicz. Zaraz, jak się ściemni, pójdziemy obaj za jezioro, aby zobaczyć naszą piękną pszenicę.

Nadal nie orientowałem się - w czym tu rzecz. Ale w takim

śmierdzącym stanie nie chciałem pokazywać się w domu, słuchać narzekań Stachny i natychmiast przystałem na jego propozycję pójścia na spacer.

Wypiliśmy resztę spirytusu i w dobrych humorach wstaliśmy od stołu. Foma Borysowicz zwinął dwa worki, które dotychczas leżały w kącie i wyjął z szafki dwa kuchenne noże, które mu nie tak dawno zrobiłem w kuźni. Oba noże zawiązał w gazetę i wsadził za cholewę. Natomiast worki wziął pod pachę i obaj wyszliśmy prosto w tajgę, która akurat przytykała do jego domu.

W tym momencie przyszła mi do głowy myśl, że może on w tajdze schował gdzieś zabitego barana? A może cielaka? Bo po co mu są potrzebne noże i worki?

Noc była jasna i księżycowa. Ale komary kłuły niemiłosiernie. Ale myśmy na to zwracali małą uwagę. Szliśmy krętą drogą w milczeniu, mijając obalone przez burzę brzozy. Nad nami, wysoko na niebie płynął księżyc i z tego orientowałem się, że musiało być już dobrze po północy. Nie orientowałem się, ile czasu maszerowaliśmy, kiedy zobaczyłem jezioro o zarosniętych brzegach. Ze wszystkich stron kumkały żaby oraz rozlegało się głośne kwakanie dzikich kaczek.

Na chwilę zapomniałem o wszystkim: o Syberii, o wojnie a nawet o kłujących komarach i zacząłem sobie wyobrażać, że jestem na obozie harcerskim, jak to rzeczywiście bywało przed laty i że urządzamy zabawę w podchody. Szybko jednak wróciłem do rzeczywistości, gdy weszliśmy w dorodno pszenicę. Doroszkina szepnął:

- Jesteśmy na miejscu. Zabierajmy się szybko do żniwa. Jednocześnie wsunął mi do rąk worek i nóż.

- Patrzcie, tak trzeba postępować. I pokazał mi, jak należy ścinać kłosa i wrzucać je do worka.

Początkowo ścinałem tylko po kilka sztuk. Później zacząłem chwycić całą garścią, siec dorodne kłosa i pakować je do worka. Po godzinie byliśmy gotowi. Z nami pozostały duże ~~po godzinie byliśmy gotowi~~ połacie gołej słomy.

Przez jakiś czas posiedzieliśmy nad jeziorem, nic do siebie nie mówiąc. Po jakimś czasie zabraliśmy się w drogę powrotną. To już nie był spacer - jak przedtem - lecz prawdziwa mordęga. Worki były nabite, kłosa mało wysuszone, a przepełnione worki trzeba było podtrzymywać ręką na karku. Wykorzystały to komary: ciężły bezlitośnie, gdzie popadło.

Odpooczywaliśmy wielokrotnie tak, że dopiero nad ranem przetaszczyliśmy swoją zdobycz do kołchozu. Na szczęście nasze domy przytykały do samego brzeźniaka tak, że nikt nas nie zauważył.

W czasie mojej całonocnej nieobecności Stachna w najwyższym zdenerwowaniu wychodziła ze skóry. Przez całą noc nie spała ustawicznie myśląc - dlaczego nie wracam. Była w strachu licząc się z tym, że po wypiciu większej ilości denaturatu wszystko mogło się przydażyć.

Kiedy wciągnąłem spory work do pokoju, była do najwyższego stopnia przerażona. Oświadczyła stanowczo:

W Wiktorze, zlituj się, nie igraj z losem. Wolę być głodna, ale razem. Oczywiście miała rację. Nasz wyczyn był ogromnie ryzykowny. W razie wpadki mogłem z łagrów nigdy nie wrócić. Ale z drugiej strony - czy mogłem spokojnie siedzieć i patrzeć, jak mała Ela puchnie z głodu?

Kłosa poszły natychmiast na ciepły piec do suszenia. Natomiast ja powaliłem się na pryczę w ubraniu. Byłem tak zmęczo-

ny, że natychmiast zapomniałem o narzekaniach i przestro-
gach Stachny.

Po dwóch dniach pszenica była oczyszczona i przemielona
na kaszę i grubą mąkę. Głód - przynajmniej na jakiś czas -
był zaspokojony. Mogliśmy sobie nawet pozwolić na okrągłe
bułki pachnącego chleba, które Stachna już od dawna nauczy-
ła się wypiekać.

Teraz, gdy nasze posiłki stały się treściwsze - praca w
kuźni nie była już taka ciężka. Po cichu nawet śmieliśmy się
oboje ze Stachną.

Mielenie odbywało się w domu na żarnach własnej roboty.
Robiłem je z dwóch, dobrze wysuszonych kręgów brzo-
zowych, obitych z boku paskiem blachy, aby dobrze się trzymały jeden
na drugim. Każdy krąg miał nabite promieniście kawałki żela-
za ze starego garnka i równo przytarte na obu przystających
powierzchniach. W środku górnego kręgu był otwór do sypania
ziarna. Za przymocowany do górnego kręgu uchwyt kręciło się
i takie żarna męły wspaniale. Za takie urządzenie do miele-
nia zboża dostawałem od kołchoźników mleko, kartofle, kilka
jajek, a czasem ćwiartkę topionego masła.

W ten sposób starałem się przetrwać i nie dać się ota-
czającej ze wszystkich stron biedzie.

Predsiedateli Dorozkin postąpił podobnie ze swoją psze-
nicą. Na pewien czas zabezpieczyliśmy swoje rodziny od głó-
du. Ale gdzieś po tygodniu od naszego nocnego wypadu za je-
zioro - z samego rana wyruszyły dwie brygady kołchozowe z
kosiarkami na to właśnie pole, aby rozpocząć żniwa. Z cieka-
wością i niepokojem oczekiwałem reakcji kołchoźników na od-
kryte, przedwczesne żniwo. Predsiedateli był z nimi od same-

go początku. Pracowano bez przerwy obiadowej. Po południu przyjechał z pola jeden z kołchoźników - Anton Bielajew z wiadomością, żeby udał się z nim na pole i naprawił uszkodzoną kosiarkę. Niezwłocznie zabrałem narzędzia i pojechaliśmy obaj do żniwiarzy na pole.

Już z daleka zauważyłem, że obie kosiarki stoją w pszenicy, bez obsługi. Natomiast ludzie z obu brygad są zebrani wokół prezydenta Doroszkina nad jeziorem i żywo nad czymś dyskutują. Kiedy znalazłem się obok - dowiedziałem się, że Nadia, córka starego Nikity Obrazcowa odkryła w pszenicy wielki sabotaż: wszyscy tu obecni stwierdzili, że jakiś wróg ludu pozcinał kłosa z najpiękniejszej pszenicy. Jest to tym większe przestępstwo, że sam Stalin przykazał, aby pierwsze ziarno dostarczyć z pola niewyciężonej Krasnoj Armii, która nas broni przed faszystami.

Warwara Kożuchina krzyczała:

- Towarzysze, my wszyscy z ciężkim trudem ukreplamy tyły, a tu jakiś mierzawiec śmieje się z nas i za piecem żre naszą pszenicę. Koniecznie trzeba go złapać i ukarać.

Leonid Burłakow i Wiera Jagina najgłośniej domagali się wykrycia szubrawca i zesłania go do łagrów na ciężkie roboty. A dwa dni wcześniej - ta sama para była mocno potępiana na publicznym zebraniu za to, że potajemnie doją kołchozowe krowy i we dwójkę wypijają mleko. A za to także groziła kara paroletniego pobytu w łagrze.

Po wielu krzykach i groźbach pod adresem nieznanego przestępcy zabrał głos sam prezydent Doroszkina:

- Z ubolewaniem stwierdzam fakt istnienia w kołchozie "Czerwony Proletariat" sabotażystów i ludzi wrednych, którzy

nie bacząc na ciężkie położenie Związku Radzieckiego - nie widzą wysiłku bohaterskiej, Czerwojej Armii i nie słuchają naszego mądrego Stalina, a myślą tylko o sobie i o własnym brzuchu. Sabotażyście nie cofają się przed tak wielką zbrodnią, jak ścinanie kłosów najładniejszej pszenicy. Nie szanują całorocznego wysiłku naszych ofiarnych i pracowitych kołchoźników.

Długo jeszcze przemawiał w tym duchu, zachęcał do wysiłku i poświęceń, umaciania tyłów Związku Radzieckiego, "jak nas uczy nasza partia i nasz wielki generalissimus - Józef Stalin.

Przez cały czas, gdy przemawiał, wszyscy mu głośno przytakiwali, a na koniec długo oklaskiwali, żując jednocześnie ziarna pszenicy.

Po naprawieniu kosiarki i wyładowaniu się na niespodziewanym wiecu, ludzie znowu zabrali się do roboty z nadzieją, że niebawem rozpocznie się młocka, a tym samym koniec głodu dla wszystkich. wiadomo było wszystkim, że przy młóceniu, czyszczeniu i przygotowywaniu zboża do odstawy państwu zawsze będzie można coś przynieść do domu: choćby w kieszenia kufajki, nogawkach spodni, a nawet w butach i czapce. Będzie też wydawanych po parę kilogramów pszenicy jako zaliczka na poczet przepracowanych dniówek w ciągu minionego roku. Nadzieja dodawała siłę kołchoźnikom i każdego bez wyjątku podtrzymywała na duchu.

Mimo głodu pracowano wytrwale, bo to był jedyny ratunek. Przez kilka dni nie widziałem Fomy Borysowicza. Był zajęty pilnowaniem zwózki pszenicy na ubite klepisko za wsią, na którym każdego roku odbywała się młocka. Zauważyłem go dopiero po jakimś czasie koło kuźni, kiedy oglądał wyremonto-

waną młocarnię. Był bardzo zadowolony i uśmiechając się do mnie mówił:

- W porę kuźnicy naprawili młocarnię. Jutro robota pójdzie całą parą. Odrazu będziemy czyścić ziarno i nareszcie wszyscy kołchoźnicy dostaną pszenicę na świeże placki. Wy też, Wiktor Karłowicz, swoją dolę otrzymacie - powiedział. Ale ani jednym słowem nie wspomniał o burzliwym zebraniu nad jeziorem. Pokręcił się między maszynami i stanął koło mnie, przy kowadle.

- Wiecie cò? Zdobyłem czetuszkę. Moja Afajewna przyrzędziła smaczne pierożki ze świeżej mąki. Koniecznie przyjdźcie po południu - musimy popróbować.

Zaproszenie przyjąłem choćby z samej ciekawości, jak też on oceni nasz wspólny wypad nad jezioro. Przyjęcie urządził w letniej kuchni, która kiedyś była pralnią jakiegoś kułaka. Na stół postawił całe pół litra spirytusu drzewnego. Obok stały dwie szklanki, dzbanek z zimną wodą i placki, okraszone śmietaną.

Ja ze sobą przyniosłem placki z serem, pieczone na topionym maśle. Były pachnące i bardzo smaczne. Ówiartkę masła dostałem w przedzień od kołchoźnicy Wali Duszkiny za zreperowanie maszyny do szycia. Duszkinie o wiele lepiej powodziło się niż innym. Miała własną krowę i była zwolniona z dostawy mleka dla państwa, ponieważ jej mąż zginął na froncie jako bohater, odznaczony pośmiertnie.

Przeraziłem się na dobre tej półlitrowki i postanowiłem dolewać do spirytusu dużo wody. Pierwsze dwie kolejki przeszły na wychwalaniu pierożków ze śmietaną i placków z serem. Później rozruszaliśmy się. Rozawialiśmy o ostatnich wiado-

mościach z frontu i trudnościach kołchozowego gospodarowania przy braku ludzi do pracy i bez części zamiennych do maszyn i marnego inwentarza żywego:

- Jak tu gospodarować i mieć dobre wyniki - narzekał - bo pomyślcie tylko, Wiktor Karłowicz. Nasz kołchoz ma pięć tysięcy hektarów, o wiele więcej samych użytków rolnych. I jak to wszystko dobrze uprawić i zagospodarować, kiedy mamy wszystkiego piętnaście koni i to "zdechlaków". A te trzy traktory stale się psują z braku części zamiennych. A czy inne maszyny są więcej warte? One także nadają się na złom. Jedną najważniejsze jest to, że z każdego hektara musimy oddać państwu jako obowiązkowe dostawy: zboże, mięso i mleko. Nic też dziwnego, że nasz kołchoz od pięciu lat zalega państwu tysiące ton tych produktów. Jeśli pomyślę o tym wszystkim - nie chce mi się żyć na świecie.

Partia ciągle nalega: daj i daj. A skąd mam wziąć - i tu mocno zaklął.

Nikt nie wie, co będzie z nami - zakończył.

Wówczas wspomniałem o zebraniu kołchoźników nad jeziorem, że to bardzo nieprzyjemna sprawa. Ale Doroszkina popatrzył na mnie, uśmiechnął się i kiwając głową powiedział:

- Wiktor Karłowicz, gdyby to były tylko takie zmartwienia. Widać, że wy tam w Polsce nigdy nie zazналиście biedy i teraz przejmujecie się takimi głupstwami. Ot, lepiej wypijmy, będzie nam lżej - powiedział, podnosząc szklankę do góry.

Wypiliśmy niejedną kolejkę. Przypatrzyłem się dobrze i nawet nie czułem smrodu denaturatu. Kręciło mi się już porządnie w głowie. Popatrzyłem na butelkę stojącą na stole i ze zdziwieniem stwierdziłem, że była już pusta. Zdażyłem pomyś-

leć, Jak ja teraz, w takim stanie znajdę do domu? Tak bardzo chciało mi się spać.

Otrząsnąłem się jednak i oprzytomniałem. Popatrzyłem na predsiedatiela i stwierdziłem, że on był zupełnie pijany. Czułem się wyraźnie lepiej niż on. Napewno pomogła mi woda, którą starannie i obficie sobie dolewałem.

Foma Borysowicz przestał rozmawiać i zaczął się mocno kiwać na stołku. Przewracał oczami, a usta wykrzywiał tak, jakby chciał się uśmiechać. Wyprowadziłem go przed dom i usiedliśmy na trawie. Po chwili Foma Borysowicz przewrócił się na wznak i zamknął oczy.

Sądziłem, że poczuje się lepiej, gdy dłużej poleży na powietrzu. Na chwilę odszedłem za dom. Kiedy wróciłem po chwili zobaczyłem, że mój towarzysz nagle wyszczerzył zaciśnięte zęby i wydaje nieartykułowane dźwięki ~~języki~~ ~~języki~~. Komary obsiadły go całkowicie i w jednej chwili upodobnił się do potwornej maski.

Na ten widok przestraszyłem się nie na żarty i pobiegłem do dalszych zabudowań, szukać Niny Afajewny. Zjawiała się natychmiast, spojrzała na męża i rzekła:

- No, Dorozżkin, to już koniec z tobą. Spirytus zapalił się w środku i już nic cię nie uratuje.

Stała nad nim bezczynnie, a ja opędzałem z niego komary. Nagle rozejrzała się na wszystkie strony i krzyknęła na jednego z chłopców:

- Wańka, dawaj babuszkę Kuchalskuju.

Po paru minutach przybiegła wysoka, tęga kobieta. Była to ta sama kobieta, która ratowała Griszkę Łopuchowa. Spokojnie popatrzyła na leżącego i zażądała noża. Z przerażeniem pomyślałem: czy ta baba nie zechce go przypadkiem dorżnąć? A tym-

czasem babuszka, otrzymawszy nóż, którym ścinaliśmy kłosa, przysiadła w kucki nad głową Doroszkina, prawą ręką wprawnie wsadziła nóż między zęby i rozchyliła szczęki. Następnie siędząc nadal w przykucniętej pozycji - lewą ręką podniosła kieckę i zaczęła oddawać mocz w usta Fomy tak, aby jak najwięcej dostało się między rozwarte szczęki.

Byłem przerażony, patrząc na pianę o odcieniu niebieskawym, która pokryła całą głowę, a następnie ściekała po twarzy, oczach i uszach. Cała rubaszka i oręder były zalane. Po takiej operacji Doroszkina gwałtownie poruszył się i zaczął prychać. Ale Kucharskaja ciągle trzymała nóż w jego zębach i nadal robiła swoje. Wreszcie pacjent przewrócił się na bok i zaczął wymiotować plackami i pierożkami. Wówczas babuszka podniosła się, podciągnęła spódnicę i powoli powiedziała:

- teraz perdsiedatiel budiet żyć.

Ja tymczasem, trzymając się garścią za usta, pobiegłem za najbliższe drzewa również oddawać placki z pierożkami. Dowiedziałem się później, że babuszka Kuchalskaja ma wielkie poważanie wśród tułtejszej ludności. Nic to, że nie miała wykształcenia medycznego doskonale zna się na chorobach, które leczy przeważnie ziołami. Ludzie bardziej ufają Kuchalskiej niż lekarzowi w Wieliżanach.

Ona sama opowiadała mi ~~ona sama~~, że umiejętności lekarskie nabyła od swojego dziadka, który był lekarzem zesłanym na Sybir za udział w powstaniu styczniowym, pochodził z Wilna. Jego właściwe nazwisko brzmiało: Puchalski.

Nad drugi dzień po tym wadarzeniu - była to niedziela - wyszliśmy ze Stachną i Elą nad rzekę i tu spotkaliśmy Fomę Borysowidza. O dziwo - był w dobrej formie. Paradował z orde-

rem na piersiach - jak zwykle. Zapytałem, czy pamięta - co się z nim wczoraj działo. Odpowiedział z powagą:

- Wiktor Karłowicz, gdyby nie nasza babuszka Kuchalskaja napewno już bym nie żył. Właśnie postanowiłem nie pić więcej tego spirytu.

- Święte słowa, Foma Borysewicz - odrzekłem - bo i ja wczoraj przyrzekłem, że więcej tej trucizny do ust nie wezmę. Może dłużej pożyjemy - dodałem, śmiejąc się.

Przez wiele następnych dni w kolchozie trwała wytężona praca. Po wymłóceniu zboża czyszczono ziarno i bezpośrednio dostarczano do magazynów aż za Wieliżany zgodnie z hasłem: "Wszystko dla Krasnoj Armii".

Chleb i kasza pojawiły się teraz w każdym domu i o ciężkim przednówku nie wspomiano. Śmiano się, że głód ustąpił daleko na północ, w tundrę, gdzie są same wilki.

Ledwie uporano się ze sprzętem zboża i przygotowano pola do zasiewów, a już tajga zaczęła zmieniać kolory od jasnej czerwieni po złocisty. Ogromne gromady komarów zniknęły całkowicie. W lasach masowo pojawiły się grzyby i jagody, które ludzie starannie gromadzili na zimę. Szybkimi krokami zbliżała się krótka, syberyjska jesień, a potem długa, mroźna zima.

Szewe u Sybiraków.

Przyszedł listopad 1942-go roku. Mróz chwycił w swoje okowy tajgę. Temperatura dochodziła do dwudziestu i więcej stopni Celsjusza poniżej zera. Rzeki i jeziora były już od dawna pod grubą warstwą lodu. Od połowy października nie by-

ło odwilży i stale dokładał śnieg. Miejscami napadało do pół metra tego puchu. Drogi łączące najbliższe miejscowości zostały zasypane i ślad po nich zaginał. Zamarznięte koryto rzeki stało się traktem łączącym kołchoz z innymi osiedlami nad rzeką.

Kołchoz "Czerwony Proletariat" zakończył dostawę zboża do magazynów państwowych. W magazynach kołchożnych pozostało ziarno drugiego gatunku, jako zapas na najgorsze. Państwo było pierwszym wierzycielem. Po dostarczeniu wszystkiego zboża z tegorocznych zbiorów, okazało się, że kołchoz jest jeszcze winien kilkaset ton, nie licząc zaległości za lata ubiegłe. Zadłużenie to z roku na rok wzrastało i ludzie nie widzieli sposobu wybrnięcia z tej sytuacji. Byli przerażeni zbliżającą się zimą, bo wiedzieli, że każda rodzina może liczyć tylko na siebie.

Z rejonowych władz nikt nie myślał, co stanie się z kołchożnikami. Domagano się bezwzględnie dostarczenia zboża, mięsa i mleka. Partia i prawicielstwo zasłaniaли się utartym sloganem—żołnierze na froncie muszą jeść. Do kuźni przychodziłem codziennie z przyzwyczajenia, chociaż roboty poważniejszej nie było. Większość czasu spędzałem w domu ze Stachną i Elą. Zajmowałem się robotami blacharskimi, wstawiałem dna do wiader i miednic, łatałem dziury w garnkach, ale i te roboty skończyły się, bo kołchożnicy nie mieli czym zapłacić, choćby symbolicznie.

Priedsiedatiel Foma Doroszkina oświadczył mnie z ubolewaniem, że mimo najszczerzych chęci nie może mi dać ani kilograma zboża za moje wypracowane dniówki, bo magazyn pusty. Nie miałem do niego żalu, wiedząc, że wkrótce sam ze swoją ro-

dziną będzie głodował. Kolchoźnicy żyli na swój sposób, mimo braków i widoków na lepsze. Ratowało ich jedynie produkty zgromadzone jesienią z działek przyzagrodowych. Były to kartofle i rzepa, do tego kapusta kiszona z borówkami zebrany w lasach tajgi.

Drobnego inwentarza prawie nie chowano, ze względu na brak paszy.

W połowie listopada przestało padać. Dnie były mroźne, ale słoneczne. W poniedziałek od rana byłem w kuźni. Uporządkowałem wszystkie narzędzia, naoliwiłem wiertarki, a piłki do żelaza i wiertła pokryłem tawołem, bo w czasie zimy nie były przewidziane większe roboty. W południe wróciłem do domu. Obiad był już gotowy. Stachna przygotowała kartoflaną zakraszoną topionym masłem z cebulką. Wyciągnęła z szafki okrągły bochenek chleba o złotawym kolorze, który od dawna nauczyła się wypiekać, odkroiła po kromce nam obojgu i Eli. Popatrzyła na mnie i z powagą powiedziała: "Od jutra dostaniecie jeszcze po mniejszym kawałku, bo to nasz ostatni bochenek". Chcąc mnie pocieszyć, szybko dodała: "Nie martw się kochany jeszcze nie jest tak źle. Mamy trochę kaszy i parę czestuszek topionego masła-jakoś będziemy żyć". Słuchając tego wyroku czułem się o wiele gorzej niż wtedy, gdy nas przywieziono w bydłych wagonach na Sybir i skazano na długą zsyłkę. Teraz grozi nam widmo głodu, bez widoku jakiegokolwiek ratunku. Nikt nam nie da nawet czterdziestu gramów chleba, jak w łagrze na Niżnej Pristani. Siedziałem nad miską i starałem się uporządkować myśli tłoczące do głowy. Jedno stale górowało-muszę zdobyć coś do jedzenia i to jak najprędzej.

Gdy podsunęła mi wydzielony kawałek chleba, odruchowo odsunąłem go od siebie i powiedziałem: "Stachna, nie wezmę do ust ani kawałka, zanim nowego nie zarobię". Więcej nie odzywałem się do moich kobiet. Zupę zjadłem i odszedłem od stołu z gotowym planem działania. Zwróciłem się do Sachny: "Wiesz co postanowiłem? Zaraz wybieram się do Żyrakowej. Do zachodu słońca powinienem tam dojść". "Na litość Boską, co ty wygadujesz. Chcesz na noc iść z domu? Co ty znowu wymyśliłeś, zastanów się" - zaczęła mówić wystraszona.

Nie usłuchałem jej rad i wysadłem do przybudówki po sanki. Zabrałem torbę z narzędziami, ubrałem się w kufajkę i "pimy" czyli walonki i tak przygotowany pożegnałem swoje pociechy. Stachna z płaczem chciała włożyć mi do kieszeni kawałek chleba, ale stanowczo nie przyjąłem. "Słuchaj Stachna - tłumaczyłem - muszę znaleźć jakąś robotę, jeśli nie uda się, to na drugi dzień wracam do was. Nie potrzebujesz się o mnie martwić. Uważaj na siebie i pilnuj Eli. Pamiętaj, dwie gęby do jedzenia, to nie trzy. Dłużej pociągniecie tymi zapasami beze mnie" - uśmiechnąłem się, całując obie.

Rzeka Tawda płynęła obok. Szlak był przetarty. Zszedłem po skarpie z sankami w dół i ruszyłem korytem na północ. Do zachodu słońca zrobiłem po skrzypiącym śniegu około 20 kilometrów i dotarłem do wielkiej osady Żyrakowa. Zaszedłem do trzeciego domu od rzeki, gdzie zastałem dwoje staruszków. "Zdrastwujcie - powiedziałem - jestem polskim szewcem, może macie coś do naprawy? Umiem także podszywać pimy" - mówiłem. "Nie mamy nic do naprawy mileńki - powiedziała babuszka. Ale u Jeleny Polenowej na pewno znajdziecie robotę. To piąty dom od naszego. Jej riebiatizki już od tygodnia siedzą na piecu bez obuwia, wiecie, jak to ciężko

samotnej kobiecie z dziećmi" dodała.

Udałem się do wskazanego domu z wielką nadzieją, tym bardziej, że zaczynało się już ściemniać. Polenową zastałem na wysokim ganku wielkiego domu z okrągłaków. Kobieta około czterdzieści, poważnie wyglądająca. Pozdrowiłem ją i powiedziałem, że jestem szewcem, a skierowali mnie do niej staruszkowie z końca ulicy. Uśmiechnęła się do mnie i poprosiła do komnaty.

W dużej izbie był piec z palącym się ogniskiem, a na szerokim powale tego pieca wystające trzy głowy chłopców. Przyglądali mnie się z wielką ciekawością i coś do siebie szeptali. Gospodyni poprawiała ogień na piecu i mówiła:

"Tak, mam dużo do roboty dla sapażnika, tylko czym zapłacać? Zima idzie taka ciężka na Sybirze, a te rebiata dużo chcą jeść" zerknęła na śmiejących się łobuzów. Zacząłem jej tłumaczyć, że wcale drogo nie żądam za naprawianie obuwi. Jestem w bardzo trudnych warunkach i chodzi mi tylko o przeżycie i żebym mógł coś dostać żonie i małej córce w kolchozie "Czerwony Proletariat".

"Proszę, rozgośćcie się - mówiła - narazie trzeba was pokarmić i musicie odpocząć po ciężkiej drodze, a jutro pogadamy". Wyczułem, że mi współczuje. Odetchnąłem z ulgą i wcale już nie czułem zmęczenia. Było zaczepić się - uparcie myślałem. Zaraz też była kolacja. Gospodyni wyciągnęła z pieca widełkami na długim trzonku okrągły garnek jak donica pełny kartofli z łupinami i postawiła go na niskim stole. Z drugiego pokoju przyniosła samowar z wrzątkiem oraz metalowy czajnik z naparem kwiatu lipowego. Do tego postawiła w małym dzbanku świeże mleko, od własnej krowy - powiedziała.

Chłopcy na bosaka zsunęli się z pieca i zaczęli jeść. Do herbaty lipowej matka dodała każdemu z nas po dużej łyżce mleka i tak popijaliśmy kartofle z solą. Herbata była oczywiście bez cukru, o którym nawet nie wspomiano. Na zakończenie dostaliśmy po sporej kromce świeżego chleba i kolacja była skończona.

Pomyślałem o Stachnie i Eli. Jakże one by się ucieszyły widząc mnie zajadającego kolację w tym towarzystwie. One na pewno siedzą przytulone do siebie i głośno rozmawiają—co też z naszym Tuśkiem się dzieje? Czy szczęśliwie doszedł do tej wsi? Czy znalazł nocleg?

A ja tymczasem dobrze pokarmiony siedziałem między bosymi Sybīrakami i rozmawiałem z ich matką. Dowiedziałem się, że jej mąż Fiodor Tichonowicz zginął na froncie jako bohater Związku Radzieckiego i dlatego Jelena jest zwolniona z obowiązkowego dostarczania mleka państwu, dzięki czemu jest im łatwiej przeżyć zimę. Dalej się skarżyła: "Najgorsza bieda z dziećmi, co ja zrobię z trzema rebiatiskami bez swojego Fiedi, który tak się nami opiekował?" Do spania chłopcy powłazili z powrotem na piec. Polenowa miała łóżko w sąsiednim pokoju przytykającego do ciepłej ściany, nagrzaną od pieca. Dla mnie przygotowała spanie na ławie przy piecu pod chłopcami. Chociaż na dworze mróz się wzmagał, wszystkim nam było ciepło.

Mimo zmęczenia forsownym marszem daleko mi było do spania. Za ledwie zgasła lampa naftowa zacząłem mocno zastanawiać się, jakim to ja jestem szewcem? Jakim cudem z tego wybrnę? Przecież nigdy nim nie byłem. W Polsce byłem nauczycielem i to podobno dobrym, w łagrze gwałtem nauczono

mnie kowalstwa i też nieźle to robiłem. Ale być szewcem? Nigdy mi podobna myśl nie przyszła.

Kiedy intensywnie o tym myślałem robiło mi się coraz cieplej. Na Syberii w okresie zimy wszyscy chodzą w butach wołkowych na podeszwie też z wołku. Podeszwy takie szybko niszczą się i jeśli nie ma nowych "pimów", trzeba do starych naszywać podeszwy wykrojone ze starych wołków. W zasadzie robota taka nie wymagała wielkich umiejętności. Wystarczyły mocne nici na dratwę, smołę do nich i odpowiednie szydła. Przydają się też do tej roboty odpowiednie kopyta. Technologia pracy podobna była do szycia bamboszy.

Cały komplet szydeł wykonałem w kuźni, ponieważ już jesienią musiałem zatroszczyć się o "pimy" na zimę, nie tylko dla siebie, ale i dla Stachny i Eli. Kupić nowych nie mogłem, a stare dziurawe łatwo dostałem od miejscowych Sybiraków za reperację garnków i różnych narzędzi gospodarstwa domowego. Zdobyte buty wołkowe naprawiłem, abymy nie zmarzli w mroźnej zimie. To doświadczenie z naprawą własnego obuwia nasunęło myśl, abym udał się do najbliższego osady, gdzie mógłbym znaleźć podobne zajęcie. Pocieszałem się nadzieją ze znalezienia pracy, bo przecież boso nikt nie wytrzyma na mrozie, a nie wszyscy mają nowe wołki.

Nad ranem dopiero zapadłem w niespokojny sen i ciągle widziałem wokoło siebie pełno szarych, dziurawych "pimów". Po nieprzespanej nocy leżałem jeszcze na swojej ławie, a Polenowa już naznosiła gromadę podartych wołków i ułożyła je koło stołu. Wszystkie były koloru szarego i czarnego jak w sennym majaczeniu. Przyjrzałem się tej gromadzie ze zdziwieniem i w tej chwili poczułem radość. Zerwałem się szybko na nogi. Porządnie wykapałem się w bani

za domem i byłem gotów rozpocząć nowy zawód "sapoźnika". Golić się nie potrzebowałem, bo od chwili przywiezienia na Syberię postanowiłem upodobnić się do miejscowych mieszkańców. Wyrosła mi spora broda i wąsy i dlatego nazywano mnie "dziadźka", na jakiego wyglądałem.

Poprosiłem gospodynię o odpowiednie nici na dratwę i zapytałem o możliwości wypożyczenia w tej osadzie kopyt szewskich, które ułatwiły by całą robotę. Polenowa uśmiechnęła się - u nas wszystko musi być, bo ze wszystkim sami radzimy. Mamy przecież daleko do miasta.

Okazało się, że miałem wyjątkowe szczęście. Mąż jej był technikiem w miejscowej bazie naprawy traktorów i maszyn rolniczych. W przybudówce za domem miał warsztat z różnymi narzędziami, o wiele lepiej wyposażony niż moja kuźnia. Po obejrzeniu tego wszystkiego bardzo się ucieszyłem, ale ani słowem nie zdradziłem, że byłem kowalem i znam się na takim warsztacie! "Korzystajcie ze wszystkiego, co wam będzie potrzebne" powiedziała ze smutkiem.

Znalazły się porządne nici na dratwy i kilkanaście par kopyt różnej wielkości. Poczujęm się w tym warsztacie, jak u siebie w domu i zacząłem w myśli planować robotę. Polenowa miała stary duży dom zbudowany za czasów carskich. Były w nim cztery pokoje z kuchnią i duża spiżarnia w sieni. Wszędzie były podłogi z grubych sosnowych desek nigdy nie malowanych, ale bardzo czystych i estetycznie wyglądających. W osadzie było kilka ulic. Wokół domu stały zabudowania zupełnie puste. Całość każdego obejścia była ogrodzona wysokim parkanem z okrągłaków ułożonych na płasko, podobnie, jak buduje się domy. Przed każdą zagrodą od ulicy była budowana wysoka brama rzeźbiona w różne wzory i pomalowana na

zielono i czerwono. Całość takiego gospodarstwa wyglądała imponująco. Świadczyło to, że dawniejsi gospodarze tych zagrod byli zamożni i mieli smak estetyczny. W tak ogrodzonym obejściu obok domu stał z grubych bali duży "ambar" czyli spichleż z szerokimi zagrodami na zboże i inne produkty żywnościowe. Teraz stały one pustkami.

U Polenowej znalazły się dużo roboty szewskiej. Oprócz "pimów" dla chłopców i matki, należało dokonać naprawy każdego butów skórzanych, od łatania do zelowania włącznie. W każdym domu znajdowały się jakieś zapasy skóry garbowanej domowym sposobem przez Sybiraków, będących teraz na froncie, co bardzo teraz ułatwiało mi reperację starego obuwia. Za wykonanie całej pracy Polenowa zgodziła się dać mi utrzymanie razem ze swoją rodziną i dopłacić produktami żywnościowymi według jej możliwości. Poza tym u niej w domu mogłem naprawiać obuwie innym ludziom z osady. Byłem bardzo zadowolony z takiej umowy. Tym bardziej, że obiecała mi sprowadzić takich sąsiadów z naprawą obuwia, którzy będą mogli zapłacić chlebem i topionym masłem.

Pełen nadziei zabrałem się z chłopcami do sporządzania zapasu dratew. Chłopcy z zapalem pomagali motać nici. Wesoły ich krzyk rozchodził się po mieszkaniu i sama matka zaczęła skręcać sążniste dratwy. Ustaliliśmy z rodziną, że najpierw zreperuję walonki najmłodszego Andriusza, a potem najstarszego Antona z płowymi włosami, zaś średni, gruby Szura zgodził się poczekać razem z mamą na później. Wieczorem następnego dnia Andriusza skakał już w podszytych czarnych walonkach. Dwie sąsiadki przyszły zobaczyć Polaka-sapożnika. Uważnie obejrzały "pimy" Andriusza i z powagą rzekły: "Dobra

robota. Nam także naprawicie "pimy". Zapłacimy kaszą i chlebem". Cieszyłem się. Wyglądało na to, że klientów nie zabraknie.

Po paru następnych dniach wszyscy trzej chłopcy byli obuci. Anton z Szurą mogli pójść do szkoły na spotkanie z nową nauczycielką ewakuowaną z Leningradu. Następnego dnia zająłem się reperacją "pimów" gospodyni. Były mocno zniszczone i wymagały dużej pracy, aby doprowadzić je do należytego stanu. Rodzinka narazie była obsłużona i przy obiedzie powiedziałem, że jutro, w niedzielę raniutko wybieram się do swoich zobaczyć, co się tam u nich dzieje po tygodniu mojej nieobecności?

Jelena Polenowa z uśmiechem powiedziała: "Wiktor Karłowicz, przygotuję wam coś na drogę, bo po całej niedzieli /tygodniu/ pracy, nie możecie pójść do żony z pustymi rękami. Długo w domu nie siedźcie, czeka was dużo roboty, wielu ludzi pytało, kiedy mogą przynieść obuwie do naprawy".

Zanosilo się na to, że całą zimę będę miał robotę i głód moim najbliższym nie zagraża. To było najważniejsze i chciałem tą wiadomością zrobić Stachnie niespodziankę. W niedzielę z samego rana prószył lekki śnieżek, ale nie zanosilo się na zawieję, mogłem spokojnie ciągnąć saneczki rzeczonym traktem. Polenowa wsypała mi do worka duży koszyk kartofli zmarzniętych jak kamyki na dnie rzeki i dwie rzepy. Z komórki przyniosła trzy miski zamarzonego mleka i półtoralitrową butelkę śmietany. Kiedy pożegnałem się i byłem już przy bramie, zawołała, bym zaczekał i dodała bochenek chleba. A mały Andriusza wsunął mi do kieszeni dwa jajka.

"Niech to będzie waszej małej Eli" - powiedziała Jelena. Nie wiedziałem jak im dziękować i Andriuszę ucałowałem serdecznie.

cznie.

Do domu dotarłem przed wieczorem. Chyba to było najserdeczniejsze powitanie z rodziną w moim życiu. Od paru dni czekały nie wiedząc, co się ze mną stało?. Stachna wcale nie przypuszczała, że wyprawa może się udać, a już najmniej takiego czegoś nie spodziewała się, co przyniosłem ze sobą. Najważniejsze jednak było przekonanie nas obojga o możliwości przetrwania zimy syberyjskiej bez katastrofy głodu, bo przecież nie posiadaliśmy nawet drobnej części tych zapasów, co kołchoźnicy.

W poniedziałek z rana żegnałem Stachnę z Elą uśmiechnięte, bo wiedziały, gdzie jestem i kiedy wrócę, w dodatku przyniosę coś do jedzenia. Sybiraczki z sąsiednich domów przyrzekły mi, że w czasie mojej nieobecności zaopiekują się Stachną i Elą, i byłem o nie spokojny, Mróz skrzypiał pod nogami, a za mną sunęły puste sanki. Rozmyślałem po drodze - co też na nich przywiozę z powrotem?

Rodzina Polenowej przyjęła mnie jak swojego. Wypytywano o Stachnę i Elę, jakby je wszyscy znali. Byli bardzo zadowoleni, kiedy przekazałem od nich pozdrowienia Jelenie Polewowej Pawłownie, wszystkim trzem chłopcom. Opowiedziałem też z jakim apetytem Ela zajadała rzepe i jak cieszyła się upominkami Andriuszy. Gruby Szura podbiegł do matki i zawołał: "Mameńka, drugim razem i ja dam rzepe, niech dziadźka zawiezie Eli". Uścisnąłem tego chłopaka i powiedziałem: "Jesteś dobrym chłopcem Szuro, dziękuję ci i powiem to Eli".

W dwa dni po moim przybyciu odwiedziła mnie Wiera Osipowna z dwunastoletnim synem. Przyniosła duże skórzane buty po mężu, który zginął na froncie i prosiła, abym

przerobił je dla Griszki wskazując na chłopca. Buty te na każdego w rodzinie są za wielkie, a mój Griszka nie ma w czyni chodzić do szkoły-żałowała się. Przyznam szczerze, że w tym momencie zrobiło mi się niedobrze. Co innego podszywać "pi-my" i łatać lub zelować stare buty, a co innego robić nowe ze skóry. Zacząłem narzekać, że to dużo roboty, że nie warto przerabiać butów prawie nowych. Ale energiczna Sybiraczka odpowiedziała krótko: "Buty chcę przerobić, z kosztami proszę się nie liczyć. Mogę zapłacić chlebem i topionym masłem, ale mój parniszka musi mieć buty". A niech cię diabli wezmą, ałem wpadł- pomyślałem ze złością. Pozostało mi do wyboru, albo stracić reputację dobrego szewca, albo porwać się z motyką na słońce i próbować szczęścia. Przyjąłem robotę, ale zażądałem dwóch bochenków chleba, dwa kilogramy mąki i pół litra topionego masła. Byłem przekonany, że Wiera Osipowna nie przystanie na tak wygórowaną cenę. Ku mojemu zmartwieniu przystała.

Gdyby te dwie kobiety wiedziały, co ja w tej chwili myślę, na pewno długo nie popasałbym w tej Żyrakowej. Na kolację Polewowa przyrządziła kartpfle z mlekiem zapiekane pod przykryciem w piecu. Były pachnące i bardzo smaczne, ale ledwie mogłem je przełknąć, tak byłem z maltretowany tymi butami. Ciągle myślałem, jak mam zabrać się do roboty? Wiedziałem tyle, że trzeba je najpierw rozebrać na części, a potem składać na kopyta, które dobrałem do nogi Griszki. Przed pójściem spać zamoczyłem buty w szafliku, aby zwilgotniały, co ułatwi konieczną rozbiórkę. Potem zobaczymy, co Bóg da- - rozmyślałem. Gdyby nie wstyd przed Stachną, uciekłbym na pewno. Leżąc w nocy na swojej ławie przywoływałem na pamięć wszystkie myśli od dzieciństwa, co wiem o budowie butów.

Przypominałem chwile, kiedy nie miałem jeszcze dziesięciu lat ojciec prowadził mnie do szewca. Przewracając się na ławie polenowej czułem, jak majster bierze mi miarę taśmowym metrem z bosej nogi na nowe buty. Widziałem w wyobraźni drugiego szewca siedzącego na miękkim taborecie i zgrabnie przybijającego podeszwę do buta drewnianymi ćwieczkami obciągniętego na kopyto. Przypominałem nawet, że kolor bucika był brązowy, a samej podeszwy miodowy, a w dodatku w całym warsztacie szewskim zapach był kwaskowaty. Tak przeżywałem w tę noc swoje dzieciństwo, że co chwila oblizywałem swoje wargi po zapachu skóry szewskiej. Najbardziej głowiłem się nad tym, do czego podeszwa musi być przybita, skoro but na kopycie jest miękki?

Postanowiłem rozbierać but bardzo ostrożnie i każdą część po kolei zapisywać i numerować oraz układać oddzielnie. Tak postępując może dojdę do tajemnicy budowy buta. i uda mi się wybrnąć z sytuacji bez wstydu - rozmyślałem. Od samego rana przystąpiłem do sekcji tych nieszczęsnych butów. Przekonałem się, że bardzo ważną rolę w bucie odgrywa podeszwica i rant z twardej skóry umocowany bezpośrednio na kopycie, na które później jest obciągnięta i osznurowana dratwą przyszwa czyli wierzch buta z cholewką. Do takiego rozumowania dochodziłem przyglądając się dokładnie każdej części.

W dalszym ciągu dociekania stwierdziłem, że na tak utwardzoną podkładkę przybijana jest podeszwa drewnianymi ćwieczkami. Na końcu dopiero formuje się obcas z przyciętych kawałków twardej skóry. Po kilkakrotnym przeanalizowaniu całej technologii i zapamiętaniu każdego elementu mogłem przystąpić do konkretnej roboty na kopytach pasu-

jących do nogi Griszki. Najpierw jednak w warsztacie Fiodora napiłowałem krążków z suchego polana brzoźowego, z których przygotowałem sporą ilość małych świeczków do przybijania podeszew. Po ostatecznym przygotowaniu całości materiału zabrałem się odważnie do roboty. Wiele razy przymierzałem i dopasowywałem, aż nareszcie podeszwa została przybita na ^{trzech} obrzeżu rzędami drewnianych szpilek, a następnie uformowałem obcas na wzór starego. But mój tkwiący na kopycie po starannym oczyszczeniu wyglądał całkiem przyzwoicie z czego byłem dumny.

Zabrałem się zaraz do wyciągania kopyta. Z tym było gorzej. Wielkie szczęście, że byłem sam w domu. Mimo najróżniejszych sposobów obstukiwania młotkiem i ciągnięcia hakiem za uchwyt, kopyto jak zaczarowane nie drgnęło. Dopiero po przeszło godzinnej pracy na różne sposoby udało się je wyrwać. Byłem spocony, aż koszula przylgnęła do pleców. Okazało się, że zrobiłem zbyt długie świeczki drewniane i cały but na dobre przymocowałem do kopyta. Z drugim postąpiłem rozważniej i tego kłopotu nie miałem.

Specjalną łyżką żelazną i dłutem wytarłem w środku sterujące szpilki, założyłem do środka nowe wściełki z miękkiego wołoku. Następnie sporządziłem pastę z sadzy rozmieszanej w mleku, którą wyczyściłem nową parę i postawiłem ją na taborecie na środku pokoju. Wiele razy obchodziłem dokoła i przyglądałem się swojemu dziełu. Cieszyłem się jak konstruktor ze swojej maszyny i pomyślałem w tej chwili - co Stachna powiedziała by na to?

Zbliżał się wieczór i z niecierpliwością oczekiwałem domowników, aby pochwalić się tymi butami. Wkrótce gospodyni wróciła z kołchozu, obejrzała buty ze wszystkich stron i po-

chwalila robotę. Nie czekając na dzieci, sama udała się zaraz zawiadomić sąsiadkę, że buty gotowe.

Griszka przybiegł pierwszy. Obejrzał swoje sapożki i zapytał: "Dziadieńka, czy mogę je przymierzyć?". "Oczywiście - powiedziałem - przecież to są twoje i jeśli dobrze możesz je zabrać". Pasowały do nogi i wyglądały całkiem dobrze. Kobiety obejrzały Griszkę w butach i orzekły, że wygląda jak prawdziwy parień czyli kawaler.

W sobotę wybierałem się do domu i już w piątek otrzymałem zapłatę za buty. Wiera Osipowna była zadowolona z roboty i kiedy jej dziękowałem za produkty wyjęła z koszyka pięć jajek - mówiąc - to prezent dla waszej małej Eli od mojego Griszki.

Po powrocie do domu ze szczegółami opowiadałem Stachnie o moich przeżyciach z tymi butami. Zaśmiewała się do łez. Ucałowała mnie i poważnie oświadczyła: "Wiktor, jestem dumna z ciebie" - i znowu nie mogła powstrzymać się od śmiechu. "No powiedz sam, co mam wybierać, czy uważać się za żonę nauczyciela, kowala czy szewca? Ten ostatni zawód jest chyba najpewniejszy, prawda?"

W poniedziałek nie mogłem udać się do Żyrakowej, bo niespodziewanie wypadł potężny buran czyli huragan z zamiecią śnieżną. W czasie zimy syberyjskiej zdarzają się często wielkie zamiecie, które starzy Sybiracy potrafią z dokładnością przewidzieć. Zawsze korzystałem z ich ostrzeżeń i wtedy przebywałem z rodziną. Dopiero po ustaleniu się pogody wyruszałem znowu sankami do znajomych w Żyrakowej. Ciągle miałem robotę i wyżywienie, a Stachnie i Eli przywoziłem różne produkty, a przede wszystkim świeży chleb, mąkę, kaszę, masło topione i nawet parę jajek. Przy odwiedzinach w domu

nie mogliśmy się sobą nacieszyć i zima syberyjska nie była taka ciężka.

Przeszło parę miesięcy na wędrówce sankami po korycie Tawdy, naprawianiu butów kołchoźników i rozmyślaniach, co z nami będzie dalej? Nieraz w nocy leżąc na twardej ławie koło pieca u Jeleny Pawłowny wyobrażałem sobie, że jestem biednym szewczykiem z bajki, który z tobołkiem na plecach wędruje po świecie szukać szczęścia. Skończą się jego niedole i będzie szczęśliwy, gdy znajdzie złote ciżemki do naprawy. Później zastanawiałem się, czy jest szczęście w Związku Radzieckim? Wypędzono je dawno. Pozostała tylko bieda i na każdym kroku nędza. Może kiedyś w legendarnej Bucharze i Samarkandzie rzeczywiście mieszkało szczęście i były tam do naprawy złote ciżemki? Po takich niedorzecznych rojeniach zasypiałem i miałem piękne sny. Nie byłem samotny i zagubiony wśród obcych jak we dnie.

W ciągu paru miesięcy ciężkiej zimy zapewniłem wielu kołchoźnikom ciepłe obuwie, za co byli mi bardzo wdzięczni i szczerze dzielili się swoimi zapasami żywności. Stałem się znanym i szanowanym Polakiem w całej osadzie. Nabrałem wiary w siebie, że jestem szewcem i gdybym miał tylko prawdziwy warsztat wyposażony w narzędzia, a także w odpowiednie materiały, to chyby mógłbym wyrabiać i reperować każdą buty. Nikt mnie nie krytykował i stałem się zarozumiały wobec samego siebie. Wdawało mi się, że wszystko potrafię. Nie przepuszczałem nawet jak prędko przekonam się, ile mi jeszcze brakuje, abym został jakim takim szewcem, a nie dobrym majstrem. Na drugi dzień po tak dobrym nastroju odwiedziła mnie para Sybiraków. Mężczyzna wysoki z długą falującą brodą w

wieku około siedemdziesiątki i młoda kobieta w kożuszkach okryta białym wełnianym szalem. Po przywitaniu przedstawił się: "Jestem Michaił Stepanicz Kruszkow, a to moja wnuczka Ninoczka Pawłowna". Podając jej rękę zauważyłem, że jest bardzo ładna. Miała około dwudziestu lat, oczy lekko skośne, a łuki czarnych brwi mocno zarysowane. Była wzrostu średniego i figurę miała bardzo zgrabną.

"Przyszliśmy zobaczyć waszą robotę" rozpoczął stary. "Nie ma, co tu oglądać. Mam tylko stare buty i podarte "pimy" - odpowiedziałem. Na to Michaił Stepanicz jakby z przekąsem; "Nu, tak, my widzimy, że tu nie galeria obrazów, ale chcieliśmy zrobić zamówienie". Oglądał podszyte walonki i mówił: "Ta wasza robota jest solidna, ale nie ma wyglądu estetycznego. Sami przyznacie, że "pimy" podszyte po wierzchu są jak papucie. Ja chciałbym, abyście nasze "pimy" podszyli od środka, od nutrii. Podeszwy muszą wyglądać jak w skórzanym buciku".

"Tak, zgadzam się z wami, ale "pimy" mają spiczaste noski i do tak zakończonego walonka nie wejdzie ręka, by przesadzić igły z dratwą" - odparłem. "No to wy chyba nie macie szczeciny?" - zapytał. W tej chwili przypomniał mi się prawdziwy szewc z dzieciństwa, u którego leżały dratwy oprawione w długie szczeciny zamiast igieł. "Skąd wezmę szczecin, skoro nawet igieł brakuje" - zacząłem się tłumaczyć. Na to Kruszkow zwrócił się do wnuczki: "Słuchaj Ninoczka, szczecina leży w ambarze na półce. Przyniesiesz sapożnikowi razem z "pimami", a wy - zwrócił się do mnie - podszyjecie nasze "pimy" jak prosiłem" - zakończył prawie rozkazująco. Nie dał mi dojść do głosu i mówił dalej: "Zapłatę dostaniecie dobrą mąką. Ile

żądacie za parę?" "Po trzy kilogramy" odparłem.

-Zgadzą się i doświtania.-powiedział bez żadnych uwag. Myślałem, że może nie zgodzi się na to, ale zgodził się. Była to pierwsza propozycja wynagrodzenia samą mąką. Podałem wysoką cenę sądząc, że będzie się targował i nie dojdziemy do umowy, bo wystraszyłem się tą robotą naprawdę. Kiedy sam zostałem ręce mi opadły i rzuciłem w kąt zelowany but. Uparcie myślałem-jak połączyć szczecinę z końcem dratwy, aby zastąpiła mi igłę? Siedziałem beczynnie długi czas. Rozmyślania przerwała mi Nina Pawłowna przynosząc dwie pary szarych "pimów" w dobrym stanie, kawał wojłoków na podeszwy i pęczek świńskiej szczeciny. Nina odeszła, a ja zacząłem oglądać po kolei szczecinki, ciągle myśląc-jak je oprawić w dratwę, u diabła? kiedy żadne z nich nie ma dziurki? Od razu zauważyłem, że każda sztuka ma na końcu rozwidlenie i dobrze przyjrząwszy się podobne jest do gałązki. Stwierdziłem także, że rozgałęzienie można powiększyć i szczecinka daje się rozczepiać.

Te końce zacząłem próbować łączyć z cienkimi pasemkami dratwy, ale za każdym razem szczecina wypadała. Ciągle powtarzałem próby i do siebie mówiłem: "Przecież musi być jakiś sposób umocowania, a jednocześnie wysilałem pamięć, jak wyglądały dratwy u szewca w Polsce? Im bardziej myślałem, tym bardziej kłębiło mi się przed oczami wiele różnych nici, ale postępu nie było. I z tym poszedłem spać.

W nocy także myślałem o szczecinie. Kiedy już wreszcie zasnąłem, nadal męczyły mnie majaki różnych powrozów, grubych i cienkich, oprawionych w ostrą szczecinę.

Zaraz po śniadaniu znowu przystąpiłem do łamigłówek. Do pomocy wziąłem zwykły sznurek złożony z kilku pasemek i próbo-

wałem wpleść w niego szczecinę. I wówczas okazało się, że szczecina trzyma się tylko wtedy, gdy jest skręcana tak samo jak pasemka sznurka. To samo powtórzyło się z dratwą. Po tym dokryciu cieszyłem się bardzo i ze złością mówiłem: jednak musiałem cię złapać, ty świńska szczecino.

Po paru godzinach dratwy były opravione w długie, giętkie szczeciny. Mogłem więc przystąpić do "pimów" Miachaiła Kruczjowa i Niny Pawłowny. W ciągu paru następnych dni robotę wykonałem. "Pimy" wyglądały naprawdę zgrabnie. Sam je odniosłem właścicielom, którzy mieszkali w wielkiej zagrodzie z bramą wjazdową upiększoną rzeźbami zwierząt i ptaków. Brama była pomalowana w kolorach: zielonym, brązowym i żółtym i wyglądała pięknie. Dom natomiast stał na potężnych palach sosnowych. Wchodziło się do niego po drewnianych schodach z poręczą.

Przyjęli mnie bardzo serdecznie, prosząc od razu do komnaty. Gospodarz uważnie obejrzał moją robotę i uznał ją za dobrą. Po chwili rozmowy zaproszono mnie na herbatę. Błyszczący samowar zachęcał do odpoczynku i rozmowy. W ładnych filiżankach porcelanowych poczęstowano mnie herbatą gruzińską i kruchymi sucharkami i miodem leśnych pszczół.

Z rozmowy dowiedziałem się, że gospodarz - Michaił Stepanych był kiedyś carskim pułkownikiem. Po rewolucji przebywał w wielu łagrach sowieckich i dużo przecierpiał. Ale jakoś szczęśliwie udało mu się zachować zdrowie i pogodne usposobienie. Po wielu latach powrócił do żony i córki w Żytkowej. Ale teraz pozostała mu tylko wnuczka - Ninoczka, która przed samą wojną wyszła za inżyniera elektryka, którego wkrótce zabrano na front. Oboje byli bardzo ciekawi wszyst-

kiego, co dotyczyło Polski.

Opowiadałem im o pełnych sklepach w miastach, o przyjęciach i zabawach towarzyskich i o tym, że w Polsce każdy mógł żyć jak chciał. Nikt nikogo nie pilnował i wszyscy byli wolni. Policja pilnowała porządku i chroniła obywateli przed złymi ludźmi. O istnieniu łagrów dowiedzieliśmy się dopiero u was. I dlatego też tu jestem szewcem - powiedziałem.

Obok stołu, przy ścianie stała wielka, oszklona szafa, zastawiona książkami w twardej oprawie. Zainteresowałem się, co też ona zawiera. Zapytałem więc gospodarzy, czy mogę zobaczyć jakie dzieła są w tej bibliotece. Oboje gospodarze, z widocznym zdziwieniem odpowiedzieli jednocześnie:

- Ależ prosimy. Ciekawi jesteśmy, co was interesuje?

Nina otworzyła podwójne drzwi szafy i patrzyła na mnie w milczeniu. Przejrzałem dwie górne półki, na których stały encyklopedie, dzieła naukowe, podręczniki uniwersyteckie z fizyki, chemii, mechaniki, geologii i inne.

- Te dzieła naukowe są chyba własnością waszego męża - zapytałem.

- Tak - odpowiedziała - Fiodor pracował w instytucie naukowym w Omsku. To wszystko było mu potrzebne.

Następne półki wypełnione były literaturą pisarzy rosyjskich. Na czółowym miejscu stały dzieła Fiodora Dostojewskiego, Tołstoja, Antoniego Czechowa. Zauważyłem też obok Aleksandra Puszkina, - wydania Mickiewicza i Słowackiego.

Kiedy obejrzałem - oczywiście - pobieżnie - dzieła poszczególnych pisarzy - zapytałem: dlaczego w waszej bibliotece nie ma dzieł pisarzy zagranicznych? widzę tu jednak obok waszego poety Aleksandra Puszkina dzieła Adama Mickiewicza

i Juliusza Słowackiego. U nas w Polsce wydawano utwory wszystkich pisarzy na świecie, którzy swoim dorobkiem przyczynili się do dorobku światowego piśmiennictwa i kultury. Jeśli chodzi o mnie - jestem zachwycony waszym Dostojewskim. Jego dzieła "Bracia Karamazow", "Zbrodnia i Kara" lub "Biesy" są u nas w każdej bibliotece. O Dostojewskim wiem nawet, że w roku 1849-tym był skazany na karę śmierci, a ułaskawienie cesarskie przyszło w ostatniej chwili, przed samą egzekucją. Kolejnym wyrokiem został skazany na cztery lata ciężkich robót. Karę tę odbywał w niedalekim Omsku. Jemu to właśnie współczesny hrabia - Lew Tołstoj - znany jest na całym świecie. W swoim dziele "Wojna i Pokój" opisuje wspaniały zryw narodu rosyjskiego w czasie wojny napoleońskiej. Jego "Anna Karenina" z głównym bohaterem - hrabią Wrońskim jest u nas znana powszechnie, a nawet filmowana.

Michał Kruczkow i jego wnuczka uważnie przysługiwali si moim uwagom o literaturze aż wreszcie stary zapytał:

- Powiedzcie mi tak otkrowienno, szczerze, Wiktor Karłowicz czy wy naprawdę jesteście szewcem?

Z uśmiechem odpowiedziałem:

- Prawdę mówiąc w Polsce byłem nauczycielem i studentem w Warszawie. Ale tu, na Sybirze, jestem tylko szewcem.

Oboje moi gospodarze słuchając tego nie mogli wprost nazdziwić, jacy są Polacy.

- Tak - mówił dalej stary pułkownik - byłem dawniej w waszej Warszawie. Polacy to dumny i dzielny naród. Sam car musiał się z nimi liczyć. A Polki - ho - krasawice.

Tu zaraz przerwała mu wnuczka: ty zawsze taki sam. Nie powiedziała, co to miało znaczyć, ale pomyślałem sobie, że stary

kiedyś chyba musiał lubić kobiety.

W dalszej rozmowie o pisarzach rosyjskich powiedziano mi, że teraz, w czasie tej okropnej wojny dużo czyta. Ukończyła dziesięciolatkę i studiowała przez dwa lata geologię na uniwersytecie w Omsku. Jest bardzo zmartwiona brakiem wiadomości od Fiodora.

Kiedy się żegnałem z nimi prosili, żebym przychodził do nich na czaj, a przy tej okazji moglibyśmy przyjemnie porozmawiać. Rzeczywiście, odwiedzałem ich parę razy, bo tak kulturowalnych ludzi spotkałem na Syberii po raz pierwszy. Rozmowy z nimi sprawiały prawdziwą przyjemność i odprężenie nerwowe po wielogodzinnym wpatrywaniu się w brudne wołoki.

Było już pod wiosnę. Dni stawały się coraz dłuższe i słoneczne. Zima najwyraźniej szykowała się do ucieczki w tundrę. Na grubej warstwie śniegu powstała twarda skorupa, gdyż w ciągu dnia słońce już wyraźnie przygrzewało i śnieg wyraźnie topniał. W nocy, gdy temperatura spadała, powierzchnia zamarzała. Teraz na śniegu można było utrzymać się tak jak na lodzie. Zachodziła obawa, że popękany lód może spowodować wylew wody na powierzchnię, co by mnie odcięło na dość długi czas od Stachny i Eli. Toteż postanowiłem niezwłocznie zakończyć swój pobyt związany z zarobkowaniem w Żyrakowej i jak najspieszniej wracać do domu, gdzie na mnie czekano z obawą i niecierpliwością.

Po szczęśliwym powrocie zacząłem myśleć o pracy w kuźni, ale gdzieś już w innym kołchozie. Mój szczerzy przyjaciel - ~~pre~~predsiedatiel Foma Doróżkin Borysowicz nie mógł mnie zatrudnić u siebie. Jego kołchoźnicy sami głodowali. W kuźni natomiast próbował swoich sił mój były młotobojec - Sasza.

W kolchozie "Droga do socjalizmu".

Minęło już kilka dni od mojego powrotu z Żyrakowej. Dzień był wyjątkowo piękny - słońce świeciło od samego rana. Już koło południa śnieg był dookoła miękki i pod wpływem promieni wyraźnie topniał. Stachna krzątała się przy piecu i gotowała obiad, a Ela, biegła po podwórku przed domem. Wyciągnąłem swoją torbę z narzędziami z za pieca i przełożyłem do drewnianej skrzynki.

- No, kochana Stachno, z sapażnikiem już skończyłem. Idzie wiosna i trzeba poważnie pomyśleć o kowalstwie. Z całą pewnością więcej zarobię w kuźni, bo kowal musi być w każdym kolchozie. Cała sztuka polega na tym, jak taki kolchoz znaleźć. Oczywiście najlepiej byłoby na miejscu, ale z tego nic nie będzie. Wczoraj Sasza mi powiedział, że już uprawnienie postanowiło, aby to on próbował naprawiać inwentarz. Podobno sam prezydent powiedział mu: słuchaj, Sasza, jesteś mocny chłop. Pracowałeś przecież tyle czasu z Wiktorem Karłowiczem. Pokaż teraz, co potrafisz.

- Nie martw się, mówiła Stachna. Zobaczysz, wszystko się jakoś ułoży. Ważne jest to, że zimę przetrwaliśmy i to szczęśliwie. Jak dotychczas - mamy co jeść, bo sporo przywiozłeś z Żyrakowej. Mamy przecież parę kilogramów mąki, a do tego kilka butelek topionego masła. A i kaszę też mamy bez przerwy - mówiła uwijając się z wielkim różnem koło rozpalonego pieca.

Po obiedzie wyszedłem z Ela na saneczki na największą górę za naszą fermą. Spotkałem tam prezydenta Dorżkina. Gdy przywitaliśmy się, zapytał zdziwiony:

- Cóż to, Wiktor Karłowicz, jesteście teraz Sapożnikom? Mówił mi o tym mój znajomy z Żyrakowej i bardzo was tam chwili. Nie mogłem w to uwierzyć.

- Jakoś trzeba było przeżyć ciężką zimę, odpowiedziałem. U was chleba nie dostałem.

Bardzo chciałem was zatrzymać - odrzekł - ale sami widzicie, jak ciężko jest u nas w kołchozie. Nie możecie przecież czekać na chleb do czasu, aż nowa pszenica urośnie na paszniach. Nie martwcie się, Wiktor Karłowicz. Z waszym zawodem chleb wszędzie znajdziecie. Mam już na widoku niezły kołchoz. Powinno wam tam być dobrze. Pogadamy o tym przy okazji.

Zaprosiłem go na czaj, bo mieliśmy trochę gruzińskiej herbaty, którą kiedyś podarowała mi Nina Pawłowna z Żyrakowej. Oboje ze Stachną chcieliśmy go jak najserdeczniej przyjąć, bo ciągle miałem w pamięci wspólne przeżycia z nim w tym kołchozie. Z moich zdobyczy w Żyrakowej Stachna poczęstowała nas plackiem z serem, świeżym chlebem z odrobiną miodu leśnego, którego dostałem za przeróbkę butów, do tego prawdziwa herbata. Jak na te czasy była to prawdziwa uczta. Foma Borysowicz był wzruszony. Długo gawędziliśmy o wojnie i wielkiej biedzie nękającej cały Związek Radziecki. Odchodząc dziękował Stachnie za bogate przyjęcie, a do mnie powiedział: "Wiktor Karłowicz, jutro dam wam sianie i pojedziecie do nowego kołchozu. Na pewno dostaniecie tam pracę. Weźmiecie ze sobą list do przedsiębiorcy, który już napisałem. Jest to dobry kołchoz, chociaż przedsiębiorca Paweł Żirakow jest porządny draniem, ale z wami będzie musiał się liczyć".

Zdziwiłem się jego otwartością i serdecznie podziękowałem. Na drugi dzień z rana pojechałem sankami utartym szlakiem w kierunku Wierchniej Tawdy do wielkiej syberyjskiej wsi Uwał, w której znajdował się kołchoz "droga do socjalizmu", a po rusku-puć k socjalizmu.

Zgłosiłem się do prawlenia, gdzie zastałem priedsieda-
tela Żyrakowa i członków zarządu, a wszyscy byli z długimi brodami. Szef kołchozu także nosił wielki order na pier-
siach jak Foma Doroszkina i był w tym samym wieku. Miałem przed sobą znowu ordieronoszczca. Byłem bardzo ciekaw, czy miał podobny charakter.

Po przeczytaniu listu polecającego oraz przejrzeniu mojej umowy o pracę z kołchozem "Czerwony Proletariat" od razu wyraził chęć zatrudnienia mnie u siebie. Pierwszego marca 1943 roku spisaliśmy umowę podobną do poprzedniej, a następnie poszliśmy z całym zarządem obejrzeć kuźnię.

To, co tam zobaczyłem, wykluczało jakąkolwiek możliwość przystąpienia do pracy w najbliższych dniach. Kuźnia absolutnie nie nadawała się do użytku. Nie była używana od dwóch lat. Cały dach przeciekał, a w ścianie z boku widniała duża dziura. W środku wszystko: narzędzia i maszyny były w całości przysypane śniegiem. Pozostały inwentarz leżący wokół kuźni, jak bronie, płzgi i kultywatory - czekały również uporządkowania.

Ustaliliśmy wspólnie, że w ciągu miesiąca marca kuźnia zostanie naprawiona przez kołchoźników, a dla rodziny kowala będzie przygotowane mieszkanie. Z początkiem kwietnia planowaliśmy przystąpić do remontu kołchozowego inwentarza. Tym samym zostanie zapoczątkowana akcja siewna.

W dowód zaufania predsiedatiel kazał wypisać mi z magazynu dziesięć kilogramów pszenicy, jako zaliczkę na konto przyszłego zarobku. Z takim to osiągnięciem wracałem uradowany do domu.

Byłem zadowolony z podpisanej umowy. Przez cały czas rozmyślałem: jak mi się ułoży nowa praca i czy predsiedatiel będzie wywiązywał się z przyjętą na siebie umową obowiązków.

Stachna bardzo się ucieszyła, gdy się dowiedziała, że otrzymałem pracę bez trudności. Ja jednak w duchu nie byłem zadowolony. Spotkany Foma Borysowicz, kiedy rozmawialiśmy na fermie - powiedział mi bez entuzjazmu:

- Byłem pewien, że was zatrudni. Uważajcie jednak i nie dajcie się oszukać. On ma wyjątkowo duże "chody" w partii oraz u władz w sielsowiecie i rejonie i dlatego właśnie magazyny w jego kołchozie są pełniejsze niż moje.

Wiosna zbliżała się szybko do tajgi syberyjskiej. Wielkie rzeki syberyjskie: Tawda i Toboł nie mogły pomieścić ogromnej masy wody powstałej nagle z topniejących śniegów i wreszcie wylały. Po lewej stronie Tawdy było jedno, olbrzymie morze. Drzewa w tajdze, zalane teraz wodą, wyglądały jak sadzonki, poustawiane przez jakiegoś wielkoluda. Mieszkańcy kołchozu znajdowali się na wysokim, prawym brzegu rzeki i obecnie siedzieli w domach. Wszystkie osiedla i pasiołki były teraz całkowicie od siebie odcięte. Oboje ze Stachną patrzyliśmy teraz na to rozlewisko, które zdawać się nie miało końca i czuliśmy się jak rozbitkowie na wysepce. Tylko Sybiracy nie martwili się tym i pocieszali, że wkrótce na północy lody pękną, wody powoli spłyną do Oceanu Lodowatego, a

u nas zakwitnie cała tajga. I wkrótce tak rzeczywiście się stało. Na każdym skrawku ziemi wolnym od wody ukazały się całe gromady różnokolorowych kwiatów. Najwięcej o barwach jaskrawych: niebieskich i czerwonych. Tajga teraz była szczególnie piękna.

Nasze zapasy, zgromadzone zapobiegliwie wcześniej szybko topniały, jakby uciekały razem z wodą do oceanu. Wypatrywałem odpowiedniego dnia, aby udać się do Uwały i sprowadzić furę po Stachnę i Elę. Musiałem jak najprędzej rozpocząć pracę w kołchozie, gdzie od razu zapewnione było mleko. Miałem też nadzieję, że po zapoznaniu się z kołchoźnikami będę mógł wykonywać naprawę sprzętu domowego i dzięki dodatkowym dochodom nasza sytuacja się polepszy.

Czekając na wyjazd do kołchozu "Droga do socjalizmu" nie miałem nic do roboty poza częstymi wypadami do tajgi, która zaczynała się tuż za budynkami kołchoźników. Nie mogłem wprost nadziwić się ogromnej ilości kwiatów. Rosły na każdym skrawku wolnej przestrzeni, pod drzewami, a nawet krzakami jałowca. Tym bardziej było to zadziwiające, że jeszcze przed paroma dniami cały obszar był zalany wiosenną powodzią.

Ze wszystkich stron dochodziła cudowna muzyka urozmaicona tokowaniem cietrzewi i zdawało mi się wtedy, że jestem w jakimś zaczarowanym zakątku ziemi, w którym niepodzielnie panuje spokój i piękno. Jedynie pojawiające się już komary w coraz większej ilości zmuszały do myślenia o dniu codziennym.

W ciągu swojego pobytu w Żółtakowej w czasie jesieni i zimy, zajęty bez reszty swoim szewstwem, byłem całkowicie odcię-

ty od świata zewnętrznego. Gazet w ogóle nie czytałem i uchodziłem za zwykłego sapożnika. Radia też nie było. I tak, siedząc samotnie na stołku, całą uwagę poświęcałem wykonywaniu powierzonej mi roboty, o której nigdy w poprzednich latach nie myślałem.

Wiosną 1943-go roku powróciłem do Stachny i Eli. Zacząłem wypytywać znajomych kołchoźników i prezydenta Dorozkina, jak się toczą walki na froncie i co dzieje się u aliantów na froncie zachodnim. Mało byłem zadowolony z otrzymanych wiadomości, bo moi rozmówcy mało znali się na tych sprawach. Dlatego poprosiłem Dorozkina o korzystanie z gazet złożonych w świetlicy kołchozowej. Z łatwością odtworzyłem obraz walk, toczonych na różnych frontach. Jednak najważniejszą wiadomością było to, że bitwa o Stalingrad została zakończona.

Armie Radzieckie zamknęły Niemców w ogromnym kotle, w którym trzystutysięczna armia niemiecka musiała skapitulować i tym samym dostała się do niewoli razem z wieloma generałami i głównym dowódcą Paulusem.

Bitwa stalingradzka stała się punktem zwrotnym w drugiej wojnie światowej i zapoczątkowała nową ofensywę aliantów na wszystkich frontach.

Jeśli chodziło o działania wojenne przeciw Niemcom, to byłem bardzo zadowolony. Rysowała się bowiem nadzieja, że kiedyś operacje wojskowe dotrą do ziem polskich i nasza ojczyzna będzie wolna, a tym samym skończy się i nasza tułaczka po Syberii. Kiedy jednak zacząłem śledzić sprawy polskie - znalazłem na ten temat bardzo dużo wiadomości zarówno w gazetach z ubiegłego roku jak i w ostatnich numerach - wszystkie tchnęły beznadziejnością i przerażeniem. Nie znalazłem

ani jednej notatki ani też ani jednego artykułu, który by sprzyjał Polsce czy Polakom. Często wałkowano sprawę Katynia. Udowodniano, że oficerów polskich wymordowali Niemcy a rząd polski w Londynie ze swoimi kapitalistycznymi poplecznikami oczernia Związek Radziecki posądzając go o wymordowanie tych ludzi.

O wrogim stosunku londyńskich wichrzycieli do narodu radzieckiego podawano zdradzieckie wyprowadzenie przez generała Andersa polskiej armii do Iranu. Armia ta powinna była stanąć przy boku bohaterskiej Czerwonej Armii i walczyć z faszystami niemieckimi.

Rozpętana nagonka, nie przebierająca w słowach najwyraźniej zmierzała do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem generała Władysława Sikorskiego w Londynie, co też nastąpiło już 25-go kwietnia 1943-go roku. Było to do przewidzenia, gdyż akurat w tym czasie zaczęto wychwalać we wszystkich gazetach polskich komunistów, którzy w tym czasie przebywali w Związku Radzieckim. Na czele wyraźnie wysuwała się Wanda Wasilewska i Zygmunt Berling, którego Stalin mianował polskim generałem, Drobner, Jędrychowski, Skrzyszowski oraz Włodzimierz Sokorski.

Grupa ta już na początku 1943-go roku utworzyła Związek Patriotów Polskich zapowiadając jednocześnie utworzenie Wojska Polskiego w Związku Radzieckim oraz poddawała nie przebierającej w słowach krytyce politykę polskiego rządu na emigracji w Londynie.

Czytając to wszystko czułem się zawieszony w próżni. Polacy pozostający na Syberii nie wiedzieli, co się z nimi stanie. Praktycznie już od czerwca 1942-go roku polskie placów

ki dyplomatyczne w „wiązku Radzieckim przestały działać. Pomoc amerykańska, dostarczona Polakom została przejęta przez władze sowieckie.

W ponurym nastroju wracałem ze świetlicy kolchozowej. Kiedy wszedłem do domu, zobaczyłem wystraszoną Stachnę i siedzącego pod oknem milicjanta, który przywiózł mi wezwanie z sielsowietu, abym niezwłocznie stawił się w komendzie NKWD w rejonowym mieście Wieliżany Omskiej obłasti.

Oboje ze Stachną zastanawialiśmy się, czego może chcieć ode mnie NKWD.

- wiesz Wiktor, to chyba odzywa się twoja sprawa jeszcze z łagru w Niżnej Brystani, kiedy to byłeś sądzony na przymusowe roboty. Naczelnik Morozow - jak z tego widać - o tobie pamięta. Nie odpracowałeś całego wyroku - snuła przypuszczenia Stachna.

- Jakże to może być - rozumowałem po swojemu. To prawda, że całego wyroku przymusowych robót nie odpracowałem. Ale przecież w tym czasie dostaliśmy amnestię jako polscy obywatele i ten wyrok już nie ma racji bytu. To musi być coś innego - dochodziłem do wniosku. A może wyszperali, że chodziłem pieszo do Pietropawłowska w Kazachstanie do polskiej ambasady. Już wówczas pytano posła Matusiewicza kim jestem i po co odbyłem tak daleką podróż.

- Zresztą, nie martwmy się na zapas. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze - pocieszałem Stachnę chociaż sam nie mogłem się uspokoić. Bo gdyby mnie zabrali, to los Stachny z matką Elą byłby tragiczny.

Nazajutrz, z samego rana - a były to ostatnie dni marca - pożegnałem swoje najdroższe pociechy i wyruszyłem pieszo

przez ukwieconą tajgę dół Wieliżan, odległych o przeszło pięćdziesiąt kilometrów. Na wszelki wypadek Stachna zawinęła mi do tobołka zapasową koszulę i kilkanaście sztuk sucharów mocno uszczuplając zapas przewidywany na czarną godzinę.

Do Wieliżan doszedłem pod wieczór, kiedy urzędy były już pozamykane. Musiałem czekać do jutra. Udałem się do tego samego zajazdu, w którym nocowałem w ubiegłym roku z kołchoźnikami, kiedy to przyjeżdżałem z nimi tielegami do głównych magazynów po zboże na dokończenie kampani siewnej.

W wielkiej izbie zajazdu zastałem pełno Sybiraków leżących i siedzących na ławach i pod ścianami. Niektórzy popijali gorący czaj ziołowy, który gotowała gruba Sybiraczka i za dwa ruble nalewała każdemu do glinianego kubka.

Z przyjemnością skorzystałem z tej usługi i usiadłszy między dwoma brodacami schrupałem kilka sucharów zapijając wrzątkiem z ziół leśnych. Poczujęm się odprężony i zacząłem rozglądać się po ludziach. W pewnej chwili zauważyłem znajomego Polaka - Adama Karasia. Poznałem go w ubiegłym roku w Tiumeniu. Miał około sześćdziesiąt lat i został wywieziony z dwiema córkami jako leśniczy w lasach augustowskich.

Po uzyskaniu amnestii przeniósł się do Tiumentia do kołchozu w okolicy Wieliżan. Teraz udaje się w północny rejon po swoją kuzynkę. Chce ją sprowadzić do swoich córek. Będziem, razem jak dawniej - uśmiechnął się. Kiedy wymieniliśmy najnowsze wiadomości z frontu o Polakach przebywających w okolicach Wieliżan i Tiumentia, zapytał mnie wprost: "W jakiej sprawie tak daleko pan się wybrał?" Opo-

wiedziałem mu o swoim wezwaniu do NKWD i o najgorszych przypuszczeniach, co mnie może spotkać. Po dłuższym milczeniu powiedział: "Wie pan, w ubiegłym tygodniu mnie tam wzywali, także byłem mocno zaniepokojony, ale wyszedłem cało. Chcieli mi dać paszport sowiecki - uśmiechnął się. Wmawiali mi, że jestem obywatelem radzieckim i muszę mieć paszport. Trzymali cały dzień, straszili więzieniem. Nawet proponowali pracę w urzędzie zamiast zwykłej roboty w kołchozie. W końcu powiedziałem im stanowczo - róbci ze mną co chcecie. Jestem Polakiem i obywatelstwa sowieckiego nie przyjmę. No i rozwścieczeni kazali mi się wynosić - zaśmiał się na głos. Niech pan się nie przejmuje, może i z panem będzie podobnie" pocieszał mnie klepiąc po ramieniu.

Opowiedział mi też, że już w lutym otrzymał wiadomości z Tiumentia ~~pa~~ odmowie przez Polaków sowieckich paszportów. Natomiast tych, którzy je przyjęli, a nie przekroczyli pięćdziesiąt pięć lat za parę dni zabrano do Czerwonej Armii i niewątpliwie poszli na front. "Tak - mówił kiwając głową - masa ludzi zginęła pod Stalingradem. Na gwałt potrzebują mięsa armatniego. Do armii zabierają wszystkich, nawet ułomnych. W styczniu rozmawiałem z jednym Tatarem, który był bez oka i bez dwóch palców u lewej ręki. Cieszę się, że w lutym kończę pięćdziesiąt pięć lat i wojna go ominie. Tymczasem dostał wezwanie do wojska i po dwóch tygodniach przyszło powiadomienie rodzinie, że poległ jako bohater za ojczyznę i Stalina."

Tak gawędząc wypiliśmy wspólnie kipitku i przesiedzieli całą noc na twardej ławie, z rana pożegnaliśmy się. On udał się po kuzynkę, a ja do komendy NKWD.

W poczekalni wielkiego budynku z okrągłaków zastałem już kilkunastu „Sybiraków” wezwanych w różnych sprawach na przesłuchanie. Oddałem swoje wezwanie funkcjonariuszowi w okienku, który telefonicznie zawiadomił kapitana o moim przybyciu.

Od razu wprowadzono mnie przez barierkę schodami na piętro. Znalazłem się w dużym pokoju, w którym za szerokim biurkiem siedział kapitan obwieszony orderami, a naprzeciwnej ścianie znajdował się wielki kolorowy obraz przedstawiający Stalina z wyściąg naturalnej wielkości z wyciągniętą ręką do wiwatujących krasnoarmiejców, zaś u góry napis „Za rodzinę, za Stalina”. Kapitan kazał mi usiąść na taborecie przed sobą i powiedział: „Wasze dokumenty”. Podałem mu zaświadczenie o otrzymanej amnestii i czekałem, co nastąpi dalej. Po obejrzeniu papierka ze wszystkich stron, nie śpiesząc się powiedział: „Hu tak dokument jest nie ważny, trzeba wymienić na nowy” — uśmiechając się podsunął mi blankiet — proszę, wypełnijcie ten blankiet i podpiszcie, tu podpiszcie — wskazał palcem. Dostaniecie zaraz paszport”. Z początku zdenerwowałem się, ale zaraz nastąpiło opanowanie i spokojnie mówiłem: „Grażdanin kapitan, tego kwestionariusza nie mogę podpisać i paszportu sowieckiego nie przyjmę, bo jestem obywatelem polskim, co w dokumencie przyznającym mi amnestię jest wyraźnie napisane”. Na moje oświadczenie zdenerwowany kapitan odpowiedział: „Grażdanin Kazłowski, wy na pewno rozumiecie, że każdy kto żyje w Związku Radzieckim jest jego obywatelem, a waszej dawnej Polsce, póki co, to nie ma”.

„Ale będzie — odpowiedziałem — wiecie dobrze, że generalisimus Stalin udzielając nam amnestii jako polskim oby-

watelom ~~pałskim~~ oświadczył, iż po wojnie wszyscy wrócimy do swojej ojczyzny. To było napisane we wszystkich gazetach i ja Stalinowi wierzę - pokreśliłem dobitnie.

- To nie ma znaczenia, co wy mi tu opowiadacie. Teraz warunki się zmieniły i paszport musimy wam wydać - mówił ze złością. Jeśli jednak będziecie się upierać i swoje brednie opowiadać, to was zamknjemy i znajdziecie się z powrotem w łagrze - stuknął pięścią w blat biurka.

W tej chwili nie myślałem o niczym. Ani o Stachnie, ani o Eli, czy o tym, że oni są górą i co zechcą, to zrobią. Złość mnie opanowała.

- Możecie mnie znowu aresztować - mówiłem podniesionym głosem - ale popełnicie wielki błąd, bo nic na tym nie skorzystacie. W łagrze będę bezużyteczny, a na wolności umacniałem tyły Związku Radzieckiego pracując w kolchozach jako kowal. Bez mnie w tych kolchozach nie mogą się obejść. Naprawiałem im inwentarz gospodarski, przez co pomagałem im w przeprowadzaniu kampanii siewnej i odstawienia zboża, które jest konieczne Czeronwj Armii.

- Zobaczcie moją umowę z kolchozem "droga do socjalizmu" którą na szczęście zabrałem ze sobą, mam w tym kolchozie rozpocząć pracę za trzy dni i aresztowanie mnie dla kolchoźników będzie tragedią, bo cały inwentarz gospodarczy mają w rozsypce. Kowala nie mieli przez dwa lata, zaś kampanię siewną trzeba już rozpoczynać. Sami tego pilnujcie przecież jako władza radziecka - mówiłem odważnie. Na moje słowa kapitan nic nie odpowiedział, wziął moje umowę wraz z zaświadczeniem o amnesti i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Po paru minutach wrócił uśmiechnięty mówiąc: "tak ustaliliśmy, pojedziecie tymczasowo ze swoim

zaświadczeniem do swojego kołchozu "Droga do socjalizmu". Tam dobrze zabierzcie się do roboty, żeby kampania siewna była zakończona sprawnie, a my zastanowimy się, jak waszą sprawę załatwić-zakończył i zadzwonił na dyżurnego na dole, aby mnie wypuścił do domu.

Kiedy znowu znalazłem się na dole w poczekalni, otoczyli mnie Sybiracy oczekujący na przesłuchania i jeden przez drugiego zaczęli pytać-no, wypuścili was, nie zamknęli? a czego chcieli? Chcieli, abym przyjął sowiecki paszport -odpowiedziałem. "Co mówicie, NKWD samo dawało wam paszport? I nie wzięliście go? Przecież nie tak łatwo dostać paszport w Związku Radzieckim, każdy z nas dobrze o tym wie. Kto posiada paszport może udać się do innej miejscowości i może nawet jechać koleją, bez posadzenia o włóczęgostwo, które jest u nas karane ciężkim łagrem -dowodził wysoki brodacz.

Inny znowu mówił-Pomyślcie rebiata, ten Polak nie chciał wziąć paszportu, choć sami mu dawali do ręki bez żadnej prośby. Oj, Polacy, Polacy kto was zrozumie". W tej chwili wysunęła się zokienka głowa nkwdzisty i głosy ustały. A ja pożegnałem zaintrygowanych Sybiraków na zawsze.

Nie mogłem zapomnieć głosów tych ludzi. Ustrój socjalistyczny zrobił ich niewolnikami. w ich wyobraźni paszport jest symbolem wolności, swobodnego poruszania się, a nawet możliwości korzystania z pociągu. Otrząsnąłem się z przykrych myśli o obywatelach sowieckich, bez jedzenia skierowałem się na drogę do swojego kołchozu, gdzie na pewno Stachna przeżywała ciężkie chwile, bo rzeczywiście mało brakowało, abym do niej nie wrócił.

Na drogę powrotną pozostało mi zaledwie parę sucharów, ale głodu i zmęczenia nie czułem. Nieustanna myśl, że wolny wracam do swoich najbliższych dodawała mi siły. Do domu doszedłem już po zachodzie słońca. Ela spała w najlepsze, a Stachna siedziała po ciemku przy piecu. Była widocznie najgorszych myśli, bo wyraźnie widać było, że płakała. Musiałem parę razy opowiadać przebieg przesłuchania w komendzie NKWD, zanim uspokoiła się i uwierzyła w mój szczęśliwy powrót.

Po całodniowym odpoczynku wyruszyłem przez barwnie kwitnącą tajgę na Uwał. Dotarłem na miejsce pod wieczór. Priedsiedatiel Zirakow zaprowadził do przydzielonego nam mieszkania, z dwóch dużych pokoi i wspólnej kuchni z samotną Sybiraczką-Lubą Kirilowną Iwanowną.

Dom był wielki, z okrągłych bali i na wysokich palach z grubych sosen. Nowa gospodyni przywitała mnie z radością mówiąc: "Teraz nie będzie mi tak smutno, gdy zamieszkacie u mnie ze swoją rodziną. Już nawet przygotowałam wam trzy kojki, możecie je pójrzeć". Podziękowałem uprzejmie i podkreśliłem, iż mieszkanie bardzo mi się podoba, a do tego jest blisko kuźni. Myślę, że moja Stanisława Antonowna z matką Elą nie sprawią wam wielkiego kłopotu - odchodząc dodałem.

Na drugi dzień z rana podjechał przed dom wóz na drewnianych osiach, przykrępy wyrostek Iliuszka, z którym udaliśmy się po rodzinę. W drodze dowiedziałem się, że Iliusza będzie moim młotobojcem. Paweł Nikołajewicz tak zarządził - powiedział z powagą. Chwalił się także, że potrafi jeździć na traktorze, a jak się u kuźnieca poduczy, to sam

zostanie w kółchozie kowalem. Cały czas opowiadał i snuł wizje na najbliższą przyszłość. Ja tymczasem ciągle myślałem, jak mi się ułoży nowa praca i czy przedsiębiorca będzie do mnie dobrze usposobiony, bo ciągle pamiętałem uwagi Fomy Doroszkina na jego temat.

Po południu witałem się ze Stachną i Elą. Konie pokarmione pełną koniczyną zwaną plewier odpoczęły. Zapakowaliśmy na furę nasze tłumoczki i zabraliśmy się na nowe miejsce w Wędrówce po Syberii. Przez całą drogę Stachna z Elą zachwycały się wielką ilością różnokolorowych kwiatów. Gdyby nie te potworne komary, które pojawiały się masowo i trzeba je było ciągle opędzać, każdy czułby się o tej porze w tajdze jak w wielkim ogrodzie opuszczonym przez ludzi. Do tego kolorowego kwiecia dochodziło ze wszystkich stron melodia tokujących cietrzewi. Na miejsce przyjechaliśmy o zachodzie słońca. Uprzejma gospodyni poczęstowała nas herbatą ziołową z mlekiem i zmęczeni podróżą poszliśmy prędko spać.

Na drugi dzień Stachna z Lubą Iwanowną zajęły się urządzeniem nowego mieszkania, a ja poszedłem do kuźni. Iluszka czekał na mnie. Po pewnym czasie zjawił się także P^aweł Żirakow. Obejrzeliśmy całe obejście kuźni i przystąpiłem do roboty.

Pierwsze dni zeszły na naprawie i wykonaniu najprostszych narzędzi, jak szcypce do trzymania żelaza, obcęgi, przycinaki, wybijaki, a nawet młotki, bez których nie można było przystąpić do remontu maszyn i całego zaplecza gospodarczego w kółchozie. Z pośpiechem przygotowano się do wyjścia w pole i rozpoczęcia siewów wiosennych.

Na pierwszy plan poszły kultywatory, siewniki i brony.

Wszystkie pola w tym kołchozie miały podorywki jesienne, co bardzo ułatwiło zasiewy w przewidzianym czasie. Zaraz w pierwszych dniach zauważyłem, że kołchoźnicy o tej porze roku mają więcej chleba i placków niż to było u Doroszkina. Nie trzeba było odkryć, że Żirakow był sprytnym gospodarzem, jak na sowieckie warunki.

W jesieni dostarczał państwu należne gospostawki zboża, ale w takich ilościach, ile oczyszczono pierwszego gatunku. Drugi gatunek z dużą ilością pszenicy pozostawiał w magazynach kołchozu, nie przejmując się zbytnio coraz większym zadłużeniem wobec państwa. Inni przedsiębiorcy nie odważyli tak postąpić w obawie posądzenia o sabotaż, kiedy Czerwonej Armii należało wszystko poświęcić. Nasz Paweł Nikołajewicz mając z władzami dobre stosunki mógł sobie na to pozwolić bez ryzyka.

Moje spostrzeżenia potwierdził w zaufaniu Grigori Pawlakow - dozorca koni na fermie. Kiedy poznaliśmy się z nim bliżej otwarcie mówił, że przedsiębiorca Żirakow to śmierdząca kanalia. Wszyscy o tym wiedzą - dodawał.

Z Pawlakowem zaprzyjaźniłem się od pierwszych dni na Uwale. Miał gdzieś pod sześćdziesiątkę, ale na brodzie i głowie nie widać było siwego włosa. Lubił opowiadać o tajdze i polowaniu. Kiedy zakończył swoje roboty na fermie, a potem przywiózł polnej koniczyny koniom, zawsze wyrywał się do kuźni obok zabudowań kołchożnych, aby ze mną pogadać. Bez przerwy miał o czym mówić. Nie przeszkadzało mi to przy robocie, a czas prędzej schodził. Pawlakow był potomkiem polskiej rodziny z Grodna, ale już nawet jego ojciec mało pamiętał Polskę, bo w czasie zsyłki na Sybir miał zaledwie dziesięć lat. Grigori wiedział tylko tyle o dziadku, że był Polakiem

i nazywał się Pawlak. A ja nazywam się Griegori Stepanicz Pawlakow- mówił- no zrobili z Polaka-ruska. Całe szczęście, że chociaż w tajdze, bo nigdzie nie jest lepiej - dowodził. Nazywałem go panem Grzegorzem. Sprawiało mu to dużą przyjemność i uśmiechał się do mnie szeroko obrośniętą gębą. W domu był sam. Dwóch synów zginęło na froncie w ubiegłym roku, a żonę już dawno pochował. Zaden z synów nie był żonaty. Szkoda- byłoby mi raźniej, gdyby po nich zostały riebiatyszki- żalił się. Pawlakow miał dwie piękne flinty do polowania, z którymi często chodziliśmy na cietrzewie. Obydwie były zawsze wyczyszczone i dawał mnie do wyboru którą chcę. Toki były w pełni. Od pierwszego brzasku aż do południa tajga grała muzyką, która każdego zachwycała pięknem melodii i harmonią tonów. Wyraźnie słychać było fujarki, flety i jakieś nieznane tony na przemian wysokie i niskie, a echo dodawało akompaniament setek fortepianów. Przy takiej muzyce można było o wszystkim zapomnieć, gdyby nie komary natrętnie domagające się porcji krwi.

Na polance między drzewami, gdzie odbywają się harce i walki kogutów o szare samiczki, ziemia wyglądała jak klepisko do zabawy. Koguty biją się między sobą po kilka sztuk naraz, stroszą pióra, wyciągają szyje z czerwonymi koralami jak u indyków, biała piana cieknie im z dziobów. Łomoczą się skrzydłami i tarmoszą dziobami, a przy tym wydają tę cudowną muzykę.

W tym czasie samiczki przechylone do ziemi biegają dookoła walczących jakby chciały je rozdzielić. W momencie takiego zamieszania myśliwi strzelają do kogutów. W jednej chwili po strzale całe stado zrywa się i tego dnia więcej nie wraca. Aby trafić na to tokowisko trzeba znaleźć się

na wydeptanej polance jeszcze przed brzaskiemw uprzednio zbudowanym szałasie z gałęzi. Podobno nie było wypadku, aby myśliwy mógł podejść tokujące stado. Ze wżystkich stron tokowiska są wystawione czujki cietrzewi, które głośnym charakterystycznym turkaniem ostrzegają stado przed niebezpieczeństwem.

Na miejsce toków cietrzewie przylatują pojedynczo tuż przed brzaskiem i po sygnałach czujek rozpoczynają godowe walki. Grigori Stepanowicz zawsze wynajdywał dwa tokowiska blisko siebie. We dnie ustawiał z boku szałas i następnego dnia po północy zajmowaliśmy w nich stanowiska. Za każdym razem oglądałem toki zawziętych, napuszonych cietrzewi z wielką ciekawością, jak na wspaniałym filmie. Zdawało mi się, że jestem w zaczarowanym lesie na wielkim koncercie i z trudem zdobywałem się na strzał. Nieraz zafascynowany walką pięknych kogutów, przegapiłem okazję i w rezultacie mój przyjaciel Pawlakow dzielił się ze mną upolowaną zdobyczą. Jednego dnia, w maju przybiegł do kuźni i z przejęciem oznajmił mi, że dzisiaj rano wysledził dwa duże tokowiska, gdzie już nawet postawił szałas.

Wiktor Karłowicz-mówił w podnieceniu- jutro bardzo wcześnie wybierzemy się do tajgi, będzie wspaniałe polowanie. Tylko chociaż nie zaśpijcie- przypomniał

Zdawało mi się, że tylko się zdrzemnąłem, a już Grigori stukał do mnie w szyby. "Czas iść do lasu- wołał- koguty w zagrodach dawno pieją". Noc była jasna, niebo roziskrzone gwiazdami, a pyzaty księżyc jakby płynął po niebie. Do miejsca toków było parę kilometrów. Łatwo znaleźliśmy postawione z gałęzi szałas, porozmawialiśmy jakiś czas i w obawie, aby nie przegapić pierwszych czujek tokującego stada, zajęliśmy

miejsca na swoich stanowiskach. Długo siedziałem w szałasie dziwiąc się, że brzask nie nadchodzi i nie słychać ptaków spadających na ziemię. Kiedy później dokładnie rozejrzałem się po niebie i dokoła, przekonałem się o naszej pomyłce. Zegarków nie mieliśmy i pianie kogutów o północy przyjęliśmy za poranne. Trzeba było czekać do brzasku. Przykucnięty w szałasie wyglądałem na gwiazdy i myślałem, że gdzieś daleko na zachodzie przyświecają one tak samo Polsce, a w niej moim bliskim i znajomym, którzy tam pozostają pod okupacją jeszcze bardziej okrutnego wroga.

Myśli przeskakiwały tysiące kilometrów zaściankując o mały punkcik szałas, gdzie siedziałem zagubiony w głuchej tajdze.

Nagle moją samotność przerwał głośny rozpaczliwy krzyk rozlegający się echem po tajdze: "Wiktor Karłowicz, Wiktor Karłowicz". Zerwałem się i pobiegłem przez krzaki do wołającego Pawlakowa oddalonego ode mnie o paręset metrów. Stał przed szałasem z białą plamą na plecach. Wykręcił głowę do tyłu wskazując rozdartą fufajkę i trzęsącym głosem wyszeptał: "Wołk na mienia napał, zobacz, chciał mnie zadusić". Obejrzałem go dokoła. Cała fufajka od kołnierza do pasa była rozdarta. Wystawała tylko poszarpana wata. Okazało się, że kiedy ja rozmyślałem, mój towarzysz zasnął zwinięty w kłębek w zacisznym szałasie, a przechodzący wilk pokusił się go spróbować. A najpewniej chciał sprawdzić, co to takiego leży. Na szczęście nie zaczął od głowy, a od pleców i widocznie sam się przestraszył, skoro ofiara została przy życiu. Przygoda skończyła się szczęśliwie. Przestraszony Grigori Stepanicz nie chciał czekać na cietrzewie i zawróciliśmy do domu. Dochodząc do wsi koguty zaczęły pisać na ranek.

A wkrótce cietrzewie przy naszych szałasach mogły tokować swobodnie. Na drugi dzień nie mogliśmy udać się na polowanie. Pawlakow wysłał do tych szałasów trzech swoich krewniaków z flintami- jeden czternastoletni, a dwaj po dwanaście lat. Wróciłem właśnie ze śniadania do kuźni, kiedy przybiegli ci chłopcy z tajgi krzycząc, że zabili wilka koło szałasu. Nie chciałem im wierzyć, ale po paru godzinach Grigori rzeczywiście przywiózł na furze rozciągniętą wilczycę. Miała młode, ale już podrośnięte i Pawlakow twierdził, że poradzą sobie bez matki.

Kiedy rozłożono wilczycę na placu, miejscowe psy z daleka podwijały ogon i z pomrukiem zmykały.

Przebywając w tej osadzie głodu nie odczuwaliśmy. Kołchoźnicy przynosili do naprawy garnki, miski, wiadra i różny sprzęt domowy. Mniejsze dziury w dnach lutowałem. Do wiader najczęściej wstawiałem dna nowe. Garnki czuchunne czyli żelazolane łątałem za pomocą nitów z pakunkiem uszczelniającym pod blachę. Wszystkie uboczne roboty wykonywałem po zajęciach objętych umową. Dostawałem za nie chleb, mleko czasem pare jajek lub czetuszke topionego masła.

Pewnego dnia byłem zajęty klepaniem lemiesza do trzyskiłowca, kiedy weszła do kuźni kobieta z tobołkiem na plecach. "Zdrastwujcie kuźnicy, czy mogę u was trochę odpocząć?"-zapytała. Przypatrzyłem się jej bliżej i z wielkim zdziwieniem zawołała: "O, rany Boha, toż to nasz sapoźnik. No ci Polacy mają złotyje ruki"-sama do siebie powiedziała. Wierę Osipownę również poznałem. Jej Griszce w Żyrakowej robiłem pierwsze buty, których nigdy nie zapomnę. Porozmawialiśmy serdecznie i Wiera poszła dalej na posiołek Zabornyj, do swoich krewnych.

Szybko zbliżały się sianokosy. Kosiarki stały przed kuźnią wyremontowane, a kobietom przygotowywałem^{szepcy} do koszenia między krzakami, gdzie z kosiarkami nie można było wjechać. W pierwszej kolejności należało zgromadzić zapasy siana dla kolchozu, a dopiero potem każdy mógł zająć się koszeniem trawy dla własnej krowy.

Cały kolchoz był podminowany zapowiedzianą wizytacją sianokosów przez naczelne władze z rejonu Wierchnia Tawda. Postawiono już dwadzieścia dużych stogów, a resztę przesuszonej trawy składano w kopice. Sam priedsiedatiel Żirakow jak prosty robotnik pracował ze wszystkimi. W tym właśnie momencie zajechała limuzyna na łąki i wysiadła cała władza z rejonu. Naczelnik NKWD w mundurze z orderami i pierwszy sekretarz partii z przewodniczącym rady narodowej, obaj po cywilnemu, ale wszyscy obwieszeni orderami po obu stronach piersi. Odbyła się lustracja stogów i skoszonego areału łąk. Potem ogłoszono przerwę w pracy i naczelnik NKWD oświadczył zebrany, że jest dumny z wysiłku kolchoźników.

-Tak powinni pracować wszyscy radzieccy patrioci w umacnianiu tyłu frontu ojczyźnianego. Jestem przekonany - mówił dalej - że nasza partia i nasz wielki wódz generalisimus Stalin zawsze może liczyć na naszą ofiarną pracę, dzięki czemu rozgromimy faszystowskiego wroga. Mówiono później, że priedsiedatiel został uznany jako najlepszy gospodarz rejonu i będzie odznaczony wielkim orderem z gwiazdą - za umacnianie tyłu Związku Radzieckiego. Po paru dniach sianokosy w kolchozie zostały zakończone. Kolchoźnicy zajęli się przygotowaniem siana dla własnych

krów, zanim rozpocznie się nowa akcja żniwna.

W tym czasie przedsiębiorca Żirakow często zachodził do kuźni, zawsze interesował się naprawą maszyn i narzędzi, ale bliższego kontaktu nie nawiązaliśmy ze sobą. Czułem, że w jego oczach byłem wrogiem Związku Radzieckiego. W stosunku do mnie postępował grzecznie, ale urzędowo. Nie wdał się w dłuższe rozmowy poza fachową pracą. Wiedziałem od kołchoźników, że Paweł Nikołajewicz otrzymuje bliższe stosunki tylko z magazynierką i księgowym. Na froncie Żirakow był mocno kontuzjowany. Miał uszkodzone oko i złamaną nogę. Utykał jednak nieznacznie. Gorzej wyszedł z frontu księgowy Nikita Gałkin Timofiejewicz, który wrócił z armii bez nogi za kolanem.

Magazynierka Kławdia Aleksandrowa była samotną nauczycielką repatriowaną z Mińska. Trójka trzymała się razem. Po cichu mówiono, że łączą ich wspólne interesy. Nie potrafili ukryć częstych spotkań w gabinecie Żirakowa. Ze popijali spirytus drzewny z tawdyjskiej fabryki. Wiedziano także, że wyjazdy służbowe przedsiębiorcy do Wierchniej Tawdy były okazją do zaopatrzenia w spirytus całej kompanii. Reszta kołchoźników była na uboczu, co nie przeszkadzało, że z zainteresowaniem śledzili swoją władzę i każde upicie się Nikity ~~Timofiejewicza~~ Nikołajewicza i Aleksandrowny było z oburzeniem komentowane w osadzie.

Jednego dnia pod wieczór kołchoźnicy wrócili od koszenia trawy, a ja w kuźni przy pomocy Pawlakowa wstawiałem dna do wiader, kiedy przybiegli do nas dwaj chłopcy i z przejęciem zaczęli opowiadać, że w zarządzie siedzi schwytany łagiernik. Paweł Nikołajewicz kazał go związać i zadzwono-

nił po milicję.

Udaliśmy się obaj do prawienia. Zastaliśmy sporo ludzi przyglądających się siedzącemu na podłodze staremu człowiekowi. Ręce miał związane do tyłu, głowę opuszczoną, a nogi obute w zniszczone chodaki wyciągnięte na podłodze. W szarej mycce na głowie wyglądał jak potworny pajak. Przedsiadatel siedział na długiej ławie i obojętnie przyglądał się zbiegowi.

Podszedłem do Zirakowa i poprosiłem: "Pawle Nikołajewiczu, pozwólcie go rozwiązać, widzicie sami, jak bardzo jest wyczerpany i nigdzie nie ucieknie wśród ludzi". Kiedy kobiety zaczęły mruzczyć ze złością, wtedy kazał Pawlakowi go rozwiązać.

Zapytałem zbiega- z jakiego łagru, kiedy uciekł?

- Uciekłem z Szewurołagu pod Wierchnią Tawdą. Od pięciu dni jestem w tajdze. Psy mnie nie złapały i cieszyłem się, że zobaczę swoją Nataszę. A miałem już tylko trzysta kilometrów do niej. Wyszedłem z bagien do kołchozu prosić coś do zjedzenia i trafiłem na człowieka podszytego strachem, który kazał mnie związać - mówił przez łyzy.

Zwróciłem się do kobiet, aby przyniosły mu coś do pokarmienia, ale wszystkie patrzyły na Zirakowa i żadna nie ruszyła z miejsca. Pobiegłem zaraz do swego miszkania, wziąłem kawałek chleba i dwanaście kartofli. Poprosiłem jedną z kobiet, aby je ugotowała temu człowiekowi, ale ten rzucił się na nie łapczywie i w ciągu kilku minut zjadł wszystkie na surowo, ~~zagryzając~~ jak jabłka zagryzając na końcu kawałkiem chleba.

Skazaniec miał dwadzieścia pięć lat. "Nie jestem bandytą. Ja kołchoźnik, jak wy - mówił z trudem do ludzi - ukradłem

trochę pszenicy z siewnika, no i dostałem pięć lat. Drugie pięć otrzymałem za próbę ucieczki. Teraz to już chyba nie wyjdę do śmierci" próbował się uśmiechnąć.

Na drugi dzień zjawili się koźmi dwaj milicjanci i między koźmi popędzili chłopca. Nie pytałem go o nazwisko. W łagrach mają numery i wszyscy są szarzy w jednakowych myckach. Mocno przeżyłem to spotkanie z łagiernikiem. Ciągle miałem wrażenie, że sam jestem na jego miejscu i robota wcale mi nie szła.

Po paru dniach o łagierniku zapomniano. Sianokosy były zakończone i w tajdze ucichła muzyka. Cietrzewie połączyły się w pary i zgodnie zakładały swoje rodziny.

W pensjonacie Zirakow polecił brygadam polowym zgromadzić cały park maszynowy przed kuźnią. Oświadczył im przy tym, że bardzo mu zależy na tym, abym przed żniwami dokonał przeglądu i naprawił uszkodzony inwentarz, co mu umożliwi wykonanie w porę zaplanowanych podorywek i innych prac polowych przed zimą. Pracowaliśmy z Iliuszą całymi dniami. Podczas tej wzmożonej pracy nastąpił groźny wypadek przy spawaniu wałka do siewnika. Poczulem nagle piekący ból w lewym oku, które od razu zacisnęło się, młotek i szczypce wypadły z ręki, łzy zaczęły ciec gwałtownie, a w głowie powstało wirowanie i szum. Zaraz też i na drugie oko nie mogłem patrzeć. Nagle uświadomiłem sobie, że straciłem oko.

Iliusza wystraszony nie wiedział, co robić? Załamywał ręce i wołał - o, rany Boha, co za nieszczęście. A najbliższy szpital był o sześćdziesiąt kilometrów w Wierchniej Tawdzie przez bagna i lasy. Okazuje się, że w chwili wielkiego nieszczęścia człowiek jest zdolny do intensywnego

myślenia. Stojąc całkowicie oślepiony, przypomniałem, że w domu, w skrzynce z narzędziami leży duży sztabkowy magnes, przypadkiem znaleziony w Niżnej Pristani. Wysłałem po niego Iliuszę, a sam ciągle stałem oparty o kowadło z rękoma przy oczach.

Po paru minutach przybiegła Stachna z magnesem, Przyłożyłem go blisko do rozchylonego oka i w tej chwili poczułem się nie do opisania lekko. Łzy ciekły z obydwu oczu. Ale ustało wirowanie i szum w głowie. Najważniejsze było to, że na oko widziałem. Zobaczyłem później w lustrze małą ranę przy samej źrenicy. Byłem uratowany i życie toczyło się dalej. Pracowałem jak dawniej. Brygadier przyjmował wykonaną pracę i oddawał moje dniówki do księgowości. Cały park maszynowy został wyremontowany i stał gotowy przed kuźnią. Policzyłem swoje roboczodniówki. Miałem już przeszło dwa kwintale pszenicy do odebrania. To było dużo jak na moje warunki syberyjskie.

W dobrym nastroju poszedłem do zarządu z prośbą o wypisanie mi części przypadającego zarobku. Obecny w biurze Żirakow oświadczył niezbyt uprzejmie: "Nie możemy wam Wiktor Karłowicz nic wypisać. Musicie poczekać do żniw". Bardzo zdziwiłem się odmowie, tym bardziej tego dnia wydawano kolchoźnikom zaliczki i pszenica w magazynie była. Za dwa dni próbę powtórzyłem i znowu bez rezultatu. Byłem zaniepokojony i oboje ze Stachną czuliśmy podstęp przedsiębiorcy.

Pawlakow dowiedział się w tajemnicy od księgowego, że Żirakow ma inwentarz wyremontowany i teraz kowal mu nie potrzebny, a on może wypowiedzieć każdego dnia, każda

ze stron. Prawo wymagało uregulowania należności, ale nie w stosunkach ówczesnych.

Priedsiedatiel był mocny i wiedział, że nigdzie nie pój-
dę na skargę. Nie miałem żadnej siły wyegzekwowania tej
pszenicy i po naradzie postanowiłem wyjechać z Uwału za-
nim nas zaskoczy ciężka zima syberyjska. A jednak miał ra-
cję poczciwy Foma Doroszkina. Tak trafnie go ocenił. Kana-
lia-pomyślałem. Grigori Pawlakow przyznał mi rację, że naj-
lepiej poszukać innego kolchozu i zaofiarować w tym swoją
pomoc.

Do kuźni zachodziłem rzadko. Większość czasu spędza-
łem na robotach blacharskich w mieszkaniu, za co otrzymywa-
łem niezbędne produkty na nasze utrzymywanie. Jednego dnia
kolchoźnica Paraskowia Andrejewna przyniosła maszynę do
szycia z prośbą o reperację. W poczet zapłaty dała od razu
dziesięć świeżych jaj, których dawno nie widzieliśmy. Zmar-
twiłem się jednak, kiedy mi powiedziała, że maszyna nie wy-
gląda na uszkodzoną, a mimo to nie szyje, tylko rwie nici.
Zglądałem na wszystkie strony i niczego podejrzanego nie
znalazłem. Maszynę zatrzymałem do dalszego badania. Rozbie-
rając ją na części przypomniałem słowa majstra, z którym
pracowałem na Niżnej Pristani. Mówił wielokrotnie- maszyna
jest jak człowiek, a majster to doktor. Lekarz wyleczy czło-
wieka wiedząc, co go boli, a majster musi stwierdzić, jaka
część zepsuta, wtedy może zreperować maszynę. Pamiętając o tych
słowach uważnie zacząłem badać poszczególne części i wte-
dy zauważyłem, że czółenko podające nici jest wytarte i nie
porusza się dokładnie po swoim łożysku. Powoduje przez to
plątanie i rwanie nici. Cała uwaga skupiła się na tym obie-

kie. Rozważałem, jakim sposobem czółenka naprawić bez części zamiennej. Poradziłem za pomocą cyny, przez nalutowanie samego łożyska i wytartego czółenka. Po dokładnym oszlifowaniu i naoliwieniu maszyna Paraskowej były znowu sprawna. Samo wybrnięcie z sytuacji dało mi zadowolenie, zaś zapłata dziesięciu jaj i pół litra stopionego masła i dziesięciu litrów mleka najbardziej uradowała Stachnę, bo miała nas czym karmić przez dłuższy czas.

W kołchozie zaczęły się na dobre żniwa. Wieczorem przyszedł do nas Grigori Pawlakow i po przywitaniu oświadczył; "Wiktor Karłowicz i Stanisława Antonowna - przynoszę wam dobre wiadomości - kowal potrzebny od zaraz, a do tego przedsiębiorca porządny człowiek".

W osadzie Zabornyj potrzebowano kowala. Przez tą drogę miałem za ledwie dwadzieścia pięć kilometrów. Przedsiębiorca kołchozu Jurij Iwanowicz Barbakow był dobrym znajomym naszego Pawlakowa i przyrzekł mu, że zaopiekuje się nami. Zaraz o świcie wyruszyłem w drogę do Zabornego. Osada była podobna do innych na Syberii. Domy stare, kryte deskami, a przy nich zagrody ogrodzone parkanem na płask z grubych okrągłaków. Budynki gospodarcze kołchozu stały za wsią od czasu pierwszej kolektywizacji. Przedsiębiorca Barbakow, miejscowy Sybirak przyjął mnie bardzo serdecznie i zaraz na wstępie wyznał, że zna dobrze Zirakowa na Uwale i wie co to za swołocz. Szkoda, że od razu nie trafiliście do mnie. Pawlakow mi opowiadał, jacy wy ludzie, a on się nie myli - mówił patrząc mi w oczy. Przenocowałem u tych ludzi. Częstościami kolacją i śniadaniem. Na drugi dzień spisaliśmy umowę i po załatwieniu formalności otrzymałem parokonną furę do przewiezienia rodziny na nowe miejsce zamieszkania.

Przyjechawszy do Uwału jeszcze raz udałem się do Zirakowa z prośbą, aby wydał zarobioną pszenicę, tym bardziej, że młocka i czyszczenie ziarna szło całą parą. Paweł Nikołajewicz już wiedział o moim wyjeździe i z ironicznym uśmiechem zapytał: "Cóż to Wiktor Karłowicz, przecież jesteście obrażowanym człowiekiem i nie wiecie jak trudno naszej armii walczyć w okopach bez chleba? Musicie także pomóc umacniać tyły Związku Radzieckiego, a każdy kilogram zboża jest na wagę złota. Wszystko trzeba oddać państwu, nie tylko wam, ale i nam nic nie zostanie. Zresztą nie martwcie się, priesiedatiel na Zabornym nie pozwoli wam umrzeć z głodu. Znam go dobrze, ma dobre serce - wyraźnie kpił w żywe oczy.

Tak rozstałem się z kołchozem "Droga do socjalizmu" i pojechałem z rodziną do następnego chlebobawcy. Na Zabornym zamieszkaliśmy w wielkim domu także z rzeźbioną bramą. Przylegały do niego zabudowania gospodarskie zupełnie puste, a z boku stał okazały spichlerz z zagrodami na zboże. Gospodarzem tego obejścia był stary z gęstą czarną brodą Nikita Kabukow. W kołchozie pracował jako koniuch. Opowiadał nam, że dawniej w tej zagrodzie gospodarował wielki kułak i w tym ambarze podczas kolektywizacji powiesili jego całą dziesięcioosobową rodzinę. Przyjechaliśmy w pełni żniw. Roboty wkuźni dużo nie było. Najczęściej naprawiałem żniwiarki i młocarnie. Garbakow zaopatrzył nas w mąkę i kaszę, a oprócz tego wydawano codziennie z fermi kołchożnej dwa litry mleka. Byliśmy zadowoleni. Miałem też nadzieję na dodatkowe zarobki przy naprawie sprzętu domowego kołchoźników.

Po żniwach byłem zajęty głównie naprawą pługów, a od razu rozpoczęto podorywki jesienne. Stosunki w kolchozie układały się pomyślnie i ze spokojem czekaliśmy nadejścia nowej zimy w tajdze. Ciągłe prześladowała mnie pszenica zarobio - na tak ciężkim wysiłkiem w kolchozie u Żirakowa. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że okradł mnie na oczach całego kolchozu, a wd dodatkowo kpił powołując się na patriotyzm, kiedy wiadomo było, że sam okradał kolchoźników przy pomocy księgowego i magazynierki, przy tym cieszył się zaufaniem sielsowietu i rejonu.

Byłem przekonany, że poparcie władz było bezinteresowne, o czym świadczyły jego częste wyjazdy służbowe do Wierchniej Tawdy, zawsze porządnie załadowaną furą. Różne sposoby obmyślałem, jak odebrać swój dług. Jednak wszystko po dokładnym przemyśleniu okazało się naiwne. Byłem bezsilny i to mi nie dawało spokoju.

Jednego dnia dostałem niespodziewanie udzięk barani za wykonanie nowego wiadra i noża kuchennego. To mi nasunęło myśl, abym udał się do Zirakowa z upieczonym mięsem i butelką denaturatu. Stachna bez uznania zgodziła się na mój plan, ale upiekła kotleciki baranie na maśle. Sam z przyjemnością zjadłbym wszystkie, bo czegoś tak przyjemnego pachnącego nie widziałem na Syberii. Pohamowałem się jednak i przeznaczyłem je na cel wyższy - dla Pawła Nikołajewicza, a w duchu dodałem - dla świni.

Musiałem najpierw zwolnić się na jeden dzień z pracy. Poszedłem do Barbakowa i szczerze mu powiedziałem, że chcę pójść do Uwału, jeszcze raz odzyskać swoją pszenicę. Nie powiedziałem tylko o spirytusie i kotlecikach ze świeżym chlebem. Jurij Iwanowicz zdziwił się bardzo, że jestem tak mało

doświadczony i powiedział:"Wiktor Karłowicz, chcecie wyrwać jagnię wilkowi z gardła?To samo jest z waszą pszenicą, to już przepadło"- zakończył ze współczuciem.Mimo to pozwolił pójść.- Spróbujcie,będzie wam lżej - uśmiechnął się.

Następnego dnia przed południem byłem na Uwale ze swoją paczuszką pod pachą.Żirakowa zastałem w zarządzie kołchozu rozmawiającego z kilkoma kołchoźnikami.Wszyscy przywitali mnie jak starego towarzysza,wypytywali jak mi się powodzi.Narzekali,że teraz bez kowala nie ma komu nawet garnka naprawić.Pocieszyłem grzecznie swoich znajomych,że na pewno przyjdzie inny,który lepiej ich zadowoli i zaraz zwróciłem się do przewodniczącego słowami:"Paweł Nikołajewicz specjalnie do was przyszedłem,wy macie piękną tułską dubeltówkę,czy będziecie uprzejmi mi ją pokazać i poradzić,czy krupówka jest też dobra? Bo taką chce mi sprzedać na Zabornym Ilicz Klapkow.A ja nie wiem,co robić?Wy jako dobry myśliwy najlepiej mi poradzicie"- mówiłem wobec wszystkich.Żirakow zerknął na mnie i odrzekł:"Proszę bardzo mogę wam pokazać swoją flintę i wyszliśmy na ulicę. Zaraz mu powiedziałem,że jestem w sprawie pszenicy,na co on bez zdziwienia-No, Wiktor Karłowicz, ja od razu wiedziałem o co wam chodzi.Chyba nie myślicie,że jestem taki durak -zapytał.Przyszliśmy do mieszkania.Zona była zajęta na fermie bydłowej,a dzieci w szkole.Byliśmy sami.Rozpakowałem na stole wążek z pachnącymi kotlecikami,obok ułożyłem kromki świeżego ^{chleba} i spod fufajki wyciągnąłem butelę kryształowego spirytusu drzewnego.Poprosiłem o szklanki i wodę do zupki.Z radosnym błyskiem ^{III} oczu natychmiast ~~natychmiast~~ moją prośbę

spełnił. Nalałem spirytusu do szklanek i zaproponowałem, abyśmy wypili za nasze spotkanie. Po następnej kolejce rozmowa rozkręciła się. Rozmawialiśmy o wojnie, o polowaniu na cietrzewie i o wypadku Pawlakowa z wilkiem. A potem naprowadziłem rozmowę na temat należącej mi pszenicy. Żirakow ciągle trzymał się swojej propagandy, tłumaczył się przepisami i obowiązkiem każdego kołchozu dostarczania wszystkiego zboża Czerwonej Armii. Koniecznością umacniania tyłu Związku Radzieckiego, aby wroga jak najprędzej zniszczyć.

- Wiktor Karłowicz, przecież rozumiecie, muszę tak postępować jako komunista i orderonosiec - tłumaczył mi podniesionym głosem, klepiąc się po orderze na piersi.

- To wszystko prawda, ale powiedzcie mi Paweł Nikołajewicz, czy można umacniać tyły Związku Radzieckiego bez jedzenia? Przecież wasi kołchoźnicy i wy jako przedsiębiorci i ja jako kowal, wszyscy musimy jeść, żeby móc pracować.

Dalej starałem się przemówić mu do serca:

- Wy Paweł Nikołajewicz nie jesteście złym człowiekiem, widziałem, że kołchoźników swoich nie krzywdzicie, a pomagacie im. Dlaczego zawzięliście się na mnie, przecież wam tyle roboty wykonałem?

Długo dyskutowaliśmy podobnie, a butelka zmniejszała swoją zawartość. Mimo, że dużo wody dolewałem do swojej szklanki, czułem się podпиты i zaproponowałem:

- Paweł Nikołajewicz, jak bracia rozdzielmy moją pszenicę po połowie. Ty dostaniesz cetnar i ja cetnar.

Spojrzałem na Żirakowa i zdawało mi się, że propozycja chwyciła. Ku mojemu zdumieniu odpowiedział spokojnie:

- Wiktor Karłowicz, chcecie mi ofiarować cetnar, kiedy

ja mam już dwa. Zdębiałem, ale odparłem:

-Tak, macie, ale w kołchozowym magazynie i bez mojego pokwitowania nic nie otrzymacie, bo w księgowości jest zapisane, ile mi się należy pszenicy.

Tymczasem piliśmy dalej, a ja mu wciąż podsuwałem kotleciki, żeby zagryzał, a sam tylko skubałem. Jakiś czas milczeliśmy obaj, po czym Zirokow zaczął znowu rozwódzić się o swoim honorze komunisty, ale mu przerwałem, że propaganda do niczego nie doprowadzi i jako rozsądni ludzie załatwmy sprawę z korzyścią dla nas obu. Po wypiciu zawartości szklanek Paweł Nikołajewicz powiedział:

-Hm, niech będzie, zgadzam się z wami, wy dostaniecie pięćdziesiąt kilogramów, a mnie zostanie reszta.

O mało nie rąbnąłem go w łeb butelką, tak wyprowadził mnie z równowagi swoją bezczelnością. Na pewno byłoby po pszenicy i z łagru bym nie wrócił. Całą siłą woli opanowałem swój gniew i mówiłem:

- Paweł Nikołajewicz, postępujecie niesprawiedliwie, powinniście przystać na połowę, przecież daję wam cały cetnar za darmo, chociaż tak ciężko musiałem na to pracować. Zirokow trzymał się jednak twardo swojej propozycji. Kiedy wyczerpałem wszystkie argumenty bez rezultatu, a co najgorsze bałem się, że całkiem zrezygnuje z transakcji, naląłem resztę spirytusu do szklanek i podnosząc do góry powiedziałem:

- Niech będzie po waszemu, wypijmy na zgodę. Wdziecie Nikołajewiczu, koniecznie potrzebuję tej pszenicy i wolę dostać pół cetnara, a niżeli nic - dodałem.

Na to odpowiedział przewodniczący:

- No i ja tak dumałem, że wy Wiktor Karłowicz rozumny

człowiek i na moją propozycję przystaniecie- zakończył czkawką. Było już daleko po południu, kiedy dobiliśmy targu. Umówiliśmy się, że jutro przyjadę swoją furą i całość - dwa cetnary zabiorę z magazynu na Zaborny, skąd jako jego zaufany kołchoźnik odbierze półtora cetnara pszenicy, co nie zwróci niczyich podejrzeń. Kiedy żegnaliśmy się przedsiębiorca powiedział z powagą:

/-Wiedziecie co Wiktor Karłowici, wam i tak nie zrobi różnicy, gdy przy okazji wywieziecie z magazynu jeden cetnar. To znaczy, że jutro z magazynu wypiszecie trzy cetnary - zapytałem.

- No, tak - odpowiedział i po uścisku dłoni zagłębiłem się w tajgę.

Pod wieczór doznałem do Zabornego cuchnący denaturatem i od razu pobiegłem do bań, gdzie jako tako doszedłem do siebie. Stachna wcale nie wiirzyła, że cośkolwiek z tego wyjdzie. Kiedy opowiedziałem naszą dyskusję ze szczegółami, śmiała się z mojej naiwności i czym prędzej wyniosła moje cuchnące ubranie do wietrzenia. Na drugi dzień i ja sam bym dużo nie|dał, że coś przywiozę. Poszedłem jednak do Barbakowa prosić o furę po pszenicę. Przedsiębiorca wysłuchał mnie uważnie i z całą powagą stwierdził:

- Wiktor Karłowicz, ten chytrus z Uwału po prostu z was zakpił. To widać wyraźnie, ale furę możecie wziąć. Nie powiedziałem mu na jakich warunkach umowę zawarłem. Sam uwierzyłem w rzeczywistość, gdy pod wieczór przywiozłem worki z pszenicą do Zabornego. Przyjechawszy na miejsce złożyłem pszenicę w spichlerzu swego gospodarza Nikity i udałem się do Jurija Iwanowicza pochwalić się sukcesem. Przed-

siedatiel nie chciał mi uwierzyć i od razu udał się ze mną do magazynu Kabukowa. Popatrzył na pełne worki i zapytał zdziwiony:

- Wiktor Karłowicz, powiedzcie mi szczerze, jak wam się udało schwytać tę lisicę za chwost? Tego nie mogę pojąć. Teraz opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami. O kotlecikach baranich, o spirytusie, o naszych długich targach, no i że z całej transakcji mam dostać tylko pięćdziesiąt kilogramów, a Żirakow zarobi dwieście pięćdziesiąt kilogramów pszenicy. Słuchał mnie i bez przerwy kręcił głową. Powiedział tylko:

- A to sobaka, swołocz i dółtego kanalia. Kto by się spodziewał? Rozejrzał się po dużym spichlerzu Nikity i patrząc mi w oczy powoli powiedział:

- Żirakow to złodziej i umowa z nim was nie obowiązuje. Zaraz każę przywieźć wam tu wialnię. Oczyszcimy dwa cetnary, które wam się należą, a resztę oddamy, niech świnia pożre - zakończył.

Pod wieczór dwa kwintale czystej pszenicy leżały w zagrodzie, a trzy pozostałe worki o wiele lżejszej pszenicy czekały na odbiór przedsiębiorcy Żirakowa z Uwału. Za dwa dni przyjechał po odbiór pszenicy mój mołotobojec Iliusza. Zaraz po przywitaniu oznajmił z dumą, że teraz w kołchozie on jest kuzniecom. Przedsiębiorca Paweł Nikołajewicz kazał was pozdrowić i prosił o mieszki. Iliuszę poczęstowaliśmy herbatą z mlekiem i świeżym chlebem. Załadowaliśmy przygotowane worki i odjechał do Uwału. Nie chciałbym widzieć miny przedsiębiorcy z orderami po obejrzeniu swojej zdobyczy. Przy najbliższym spotkaniu w kuźni Barbakow zaśmiał się do mnie;

-No, powiedzcie Wiktor Karłowicz czy to nie prawda, że zachłanność każdego zadławi?

- Święta prawda Jurij Iwanowicz, nie chciał bym być w skórze tego Żirakowa, naciągając obręcz na koło. Po chwili obaj zaczęliśmy się śmiać.

Praca w tym kołchozie układała się pomyślnie i zapowiadało się, że nadchodząca zima nie będzie taka ciężka. Stało się jednak inaczej niż planowałem. Na początku października pojechałem z Barbakowem do Wierchniej Tawdy. Byłem bardzo ciekawy, co słychać na świecie, bo to było dość duże miasto rejonowe. Bo chociaż gazety czytałem i wiedziałem o wielkiej ofensywie radzieckiej, to prawie żadnej nie miałem łączności z Polakami przebywającymi w oblasti Swierdłowskiej, w której teraz przebywaliśmy. Ku wielkiemu zdziwieniu spotkałem w Tawdzie wielu Polaków, którzy ściągnęli do tego miasta niedawno ze wszystkich stron oblasti omskiej i swierdłowskiej. Wszyscy mówili o utworzeniu wojska polskiego w Związku Radzieckim i o tym, że Polacy z Syberi będą wkrótce przewiezieni na Ukrainę do pracy w tamtejszych kołchozach i przedsiębiorstwach, gdzie zastąpią Ukraińców, którzy współpracowali z Niemcami.

W Tawdzie nawiązałem znajomości z wieloma Polakami, a między innymi poznałem dwóch braci Wypzyńskich z powiatu wysokiemazowieckiego. Od miesiąca przebywali w Tawdzie z matką i małym bratem. Poznali Sybiraka, który odstąpił im domek, bo sam musiał wyjechać do rodziny w kołchozie. Obaj bracia Stanisław i Kazimierz radzili mi, abym niezwłocznie przywiózł do nich swoją rodzinę. Mają dużo miejsca i chętnie podzielą się z nami mieszkaniem, a pracować mogę razem z nimi

w drzewnym kombinacie. Jets to bardzo pilna sprawa, bo transport Polaków na Ukrainę może nastąpić wczesną wiosną, kiedy wielkie roztopy uniemożliwią wydostanie się z kołchozu odległego o sześćdziesiąt kilometrów.

Po powrocie do Zabornego nie było mowy o pracy w kuchni. Oboje ze Stachną bez namysłu zebraliśmy swoje skromne rzeczy i byliśmy gotowi do opuszczenia gościnnego kołchozu. Priedsiedatiel Barbakow z wielką życzliwością odniósł się do naszego wyjazdu. Kiedy zobaczył jak Stachna zbiera węzełki, powiedział z powagą:

- Jedźcie szczęśliwie do swojej Polski. Dużo wycierpieliście. Życzę wam, abyście mogli cieszyć się odzyskaną ojczyzną. Na zakończenie dodał:

- Nikita odwiezie was do Tawdy, zarządzenie już wydałem. Za dwa dni byliśmy w Wierchniej Tawdzie. W delegacji służbowej na Uralu. Po przyjeździe do Tawdy zostaliśmy powitani przez rodzinę Wyszyńskich bardzo serdecznie. Domek, który im odstąpił Sybirak był całkiem nowy zbudowany z okraglaków z małym ganeczkiem i małą werandą. W środku było dwa pokoje z kuchenką oraz mała spiżarka. Rodziny lokowało się w oddzielnych pokojach, a kuchnia była wspólna i czuliśmy się wspaniale. Całymi godzinami opowiadaliśmy nasze przeżycia z ostatnich lat. Okazało się, że jechaliśmy do Związku Radzieckiego jednym transportem, tylko w różnych wagonach. Ich grupę Sowieci rozmieścili w kołchozach zaraz za Uralem w ^{świer}świerdłowskiej obłasti, zaś nas los rzucił w tajgę pod Tobolskiem do łagrów w Niżnej Pristanii omskiej obłasti.

Od miesiąca przebywaliśmy ze Stachną i Elą w Wierchniej Tawdzie w ^{świer}świerdłowskiej obłasti obejmującą

wschodnią część Uralu. W tym czasie zwlekałem z zatrudnieniem w jakimś przedsiębiorstwie. Po ciężkiej pracy w kołchozach chciałem po prostu wypocząć i rozejrzeć się w nowym środowisku. Zdawałem sprawę, iż wszystkie zakłady w Tawdzie są przestawione na produkcję wojenną i każdy robotnik musi podporządkować się dyscyplinie wojskowej. Nie było mowy o zwolnieniu choćby na jeden dzień, nawet choroba mogła być uznana tylko przez komisję lekarską. W przeciwnym wypadku wszystko podciągano pod bumelanctwo i karano najcięższym łagrem. Zatrudnienie dawało jedynie przydział chleba - osiemset gramowego pajka i kilkaset rubli miesięcznego zarobku, za które nic nie można było kupić. Sklepy były puste, zaś szyldy i malowidła wskazywały ich branże. W oknach wystawowych stały drewniane atrapy wyrobów wędliniarskich - kiełbasy, salcesony, szynki, a nawet całe wieprzaki i barany. W sklepach piekarniczych można było oglądać za szybami piękna drewniane bochenki rumianego chleba, plecione bułki i ciastka. Dorośli mijali te cuda obojętnie, ale wychudzone dzieci stały gromadkami przed wystawami i spoglądały z pożądaniem drewnianym bochenkom chleba i bułeczkom.

W ciągu miesiąca wolnego od pracy nawiązałem bliższe znajomości z wieloma Polakami mieszkającymi w Tawdzie. Spora ich ilość osiadła w tym mieście po uzyskaniu amnestii, innych gromadzili się w ostatnich miesiącach całego podgórze uralskiego na wieść podaną przez Związek Patriotów Polskich, iż Polacy z Syberii będą wywożeni na Ukrainę do pracy za ustępującym frontem na terenach odzyskanych przez Czerwoną Armię, skąd po zakończeniu wojny zostaną repatriowani do Polski. Z pośród zgromadzonych Polaków

w tym starym syberyjskim mieście wyróżniało się wielu swoją patriotyczną postawą i rozeznaniami politycznym. Do takich Polaków zaliczyć trzeba pana Adama i Wandę Siemianowiczów - artystów malarzy z Krakowa. Adam Siemianowicz był uczniem znanego malarza Józefa Mechofera, z którym współpracował w wykonywaniu słynnych witraży w katedrze we Fryburgu w Szwajcarii oraz polichromii ścian i witraży w katedrze na Wawelu. Z małżeństwem tym zaprzyjaźniliśmy się i serdecznym stosunek utrzymał się wiele lat po wojnie, aż do ich śmierci. Przy czym należy dodać, iż po powrocie z Syberii do Krakowa pan Adam był dziekanem w Akademii Sztuk Pięknych do końca swego życia.

Aktywność i zaangażowanie w niesieniu pomocy starym, a przede wszystkim matkom i dzieciom, wykazywał pan Józef Lechman - adwokat wywieziony z żoną i córką z Tarnopola. Na szczególną uwagę zasługiwała samotna kobieta - Irena Tomaszewska ze Lwowa. Była wśród Polaków bardzo lubiana, zawsze uśmiechnięta, każdego potrafiła pocieszyć, uczynną i swoim humorem rozweselić nawet najbardziej cierpiącego.

Kiedy poznaliśmy się bliżej, wyznałam mi, iż udało jej się nawiązać bliższy kontakt z Wandą Wasilewską - przewodniczącą Związku Patriotów w Moskwie, skąd otrzymała nawet legitymację członkowską i zaświadczenie upoważniające ją do sprawowania opieki w imieniu Związku Patriotów nad Polakami w rejonie tawdzińskim. Otrzymała też całą paczkę plakatów propagandowych z odezwą do Polaków na Syberii, aby okazali swój patriotyzm i zgłaszali się ochotniczo do Wojska Polskiego tworzonego w Związku Radzieckim. Wojsko Polskie przy boku Czerwonej Armii będzie wyzw-

lać ziemię polską spod okupacji naszych wspólnych wrogów-niemieckich faszystów. Po obejrzeniu przysłanych jej dokumentów i plakatów propagandowych, wyraziłem wątpliwości, czy wyczerpani biedą Polacy, po tylu doznanych krzywdach ze strony radzieckiej, zdołają z entuzjazmem zgłaszać się do Wojska Polskiego, a w dodatku dowodzonego przez oficerów sowieckich.

Pani Irena przyznała mi rację mówiąc:

- Całkowicie zgadzam się z panem i chyba tak myślą wszyscy Polacy na Syberii, ale musimy trzymać się z polskimi komunistami, bo sami nic nie poradzimy, a do Polski każdy z nas chce wrócić. Te plakaty postaram się zachować na pamiątkę w niepodległej Polsce - zaśmiała się. O ile wiem do armii polskiej są nawet przymusowo wcielani Polacy przez władze radzieckie, bo samych ochotników byłaby znikomą ilość. Prawdziwi ochotnicy odjechali z Andersem do Iranu. Walczą na frontach zachodnich z aliantami - kiwała ze smutkiem głową.

Tę szczerą rozmowę z panią Tomaszewską miałem 10 listopada 1943 roku. A już za tydzień - 17-ego, sam przekonałem się o jej słuszności i twierdzenia, jak tworzy się armia polska w Związku Radzieckim. W tym dniu dostałem wezwanie do wojenkomatu w Tawdzie, następującej treści:

- Wezwanie Kozłowskiemu Wiktorowi, stawić się w Wierchnio-tawdziński wojenkomat czyli komenda wojskowa 18 listopada 1943 roku o godzinie 10 rano, w pełnej gotowości celem odprawienia do jednostki - starszy lejtnant Pietrow.

To było gorzej niż źle. W tym czasie wezwanie do Czerwonej Armii równało się wyrokowi śmierci z zawieszeniem.

Wiadome było, iż Stalin za wszelką cenę dążył do sukcesów na frontach w zakrojonej ofensywie i żołnierzy wcale nie oszczędzano. Nic na to nie można było poradzić i musiałem poddać się wyrokowi.

Pod wieczór jednak udałem się do pani Tomaszewskiej, gdyż nasunęła mi się myśl, aby spróbować szczęścia. I wspólnie z nią dowodzić, iż jako polski obywatel nie powinienem być powołany do Czerwonej Armii, skoro Związek Patriotów Polskich pod Moskwą organizuje Polskie Wojsko. Plan działania został ustalony i postanowiliśmy oboje udać się do komendy wojskowej w Tawdzie. 18 listopada, w przygnębiającym nastroju pożegnałem przyjaciół Wyszynskich, którym powierzyłem w opiekę zapłakaną Stachnę i małą Elę, a sam z maleńkim tobołkiem udałem się do komendy wojskowej, gdzie miałem na mnie czekać rzeczniczka z ramienia Związku Patriotów Polskich.

Przed piętrowym budynkiem z grubych bali zauważyłem uśmiechniętą panią Irenę, z którą od razu weszliśmy do środka. W wielkiej sali na parterze oczekiwało już co najmniej pięćdziesiąt różnych osobników ubranych w stare fufajki, różnego rodzaju czapy na głowach. Każdy trzymał w ręce tobołek. Większość ordynarnie obrośniętych ze świecącymi oczami między kudłami - reszta, to zupełnie młodzi chłopcy. Kręcili się między brodacami mocno wystraszeni i sprawiali wrażenie, że za chwilę dadzą drapaką do tajgi. Patrząc na tych obdartusów przemknęła myśl, toż są moi towarzysze, z którymi będę wkrótce wojował z Niemcami. Precisnęliśmy się przez zbiorowisko do schodów na piętro, gdzie nas zatrzymał starszy sierżant z pepeszą, pytając, w jakiej sprawie tu weszliśmy? Inicjatywę przejęła moja

towarzyszka:

- Proszę zaprowadzić nas do komendanta w bardzo ważnej sprawie-powiedziała.Bez dalszych pytań -padła odpowiedź:

- Pokój numer 3.

Przeszliśmy duży hal i przez otwarte drzwi ujrzeliśmy majora z orderami po obu stronach piersi.Stał przy aparacie telefonicznym ze słuchawką w ręce.Odłożył słuchawkę pytając:

- W jakiej sprawie do mnie?

- Towarzyszu majorze, jestem przedstawicielką Związku Patriotów Polskich - rozpoczęła uśmiechając się do przystojnego oficera- proszę,tu jest moje zaświadczenie i legitymacja.Przyszłam do was w sprawie tego obywatela polskiego -wskazując na mnie palcem- został on powołany dymkowsko do Czerwonej Armii w chwili,kiedy generalissimus Stalin zezwolił naszemu związkowi organizować polską armię,która wraz z bratnimi armiami radzieckimi będzie wyswabzać naszą Polskę od niemieckich faszystów.Proszę obejrzeć odezwy do Polaków na Syberii.Wszyscy Polacy mają zgłaszać się ochotniczo do Polskiego Wojska- mówiła bez przerwy rozwijając plakaty i czytała je na głos. Major patrzył na nią uśmiechnięty,kiwał głową ,a ja stojąc z boku nie wiedziałem,co robić i też kiwałem głową.Kiedy wyczerpała swoje argumenty,podniosła głowę do komendanta:

- Towarzyszu majorze,tego obywatela polskiego musicie skreślić z listy poborowych.Będzie on odesłany do Wojska Polskiego z grupą Polaków z rejonu tawdzińskiego przez Związek Patriotów Polskich.

Po długim jej przemówieniu ciągle uśmiechnięty major

zaczął mówić :

- Widzę towarzysko, Irena Pawłowna, że dobrze umiecie prowadzić sprawy swojego związku, wcale nie myślę wam przeszkadzać. Poborowy Wiktor Kozłowski, skoro jest patriotą polskim może służyć w polskiej armii. i tak samo gromić Niemca jakby był w Czerwonej Armii - to mówiąc odnalazł moje nazwisko na liście i skreślił.

- Czy to wszystko, czego ode mnie chcecie?

Na to rumiana pani Irena odpowiedziała:

- Narazie wszystko i w imieniu Związku Patriotów Polskich bardzo wam dziękujemy.

Mocno byłem zdziwiony, kiedy podał nam rękę na pożegnanie, zaś po wyjściu na ulicę oboje ucałowaliśmy się serdecznie. Nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, że sprawa powołania mnie do Czerwonej Armii tak się szczęśliwie zakończy. Przez parę dni czułem się tak, jakbym wrócił z dalekiej podróży. Bawiłem się z Elą, udawałem konia, wozikiem ją konno, a Stachna spoglądała na nas uśmiechnięta jak nigdy. Kiedy nastąpiło odprężenie zacząłem myśleć normalnie.

Przeglądałem gazety, z których ze szczególną uwagą ustaliłem położenie frontu białoruskiego i ukraińskiego. One decydowały o losach Polski i naszym tu na Syberii. Zacięte walki trwały i jasne było, że przyjdzie nam zimować w Tawdzie, a co pokaże przyszły rok też było trudno przewidzieć.

Zapasy zgromadzone w kołchozach szybko topniały i musiałem pomyśleć o pracy, dzięki czemu otrzymamy pożądaną przydział chleba.

Wyszyńscy Stanisław i Kazimierz od dawna pracowali w rajpkom kombinacie i robotę sobie chwalili, która ograni-

czała się do zbijania żelaznych obręczy i składania z gotowych klepek beczek na dżemy z leśnych jagód, przymusowo zbieranych przez ludzi z kołchozu w lasach wielkiej tajgi. Wszystko dla Czerwonej Armii.

Bez dłuższego zastanowienia udałem się z Wyszyńskimi do rajpromkombinatu, gdzie dyrektor przyjął mnie z zadowoleniem, bo ciągle brakowało ludzi do wykonania planu. W zakładzie tym wyrabiano także na tokarkach drewniane miski i łyżki. Maszyna do wyrobu łyżek ciągle się psuła i w końcu została odstawiona na złom, bo wcale nie nadawała się nawet do kapitalnego remontu. Brakujących części dyrektor nie mógł dostać, gdyż wszystkie fabryki przestawione były na produkcję wojenną. Polecono pracownikom ręcznie wystrugiwać łyżki.

Na oskarnym oddziale pracowali Polacy, a w większości ruskie kobiety. Mając gotowe półprodukty wszyscy jakoś sobie radzili, ale kiedy przyszło do wystrugiwania ręcznie - było gorzej. Łyżka musiała być półokrągła z odpowiednią rączką. Wychodziły śmieszne karakatury łyżek, zanim poszczególni robotnicy jako tako nabrali wprawy. Produkcja łyżek była nikła, w porównaniu z zapotrzebowaniem dla milionów żołnierzy na froncie.

Dyrektor naczelny rajpromkombinatu polecił zorganizować brygadę ochotników do wyrobu łyżek, złożoną z wszystkich pracowników kombinatu. Obaj Wyszyńscy ze mną znaleźliśmy się w tej brygadzie. Po paru dniach staliśmy się dobrymi pracownikami. W czasie jednej zmiany wyrabialiśmy po trzydzieści i więcej łyżek, kiedy nasi towarzysze oddawali w tym czasie od piętnastu do dwudziestu sztuk.

W ciągu dwóch miesięcy dostaliśmy trzykrotnie nagrodę za dobrą robotę w postaci talonów na dodatkowy zakup trzech kilogramów chleba. To było dużo. Dzienny pajok robotnika wynosił 800 gramów, a przydział na członka rodziny tylko 400 gramów. W wolnych godzinach po pracy wychodziliśmy ze Stachną i małą Elą na spacer po drewnianych chodnikach. Szerokie jezdnie były nie brukowane z szerokimi koleinami po samochodach ciężarowych. Na świeżym powietrzu mogliśmy spokojnie rozmawiać i snuć plany na przyszłość, kiedy wrócimy do Polski.

Wierchnia Tawda to stare syberyjskie miasto szeroko rozłożone na wysokim prawym brzegu rzeki o tej samej nazwie. Wszystkie budynki w mieście są drewniane kryte deskami lub papą. Z daleka wyglądają szaro i smutno. Po lewej stronie rzeki nie ma ani jednego osiedla. Brzeg jest niski i ciągną się tam tysiącami kilometrów nieprzebyte bagna porośnięte ogromnymi kępami drzew o niezmierniej powierzchni. Cała ta przestrzeń w okresie wiosennym tworzy jedno olbrzymie morze. Dopiero, gdy na północy lody pękają, wody spłyną do Oceanu Lodowego, wtedy po lewej stronie zakwitają łąki i zielenią się lasy tajgi. Rozbrzmiewająca dokoła muzyka tokujących cietrzewi wprowadza każdego człowieka w nastrój zadumy i wyzwala chęć walki o lepsze życie, które jest monotonne i ponure.

Chciałoby się dostać do tych kolorowych przestrzeni, ale zaraz za rzeką chmary komarów nie pozwalają wysiąść z łodzi. Zażarcie atakują każdego przybysza. Można tam dostać się jedynie w siatce na głowie i rękawicach. Mimo soczystej trawy bydło i konie nigdy nie wypasają się na

tych łąkach. Pastuchy bydła kołchoźnego muszą rozpalać w tajdze wielkie ogniska z dymem i są pewni, że żadna sztuka nie odejdzie od stada z zadymionej przestrzeni, chociaż trawa zostanie wygryziona do gołej ziemi. Bez opędzania tej plagi krowa lub koń stają się w jednej chwili siwe i do tego oślepięte.

Po prawej stronie jest inaczej. Na wysokich piaszczystych pagórkach podgórza uralskiego rosną olbrzymie lasy sosnowe, gdzie mniej gnieździ się komarów i można swobodnie się poruszać.

Na wiosnę często wychodziłem za miasto. Brzegiem rzeki z wysokiego wzniesienia oglądałem Wierchnią Tawdę bez żadnych kominów fabrycznych, a w dole za rzeką ciągnącą się tajgę. Piękna widoków trudno opisać i gdyby nie komary i bieda na każdym kroku, kraina ta byłaby rajem.

Pewnego razu wziąłem ze sobą małą siekierkę i zapuściłem się w las. Chciałem dostać się do widniejącego z dala wzniesienia. Szedłem na przełaj w obranym kierunku. Po godzinie przedzierania się przez różne wykroty natrafiłem na wielki sosnowy las. Drzewa rosły gęsto, a grubość niektórych dochodziła w średnicy do metra. Zdziwiłem się bardzo, kiedy zauważyłem na ziemi leżący czarny kloc bez gałęzi i korzeni. Długość jego dochodziła do trzydziestu metrów, a grubość środkowej części ponad pół metra. Zwróciłem też uwagę, że po jego bokach rosły bardzo grube sosny. Rozglądałem się na wszystkie strony, czy jakimś sposobem kloc ten nie został wsunięty między drzewa. Wszelkie domysły odpadły, bo nie tylko z przodu, ale z boków i z tyłu także był zablokowany konarami sosen. Zacząłem go fąbać siekierą i wtedy doszedłem całej prawdy. Siekiera odskła-

kiwała jak od gumy. Obejrzałem odziomek i wierzchołek.

Zauważyłem wtedy nikłe szczątki gałęzi i korzeni, które po wielu latach zupełnie zgniły. Pozostał tylko smolny rdzeń ogromnego drzewa. Musiało to trwać setki lat, skoro na takim wykrocie wyrósł stary gruby las.

Z powrotem wracałem z dala od rzeki przez las młody, około trzydziestoletni. Miejscami spotykałem wielkie piaszczyste polany podobne do wydm nad morzem, a za nimi znów równy drzewostan sosnowy jakby zasadzony przez specjalistę leśnika.

Po pewnym czasie trafiłem na drogę wyjeżdżoną samochodami ciężarowymi w kształcie wielkiego ronda. Droga prowadziła z miasta i po zatoczeniu koła w lesie wracała z powrotem do Wierchniej Tawdy. Dziwne mi się to wydało, ponieważ w całej okolicy nie widać było żadnej budowy ani wyrębu lasu. Wszedłem na tę drogę uważając, że prędzej wrócę do domu niż na przełaj lasami. Po około stu metrach droga skręciła w młody las jak w piękny zagajnik. Gdy podszedłem bliżej zobaczyłem dużą polanę świeżo okopaną wysokim wałem. Wszedłem na skarpę zaciekawiony, co tam może być w dole? Kolana ugięły się pode mną i trudno mi było utrzymać się na nogach. Stałem nad wykopem około trzydziestu metrów i piętnastu szerokości, a w nim leżały setki trupów zupełnie nagich. Nie były ułożone, a narzucone jedne na drugie. Niektóre były ciemnobrązowe, inne jaśniejsze, ale wszystkie opalone słońcem wyglądały jak nadzy Indianie. Czym prędzej uciekłem stamtąd i przez lasy wróciłem do domu.

Od razu domyśliłem się, że było to żniwo wielkiego szpitala w Tawdzie, do którego codziennie dowożono rannych

z frontów. Naocznie przekonałem się, że w tym państwie komunistycznym obowiązuje równość nawet po śmierci. Nikomu o tym wspólnym grobie nie powiedziałem. Nie mogłem przedstawić swoim najbliższym ponurej rzeczywistości - traktowanie istoty ludzkiej na równi ze zwierzętami.

Po powrocie z tajgi przez wiele dni nie mogłem dojść do równowagi psychicznej. Ciągłe widziałem przed sobą mnóstwo nagich trupów. Nocą męczyły koszmarnie widziadła. Leżałem w przepaść do wyciągniętych rąk i wykrzywionych grymasem upiornych twarzy. Duchy umarłych porywały mnie w obłądny taniec i nie mogłem wyrwać się z ich lubieżnego uścisku. Po pewnym czasie uspokoiłem się. Doszedłem do wniosku, że dla umarłych nie ma znaczenia jak są pochowani

i w jaki sposób złożono ich szczątki doczesne. A czy na ich mogiłach ktoś postawi kwiatek czy postawi nagrobek, to też bez znaczenia, bo kiedyś podobno wszyscy powstaną ze swoich grobów, gdzieby one nie były i jak wyglądały i zbiorą się na sąd ostateczny w dolinie Josefata. W pełni uświadomiłem też sobie, jak miałem wyjątkowe szczęście. Gdyby mnie przyłapano na oglądaniu tego cmentarzyska, to na pewno władza radziecka by mnie nie uwierzyła, że znalazłem się tam przypadkowo i dochowam tajemnicy tak ułatwionego pochówku obrońców ojczyzny, jak u nas oprzuta się masowo padłe zwierzęta. Nic wątpliwie musiałbym podzielić los nagich trupów w ich wspólnym dole. Przepadłbym bez wieści i w rzeczywistości nic by się nie zmieniło.

Transport Polaków odjechał by beze mnie do wyznaczonej pracy na Ukrainie. Jedynie Stachna z małą Elą opłakiwałyby mnie nie przypuszczając, że tajemnica władzy radzieckiej była ważniejsza od mego życia. Moje szczątki na równi

z ciałami bojców Krasnej Armii przyczyniłyby się do użyczenia skrawka ziemi syberyjskiej, na której wkrótce wyrośnie potężny las i tajga stanie się bardziej okazała. W rajpromkombinacie pracowaliśmy dalej. Poznałem tam polskiego Żyda Mosze Cypersztajna. Był chudy, wysoki z haczykowatym nosem. Z innymi Żydami rozmawiał tylko po polsku, chociaż mocno przekręcał słowa w żydowskim żargonie.

Twierdził, że nazywa się Mieczysław i żonę ma Rozalię. Żydzi nazywają ją Rose, ale to nieważne, bo oni się na tym nie znają - tłumaczył każdemu. Stale podkreślał, że oboje z żoną są prawdziwymi Polakami, bo przecież pochodzą z samej Warszawy, gdzie mieli fabrykę kapeluszy. Ciągłe narzekał, że w Związku Radzieckim musi strugać marne łyżki, kiedy w Polsce był znanym fabrykantem, ale zaraz jak tylko powróci do Warszawy to zbuduje jeszcze większą fabrykę nie tylko kapeluszy, ale i butów na wzór czeskiej "Baty".

Ustroju komunistycznego nienewidział. Talonu premiovowego na chleb nigdy nie dostał, bo brygadier nie chciał przyjąć jego wielu łyżek twierdząc, że łyżkę zrobioną przez Cypersztajna krasnoarmiejec może połknąć, a wtedy nas wszystkich wsadzą do łagru za sabotaż.

Mówca nie przejmował się tym zbytnio. Chleba zawsze miał więcej niż każdy inny pracownik. W Tawdzie znał wszystkich kierowników stołówek zakładowych, którzy w większości byli Żydami i zawsze węgospodarowywali mu zupę z dodatkiem chleba. Tam, gdzie nie było Żyda w stołówce udawał, że zgubił kartkę na chleb i wtedy też dostawał zupę z porcją chleba.

Żyda poznawał Cypersztajna na odległość i zawsze po-

trafił się z nim dogadać i załatwić każdy interes. Dyrektor kombinatu dowiedział się w komitecie partii, że w Niżnym Tagile za Swierdłowskiem fabryka wyrabia maszyny do produkcji łyżek. Postanowiono wprowadzić taką maszynę do naszego kombinatu. Po jej odbiór i przewiezienie do Tawdy dyrektor upoważnił mnie i Cypersztajna. Otrzymaliśmy delegacje służbowe, bilety kolejowe w obydwie strony i kartki pięciodniowe na chleb z możliwością wykupienia w Swierdłowsku i Niżnym Tagile. Dieta na dobę wynosiła 200 rubli, kiedy kilograma chleba nie można było kupić poza przydziałem nawet za 200 rubli.

Bardzo chętnie skorzystałem z okazji w nadziei, że zobaczę stary Swierdłowsk na Uralu, miasto Katarzyny Wielkiej, dawniejszy Jekatierynburg i rozejrzę się lepiej w ogólnej sytuacji na świecie, a ponadto oderwę się od nudnego wystrugiwania łyżek.

Było już w połowie maja. Pogoda dopisywała. Na Syberii nastawał okres wiosenny w rozkwicie. Do Swierdłowskw mieliśmy ponad pięćset kilometrów i dalej wza zagłębie przemysłowe Uralu, do Niżnego Tagiłu jeszcze około trzystu.

Mimo braku żywności podróż zapowiadała się ciekawie. Do Swierdłowska przyjechaliśmy po południu. Miasto zupełnie nie podobne do poznanych na wielkiej nizinie syberyjskiej. Ujrzelismy kamienice piętrowe z wieloma rzeźbami i upiększeniami zax czasów Katarzyny Wielkiej. Wszystkie ulice brukowane, utrzymane w dobrym stanie, a chodniki z płyt kamiennych miały wyszlifowane wklęsnięcia, co świadczyło, że służą conajmniej od czasów wielkiej projektorki miasta. Duży ruch samochodowy na ulicach z kolc-

rowymi tramwajami sprawiał wrażenie dużego miasta europejskiego.

Mój kolega Mieczysław Cypersztajn od razu na ulicy zaczął pilnie rozglądać się za swoimi wyznawcami. Wiele osób zaczepiał bez rezultatu. W końcu trafił na uprzejmego rosyjskiego Żyda. Dogadali się w swoim żargonie i zostaliśmy zaproszeni do jego domu.

Uprzednio umówiliśmy się, że ja będę występował w Swierdłowsku jako priedsiedatiel kołchozu, a on reprezentuje zastępcę kombinatu w Wierchniej Tawdzie. Stanowisko priedsiedatiela odpowiadało mi, bo już znałem się na gospodarce kołchozu i mogłem na ten temat zabrać głos, a w dodatku moja kurtka była mocno sfatygowana, miała sporo łat i to z różnego materiału. Kołnierz dawniej karakułowy tak wyliniał, że tylko miejscami sterczały na nim kępki skręconych rudych włosków. Jeśli do tego dodamy czapkę przerobioną ze starego kapelusza, to każdy powinien mnie wziąć za priedsiedatiela kołchozu. Mowsha natomiast miał całkiem dobry kożuszek i rosyjską czapkę, mógł więc odgrywać zastępcę dyrektora, o jakim bez przerwy marzył. Nie mógł siebie wyobrazić w roli ostatniego robotnika.

Od razu na wstępie opowiedział poznanemu jegomościowi o swojej wielkiej fabryce kapeluszy pozostawionej w Warszawie. To zrobiło duże wrażenie i Cypersztajn stał się ważną osobistością w rodzinie żydowskiej. Nasz swierdłowski przyjaciel mieszkał z żoną i dorosłą córką przy głównej ulicy na pierwszym piętrze w trzech pokojach z kuchnią. Wszyscy troje pracowali w fabryce konserw i nie mieli trudności z wyżywieniem, a w dodatku korzystali ze

stołówki zakładowej, gdzie odstąpili nam swoje talony na zupełną z dodatkową porcją chleba. W ciągu trzech dni pobytu w Swierdłowsku dzięki sprytowi Mieczysława Cypersztajna mieliśmy noclegi i obiady. Kolacja była wspólna. Piliśmy herbatę miętową z własnym chlebem, ale smarowanym mięsną pastą uprzejmym gospodarzy.

Ludzie ci nie mogli się nasłuchać opowiadań o Polsce. Ogromnie dziwili się, że u kapitalistów i wyzyskiwaczy nie było głodu i każdy mógł żyć jak mu się podobało, a łagrów wcale nie znano. Do tego mówca cuda opowiadał o Warszawie. Jakie tam piękne sklepy, restauracje, dansingi. Ludzie poubierani spacerowali szerokimi trotuarami, inni szli do Parku Łazienkowskiego lub do ZOO na Pradze. W jego fabryce robotnicy zarabiali grube pieniądze i mogli sobie pozwolić na dostatnie życie i rozrywki.

Oboje gospodarze z córką nie przerywali opowiadań, tylko od czasu do czasu wzdychali-oj, ach, i kiwali głowami w zachwycie.

Na drugi dzień zwiedziliśmy słynny wschodni bazar. Na wielkim placu w olbrzymich halach było mnóstwo ludzi różnych ras o różnym wyglądzie i ubiorze. W tej mieszaninie trudno było się połapać. Każdy zachwalał jakiś towar w swoim języku przeplatany ruskimi wyrazami. Wszystko tam można było dostać w ukryciu przed milicją, ale za grube tysiące. Posiadałem zaledwie sto pięćdziesiąt rubli, Cypersztajn był bogatszy. Oboje z Rosą ciągle handlowali i miał teraz ze sobą ponad tysiąc rubli, do czego mi się przyznał w wielkiej tajemnicy, chociaż byłem pewny, że ma ich więcej.

Na tym bazarze znalazłem piękną lalkę, prawie pół metrowej wielkości, która zamykała oczy i wołała-mama. Postanowiłem koniecznie ją kupić, jako niespodziankę dla Eli. Długo, bardzo długo targowałem ją u starego Mongoła o płaskim nosie, aż w końcu ustaliliśmy cenę na trzysta rubli. Pożyczyłem brakujące sło pięćdziesiąt u Mowszy, lalkę miałem pod pachą, ale sam zostałem bez grosza.

Po wyjściu z bazaru przechodziliśmy koło okazałego gmachu opery. Już sam widok budynku sprawiał przyjemne wrażenie. Na plakatach odczytaliśmy, że akurat grają "Rikową Damę" Piotra Czejkowskiego. Koniecznie chciałem zobaczyć to widowisko. Zwróciłem się do Cypersztajna z propozycją wspólnego pójścia do opery oraz o nową pożyczkę na bilet. Ociągając się poszedł ze mną do kasy. Okazało się, że bilety na to przedstawienie zostały wykupione dwa miesiące temu. W tym czasie Swierdłowsk był jakby stolicą. Tu właśnie z trudem mieściła się ewakuowana inteligencja z Moskwy, Leningradu, Kijowa i innych wielkich miast objętych frontem. Nic też dziwnego, że ci ludzie korzystali z opery, teatrów i kin i normalne dostanie się na jakąś operę kulturalną było prawie niemożliwe.

Zaledwie odeszliśmy od kasy opery, podbiegł do nas dwóch chłopców /występowali w roli "koników" / ale w cenie po czterysta pięćdziesiąt rubli. Dla porównania należy dodać, że ten sam bilet w kasie kosztował osiemnaście rubli. Zaczęliśmy pytać o bilety innych koników i wszędzie była taka sama cena.

Mówsza zaczął kręcić się w poszukiwaniu miejsc chociaż na galerii. Jednakże ja stanowczo uparłem się, że na tym przedstawieniu muszę siedzieć w pierwszych rzędach.

Dalsza pożyczka u Cypersztajna odpadała. W jednej chwili zdecydowałem się sprzedać marynarkę i zawróciliśmy na bazar. Niedługo szukałem nabywcy. Była podniszczona, ale ogólnie wyglądała dość dobrze. Młody Cygan kupił ją za dwa tysiące rubli i był bardzo ucieszony.

Pod połataną kurtką zostałem w połatanym swetrze, ale z grubą gotówką w kieszeni. Po krótkim czasie bilety na pierwsze miejsca "Pikowej Damy" były w naszym posiadaniu. Cypersztajn nie mógł przeboleć tak drogich biletów i tłumaczył po swojemu:

- Słuchaj Wiktor, jaka ci będzie różnica patrzeć na tą ruską damę z galeri? Każda kobieta jest taka sama, czy z bliska, czy z daleka, ale jaka to wielka strata, możemy te bilety sprzedać i dobrze zarobić. Oj, ty Wiktor, jakie ty masz pańskie nawyki, tu nie Warszawa-narzekał.

Odpowiedziałem mu stanowczo, że jeśli ze mną nie pójdzie do opery, opowiem wszystkim Polakom w Tawdzie o jego sknerstwie i nikt go nie zechce znać, a to musimy pokazać Rosjanom, że Polacy są kulturalni i także znają się na sztuce.

- Zapamiętaj Mietek, wstyd robisz wszystkim Polakom i jeśli nie zmienisz się z nami nie możesz wracać do Polski.

To poskutkowało i przestał narzekać. Poszliśmy na to przedstawienie. Ja z ogromną ciekawością, a Mieczysław z ociąganiem, jakby w każdej chwili chciał uciec i bez przerwy zerkał na galerie. Na podobnym widowisku nie byłem. Występowali najlepsi artyści opery moskiewskiej. Sam balet miał ponad sto osób, gra artystów, śpiewy i dekoracje były cudowne jak w bajce. Podziwiałem i myślałem, jak można coś

takiego stworzyć. Na ten czas zapomniałem o wojnie, niedostatku i wygnaniu. Byłem sobą. Czułem się wolny. Przeżywałem najpiękniejsze chwile w życiu. W czasie przerw publiczność opuszczała widownię w celu jej przewietrzenia. Widzowie spacerowali dokoła wielkiej galerii z lustrami na ścianach. Mijający mnie goście, a szczególnie sowieckie damy w długich sukniach, podobnych do nocnych koszul spoglądały na mnie i po mojej kurtce sądziły, że mają w swoim towarzystwie jakiegoś kołchoźnika wrażliwego na piękno artystyczne. Bawiło mnie to i z ciekawością obserwowałem różne typy radzieckiej inteligencji. Przyglądałem się swoim wielokrotnym odbiciom w lustrach i myślałem - kiedy też będę wyglądał jak prawdziwy człowiek?

Na drugi dzień wieczorem byliśmy razem z gospodarzami na operetce Planzeta "Dzwony Kornewilskie". Tym razem Cyperstajn nie protestował i z zainteresowaniem wybierał się do teatru. Za bilety płaciliśmy po sto rubli, ale to załatwiła już przez swoich znajomych pani Miriam, córka znajomych gospodarzy. Operetka w trzech aktach dała mi prawdziwą rozrywkę i odprężenie. Akcja rozgrywała się w Normandii, w drugiej połowie XVII wieku na zamku w Cornevil. Tradycyjne stroje i zwyczaje, a przy tym gra i śpiewy aktorów przyniosły mnie z tajgi syberyjskiej do ciepłej Francji. Nie przypuściłem, że takie będę miał wspomnień z grodu Katarzyny Wielkiej na Uralu.

Z przyjemnością zostalibyśmy dłużej w tym wielkim mieście, ale mieliśmy obowiązek służbowy do wykonania.

Pociąg do Niżniego Tagiżu mieliśmy w nocy. Pożegnaliśmy serdecznie naszych nowych przyjaciół i z prezentem dla Eli udaliśmy się na dworzec kolejowy. W pociągu spaliśmy. Jadących z delegacjami było bardzo mało, bo bez tego do-

kumentu nikt nie mógł jechać koleją. Zwykli ludzie podróżowali piechotą z tobołkiem na plecach mijani przez puste pociągi. To był sposób ukrócenia włóczęgostwa. W połowie drogi do celu na wielkiej stacji w Nowiańsku zatrzymano pociąg przeszło godzinę. Wkrótce zauważyliśmy, że cały obszar stacji z kilkoma pociągami osobowymi i wielu towarowymi został otoczony wojskiem z psami na smyczach. Specjalne brygady przeszukały wszystkie pociągi, budynki na stacji, spędzając ludzi na szeroki plac ogrodzony wysokim parkanem. Mężczyźni zostali rozdzieleni na jedną stronę, a kobiety z dziećmi na drugą. Gromadzie mężczyzn kazano wychodzić pojedynczo przez wąską furtkę na drugi plac, gdzie stali wojskowi z psami. Każdego przechodzącego przez furtkę sprawdzano dowód wojskowy i w ten sposób za jednym zamachem wyłapano dezertersów i uchylających się od służby w Czerwonej Armii.

Zaledwie było kilku szczęśliwców którzy posiadali wymagane dokumenty i odeszli swobodnie. Reszta natychmiast została uformowana w kolumnę czwórkową. Nikomu nie pozwolono tłumaczyć się. Zauważyłem dwóch brodaczy bez oka, jeden mocno utykał, a innemu brakowało trzech palców u prawej ręki, mimo to nie zostali wyłączeni z kolumny. Zacząłem energicznie bronić się, że jesteśmy obaj z towarzyszem Cypersztajnem Polakami i jedziemy służbowo do Niżnego Tagiełu po łożkarny stanok dla kombinatu w Tawdzie. Nic to jednak nie pomogło. Oficer oświadczył mi spokojnie, że obrona sowieckiej ojczyzny jest obowiązkiem każdego, kto w niej żyje.

- W czerwonej Armii dostaniecie łyżki gotowe, a teraz natychmiast zaraz do szeregu-wrzasnął.

W tej chwili wydało mi się najważniejsze to, że Ela nie otrzyma lalki. Uparcie myślałem, jakby z tą lalką uciec? Kiedy spojrzałem na stojącego obok Mowsza Cypersztajna miał wielkie oczy odwrócone białkami, nos jeszcze bardziej się wyciągnął i spocony drżał ze strachu. Jeden z oficerów odliczył czwórki i zameldował kapitanowi liczbę osób znajdujących się w kolumnie. Kapitan głośno wszystkim oświadczył, że jeśli w drodze ktoś zechce uciekać, to zostanie ubity jak sobaka.

Maszerowaliśmy w tej kolumnie około czterech godzin bez odpoczynku. Ciągłe rozglądałem się na wszystkie strony, czy możliwa byłaby ucieczka, ale wszystkie nadzieje zawiodły. Pędzono nas płaskowyżem i cała przestrzeń daleko była odkryta, a w dodatku towarzyszyło nam kilkanaście psów na smyczach. Ze wszystkich stron roztaczał się piękny widok. Pogoda była bezchmurna i widoczność bardzo daleka. Po obu stronach rysowały się wysokie góry. Na szczytach śnieg lśnił różnymi kolorami, a pod nogami droga kamienista i uciążliwa. Byliśmy bardzo zmęczeni zanim dotarliśmy do bazy wojskowej ogrodzonej drutami z wieżami kontrolnymi. Na placu było pełno wojska. Kuchnie polowe gotowały posiłki, a kilka oddziałów stało gotowych do wymarszu. Nam kazano rozlokować się w wydzielonej części placu, zezwolono napić się wody i czekać na posiłek, a było nas ponad dwieście osób. Byłem przejęty nagłą zmianą losu i głodu nie czułem, a Cypersztajn wyglądał bardzo źle. Jęczał bez przerwy i prosił: - Wiktor, zlituj się i coś wymyśl, bo zginiemy obaj. Oni zaraz nas pogonią na Niemców. Pogadaj z ofice-

rami, oddam im wszystkie ruble, całe pięć tysięcy tylko niech mnie puszcza. Oj, oj Rose, ty nic nie wiesz, że ja już trup- rozpaczałam. Patrząc na niego sam się zdenerwowałam i mówiłam ze złością:

- Przestań do cholery, ludzie się śmieją - zobacz - gromadka brodaczy otoczyła nas i przyglądali się jacy z nas będą bojcy Czerwonej Armii. Jeden z dużą lalką, a drugi jęczy i płacze ze strachu, chociaż Niemców wcale nie widać.

Nic to jednak nie pomogło. Mówił sam do siebie, chociaż go nie słuchałam:

- Wiktor, czy ty nie widzisz, że ja już jestem całym trupem? Ja czuję jak mnie Niemcy zabijają. Po co oni nas gonią na tę wojnę? Na co to komu potrzebne? A czy nam źle było w tej Tawdzie? Oj, nie mogę darować, że zgodziłam się na tę delegację. Niech go cholera weźmie, cały oskarny stanok. Już wolę całe życie strugać łyżki npżem. Bez ustanku narzekałam i przeklinałam.

- Mowsza, na litość Boską przestań- mówiłam. Rusczy towarzysze przyglądali się nam, ale nic nie rozumieli po polsku.

- Słuchaj, Cypersztajn- mówiłam ściszonego głosem- zdecydowałam się przy najbliższej okazji uciekać, bo muszę tę lalkę koniecznie dostarczyć Eli. A potem, co chce niech będzie.

Kiedy to usłyszałam, rozplakałam się jak dziecko i zaczęłam prosić:

- W imię naszej przyjaźni nie zostawiaj mnie samego. Mogę ci pożyczyć wszystkie ruble, tylko mnie zabierz ze sobą. Ja ci tego nie zapomnę - błagałam.

Żał mi go było i ciągle myślałem, co tu robić?

Po pewnym czasie postanowiłem spróbować szczęścia. Wziąłem do garści nasze delegacje i upoważnienie na odbiór maszyny. Cypersztajnowi kazałem czekać na miejscu, a sam udałem się do komendy obozu. Przed budynkiem stało dwóch wartowników, kazali mi powiedzieć, w jakiej sprawie chcę dostać się do komendanta. Wiedziałem, że mnie zaraz odpędzą, gdy będę wdawał się w dyskusję. Powiedziałem śmiało:

- Z wami o tym nie mogę mówić, bo to sprawa państwowej wagi. Muszę zaraz widzieć się z komendantem obozu, a jeśli będziecie zwlekać, sami za to odpowiecie.

Moja stanowcza postawa odniosła skutek. Jeden pozostał na warcie, a drugi zaprowadził mnie na piętro do majora i zameldował:

- Towarzyszu majorze, przyprowadziłem graźdanina ze sprawą państwowej wagi.

Wartownik odszedł, a ja przystąpiłem do rzeczy:

- Towarzyszu majorze, na stacji w Newiańsku popełniono wielką pomyłkę. Razem z dezertierami zatrzymano dwóch polskich obywateli, którzy są w delegacji służbowej. Chodzi o mnie i mojego towarzysza Cypersztajna. Kombinat w Wierchniej Tawdzie wysłał nas do Niżnego Tagiłu po maszynę do wyrobu łyżek dla bojów Czerwonej Armii. Na tę maszynę czeka ponad stu ludzi. Powiedzcie sami towarzyszu majorze, jak możemy umacniać tyły frontu, kiedy takie niepotrzebne pomyłki popełniają nawet oficerowie. Przecież po zawiezieniu naszej maszyny załódze obaj natychmiast odchodzimy do polskiej armii. Proszę was - towarzyszu majorze - abyście dopomogli nam wypełnić tak ważny obowiązek

służbowy - zakończyłem i podałem dokumenty.

Komendant przejrzał uważnie nasze delegacje i powoli powiedział:

- Nu, tak pojeżdżajcie po swoją maszynę, nie będę was zatrzymywał, a jak będziecie w polskiej armii, to się dżyba spotkamy.

Podziękowałem mu i poprosiłem o wystawienie przepustki, bo może znowu pomyłka się zdarzyć, zanim przewieziemy maszynę do Tawdy. Po dziesięciu minutach otrzymałem z kancelarii żądaną przepustkę. Gdy powiedziałem Cypersztajnowi, że jesteśmy wolni i możemy jechać do Tagiłu, nie chciał wierzyć i dalej siedział na ziemi skulony. Dopiero po kilkakrotnym przeczytaniu przepustki poderwał się i po polsku zaczął przeklinać i wymyślać bolszewików za doznaną krzywdę, a w końcu pogroził pięścią - jeszcze mnie daleko popamiętacie, kto ja jestem. Uradowany nabrał energii do życia i radził, żebyśmy prędzej zabierali się stąd, bo ci dranie mogą się rozmyśleć i pogonią nas na Niemców. A kto im tego zabroni? - mruzczał do siebie. W tym czasie zaczęto wydawać naszej kolumnie chleb i gorącą kawę. Miałem przepustkę w kieszeni, mogliśmy spokojnie pożywić się na drogę prowiantem Czerwonej Armii.

Do najbliższego przystanku kolejowego mieliśmy około 15 kilometrów i musieliśmy przebyć rzekę promem, za którą znajdował się nasz przystanek. Słońce było nad zachodem, gdy doszliśmy do szerokiej rzeki. Przy promie zebrało się dużo ludzi i kilka furmanek jednokomnych. Byliśmy na samym końcu i mieliśmy małe szanse dostania się na prom, w dodatku, że był to ostatni rejs przed nocą. Za rzeką pa-

re kilometrów mogliśmy już czekać na pociąg. Gdyby tak dostać się na ten prom-mównikiem do Mowszy. Odpoczęlibyśmy na stacji po tylu trudach, a to przyjdzie czekać do rana w takich komarach.

Cypersztajn cały czas milczał, a potem powiedział:

- Wiesz co, Wiktor, spróbujemy mojego sposobu. Wykorzystywałem go w Omsku z moją Rozalią w wielu ciężkich przypadkach. Będę ślepcem, a ty musisz mnie prowadzić za rękę i głośno wołać:

- Miesto dla ślepcy, miasto dla ślepcy.

Ale przecież nie jesteś ślepy-odparłem zdziwiony. Mowsza podniósł głowę do góry, pokiwał nią i powiedział:

-Patrz teraz na mnie.

Rzeczywiście przeraziłem się. Mój Mieczysław miał w oczodołach tylko białka, a źrenice zupełnie zniknęły.

- Jak to robisz?-zapytałem.

Ale on szepnął mi tylko: Nie pytaj, pokażę ci później.

I podał mi rękę- idziemy. Wołaj głośno jak ci mówiłem.

Weszliśmy między ludzi i prowadząc go za rękę zacząłem krzyczeć: Miesto dla ślepcy, miasto dla ślepcy. A poszczególne osoby blisko nas stojące zaczęły ustępować na boki i z wielkim współczuciem wołali: O, rany Boha, co za nieszczęście.

Tuż przy samym promie jakiś brodaty dryblas chciał wejść na pokład przed nami, ale inni dwaj przytrzymali go za rubaszkę rugając ordynarnie i zrobili nam wejście na prom. Podczas przepływu Mowsza stał z podniesioną głową, a ja go trzymałem za rękę. Przewoźnik był wzruszony i przewiózł nas bezpłatnie.

Kiedy odeszliśmy od brzegu Cypersztajn wyjaśnił, że tej sztuki odwracania oczu nauczył go w Warszawie od żydowskiego iluzjonisty w cyrku. Nie przypuszczał wtedy, jak mu się to przyda w życiu. Tu na Syberii nieraz wykorzystywałem tę sztukę z moją Rozalią. Pod Omskiem napadli nas bandyci i chcieli obrabować, ale tak przerazili się moich oczu, że w popłochu uciekli.

Robiąc smutną minę powiedział:

-Widzisz Wiktor, nawet przestępcy są wrażliwi, ale tylko na wielkie nieszczęście. Brak oczu każdego przeraża - do końca myśl kiwając głową.

O zachodzie słońca siedzieliśmy już w poczekalni na stacji kolejowej. Za parę godzin wsiedliśmy do pociągu i przed południem dojechaliśmy do Niżniego Tagiku. Najpilniejszą sprawą było wyszukanie stołówki, gdzie można by zaspokoić głód skręcający kiszki. Po pewnym czasie dopytaliśmy się o taką stołówkę i po okazaniu delegacji służbowych dostaliśmy zupę z kawałkiem chleba.

Kombinat metalurgiczny o wiele łatwiej można było znaleźć. Niżnyj Tagik jest małym miastem na północnym Uralu, ale obejmuje wysoko rozwinięty okręg przemysłowy. Kiedy zjawiliśmy się w biurze po odbiór maszyny, dyrektor z uśmiechem rozłożył ręce i powiedział:

- To wasz komitet parti w Tawdzie do tej pory nie wie, czym zajmują się teraz wszystkie fabryki na Uralu? Od roku wyrabiamy w dwustu procentach niezbędne części do czołgów i katiusz, którymi nasi bojcy gromią wrednego germańca. Powiedzcie towarzyszom swoim naczelnikom, niech dobrze czytają gazety. My tutaj w Tagile dawno zapomnieliśmy o łyżkach. To zabawa dla dzieci i kobiet. Można jeść

i bez łyżek, byle było co, a strzelać do wroga trzeba armatami, to powiedzcie swojemu naczalstwu - zakończył rozmowę.

Po takim pouczeniu nas poprosiłem o odpowiednią adnotację na upoważnieniu i potwierdzenie naszych delegacji, co od ręki załatwiono. Muszę szczerze wyznać, że obaj byliśmy zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Mogliśmy od razu udać się na dworzec bez dodatkowych kłopotów.

Po przyjeździe do Swierdłowska zaproponowałem Cypersztajnowi przechadzkę po mieście i odwiedzenie miłych przyjaciół, ale stanowczo odmówił. Nie chcę ryzykować - powiedział - mogą nas znowu złapać. Powiedzą, maszyny do łyżek nie macie, więc możecie jechać do Czerwonej Armii i na front. Zabronisz im może? - zapytał. Wolę już siedzieć w Tawdzie ze swoją Rozalią i czekać wyjazdu na Ukrainę - dodał.

Do Wierchniej Tawdy wróciliśmy szczęśliwie. Kiedy opowiedziałem Stachnie i Wyszyńskim nasze przygody na Uralu, wszyscy byli przekonani, że mieliśmy wyjątkowe szczęście, bo moglibyśmy już być rzeczywiście na froncie i przecucia Cypersztajna, że jest już trupem mogło się spełnić. Tylko Ela nie zdawała sobie sprawy z grożących mi niebezpieczeństw i ciągle tuliła lalkę i powtarzała, jak to dobrze, że Tuśko pojechał do tego Swierdłowska i kupił mi taką piękną lalkę. Teraz mam z kim się bawić i spać. Przez ostatnie dni wody w Tajdze opadły, za rzeką zazeleniły się drzewa, zakwitły kwiaty, ze wszystkich stron rozlegało się cudowne granie tokujących cietrzewi. Trudno było usiedzieć w zamkniętym kombinacie przy nudnej projekcji łyżek.

Zrobiliśmy naradę z Wyszyńskimi i zgodnie stwierdziliśmy, że nie ma sensu pracować jedynie za przydział chleba, bo zarobek około dwustu rubli miesięcznie nie wchodził w rachubę. Zostawiliśmy rodziny w Tawdzie, a sami jako kowale udaliśmy się do kolchozów omskiej obłasti, gdzie w okresie sianokosów i żniw mieliśmy szansę zdobycia żywności na oczekiwany wyjazd z Syberi na Ukrainę.

Transport Polaków na Ukrainę. Ucieczka do Polski.

Klęska Niemców pod Stałingradem przesądziła o losach wojny. Plany Stalina otworzenia wielkiego imperium Związku Radzieckiego stały się realne tym bardziej, że główni sojusznicy - Franklin, Delano Roosevelt i Winston Churchill troszczyli się tylko o interesy swoich państw, lekceważąc przyszłość Europy środkowej i wschodniej. To również zdecydowało o losach Polski powojennej.

Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez Stalina z Rządem Polskim w Londynie utworzono w Związku Radzieckim w marcu 1943 roku nową organizację polityczną grupującą polskich komunistów i działaczy lewicowych pod nazwą Związek Patriotów Polskich w skrócie ZPP. Przewodniczącą zarządu głównego była Wanda Wasilewska, a w skład prezydium weszli - Berling, Drobner, Jędrychowski, Skrzyszewski i Sokorki. Deklaracja Związku Patriotów Polskich zgodnie z planem Stalina nakreśliła założenia przyszłego demokratycznego państwa polskiego, zapowiadała utworzenie Wojska Polskiego w Związku Radzieckim i poddawała krytyce działalność emigracyjnego rządu w Londynie.

Od lipca 1944 roku Związek Patriotów zajął się opieką ludności polskiej na Syberii. W pierwszym rządzie postanowiono przesiedlić Polaków z Syberii na Ukrainę, skąd po wojnie zostaną repatriowani do Polski. Ofensywa sowiecka szybko posuwała się do granic Polski. W ciągu lata 1944 roku wielkie obszary Ukrainy były oswobodzone. Z cofającymi się Niemcami uciekali kolaboranci ukraińscy, a pozostawione ich rodziny natychmiast Sowieci wywieźli do Kazachstanu jako zdrajców ojczyzny radzieckiej.

Spotkał ich ten sam los, co Polaków przed paru laty. Zasiane pola Ukrainy pod nadzorem Niemców miały być sprzętane i dalej zagospodarowane przez zesłańców polskich pod ścisłą kontrolą NKWD. Polacy przebywający na Syberii nie wiedzieli z jakiej oblasti będzie organizowany wyjazd. Ze Swierdłowskiej czy też z Omskiej.

Praktycznie więc było, że po naradzie z rodziną Wyszynskich zostawiliśmy kobiety z dziećmi w Tawdzie-swierdłowskiej oblasti, a sami we trójkę udaliśmy się do omskiej oblasti, gdzie mogliśmy śledzić wypadki związane z losem tamtejszych Polaków i jednocześnie zająć się przygotowaniem żywności na drogę.

Po pożegnaniu z rodzinami zagłębiliśmy się w gęstą tajgę i maszerowali na północ. Bez żadnego odpoczynku, zanim słońce skręciło się mocno do zachodu, przybyliśmy do wielkiej osady nad rzeką Żirakowa. Po drodze nie czuliśmy wielkiego zmęczenia, chociaż komary cięły niemiłosiernie. Opowiadaliśmy różne przeżycia i kawały zasłyszane od Sybiraków, zdawało się nam, że najgorsze mamy już za sobą, nie zastanawiając się, co nas jeszcze czeka zanim dosta-

niemy się do Polski.

W Żirakowej trafiliśmy do zagrody samotnej kołchoźnicy, która posiadała krowę i ugościła nas świeżym mlakiem. Po dobrym odpoczynku okazało się, że w tutejszym kołchozie jest główna baza MTS czyli traktornomaszynowa, gdzie bardzo potrzebni są kowale. Obaj bracia, Stanisław i Kazimierz natychmiast zostali w niej zatrudnieni za opłatą dwóch kilogramów zboża za każdy trudodzień, a ja postanowiłem udać się dalej na północ do znajomego kołchozu imieniem Kirowa. W roju komarów dobrnąłem do niego dopiero po zachodzie słońca. Zatrzymałem się u kołchoźnicy z trojgiem małych dzieci - Niny Pawłowny.

Po ukazaniu się na podwórku cała rodzina wybiegła na powitanie. Wszyscy ucałowali mnie serdecznie jak kogoś najbliższego.

Po opuszczeniu łagru na Niżnej Pristanii mieszkaliśmy jakiś czas w domu Niny Pawłowny i stąd wytworzyła się taka przyjaźń między nami. Teraz nie było końca pytań. Jak zdrowie Stanisławy Antonowny? Czy Fla wyrosła? I kiedy NKWD pozwoli nam wrócić do Polski?

Byłem mocno wzruszony serdecznym powitaniem i bardzo odczułem wiadomość, że Borys, mąż Niny zginął na froncie. W wielkim żalu pocieszała się tylko nadzieją, że teraz zostanie zwolniona z obowiązkowej dostawy mleka i małe dzieci, najstarsza dziesięcioletnia Tania, ośmioletni Szura i pięcioletni Wania nie będą puchły z głodu karmione lebiodą, polnym ostem i pędami młodych sosen. Ugotowana zupa z tych jarzyn będzie teraz lepiej zabieloną - uśmiechnęła się ocierając łzy połatanym fartuchem. W tobołku swoim miałem jedynie suchary i trzy kawałki

cukru, które Stachna zakupiła na bazarze w Tawdzie u Cygana z Besarabii. I żegnając się ze mną przymusowo włożyła do tobołka. Teraz przypomniałem o tym rarytasie i każdemu z dzieci wręczyłem po kawałku wielkości dużego palca. Radość była niezmierna, obaj chłopcy lizali słodki lód i podskakiwali po całej izbie, przytupując kozaczką, a na kolację dostaliśmy wszyscy zupę z lebiody i polnego ostu, ale zabieloną mlekiem i muszę przyznać z mami sucharami bardzo nam smakowała.

Priedsiedatiel kołchozu przyjął mnie z otwartymi rękoma. Przed kuźnią stały do naprawy tielegi na drewnianych osiach, takie, na jakich w Polsce jeżdżono chyba jeszcze za Piastów, brony zupełnie połamane i kilka pługów. Była druga połowa maja, a kampani siewnej jeszcze nie zakończono. Brak ludzi i sprzętu spowodował takie opóźnienie. Dwóch traktorzystów z MTS dnem i nocą bez przerwy orali pola pod zasiew pszenicy i ciągle nie nadążali, bo traktory psuły się, brakowało części zamiennych, a pługi pięcioskibowe nie miały lemieszów zapasowych. Zdarte z trudem ryły ziemię. Do mojego przybycia trzeba było zorać i siać przeszło pięćset hektarów na pięć tysięcy hektarów ziemi ornej w kołchozie.

W pierwszym rzędzie zahraliśmy się z traktorzystami do przeglądu i naprawy traktorów i pięcioskibowców. W czasie obiedniego odpoczynku traktorzystów zdążyłem poklepane lemieszki przykręcić do obydwu pługów. Po ich przybyciu ze zdziwieniem zobaczyłem, jak zabierają się do odkręcania co drugiego lemieszka od każdego pługa. Na moją uwagę, że postępując w ten sposób spowodują, że gleba będzie niedokładnie przeorana i wyrosną chwasty zamiast pszenicy obaj

zaczęli się śmiać i gruby Jegor tłumaczył:

- Wiktor Karłowicz, wy Polacy wcale nie umiecie u nas żyć. Wam się zdaje, że jesteście w burżuazyjnej Polsce. U nas jest inaczej, jeśli nie będziesz kombinował, to prędko zdechniesz. Przecież rozumiesz, boś uczony człowiek, że jest to różnica, czy traktor ciągnie pięć skib czy tylko trzy. A w obu przypadkach mamy za sobą ten sam pas gleby. Coprawda dwie środkowe skiby są tylko przykryte ziemią, ale czy wyrośnie tam więcej lub mniej pszenicy, to i tak bez różnicy, bo i tak kolchoźnicy jesienią muszą wszystko oddać na rozkaz Stalina, a w kolchozie nic nie zostanie. Pocięszamy się obaj z Szurą, że nie zobaczymy ile wyrośnie na tym polu pszenicy, bo zaraz po kampani siewnej odchodzimy do Czerwonej Armii i tam od Amerykańców dostaniemy świńską tuszonkę - zaśmiał się od ucha do ucha.

Do tego drugi dodał:

- Orząc w ten sposób traktor może szybko jechać z pługiem i tym samym mamy zaoszczędzone nie tylko dwa lemiesz, ale sporo benzyny, którą trzeba sprzedać kolchoźnikom, bo nas przecież karmią. A czym byśmy mogli im płacić za swoje mieszkanie? - zapytał.

I tu oczywiście miał rację. Nigdzie nie było sprzedaży nafty do lamp, a jednak w każdym domu był jakiś kopciuszek, zrobiony z butelki z benzyną zdobytą od kierowców oświetlano wieczorami swoje pomieszczenia. W celu zabezpieczenia od wybuchu benzyny sporządzano długie knoty i ją dobrze solono. Wobec takiej argumentacji kiwałem głową i w duchu przyznawałem im całkowitą rację. Ciekaw tylko byłem, co na tym urodzajnym polu wyrośnie.

Po odjeździe w pole traktorzystów przyszedł do kuźni bragadier Alosza i zaczął narzekać:

- Pola dzisiaj zakończą orać, ale wyobraźcie sobie Wiktor Karłowicz, przeszło dwieście hektarów mamy jeszcze zasiać, a wszystkie trzy siewniki całkowicie wysiadły. W każdym są połamane części, których nie naprawi się w kuźni. Muszą być wymienione na nowe, których od dawna brak. Musimy zakończyć kampanię siewną po staremu jak to robili nasi dziadkowie za cara batiuszki - zaśmiał się kiwając głową.

Do tej akcji zgłosił się dwunastu starików i siedem bab. To razem dziewiętnaście osób - liczył. Zamyślił się na chwilę i patrząc na mnie zapytał:

- A czy wy Wiktor Karłowicz, kiedy sieli zboże?

Zdziwiłem się, ale nie okazując tego odpowiedziałem:

- U nas w Polsce każdy musiał umieć siać bo nie było tyle traktorów i siewników, co u was.

- W takim razie pomóżcie nam. Każdy człowiek się liczy przy tej pilnej robocie - dodał. I tak wziąłem udział w zakończeniu kampanii siewnej w kołchozie Kirowa.

Okolo południa przy pięknej pogodzie, zebrali się siewcy na skraju pola, za wielkim brzeźniakiem z kępami traw, otoczony głębokimi bajorami, nad którymi unosiły się siwe słupy komarów. Wszyscy mieli różnego rodzaju pojemniki przepasane przez ramię grubym sznurem z łyka lipowego. Mnie dwie kołchoźnice umocowały na piersiach kobiałkę z kory brzezowej, do której mogło pomieścić się około piętnastu kilogramów pszenicy.

Na polu wyznaczonym do siewu leżały już worki z pszenicą. Bragadier Alosza ustawił wszystkich w jednym rzędzie, a następnie zaczynając od lewego posuwał szereg na pra-

wo wyznaczając każdemu pas pola do zasiewu. Kiedy rzuciłem z rozmachem pierwsze garście pszenicy zauważyłem ze zdziwieniem, że ziarna upadły gromadą na ziemię, wcale nie rozsypały się półkolem jak u moich towarzyszy. Zauważył to mój sąsiad z lewej strony, stary brodaty Riżuchin i z uśmiechem powiedział:

-Słuchaj kuźniec, chyba łatwiej ci naprawiać tielegi niż siać pszenicę. Nie martw się, poradysz sobie, tylko ziarna nie rzucaj całą garścią, a przez rozchylone palce. Natychmiast spróbowałem tego sposobu i przede mną pszenicę rozsypywała się warstwami jedna za drugą.

Po paru godzinach siewu zauważyłem, że stary Riżuchin przez dłuższy czas ukrywa się za rozłożystym krzakiem olszyny. Sądziłem, że go brzuch rozboleł, ale kiedy zbliżyłem się na około sto metrów, widziałem jak schylony coś zagrzebywał w ziemi. Przy następnej mijance, kiedy daleko byliśmy oddaleni, podbiegłem do krzaka i odkryłem mały kopczyk ziemi, a w nim sporą gromadkę pszenicy. Od razu zrozumiałem sens odkrycia i przy najbliższej okazji, kiedy moi towarzysze byli mało widoczni, sam usypałem podobny kopczyk zapamiętując dobrze jego położenie.

Siew został zakończony pod wieczór, a na drugi dzień brygada polowa miała przystąpić do bronowania kołmi, gdyż obaj traktorzyści odjechali do swojej bazy. Skoro ściemniło się na dobre, wyruszyłem okrężną drogą przez tajgę do swojego kopczyka. Dobrze go zlokalizowałem między kępami olch na polu i znalazłem bez trudu. Pszenicę z ziemią zebrałem do torby i przegiem tajgi wracałem do chaty Niny Pawłowny. Z ubawieniem spostrzegałem migające cienie między drzewami i byłem pewny, że są to dzisiejsi siewcy,

odwiedzający swoje kopczyki.

Nina Pawłowna nie posiadała się z radości. Pszenica została oczyszczona sitem i wysuszona na ciepłym piecu, a potem mielona na żarnach z grubych pni brzoźowych. Przez wiele dni lebioda z ostem była zasypywana kaszą, a do tego przy herbacie ziołowej pojawiły się pszenne lepieszki upieczone na płycie kuchennej.

Z wyczynu swego byłem zadowolony, bo zapewniłem małym dzieciom bez ojca na jakiś czas znośną zupełną miastkę chleba.

Kiedy w lipcu na zawsze odchodziłem z tego kołchozu, z ciekawością udałem się za brzeźniakiem tajgi na pole zobaczyć, jak wyrosła zasiana przez nas pszenica? Ujrzałem wielką przestrzeń kwitnącej polnej koniczyzny, a w niej jakby zasadzone pojedyncze kłosa pszenicy. Pomyślałem wówczas ze smutkiem - nic dziwnego, że w tym wielkim państwie jest brak chleba, bo i w innych kołchozach była tak samo przeprowadzana kampania siewna, gdyby z tego ogromnego pola ktoś chciał zebrać pojedyncze kłosa, to na pewno w połowie nie otrzymał by tyle ziarna, ile poprzednio zostało wysiane. Nie licząc już sprzętu i robocizny - rozumowałem w duchu. Tak jednak musiało być w postępowym socjaliźmie Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina.

Na początku lipca przedstawiciele Związku Patriotów Polskich rozpoczęli sporządzać spis Polaków w Wierchniej Tawdzie na wyjazd na Ukrainę. Odjazd miał nastąpić z początkiem września 1944 roku. Wieść o tym wydarzeniu rozniosła się między Polakami błyskawicznie. Jedni drugich zawiadamiali listownie, telegramami lub przez Sybiraków. W sierpniu pociągali Polacy do Tawdy z sąsiednich rejonów

Świerdłowskiej i omskiej oblasti, a także z dalekiego Uralu. Na ulicach Tawdy panowała polska mowa. Wszyscy żyli jedną nadzieją, czym prędzej wyjechać bliżej Polski. W czerwcu przeczytałem w "Sowieckiej Prawdzie" rozporządzenie podpisane przez Stalina, które nakazywało przedsiębiorstwom i kołchozom rozliczyć się za pracę wszystkich Polaków na Syberii i ułatwić im dojazd do punktów zbornych, skąd zostaną wysłani do pracy na Ukrainę, oswobodzoną przez bohaterką Czerwoną Armię, a po zwycięskiej wojnie będą repatriowani do Polski. Zarządzenie to dotyczyło mnie również i zmobilizowało do szybkiego działania.

Od 1942 roku pracowałem w kilku kołchozach, gdzie należało mi się przeszło pięć kwintali pszenicy. Samo rozporządzenie Stalina bez dobrej woli przedsiębiorcy kołchozów nic nie mogło zdziałać. Każdy z nich przyznawał mi słusność, ale rozkładał ręce, bo nie było czym płacić. Z odebraniem długu szło beznadziejnie, a termin wyjazdu zbliżał się szybko. Odebraną pszenicę planowałem zmięlić na mąkę w tawdzińskim młynie i sprzedać na rynku jako udokumentowany własny zarobek. Otrzymane pieniądze przydałyby się na pewno na daleką podróż, jak i w nowym miejscu osiedlenia.

Cheąc cokolwiek odzyskać musiałem jednocześnie zachęcić przedsiębiorcy do wspólnej akcji. Zacząłem z nimi rozmawiać w cztery oczy i kiedy przyrzekłem, że przy rozliczeniu nie zapomnę o nich, zaczęli ze mną dyskutować. Jak wybrnąć z sytuacji i rozporządzenie generalissimusa Stalina wykonać?

Na trzecim uczastku, w kołchozie Kirowa winni mi byli 195 kilogramów pszenicy. Doatałem za to dwuletniego

byka i dwa barany z tym, że po cichu przedsiębiorca otrzymał skóry i dziesięć kilogramów mięsa.

Zarząd kolchozu "Czerwony Proletariat" przekazał mi w poczet należnych 220 kilogramów ziarna, rocznego byczka i jeden kwintal pszenicy. Za dobry stosunek Fomy Doroszkina do mnie, postanowiłem zostawić mu skórę i głowę cielaka, a także przyrzekłem mu otręby ze zmielonej pszenicy. Miałem więc ostatecznie dwa byczki i trzy kwintale pszenicy, z czego dwa już w Tawdzie odebrane od Żirakowa na Uwale.

Pracowałem również dorywczo w kolchozie na dwunastymuczastku, gdzie miałem dług 150 kilogramów pszenicy. Kilkakrotnie chodziłem do przedsiębiorcy pokazując zarządzenie Stalina, ale nic z tego nie wyszło. Z początku odwlekał, a w końcu oświadczył, że pszenicy nie ma, cielęta są przeznaczone do chowu, a stado owiec dwukrotnie zostało poszarpane przez wilki. Nasz kolchoz poniósł straty, a partia kazała wszystkiego pilnować - zakończył. Nie poszedł też na ustępstwo, kiedy chciałem moją pszenicę podzielić po połowie; powiedział:

- Jestem sowieckim komunistą i patriotą, a z Polakami nie chcę przeprowadzać żadnych konszachtów. Kiedy nasz kolchoz się wzbogaci, przyślę wam dług do Polski - zaśmiał się.

Potraktował mnie ordynarnie, a rok temu kilkakrotnie sam przyjeżdżał do Uwale i usilnie prosił, żebym mu reperował kosiarki, kultywatory, młocarnie, bo inaczej praca w kolchozie byłaby zatrzymana. Nieraz chodziłem pieszo przez tajgę, by mu przyjść z pomocą. Po nieudanej próbie

odzyskania swojej należności wracałem przez lasy i na znajomej polance przypomniałem spotkanie z wilkiem. Tenże priesiedatiel wysłał po mnie furę do Uwału, abym przyjechał i naprawił żniwiarkę. Ze względu na pilną robotę nie mogłem od razu jechać na dwunasty uczestok i przyrzekłem przyjść pieszko wczesnym rankiem jutro. Kołchoz ten miał kuznię w dobrym stanie, brak mu tylko było kowala. Obudziłem się z pianiem kogutów. Stachna z Elą spały w najlepsze. Wziąłem ze sobą tylko klucz francuski i zagłębiłem się w tajgę. Po drodze ułamłem gałąź do odpędzania komarów i tak maszerowałem znaną drogą, omijając lasy brzozone, dwa pola z dojrzewającą pszenicą, potem znowu las mieszany. Rozejrzałem się dookoła, popatrzyłem na gwiazdy i przekonałem się, że wyszedłem za wcześnie. Nie zanosilo się na ranek. Wyszędłem z pianiem kogutów o północy. Nic sobie z tego nie robiłem, a przeciwnie, uważałem, że prędzej wrócę do domu.

Poszedłem dalej rozmyślając, co przyniesie dzień. Wszędłem na małą polankę otoczoną młodym brzeźniakiem i jałowcami. Nagle spostrzegłem przede mną parę kroków, jak spod krzaka podnosi się głucho warcząc wielki, szary pies. Noc była księżycowa i wyraźnie widziałem jego powolne ruchy. Wtedy uświadomiłem, że mam przed sobą wilka. Odruchowo zacząłem cofać się tyłem, machałem gałęzią, a przy tym wołałem jak na psa - won. Wilk podniósł sięⁱ majestatycznie bez żadnego pośpiechu poszedł w krzaki.

Do kołchozu przyszedłem jeszcze szarówką. Opowiedziałem swoją przygodę i dowiedziałem się, że prawdopodobnie ten wilk z drugim napadli wczoraj stado owiec kołchożnych i zamordowały jednaście sztuk. Tylko dwie rozszarpały

i w połowie zjadły. Z tej racji kolchoźnicy mieli niespodziewane mięso i po cichu dziękowali wilkom za przysługę. Co za smaczne mięso, dawno nie próbowałem takiego -chwalili do mnie i wzdychali, żeby te wilki chciały powtórzyć wizytę. O swoim niepowodzeniu na dwunastym uczastku i o chamskim przedsiębiorcy zachowaniu opowiedziałem Staszce i Kazikowi Wyszynskiemu oraz Paszce Bylinie. Był on potomkiem dawnych zesłańców polskich i przyjaźniłem się z nim od czasu opuszczenia łagru w Niżnej Fristanii. Paszka był wyjątkowo miłym i usłużnym chłopcem, miał w tym roku odchodzić do armii. Często opowiadał mi o wielkiej krzywdzie, jaka spotkała ich od władzy radzieckiej. Dziadek Paweł Bylina pamiętał Grodno, a jego dwaj synowie urodzili się już na Syberii. Dziadek z ojcem Paszki i stryjem zagospodarowali kawał tajgi, zbudowali duże gospodarstwo i za to siedzą w łagrach jako kulacy. W domu pozostał tylko kulawy stryj Anton, babka Marusia i matka z pięciorgiem dzieci, Paszka i cztery siostry. Wszyscy teraz pracują w kolchozie, a kulawy Anton jest pastuchem. Babka do tej pory pamięta polski i mówi dobrze po polsku.

Pewnego razu Anton upił się spirytusem drzewnym, zdjął czapkę, ukląkł przed portretem Stalina i zaczął go ordynarnie wyzywać i przeklinać. Wszyscy domownicy byli wystraszeni, a on na nikogo nie zwracał uwagi i krzyczał: *„Ty przeklęty morderco, ty nas wszystkich zrobiłeś dziadami i sam jesteś gorszy od okrutnych carów, dawniej nie było łagrów i każdy miał chleb. Car nie pytał, ile mieliśmy koni i bydła? A ty chcesz wiedzieć, ile jest ptaszków na niebie? I od nich nałożyć na ludzi podatek. -tak krzyczał,*

wygrażał pięścią do ściany, aż Paszka wziął go na ręce, zaniósł do drugiego pokoju i położył na kojce. Po chwili zasnął, a Paszka kilkakrotnie przeszukał całe obejście, czy ktoś nie podsłuchiwał.

Na drugi dzień przyszedł do mnie do kuźni Paszka i po cichu powiedział:

- Wiesz co, bratiec. Obmyśliłem plan, jak rozliczyć się chociaż w części z tym sukinsynem na dwunastym za twoją pszenicę - zaraz też dodał - Stanisław i Kazimierz Wyszyńscy popierają mój plan. Nie wiem, czyś zauważył, że ferma owcza na dwunastym jest za wsią i dotyka lasu przy jeziorze. W ścianie obory jest od strony lasu okienko, przez które można wejść do środka. Sprzyja temu okres burzowy. Musimy przypilnować takiej pogody i w nocy przy piorunach wyciągniemy po jednym baranie.

Takim pomysłem wystraszyłem się na dobre i zapytałem:

- Czy nie zauważyłeś i tego, że owiec pilnuje uzbrojony stróż? Nie zgadzam się na to.

Paszka machnął ręką i zaczął mi tłumaczyć:

- Wiktor, wy Polacy jesteście honorowi, bo u was nie było biedy i takie załatwienie spraw uważacie za złodziejstwo. Powiedz mi - czy przedsiębiorca Pietuchin nie jest złodziejem? Okradł cię w biały dzień i jeszcze w żywe oczy śmiał się bezczelnie. Tak, w Związku Radzieckim wszyscy są złodziejami. Przedsiębiorca kradnie, bo musi żyć i podzielić się ze swoim naczalstwem, a kołchoźnicy kradną, bo zdechliby z głodu. Na ich szczęście w tajdze są wilki, na które można winę zwalić i czasem spróbować mięsa baraniego lub wołowego. Nie przejmuj się więc wyrzutami sumienia i odbierz chociaż część długu. Zawsze będziesz w porząd-

ku ze swoim honorem-uzasadniał z przejęciem. Byłem tam wczoraj i wszystko dokładnie sprawdziłem-mówił-stróżem jest staruch zupełnie głuchy i w czasie deszczu siedzi w budce przy okólniku, a owce zapędza do budynku. Tylko drzwi zostawia otwarte, bo wewnątrz jest gorąco. Wejdę do środka przez okienko i będę wam podawał po sztuce. Do- staniemy się brzegiem jeziora do lasu i będzie po wszys- tkim.-dla uspokojenia dodał- wszyscy wiedzą, ile owiec wilki pożarły tego lata, i zwałą i to na nich.

Na okazję czekaliśmy trzy dni. Pod wieczór ciężkie chmury zawisły nad ziemią i zwiastowały burzę z piorunami. Udaliśmy się we cztery, przez tajgę drózkami na skróty na dwunasty uczałek. Na miejsce przybyliśmy, kiedy już w domach nie było świateł. Grzmiało i błyskało się, ale deszcz jeszcze nie padał. Przy oświetlaniu błyskawicą widzieliśmy owce leżące na okólniku i stróża z fuzją chodzącego przy zamkniętej bramie.

Nareszcie zaczęło padać. Stróż zapędził owce do wiel- kiej stodoły, a sam schował się w budce. Prędko przesunę- liśmy się brzegiem jeziora zarośniętego łożyną i byliśmy z tyłu przy otwartym okienku. Paszka wsunął się do środ- ka i po chwili usłyszeliśmy tupot owiec biegnących po wielkiej zagrodzie.

Po paru minutach wypchnął przez okienko dużą owcę. Kazik Wyszynski odebrał ją i pomógł założyć na szyję. Trzymałem ją obu rękami za dwie przednie i tylne nogi taszcząc do jeziora. Owca wtenczas zaczęła przeraźliwie beczeć i oświetlony błyskawicą byłem jak na dłoni. Nie wiedziałem, co mam ze sobą robić i z tą owcą. Odruchowo puściłem jedną przednią nogę, drugą podciągnąłem do nóg

tylnych i garścią schwytałem za pysk. Bek ustał i wpadłem na krzak łoziny w wodzie. Sądziłem, że brzeg jest płytki. Tymczasem zawisłem na krzaku zanurzony w wodzie po szyję. Owca pływała nade mną, a nogami wcale nie sięgałem dna. Moja ofiara widocznie zachłysnęła się wodą, bo nie wierzyła nogami. Lewą ręką trzymałem ją za przednie nogi, prawą wyjąłem szczyryk z kieszeni i desperacko otwarłem za pomocą zębów. Dobrałem się do gardła ofiary i poczułem na sobie ciepło krwi. Po chwili pływała po wodzie. Wtedy zacząłem wylazić po gałęziach ciągnąc ją za sobą na brzeg. W tym czasie moi towarzysze sprawniej uporali się i zdążyli wyciągnięte sztuki zarznąć na miejscu przy okienku. Dopiero nad ranem przynieśliśmy zdobycz do zagrody kulawego Antona Byliny.

W ulewnym deszczu z piorunami na przełaj tajgi z owieczką na plecach zrobiliśmy przeszło 15 kilometrów. Oporządzeniem sztuk zajął się Anton z matką Paszki. Najładniejsze kawałki mięsa zostały zasolone na drogę do pociągu, skóry i różne podroby zostawiliśmy rodzinie Bylinów.

Tego samego dnia mieliśmy we trójkę spore tobołki na plecach swoim najbliższym w Tawdzie. Po drodze obliczaliśmy, że przedsiębiorca Pietuchin na dwunastym dobrze na mnie zarobił, bo te owieczki nawet połowy nie warte są zarobionej pszenicy.

W pierwszych dniach sierpnia postanowiłem sprzedać zarobione mięso na targowisku w Tawdzie. Otrzymane dwa byczki i dwa barany zabił Anton Bylina, posegregował mięso i furą przedsiębiorcy Doroszkina zawieźliśmy nocą cały ładunek do Tawdy. Do rąbania i ważenia mięsa na tar-

gowisku zatrudniłem starego Sybiraka z Tawdy, który dawniej był rzeźnikiem, a teraz z radością chciał przypomnieć swój zawód.

Wielkie było poruszenie wśród ludności, gdy w hali targowej pokazało się mięso. Utworzyła się długa kolejka, w której zauważyłem kilku milicjantów i znajomego dyrektora Kajpromkombinatu, u którego wyrabialiśmy łyżki drewniane dla Krasnej Armii. Kupujący od razu postanowili, aby na osobę sprzedawać tylko po jednym kilogramie mięsa.

Stary Osip Kałamazow sprawnie wydzielał i ważył kawałki, a Stachna przyjmowała ruble do torby. Całkowity dochód za mięso wyniósł 15000 rubli. To była duża suma, ale w całej Tawdzie nic na te pieniądze nie można było kupić, bo sklepy świeciły pustkami. Mieliśmy przekonanie, że wykorzystamy je w drodze.

Za parę dni na tawdzińskim młynie zostały zmielone trzy kwintale pszenicy. Kilkanaście kilogramów zostawiliśmy na drogę, część odstąpiliśmy znajomym, a reszta poszła na bazar.

Za mąkę przybyło do torby prawie 12000 rubli. Do tego Stachna sprzedała kartofle w ogródku i cały nasz kapitał okazał się pokaźny, bo aż około 30000 rubli.

Obaj Wyszynscy zabezpieczyli się również w żywność i pieniądze. Pracowali od samego początku jako kowale w dobrych kolchozach, byli rozliczani na bieżąco i nie mieli tych trudności, które mnie spotkały. Poza tym byli dobrymi fachowcami. Od dzieciństwa pracowali z ojcem w warsztacie kowalsko-ślusarskim w Polsce, a na Syberii radzili sobie dobrze i wyjeżdżając z Tawdy także posiadali kilka-

dziesiąt tysięcy rubli.

Na pożegnanie z nami przyjechał do Tawdy Foma Borysowicz Doroszkina, -prezident kolchozu "Czerwony Proletariat". Wspólnie z Wyszynskimi urządziliśmy ucztę pożegnalną pierwszemu prezydentowi, który zajął się nami po opuszczeniu łagru w Niżnej Pristanii.

U handlarzy żydowskich kupiliśmy cztery butelki wina gronowego i butelkę gruzińskiego koniaku. Mieliśmy biały chleb własnego wypieku i pachnące mięso. Więcej niczego nie brakowało. Zdawało się nam, że już jesteśmy w Polsce. Śpiewaliśmy polskie piosenki, a Doroszkina nam wtórował, chociaż nic nie rozumiał.

Na drugi dzień daliśmy sowieckiemu przyjacielowi wszystkie otręby ze zmielonej pszenicy oraz parę kilogramów ładnej mąki. Pożegnaliśmy się na zawsze. Odjeżdżając powiedział wzruszony: Drodzy bracia Polacy, życzę wam szczęśliwej drogi do Ojczyzny, żyjcie tam dostatnio, jak na wczorajszej uczcie.

Zestaw wagonów towarowych stał na stacji i spisy Poków sporządzone przez przedstawiciela Związku Patriotów ~~Rakskich~~ miejscowego NKWD były gotowe. Odjazd eszelonu czyli transportu z Wierchniej Tawdy przez Swierdłowsk na Ukrainę wyznaczono na 3-go września, a już począwszy od pierwszego ładowano do wagonów według alfabetu całe rodziny i pojedyncze osoby.

Podczas wywózki przed laty ludzi otaczano bojcami z karabinami, siłą wpychano do wagonów i zamykano na sztaby. Teraz sami ludzie wchodziłi do wagonów dobrowolnie, zajmowali miejsca przy szeroko rozsuniętych drzwiach i mieli twarze uśmiechnięte.

Kapitan NKWD i sierżant z odznaką sanitariusza odnotowywali na listach zgłaszających się Polaków i wyznaczali im miejsca w wagonach. W ciągu dwóch dni znajdowało się w pociągu 1075 osób gotowych do drogi. Wśród nich było dużo Żydów polskiego pochodzenia. Ludzie ci nawet między sobą rozmawiali po polsku. Mowy żydowskiej wcale nie było sły-chać, chociaż wygląd i zachowanie ich było typowo żydowskie. Wszyscy jako Polacy pragnęli wrócić do Polski. 3-go września po południu wydano chleb na każdy wagon i wieczorem byliśmy w drodze.

Do Swierdłowska przyjechaliśmy na drugi dzień wieczo-rem i zatrzymano nas na bocznym torze przez całą noc i dzień. Przepuszczane były w pierwszej kolejności transporty z wojskiem i sprzętem wojennym. Dopiero w nocy przejecha-liśmy długi tunel pod górami uralskimi i dostaliśmy się na stronę europejską Związku Radzieckiego.

Nasz transport zmierzał do Kazania. Przejeżdżaliśmy przez wiele miast, które jedynie na mapie łatwo pokazać. Na każdym kroku odczuwało się wojnę. Wszystkie stacje prze-pełnione były wojskiem i ludźmi cywilnymi z tobołkami. W większości kobiety z dziećmi starały się wracać na te-reny opuszczone przez Niemców. Stacje kolejowe z trudem przepuszczały pociągi na zachód. Nasz pociąg często od-stawiano na tory boczne, gdzie staliśmy często po dwa dni i więcej.

Kiedy minęliśmy Kazań, a potem Ulianowsk i zbliża-liśmy się do Penzi, droga stawała się coraz bardziej trudna do przebycia wskutek stłoczonego transportu wojska i sprzętu kierowanego na obszary ofensywy wojsk radzie-ckich na kilku frontach.

Podczas każdego dłuższego postoju naszego pociągu powstawał przy nim jakby obóz. Całe rodziny i poszczególne osoby przyrządzały wtedy posiłki ze swoich zapasów. Roupano małe ogniska, gotowano zupę, herbatę lub smażyło coś na patelni i rondlach.

Na sygnał maszynisty wszyscy musieli być gotowi do drogi. W jednej chwili likwidowano ogniska, zabierano swoje rzeczy do wagonu i czym prędzej wsiadano. Młodzi nie mieli żadnych trudności z wskakiwaniem do wysokich wagonów towarowych, a kobiety i starych trzeba było podtrzymywać i podsadzać. Odbywało się to często na wesoło i z wieloma przygodami, które na następnym postoju komentowano i bawiono się doskonale.

Na wielkiej węzłowej stacji za Penzą, staliśmy cały dzień na bocznym torze. Wyszedłem do pobliskich domów za stacją, aby kupić mleka. Zachodziłem do kilku mieszkań i wszędzie mi odmawiano sprzedaży, chociaż krowy posiadali. Tłumaczono mi, że sami żywią się tylko mlekiem i na sprzedaż nie mają. Dopiero na ulicy starsza kobieta wskazała mi dom na uboczu zapewniając, że tam będę mógł kupić mleka. Zostałem kobietę krzającą się na obszernym podwórku. Zgodziła się sprzedać dwa litry po dwadzieścia rubli. Wdałem się z nią w rozmowę i okazało się, że jest żoną zawiadowcy tej stacji. Niemcy do nich nie dotarli i żyli po staremu. Nie ucierpieli nawet ciężkich bombardowań. Front był z boku w dużych lasach. Musi wam powodzić się dobrze, kiedy mąż jest na takim wysokim stanowisku - zapytałem.

Od razu odpowiedziała:

- Żyjemy od bardzo dawna dobrze i zarzytoczno.

Powiedzcie, co to znaczy zarzytoczno?

No, bogato - odpowiedziała - mamy krowę, szwiejną maszynę, a także patiefończyk. Czego jeszcze więcej potrzeba człowiekowi do szczęścia? - zapytały z uśmiechem.

Tak, - pomyślałam - u nas pani naczelnikowa podobnej stacji jak Kutno czy Siedlce byłaby nieszczęśliwa, gdyby musiała chować i doić krowy oraz szyć na maszynie.

W tej chwili wszedł mąż wracający z inspekcji z okopconym kociołkiem, w którym podczas delegacji gotował kartofle z łupinami. Był również zadowolony z życia, chociaż w nocy koleodzy ukradli mu surowe kartofle i teraz wraca głodny.

Dobrze, że mamy krowę, to całe nasze szczęście - powiedział.

Opuściłem tych ludzi, myśląc, że miarą szczęścia jest bieda. Im więcej człowiek posiada staje się wymyglający i nieszczęśliwy.

Podczas takich postojów nawiązywano znajomości i powstawały się grupy prowadzące dyskusje na różne tematy. Będąc jeszcze w Tawdzie zaprzyjaźniliśmy się z państwem Siemianowiczami, wspomnianymi wcześniej, poznaliśmy także rodzinę Kneblów - małżeństwo i trzech synów. Była to wyjątkowo inteligentna rodzina żydowska. Jakub Knebel z wykształcenia chemik posiadał przed wojną w Zaleszczykach fabrykę win i likierów. Trzymał się również z grupą Polaków opisany poprzednio Mowsza Cypersztajn. Był to ciekawy człowiek pod każdym względem. Gdy Cypersztajn szedł ulicą, podnosił każdy zwinięty papierek w nadziei, że coś tam znajdzie. Rosyjskich Żydów poznawał na odległość. Nawiązywał z nimi kontakt w swoim żargonie, dowiadywał się najnowszych wiadomości, potrafił wszystko kupić i załatwić. Jeszcze w Swierdłowsku, kiedy pociąg jeszcze stał na bocznym torze, udało mi się kupić u rosyjskich Żydów za pośrednictwem

Mieczysława, pięć butelek koniaku za trzy tysiące rubli, a zostały one przeznaczone oczywiście do nawiązania kontaktów z komendantem naszego transportu, kapitanem Fiodorem Stepaniczem Łapczenko.

Okazja do bliższego poznania nastąpiła w Ulianowsku, gdzie zapowiedziano postój na cały dzień. Kapitan Łapczenko z dwoma podoficerami zajmował wagon służbowy przy samej lokomotywie. Nasz wagon z Wyszyńskimi, Siemianowiczami, Kneblami i kilkoma innymi rodzinami miał numer czternasty. W czasie tego postoju komendant z podoficerem pełniącym obowiązki sanitariusza przeprowadzał inspekcję wagonów.

Po opuszczeniu naszego wyskoczyłem za nim na tory i pokazałem w kieszeni butelkę, pytając, czy znajdzie czas spróbować zdobytego specjału? Bardzo ucieszył się i uprzejmie powiedział:

-Proszę poczekać w wagonie służbowym, w tej chwili wracam.

Dalszą inspekcję powierzył podoficerom, a my obaj zabraliśmy się do gruzińskiego koniaku. Po trzech dniach, zanim dojechaliśmy do Penzy, wszystkie butelki były opróżnione, ale już w towarzystwie Siemianowicza, obu Wyszyńskich i Knebla. Niezastąpiony Mietek wystarał się w Penzie parę butelek czystej, siedem wina gronowego i trzy koniaki. Pieńiądze nie wchodziły w rachubę.

W drodze do Woroneża byłem już z kapitanem na stopie przyjacielskiej i zapoznałem się z wykazem miejscowości, do których miały być skierowane poszczególne grupy Polaków.

Rozmieszczanie ludzi miało rozpocząć się za Charkowem. Potem dalej, w okolicach Połtawy, Kijowa i Winnicy. Ostatnie

grupy przeznaczone były pod Kamieniec Podolski i za Teresopol w okolicy Odessy. Nasz wagon przeznaczony był jak uzgodniliśmy w okolicy Kijowa.

Komendant Łapczenko przejęty naszą gościnnością pozwolił mi wybrać dowolną miejscowość na osiedlenie. Oczywiście cały czas nam o to chodziło i wybraliśmy Kamieniec Podolski najbliższy punkt do Polski.

Pewnego razu za Woroneżem staliśmy długo na wielkiej stacji węzłowej, gdzie zgromadziło się dużo pociągów z woj-
skiem. Na wolnym placu przed pociągami ludzie palili ogniska. Jedni gotowali, inni zbierali na torach kawałki desek na opał lub stali grupkami i rozmawiali. Wracając właśnie z wagonu służbowego i usłyszałem podniesiony głos Mowszy Cypersztajna, jak wymyślał Kneblowi. Ten wcale na to nie reagował, stał spokojnie oparty o słupek i przyglądał się Mowszy, jakby pierwszy raz go widział. Obok utworzyło się koło znajomych. Cypersztajn mocno wzburzony stał przed Kneblem i krzyczał:

- Ty nie chcesz znać Żydów, z nimi nie rozmawiasz, ty uważasz, że jesteś lepszy i mądrzejszy od nas wszystkich. Ty Żydami gardzisz, trzymasz się tylko z panem Kozłowskim i Siemianowiczem i z nimi dyskutujesz. Powiedz, ja ciebie zapytuję, czy tak postępuje Żyd? Ja cię jeszcze w Tawdziej przejrzałem, coś ty za Żyd.

Jakub Knebel podszedł do niego bliżej, wzruszył szerokimi ramionami i powiedział:

- Słuchaj Cypersztajn, wcale Żydami nie gardzę, a z tobą nie utrzymuję stosunków, bo nie potrafisz utrzymać żadnej tajemnicy. Na to Mowsza poderwał się, wystawił garbaty nos do przodu i zapytał:

- Powiadasz, że ja nie umiem utrzymać żadnej tajemnicy? Ja fabrykant z Warszawy? Mnie znali najwięksi przemysłowcy w Polsce, ja wiem, co to tajemnica.

Knebel znowu spokojnie odpowiedział: - Ja jednak twierdzę, że tajemnicy nie umiesz zachować.

Kiwnął na Mowszę palcem, nachylił się do ucha i coś szeptał. Ten od razu odskoczył, wyciągnął rękę i palcem wskazując Knebla krzyczał:

/ Ty, ty nie powinieneś być Żydem. Ty jesteś świnia-zakończył.

Knebel dalej stał spokojny oparty o słupek przy torze.

Roztrzęsiony Cypersztajn rozejrzał się dokoła po stojących ludziach i prawie z płaczem zapytał: Czy wiecie, co on mi powiedział?

Odsapnąwszy wyrecytował jednym tchem: On powiedział mi, pocałuj mnie w d...

Knebel powoli na to: A nie mówiłem, że nie potrafisz dotrzymać tajemnicy? Wyraźnie ci mówiłem, nie mów tego nikomu. Wszyscy pokładali się ze śmiechu i na wielu postojach powtarzano tajemnicę Cypersztajna.

W Charkowie na dworcu pierwsze 150 osób pozostało ze swoimi bagażami. Czekają na nich traktory z przyczepami i odwiozły do wyznaczonych kołchozów. Przejeżdżaliśmy przez tereny objęte ustępującym frontem, miasta i wsie były zupełnie spalone, miejscami stały tylko kominy, a po wielu osadach kupa gruzu z opalonymi belkami. Na polach wszędzie widniała dojrzała pszenica i piękne zielone buraki cukrowe. Niemcy nie zdążyli zasypanych zbóż zebrać.

Od Połtawy przez Kijów na większych stacjach wysadzane były coraz to większe grupy Polaków do zasiedlenia w kołchozach. Do Winnicy dotarliśmy za ledwie z kilkoma wagonami.

Przy ciągłych postojach i rozjazdach nasza podróż trwała już przeszło miesiąc. Za wszelką cenę pragnąłem dostać się jak najbliżej Polski. Rozmyślałem ciągle po nocach w wagonie, jak wyrwać się ze Związku Radzieckiego? Tym bardziej, że Stachna była w zaawansowanej ciąży.

Do dalszej drogi z Winnicy pozostały tylko dwa wagony. Jeden miał być odprawiony do Sewastopola w okolice Odessy, a drugi pod Kamieniec Podolski blisko polskiego Koszatyna, gdzie przebiegała dawna granica ze Związkiem Radzieckim. W dowód zaufania komendant Łapoczenko upoważnił mnie na piśmie do odprowadzenia naszego wagonu z ludźmi do końcowej stacji Smotrycz.

Kapitan z podoficerami odjechali do Sewastopola, a nas do-
czepiono do pociągu na Smotrycz pod Kamieńcem Podolskim. Po dwóch dniach byliśmy na miejscu, gdzie czekały na nas dwa wielkie samochody ciężarowe z przyczepami i zawiozły do dużej osady Jaromirka. Jechaliśmy przez parę godzin oglądając piękne sady ciągnące się całymi kilometrami. Na wszystkich drzewach było pełno dojrzałych owoców, a pod spodem nie widać ziemi od opadów.

W Jaromirce znajdował się wielki kombinat przetwórstwa owocowego, zatrudniający parę tysięcy ludzi. Dostaliśmy kwatery w kilku domach, blisko zakładów przetwórczych. Już pierwszej nocy nie mogliśmy spać spokojnie. Dokoła sły-
chać było strzały broni maszynowej i wybuchy granatów i świeciły żuny pożarów. Sądziliśmy, że to walki z resztkami cofających się Niemców. Dopiero rano miejscowi ludzie opowiedzieli, jak toczy się życie w tych okolicach. U

Ukraińcy należący do organizacji nacjonalistycznych nie

uciekli z Niemcami i toczyli walki partyzanckie z władzą radziecką, a w pierwszym rządzie palili i mordowali Polaków zamieszkujących terytory.

Na drugi dzień wieczorem nasi Polacy zebrali się w wielkiej świetlicy zakładowej, aby wzajemnie porozmawiać o istniejącej sytuacji. Po paru minutach usłyszeliśmy w pobliżu serię karabinów maszynowych i ciągłe wybuchy granatów. W odległości pół kilometra płonąła wielka wieś. Łuna oświetlała całą okolicę i widno było jak w dzień. W ciągłej strzelaninie wyraźnie wyróżnialiśmy krzyki ludzi.

Zebrani w świetlicy byli przerażeni. Kobiety na głos modliły się, a młody Żyd Hersz^{ka}czogocki zaczął biegać po wielkiej sali i krzyczeć:

- Kto ma butelkę, kto ma butelkę, dajcie mi butelkę.

Potem stanął jak słup na środku sali i po chwili zobaczyliśmy u niego całe spodnie zalane od paska do ziemi. Klepnął się ręką po mokrych spodniach i krzyknął: - Już zginąłem. Już po mnie. Giewałt.

Po godzinie przybiegł przed naszą świetlicę mały chłopiec z krzykiem - mamkę i tatkę zabili Ukraińcy. Uciekłem w kartofle przez okno i widziałem jak do nich strzelali. Po naradzie ze Stachną postanowiliśmy stąd uciekać. Po dokładnym jednak zastanowieniu było to niemożliwe. Mogliśmy sami łatwo wpaść w ręce Ukraińców. Sledziłem dokładnie gazety i wiedziałem, że Białystok jest wolny i dawno został ogłoszony Manifest Lipcowy, front zaś przesunął się daleko na zachód od wschodnich ziem Polski.

Prawie wszyscy Polacy byli zatrudnieni w kombinacie. Roboty było dużo na różnych stanowiskach.

Pierwsza dekada października mijają już, a zboże na polach było ciągle nie sprzątnięte. Otaczające sady pokrywała dojrzale owoce. Mnóstwo jabłek i gruszek leżało jedne na drugich i gniły.

Jedynie Ela nie bała się Ukraińców. Wybiegała stale do sadu i dziwiła się patrząc na jabłka i śliwki i wołała:

- O, Boże, ile tu kasztanów. Owoców na drzewach nme widziałam i dotąd ich nie jadłam.

Zwlekałem z pójściem do roboty. Tłumaczyłem naczelnikowi, że jestem nauczycielem i nie ma tu dla mnie odpowiedniego zajęcia, a równocześnie myślałem, jak wycofać się i wydostać do Białegostoku.

Dawniejsza granica na Zbruczu była bliźutko, w porównaniu z tym, co przebyliśmy. Doszedłem do wniosku, że przez teren opanowany przez UPA, można przedostać się tylko z wojskiem radzieckim. Ze swoim planem zwierzyłem się najbliższemu, ale obaj Wyszynscy i Kneblowie woleli pozostać na miejscu pod ochroną NKWD niż narażać się na wielkie niebezpieczeństwo.

Na wyjazd ze mną zgodzili się Siemianowiczowie, Herszycze-
gocki i ośmioro innych ludzi pochodzących z Małopolski. Razem czternaście osób, w tym kilkoro dzieci. Po powzięciu decyzji wziąłem butelkę koniaku i trzy tysiące rubli i udaliśmy się ze Stachną do mieszkania dyrektora kombinatu. Przedstawiłem mu, że żona jest w ciąży, oboje jesteśmy nauczycielami, a moi krewni, to ludzie niezdolni do pracy i proszę, aby pozwolił nam udać się do Lwowa na komisję repatriacyjną. Dałem mu od razu koniak i trzy tysiące podkreślając, że to wstytoko, co posiadamy. Nie odmówił upominku. Wystawił żądane zaświadczenie i kazał kierowcy odwieźć

nas do Smotrycza.

Na drugi dzień koło południa siedzieliśmy ze swoimi tobołkami przy szosie za Smotryczem i wyglądaliśmy samochodów wojskowych w kierunku Kuszatyna. Przed wyjazdem z Jaromirki zaopatrzyliśmy się w machorkę i papierosy, które mieliśmy teraz w pogotowiu żołnierzom radzieckim. W tym kierunku często przejeżdżały samochody załadowane po brzegi, ale nie chciały się zatrzymywać.

Po godzinie oczekiwania, nasze kobiety zatrzymały trzy samochody z żołnierzami i zabrali nas chętnie jako repatriantów. Poczęstowaliśmy ich papierosami i przed zachodem słońca wysiedliśmy przed czerwonym kościołem w Kuszatynie. Zdawało się nam wszystkim, że nareszcie znajdujemy się już w Polsce, bo przekroczyliśmy granicę polsko-sowiecką. Ucałowaliśmy się wszyscy ze wzruszeniem i weszliśmy do kościoła razem z Herszem, aby podziękować Bogu za przeprowadzenie nas, wyprowadzenie z domu niewoli. Miejscowy ksiądz przygotował nam nawet posiłek i zapewnił nocleg. W ciągu następnych dwu dni dotarliśmy samochodami wojskowymi do Tarnopola. Całe centrum miasta przedstawiało wielką kupę gruzów. Nad ruinami górował majestatycznie wcale nie uszkodzony czerwony gotycki kościół. Przenocowaliśmy na przedmieściu, gdzie zachowały się małe budynki mieszkalne.

W Tarnopolu zmniejszyła się nasza grupa. Pani Trientiaczek z synem skierowała się w stronę rodzinnego Dubna. Hersz Szczegocki spotkał dwie rodziny Żydowskie i pozostał z nimi, małżeństwo Kolmanów z dwojgiem dzieci zatrzymało się u krewnych, aby później dostać się do rodzinnych Kopyczyniec.

Do dalszej drogi w stronę Lwowa pozostało nas siedmioro. Postępowaliśmy wypróbowanym sposobem. Mężczyźni obciążeni tobołkami stali przy rowie, a kobiety starały się zatrzymać samochody ciężarowe.

Po trzech dniach byliśmy we Lwowie. Siemianowiczowie odnaleźli swoich krewnych, którzy nas przenocowali jedną tylko noc. Dłużej obawialiśmy się zatrzymywać, gdyż funkcjonariusze NKWD przeprowadzali częste kontrole mieszkań i wykapywali podejrzane osoby.

Z samego rana wyszliśmy na szosę zachodnią w kierunku na Zamość. Po wielu przesiadkach z jednych samochodów na drugie udało się nam dojechać do Rawy Ruskiej. Tu nastąpiła przerwa w podróży. Sowieci otworzyli na ziemiach polskich nową granicę i zatrzymali całkowicie ruch ludności, a przechodziły tylko transporty wojskowe.

Zamieszkaliliśmy na przedmieściu u samotnej kobiety i rozpoczęła się bieganina po urzędach. Byłem przekonany, że uda się otrzymać zezwolenie na wyjazd do Polski. Tymczasem nic nie wyszło. Urzędnicy pochodzili z miejscowych terenów, ale z nami nie chcieli nawet rozmawiać po polsku. Bez żadnych dyskusji kazano czekać na utworzenie komisji repatriacyjnej, o której nic nie wiedziiano.

Był już początek listopada i zbliżała się rocznica rewolucji październikowej. Stachna w grudniu spodziewała się dziecka. W tej sytuacji położenie nasze stawało się krytyczne. Za wszelką cenę postanowiłem dostać się do krewnych w Białymstoku.

Kobieta wynajmująca nam pokój miała kontakty z oficerami ze straży granicznej i poradziła, udać się do komendanta placówki, który za opłatą na pewno zgodzi się przepu-

ścić nas przez granicę—dodała przy tym, że sprawa powinna być załatwiona pomyślnie, bo na święto potrzebuje pieniędzy na wódkę.

Pod wieczór tego samego dnia poszliśmy oboje ze Stachną do mieszkania komendanta straży granicznej. Za przepuszczenie wszystkich żądał 10000 rubli. Mogliśmy dać tylko 5000 i dlatego zgodził się przepuścić przez granicę jedynie nas dwoje z dzieckiem. Nasi przyjaciele musieli poczekać na komisję repatriacyjną, która miała rozpocząć działalność w grudniu, jak nas zapewniał komendant.

W nocy przyszliśmy na strażnicę dworcową. Niosłem na plecach w prześcieradle poduszkę i pierzynę, a w ręce starą walizkę z resztkami ubrania i bielizny. Stachna opiekowała się żywnością, a Ela pilnowała czerwonego czajnika do gotowania wody.

Kapitan wyprowadził nas na peron, przy którym stał długi pociąg towarowy. Przywołał komendanta tego transportu i wskazując na nas powiedział:

Ci ludzie udrali z Polski do Związku Radzieckiego, musicie zabrać ich do Polski i przekazać władzom w Zamościu.

Komendant pociągu, podoficer o skośnych oczach i płaskim nosie wyprężył się służbiście i powoli wyrecytował:

— Tak toczno, towarzyszu kapitanie. Już ja ich dopilnuję, nie pozwolę im uciec.

Weszliśmy do wagonu służbowego z szeroko rozsuniętymi drzwiami, gdzie na słomie leżało trzech bojców o rysach mongolskich i umieściliśmy się przy ścianie, zaraz potem pociąg ruszył.

Gdy na dobre rozwidniło się na stacjach zaczęli wsia-

dać do wagonu różni Polacy. Chciałem wdać się z niektórymi w rozmowę, ale mój opiekun postawił przy nas bojca z karabinem i powiedział:

-Jesteście aresztowani i przekażę was komendantowi Zamościa. Teraz nie wolno wam z nikim rozmawiać.

Byłem na dobre wystraszony, bo domyśliłem się, że komendantem musi być funkcjonariusz NKWD, a jechaliśmy bez dokumentów z Ukrainy i tego nie da się ukryć.

Zbliżaliśmy się coraz bardziej do Zamościa i ku naszej radości wsiadło do wagonu pięciu żołnierzy polskich. Z ich rozmowy wynikało, że byli pod Lenino. Od razu zwróciłem się do nich:

-Pomóżcie nam, wracamy z Syberii. Ten kałmuk aresztował nas i chce przekazać komendantowi miasta. Mogą nas znowu zabrać, bo wracamy bez zezwolenia bolszewików.

Zarówno polscy wojskowi, jak i cywile byli mocno oburzeni na sowieckich żołnierzy i pocieszyli, że będą nam pomagać przy wysiadaniu w Zamościu.

Było około kilometra do stacji, gdy z pobliskich krzaków wypadł zajęc na otwartą przestrzeń blisko pociągu. Komendant pociągu stojący w rozsuniętych drzwiach zaczął do niego strzelać z pepeszy. Moment wykorzystali polscy żołnierze, otoczyli bojców i urządzili awanturę, że sierżant strzelał do ludzi. Cywile podnieśli wielki hałas, powstało w wagonie zamieszanie i w tej chwili pociąg wjechał na stację. Kilku mężczyzn pomogło nam wysiąść i wskazali nam boczną drogę, którą zaczęliśmy uciekać. W tym czasie grupa krasnoarmiejców biegła komendantowi na pomoc.

Stacja została za nami z wrzeszczącym kałmukiem:

- Dzierżi bieżeńców, dzierżi bieżeńców.

Widok uciekających przedstawiał się osobliwie. Stachna z brzuchem pod brodę, ja z węzłkiem pościeli w jednej ręce w drugiej stara walizka związana sznurkiem, do tego na głowie czapka z nausznikami przerobiona z kapelusza. Za nami biegła pięcioletnia Ela ze swoim czajnikiem.

Po stu metrach wyczerpującego biegu skryliśmy się za budynkami. Po pewnym czasie dobrnęliśmy do pobliskiego kościoła i przy małym domku odpoczęliśmy w przekonaniu, że już nam nic nie grozi. Tu zostałem przy naszym bagażu, a Stachna zdecydowała się pójść z Elą na plebanię prosić proboszcza o udzielenie nam pomocy. Niedługo tam bawiła. Widocznie sam widok kobiety nędznie wyglądającej z dzieckiem wywołał u proboszcza wrażenie żebraków i nie zainteresował się nami. Odesłał do swojego kościelnego.

Na szczęście kościelny okazał się porządnym człowiekiem. Zaopiekował się nami jak tylko mógł. Karmił nas, nagrzał wody do porządnego umycia się w drewnianym szafliku, a potem przemocował, ustępując miejsca na własnym tapczanie.

Po śniadaniu pożegnaliśmy gościnnego staruszka i udaliśmy się do miasta z myślą o dalszej drodze.

Na rynku kupiłem Eli ciastko, spróbowała i nie chciała jeść. - Tuśku, kup mi żrzepę, tak bym ją zjadła - prosiła. Przygodne panie zainteresowały się nami i zaprowadziły do komitetu opieki społecznej. Zorganizowano nam nocleg i gorące posiłki, a po tych ostatnich przeżyciach odpoczęliśmy w Zamościu aż dwa dni.

Na trzeci dzień z samego rana byliśmy już na szosie do Krasnego Stawu. Udało się zatrzymać samochód z żołnie-

rzami sowieckimi, którzy za dwie paczki machorki zawieźli nas do Lublina. Na stacji był wielki tłok, pociągi kursowały bez rozkładu w zależności od transportów sowieckich udających się w kierunku frontu.

Po kilku godzinach oczekiwania w ciżbie ludzkiej udało się nam wsiąść do pociągu osobowo-towarowego do Siedlec, gdzie czekała męcząca przesiadka. W Siedlcach trzeba było złapać pociąg do Sokołowa, a stamtąd do Małkini i Białystok byłby na prostej linii.

Tymczasem w Siedlcach przeżyliśmy groźne chwile, gdzie o mało nie zabrali nas Sowieci z powrotem do Związku Radzieckiego. Na dworcu zostawiłem Stachnę z Elą przy bagażu, a sam poszedłem do kolejarzy na peron dowiedzieć się o możliwościach dalszej podróży. Zostałem zatrzymany przez patrol dworcowy złożony z funkcjonariusza NKWD i polskiego milicjanta z czerwoną opaską. Dokumentów nie miałem, a sam wygląd wydał im się podejrzany.

Powstała sensacja i zbiegowisko ciekawych. Rosjanin głośno twierdził, na pewno mamy szpiona, to dywersant niemiecki.

Razem z nimi przyszedliśmy do Stachny. Zrewidowali nas w poszukiwaniu broni i dla wyjaśnienia sprawy NKWD-dzista zażądał, abym udał się z nimi do sowieckiego komendanta miasta. W zdenerwowaniu pokazałem im zaświadczenie wydane mi przez dyrektora kombinatu w Jaromirce, ale to pogorszyło tylko sprawę. Sowiecki stróż nabrał przekonania, że wpadł na ślad jakiejś większej afery, bo wchodzi w grę dyrektor kombinatu na Ukrainie. W dodatku została nielegalnie przekroczona granica Związku Radzieckiego, co już jest wielkim przestępstwem -dowodził. Musicie być

z powrotem odstawieni na Ukrainę, gdzie sąd wojenny rozpatrzy, co wy za jedni-zakończycy.

Najpierw zabrano mnie na najbliższy posterunek milicji, a wystraszona Stachna z Elą zostały na dworcu. Na posterunku znajdowało się około dziesięciu polskich milicjantów. Widząc, że sprawa nabiera dla mnie krytycznego obrotu, zwróciłem się do nich:

-Panowie, czy nie widzicie, że jesteśmy pierwszymi Polakami, którym udało się wyrwać z sowieckich łagrów na Syberii? I wracamy teraz do rodziny w Białymstoku? W dodatku żona wkrótce spodziewa się dziecka, chyba nie pozwolicie, aby nas z powrotem zabrali do więzienia? Może i z waszych bliskich ktoś się tam znajduje? - dodałem.

Milicjanci wzięli do serca moje słowa. Komendant posterunku zapytał, dlaczego wywieźli nas z Syberii na Ukrainę?

Opowiedziałem im wszystko, a nawet o rozporządzeniu Stalina, dotyczącym Polaków na Syberii i ze względu na żonę w ciąży dyrektor kombinatu na Ukrainie pozwolił nam jechać do Polski na własną rękę przed utworzeniem komisji repatriacyjnej. Na dowód tego przeczytałem im zaświadczenie z Jaromirki.

Po wysłuchaniu moich wyjaśnień komendant oświadczył Sowietowi, że jestem w porządku i należy mnie zwolnić. Ten jednak był innego zdania. Żądał stanowczo odprowadzenia mnie do komendy miasta. Wywiązała się między nimi słowna utarczka i NKWD-dzista wyszedł po posiłki mówiąc:

- Odpowiedcie mi za to, a ci przestępcy i tak nam nie uciekną.

Po wyjściu Rosjanina komendant posłał zaraz dwóch mili-

ejantów po Stachnę z Elą. Byli przejęci naszym widokiem. We dwójkę zaprowadzili nas do wypalanej dzielnicy miasta i ukryli na drugim piętrze w pokoju bez okien. Między gruzami przesiedzieliśmy do wieczora. Szerówką przyszedł milicjant i zaprowadził nas na przedmieście do swojej rodziny. Na tabliczce domu zauważyłem napis - ulica Młecała 5.

Naszym opiekunem był Jan Sienkiewicz z zawodu krawiec. Okazało się, że stryj tego milicjanta był także wywieziony z rodziną na Syberię, ale nie było o nim żadnej wiadomości. W domu zastaliśmy żonę milicjanta, ojca i troje małych dzieci. Zajęli się nami bardzo serdecznie. Nie tylko nas karmili, ale urządzili kąpiel w bali i pozwolili uprać bieliznę.

Na drugi dzień nasz opiekun udał się ze mną do urzędu miejskiego, gdzie wydano mi zaświadczenie, że odwożę swoją rodzinę do Białegostoku, a sam udaję się do Wojska Polskiego. W ten sposób zabezpieczyłem się przed kontrolami sowieckimi. Ojciec uczynnego milicjanta dopomógł nam wsiąść do pociągu idącego przez Sokołów do Węgrowa i dalej na Warszawę. W Sokołowie czekała nas znowu przesiadka. Przez wiele godzin nie było żadnego pociągu. Dopiero nad ranem nadszedł transport siana. Długo stał na stacji. Zdecydowałem się jechać na tym sianie. Było tylko do przodu.

Poprosiłem sowiecką obsługę pociągu, żeby nas zabrali ze sobą. Za trzy paczki machorki zgodzili się zawieźć do Tremblinki pod Małkinię, bo w Tremblince pociąg omijał zerwany most na Bugu i skręcał do Warszawy. Musieliśmy wdrapać się na siano jak na bardzo wysoką

furę. Przy pomocy żołnierza sowieckiego udało mi się wwinąć Stachnę na wierzch wagonu. Za nią sam wgramoliłem się z Elą i wciągnąłem piezzybę z poduszką. Na ziemi została walizka. Poprosiłem bójca przy wagonie, aby mi ją podał. Marnie wychyliłem się w dół, on już uciekał z naszą walizką w stronę dworca, a pociąg ruszał w przeciwną. Zabrał moje ostatnie spodnie, bieliznę Eli i ostatnią koszulę Stachny. Najbardziej żał mi było angielskiej brzytwy.

W Tremblince szczęśliwie zeszedliśmy z tego siana. Stachna tak była wymęczona, że musiałem od niej zabrać torbę z żywnością. Skradzioną walizka byłaby teraz dla mnie ogromnym balastem i przestałem jej żałować.

Trzeba było przejść pieszo sporo kilometrów do przewoźniczego mostu na Bugu, aby dostać się do Maikini. Stachna poruszała się powoli. Niosłem na plecach pościel zawiązaną w prześcieradło, a w rękach torbę z resztkami naszego bagażu i żywnością. Wyglądałem jak potworny pajak z wielkim jajem na karku poruszający się po szosie. Najgorzej było z Elą. Oświadczyła z płaczem:

-Tuszku, już dalej iść nie mogę. Podnieś mnie chociaż kawałek, albo tu pod drzewem będziemy spać.

Wyciągnąłem z torby ostatnie kawałki cukru lodowego, który kupiłem jeszcze w Tawdzie u Kirgiza i zawarłem z nią umowę. Za każde dziesięć słupów przy szosie dostanie jeden kawałek cukru, ale sama musi liczyć słupy i nieść swój czajnik. Umowa została dotrzymana i pod wieczór dobrnęliśmy do Maikini.

W nocy przyjechaliśmy pociągiem towarowym do Szepietowa, w to samo miejsce, gdzie wywieziono nas na Sybir. Pociągi

dochodziły tylko do Łap. Na Narwi most całkowicie zerwany uniemożliwił przejście nawet dla pieszych. Przygodną chłopską furą wróciliśmy do Hodyszewa. Nasza dawniejsza gospodyni Maria Pruszyńska przyjęła nas z płaczem i porytymi rękoma. Nikt nie przypuszczał, że żyjemy. Z pozostawionych rzeczy w czasie wywózki nic nie zostało. Całe nasze mienie od razu skonfiskowali Sowieci. Ksiądz proboszcz Dąbrowski zmarł. Ze wzruszeniem wspominaliśmy go, jak pamiętnej nocy podczas wywózki błogosławił nas krzyżem z parapianu kościelnego.

Z Hodyszewem nic nas nie łączyło. Po dwóch dniach odpoczynku zostawiliśmy Elę pod opieką pani Pruszyńskiej, a sami udaliśmy się pieszo 15 kilometrów do Sokoła na szosę białostocką, samochodem wojskowym dotarliśmy wreszcie do Białegostoku.

Jak wielkie szczęście miałem, że nie udało się nas schwytać sowieckim NKWD - dzistom, dowiedziałem się dopiero w 1947 roku, po spotkaniu w Białymstoku z kilkoma Polakami repatriowanymi z naszego wagonu. Opowiadali mi wściekłość kapitała Łapczyński, kierownika naszego transportu, kiedy wracając z Sewastopola przeprowadzał kontrolę przesiedlonych Polaków do pracy w poszczególnych miejscowościach na Ukrainie i nie zastał mnie oraz mojej grupy przy pracy w Jaromirce. Na ogólnym zebraniu oświadczył:

- Zesłaniec Wiktor Kozłowski, jako przywódca innych buntowników nie docenił łaski naszego wielkiego Stalina, który darował im przestępstwa wobec niezwyciężonego Związku Radzieckiego i pozwolił tu na Ukrainie pracować, a nawet po wojnie wrócić do Polski. Będzie on na pewno schytany i osądzony przez sąd wojenny sprawiedliwie, - twierdził, że w

ten sposób zdobył on podstępnie jego zaufania i w chwili kiedy dobijamy faszystów w ich gnieździe-zdezerterował i innych pociągnął za sobą. Jestem przekonany, że przestępstwo Wiktora Kozłowskiego zostanie surowo ukarane. Będzie dla was wszystkich nauczka, jak należy cenić dobrodziejstwa okazywane Polakom przez wielki Związek Radziecki.

W czasie okupacji kuzyni Rainkowie byli wielokrotnie przesiedlani przez Niemców i dopiero po paru godzinach poszukiwań znaleźliśmy ich na ulicy Augustowskiej.

Już z korytarza usłyszeliśmy głos ciotki Kazi. Po chwili wyszła do nas z kawałkiem chleba. Nie poznała nas. Sądziła, że prosimy o wsparcie. Po powitaniach dowiedzieliśmy się, że wszyscy znajomi uważali nas za nieżyjących.

Wiadomość o bombardowaniu naszego transportu podał kuzynom mchz znajomy, który był także zamknięty w tym pociągu i cudem uciekł z rozbitego wagonu.

Na drugi dzień Stachna poczuła się źle i zaprowadziłem ją do szpitala na ulicę Warszawską. Nie przypuszczaliśmy, aby miała rodzić. Powierzyliśmy ją opiece kuzynów, a sam udałem się z powrotem na piechotę do Hodyszewa po Elę. Idąc ulicą Suraską w kierunku Łap spotkałem Francuza wracającego z niemieckiego obozu, który sprzedał mi wieczne pióro za ostatnie 200 rubli.

Tak nasza syberyjska fortuna całkowicie rozeszła się w ciężkiej podróży do Polski. Do Hodyszewa miałem przeszło 50 kilometrów. Kiedy znalazłem się daleko za Białymstokiem na błotnistym gościńcu poczułem się nagle samotny i opuszczony. Listopadowa szaruga dodawała ponurego nastroju. Miałem przed oczyma naszą podróż, kiedy dniami i nocą opiekowałem się Stachną w ostatnim miesiącu ciąży, a do tego

pięcioletnią Elą i całym naszym mieniem. - tobołek z pieczywą, poduszką i kocem oraz walizką z resztkami bielizny. Był też czerwony czajnik do gotowania wody, ale nim opiekowała się Ela. Stachna mogła zająć się jedynie podręczną torbą ze skromnym zapasem żywności. Nie mogłem pozbyć się myśli, które uparcie przypominały ostatnie przeżycia. Znanym opowiadałem tylko, że przebyliśmy drogę z dalekiej Ukrainy, od Smotrycza pod Kaniwcem Podolskim do Kusiatorynia przy granicy polskiej, potem do Tarnopola, Lwowa i Rawy Ruskiej, gdzie Sowieci utworzyli nową granicę. Stamtąd po wielu tarapatach dotarliśmy do Zamościa, Lublina, Sokółki, Tremblinki i Małkini, no i wreszcie przez Szepietowo do Hodyszewa.

Był to nasz autostop, tylko, że nie była to wycieczka, a zabiedzeni wracaliśmy z Syberii do Ojczyzny. Podróż ta była ogromnym wysiłkiem zważywszy, że odbywaliśmy ją w czasie radzieckiej ofensywy u granic Niemiec, przedzierając się przez transporty wojsk pod nadzorem NKWD.

Człapiąc po błocie rozpamiętywałem każdy odcinek tej potwornej naszej podróży. Podjeżdżaliśmy najczęściej samochodami z wojskiem, które nas podwoziły jako uchodźców z terenów objętych frontem. Jechaliśmy też furami chłopskimi, byle do przodu. Coraz bliżej domu. Była to droga wyboista i bardzo ciernista. Za każdym razem z wielkim trudem musiałem podsadzać Stachnę na samochód ciężarowy czy na zwykłą furę. W tym celu klękałem na kolana, podpierałem się rękoma i po mnie jak po stołku z trudem windowała się do góry. Mała Ela wszystko to widziała i komentowała jak osoba dorosła, powtarzając nasze zasłyszane słowa. Z wielkim przejęciem przestrzegała, abym ostrożnie

Muszkę podsadzał, bo mały dziidzius w brzuchu może być zgnieciony. Zaś kiedy samochód podskakiwał na wybojach i wszyscy kolebali się, Ela zanosila się płaszem, że to Muszka zaszkodzi.

Rozpamiętując to wszystko, zapomniałem o przemoczeniu jesienną słońcą, pogodzie i ciągle szedłem do przodu po Elę. Po południu zjadłem ostatni kawałek chleba z serem i już o zachodzie mijałem wieś Poświętne. Bardzo chciałem zajść do jakiejś chaty i poprosić o odpoczynek w ciepłej izbie, a przy tym tak chętnie wypiłbym kubek mleka z chlebem. Rozmyśliłem się jednak. Spotkanego gospodarza zapytałem:

-Jak daleko jeszcze do Hódyszewa?

Poskrobał się za uchem, popatrzył na mnie i powiedział:

- Na wprost, polnymi drogami, jak to chodzą nasi do cudownego obrazu, to będzie trzynaście kilometrów, ale gościńcem dużo dalej.

To jeszcze kawał drogi - pomyślałem. Muszę jeszcze dziś uścisnąć Elę. Ona na mnie przecież czeka.

W drodze mocno otarłem nogę i czułem się wyczerpany zanim dotarłem na miejsce. Na drugi dzień udałem się na koleinie do znajomego gospodarza z prośbą o odwiezienie mnie z Elą do Białegostoku.

Siedzieliśmy z całą rodziną przy stole, kiedy dał się słyszeć głośny stuk na strychu. Gospodarz wybiegł do sieni i zaraz wrócił z powrotem, a za nim weszło do mieszkania dwóch krępych sowieckich żołnierzy. Nieśli przed sobą kawały słoniny, którą zrabowali na strychu. Na pasach mieli rewolwery, a w garści sprężynowe noże. We drzwiach zaczęli krzyczeć:

-Ghoziain, dawaj wódkę.

Gospodyni zaczęła prosić, aby nie zabierali jej wszyst-
kiej słoniny i zostawili trochę dzieciom, ale ci nie
zwracali na prośby żadnej uwagi. Trzymali noże w rękach,
plądrowali mieszkanie za goriełką i za kominem znale-
źli bańkę z zacierem do destylacji spirytusu i zaraz
się tym opili.

W tym momencie coś mnie podkusiło i odezwałem się:
-Sowièccy żołnierze bronią ludzi, a nigdy nie krzywdzą.
W jednej chwili zobaczyłem rewolwer wycelowany do mnie,
drugi podbiegł i przyłożył mi nóż do gardła wołając:

-Kto ty takiej, na pewno szpion. Nadsza go zareznać.

Gospodyni wystraszona zaczęła błagać, żeby się zlitował
i nie zabijał, bo to nasz nauczyciel, który tylko przed
paru dniami wrócił z więzienia od Germanca, a został u-
wolniony przez Czerwoną Armię, więc jak może być szpionem.
Bojce odjął nóż od krwawiącej szyi i pogroził mi:

-Pamiętaj sukinsyn, drugim razem nie ujdzie ci na sucho
krytykowanie sowieckich komandosów.

Po opróżnieniu bańki z gęstą brają, zabrali słoninę i po-
szli na przełaj w kierunku zachodnim.

Wszyscy nie mogliśmy przyjść do siebie. Dopiero po wy-
piciu paru kieliszków mocnego bimbru, który gospodarz
przyniósł z za stodoły, zaczęliśmy rozmawiać normalnie.
Zastanawialiśmy się nad ksprysem losu, który mógł sprawić,
że po wielu bombardowaniach i przeżyciach na Syberii, gdzie
nieraz życie moje wisiało na włosku, teraz mało brakowało,
a bym zginął u kresu wędrówki, pozostawiając małą Elę bez
opieki.

Droga do Białegostku z Elą, z naszym syberyjskim
majątkiem, pozostawionym u pani Pruszyńskiej utkwiała mi

na zawsze w pamięci.

Od samego Hodyszewa konie ciągnęły wóz po błocie noga za nogą. W rozmiękłych wybojach zalanych wodą koła zapadały się po osie i nawet bat nie pomagał do przyśpieszenia jazdy. Ela otulona w pierzynę często zasypiała, a kiedy wysunęła nas ze swego gniazda, rozglądała się na wszystkie strony i domagała się, aby pozwolono jej trzymać lejce i powozić. Obaj z gospodarzem całymi godzinami gawędziliśmy o swoich przeżyciach. Ja opowiadałem o Syberii, a on o okupacji niemieckiej. Przez cały dzień zdołaliśmy dojechać do wielkiej wsi Borowskie, około 10 kilometrów od Białegostoku. Konie całkowicie wyczerpane odmówiły posłuszeństwa i stanęły rozkraczone na drodze. Musieliśmy im dać odpoczynek i pokarmić, aby mogły dociągnąć nas na miejsce. W zapadającym mroku zaszedłem do dobrze wyglądającego domu, prosząc o nocleg. Kiedy jednak gospodarze usłyszeli, że nie jestem sam i z furą i małym dzieckiem, odmówili, tłumacząc chorobą babki i zbyt małą kuchnią na pomieszczenie tylu osób. O pokojach nic nie mówiono, chociaż przez otwarte drzwi widziałem ich kilka.

Podobnie odmówiono mi w dwóch innych domach. ~~Byłem~~ byłem zły na tych ludzi, ale bardzo zasmucony brakiem serca, bo czegoś podobnego nie spotkałem mnie na Syberii. Tamci ludzie sami przeszli wiele biedy i potrafili okazać współczucie polskim zesłańcom.

Zmartwiony zacząłem pytać o sołtysa. Zostawiłem furę na ulicy, zabłocony szukałem władzy tej niegościnniej wsi. Po pół godziny znalazłem go na drugim końcu, który pozwolił zajeżdżać na swoje podwórko. W kuchni poczęstowano nas nawet zacierką z mlekiem. Ela szybko zasnęła na swo-

jej pierzynie przy ciepłym piecu, a my długi czas rozmawialiśmy z gospodarzami. Ze zdziwieniem usłyszeli, że mają u siebie Sybiraków wracających z wygnania. Bardzo im było przykro za swoich sąsiadów, którzy tak nieludzko odprawili nas od drzwi swoich. Głównie oburzona była młoda żona sołtysa, bo jej krewnych Sowieci wywieźli na białe niezniewiedzie, o których słuch zaginął.

Na drugi dzień skoro świt byliśmy ze swoją furą na gościńcu i uszczęśliwiona Ela jechała do swojej Muszki. Gdy przyjechaliśmy z Elą do Białegostoku, mieliśmy już powiększoną rodzinę. Po tylu przeżyciach, wędrówce pieszkiej i wstrząsach na różnych samochodach poród nastąpił wcześniej niż się spodziewano.

25 listopada urodził się Lech. Przyszedł na świat w drugim dniu po przybyciu Stachny do Białegostoku. Matka nie miała go w co ubrać. Nie było żadnej koszulki ani pieluszki. Kobiety w szpitalu podzieliły się wyprawkami swoich pociech i nasz syn został ubrany. Ksiądz błogosławił go w czasie chrztu i mówił:

- Chciałeś koniecznie urodzić się w Polsce, dostałeś polskie imię, bądź zawsze dobrym Polakiem.

Po latach tułaczki i wielu ciężkich trudach znaleźliśmy się znowu ze Stachną i dziećmi w Ojczyźnie. Siedzieliśmy kuzynom dosłownie na karku zajmując małeńki pokój, gdzie ciągle wrzaskiem domagał się o swoje prawa nowy obywatel Polski Ludowej- Lech.

Musiąłem niezwłocznie znaleźć mieszkanie i pracę, aby samodzielnie utrzymać rodzinę. Stachna po wyjściu ze szpitala ciągle zapadała na zdrowiu i dobywając ostatnich sił

opiekowała się dziećmi.

Na mieście spotkałem dawnych kolegów i znajomych, alessami borykali się z własnymi trudnościami i nie mogli mi pomóc. Pokładałem wielką nadzieję w odszukaniu Edwarda Jaświłki, przyjaciela z seminarium nauczycielskiego. Liczyłem na jego pomoc. Zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski w 1939 roku, był on jednym z bardziej aktywnych Polaków w Białymstoku, którzy organizowali pomoc osobom zagrożonym aresztowaniem przez NKWD. Dzięki nim wielu byłych wojskowych i urzędników zaopatrzono w odpowiednie dokumenty, co ułatwiało im otrzymanie pracy i przetrwanie. Innym zaś organizowano przejście do Generalnej Guberni. Byłem dobrze poinformowany o działalności przyjaciela i przy końcu czerwca 1941 roku sam zamierzałem uciekać z Hodyszewa do Białegostoku, co jednak nie spełniło się wskutek wywózki.

Po powrocie z Syberii los Edka Jaświłki był mi nie znany. Wierzyłem tylko, że żyje i starałem się go odnaleźć. W lecie 1945 roku dowiedziałem się, iż został aresztowany przez NKWD. Uzyskałem też adres jego żony. Przy ulicy Starobojarskiej usłyszałem opowieść o działalności Edka w czasie okupacji i o jego tragicznym rozstaniu się z żoną i małym synkiem. Z dumą w nieustannym żalu opowiadała mi bardzo miła, przystojna pani Lilka o działalności męża w oddziałach AK na terenie Białostocczyzny. Pod pseudonimem "Zaranka," w randze majora odznaczał się w wielu akcjach. Otrzymał najwyższe odznaczenia, w tym order Virtuti Militari. Major Edward Jaświłko walczył o niepodległą Polskę, pomagał i bronił Polaków przed okupantem, a kiedy zaświtała prawdziwa wolność, jemu nikt nie dopomógł.

Stalinowscy służalcy wykiłli go do Związku Radzieckiego. Sytuacja była zła. Chcąc otrzymać pracę, musiałem za każdym razem wypełniać kwestionariusz osobowy zawierający wiele niekończących się pytań dotyczących mnie, żony, dzieci, moich rodziców i rodzeństwa, od chwili urodzenia do dni ostatnich.

Moje wykształcenie, kwalifikacje, chęć do pracy były mało ważne. Należało mieć mocny kręgosłup ideologiczny. o kierunku marksistowskim. Wreszcie w czasie ciągłych starań o pracę i mieszkanie jeden z ważnych urzędników powiedział mi:

- Musi obywatel zrozumieć, że odpowiedzialne stanowiska mogą zajmować tylko ludzie zaufani partii. Sam fakt skazania na Syberię, przekreśla szanse w Polsce Ludowej. To mi wystarczyło i przestałem chodzić po urzędach. Zacząłem rozmyślać, czy nie lepiej będzie, jeśli opuszczę Polskę Ludową i wyjadę z rodziną na zachód. Spotykałem wielu Polaków, którzy podobnie postąpili. W tym czasie był wielki ruch ludności. Polacy zamieszkali na terenach zajętych przez Związek Radziecki masowo uciekali za Bug, byle do Polski, a ci w rdzennej Polsce spróbowali dobrodziejstw Polski Ludowej uciekali przez Berlin do Anglii i dalej do Ameryki lub Kanady.

Ze swoimi planami zwierzyłem się Stachnie, która po dłuższym namyśle odpowiedziała:

-Wiktor, sądzikam, że jesteś dobrym Polakiem, a ty po tylu cierpieniach chcesz wszystko zmarnować? Chcesz iść znów na tułaczkę? W żadnym wypadku tego nie uczynimy, nasze miejsce jest tu, w Polsce. I dalej dowodziła - byłeś zwykłym robotnikiem w Tajdze, kowalem, a nawet szewcem! jakoś

przeżyliśmy. Pragnęliśmy zawsze jednego - powrotu do Ojczyzny. Teraz Bóg dał, że to się spełniło i dlatego tu zostaniemy do śmierci. Chcę wychować nasze dzieci na dobrych Polaków - dodała. Przyznałam jej rację i ucałowałam serdecznie. Byłam przekonany^{obce} że żadnej ideologii nie ostoją się w Polsce, bo naród nasz od wieków ma swój kręgosłup. Wierzyłam też, że przyjdzie czas, i Polacy sami zadecydują, jaki ma być porządek w Polsce, a nasłani nam mężowie opatrznoscio- wi znikną bezpowrotnie, chociaż mieli kręgosłup marksi- stowski.

~~Był to tekst, który nie miał być opublikowany.~~

Burian - opowiadanie o sowieckich łagrach.

W bezkresnej przestrzeni Syberii, na trasie kolei Swierdłows-
-Tiumeń-Omsk leży wielka stara osada N. Ulice ma szerokie,
niebrukowane, tylko po obu stronach ułożone chodniki z desek.
Wszystkie budynki w osadzie są też drewniane z okrągłych bal-
pokryte deskami szerniakami od deszczu i słońca. Domy miesz-
kalne zamiast podmurówki stoją na grubych, sosnowych palach.
Przy domach są wysokie rzeźbione bramy. Kiedyś były malowane
na zielono i czerwono. Dziś stoją odrapane z ciemnymi plamami
startej farby. Budynki za domami, stajnie, obory, spichlerze są
puste. Ludziom w osadzie potrzebne są tylko mieszkania, gdyż
cały wspólny dobytek znajduje się teraz za osadą, na specjal-
nych fermach kolchoznych, a zbiory z pól dostarczane są bezpo-
średnio do rejonowych magazynów państwowych. Przy głównej ul-
cy Generalissimusa Stalina stoi wysoki budynek wyróżniający
się od innych spiczastą wieżyczką i dużym gankiem na czterech
drewnianych słupach.

To jest zajazd. Można tu odpocząć w podróży służbowej po tajdze, przenocować, a także dostać "czaj" i czasem wódkę lub po cichu spirytus drzewny. Od wschodniej strony osada dotyka toru kolejowego i wielkiego drewnianego dworca. Na lewo od dworca, za obszernym placem jest droga w kierunku na północ, w głąb tajgi, okopana wałami po obu stronach. Taki szeroki gościniec nazywa się "greder". Wytyczono go za carów, używając siły roboczej skazańców zesłanych tu na katorgę. Droga jest zarośnięta trawą i chwastami, bo mało kto z niej teraz korzysta. Obywatele radzieccy nie mogą opuszczać swoich miejsc pracy i przanosić się do innych miejscowości. Przemieszczanie się ludności i podróż jakimkolwiek środkiem lokomocji, a nawet pieszo, odbywa się tylko na podstawie wystawionej delegacji przez partię i odpowiednie urzędy do tego uprawnione. Samowolne podróżowanie jest przestępstwem i jako włóczęgostwo i surowo karane łagrem. Na bocznych wałach i rowach wzdłuż drogi wyrosły sosny, których pnie trudno objąć dwójgu ludziom. Kilkanaście kilometrów od osady, po prawej stronie gościńca w głąb tajgi, jest wielka polana otoczona ze wszystkich stron wysokimi wieżami strażniczymi i gęstymi zasiekami z drutu kolczastego. Jest to "poprawczo-roboczy łagier NKWD." Wewnątrz tego obwarowania jest wiele budynków wysokich i różnych baraków. Wszystkie są zbudowane z okrągłaków sosnowych. W ośrodku toczy się życie ujęte w żelazne karby. Za drutami żyją trzy odrębne społeczności. Pierwsza - to strażnicy. Czują się oni w łagrze absolutnymi panami. Wszyscy są dobrze odżywieni, mają porządne ubrania i szynele z błyszczącymi guzikami oraz futrzane czapy z gwiazdami. Każdy ma order, a na ramieniu pepeszę i duży nagan w kaburze u pasa. Druga społeczność

to wierni słudzy strażników. Odkarmieni, wyglądają imponująco. Zamiast błyszczących guzików i orderów, noszą naszywane wojskowym rzemieńne obroże i wywodzą się z rasy silnych owczarków kaukaskich.

Wreszcie trzecia społeczność - to szarzy ludzie. Tu żaden osobnik nie różni się od drugiego. Każdy od stóp do głowy jest szary. Na twarzy zarośnięty i blady. Zamiast nazwisk mają tylko swoje numery.

Ci szarzy ludzie są zatwardziałyymi wrogami partii, ukochanego wodza Stalina i wielkiego Związku Radzieckiego, dlatego przebywają w łagrach, a strażnicy z psami ich pilnują. Za wierną służbę strażnicy dostają ordery, pochwały i dobre wyżywienie, a psy okraszona kaszę i surowe, pachnące mięso.

Szarym ludziom przysługuje w kolejce tylko polewka z kartoflami lub kaszą i "pajok" czyli dzienny przydział 800 gramów chleba przy dobrej robocie, a 400 gramów dla pracujących mało wydajnie. Za takie wyżywienie zmuszani są całymi dniami wycinać lasy w tajdze i budować nowy trakt wytyczony na Tiumeń i dalej za Tobolskiem przez tundrę, aż do Oceanu Lodowatego .

Łagrem rządzi wszechwładnie komendant. Boją się go wszyscy. Przy spotkaniu strażnicy salutują, a więźniowie stają na baczność. Po łagrze chodzi z nachajką i pistoletem u boku. Towarzyszy mu zawsze okazały, dobrze wyposażony, bury owczarek kaukaski.

Pies ten nazywa się Burian.

Jest to niezwykły pies. Rozumie mowę ludzką. Najlepiej swego komendanta, strażników także, a nawet szarych wrogów, których rozpoznaje też po numerach. Ma swoje legowisko przy drzwiach pokoju komendanta.

Burian jest dumny ze swego pana. Podziwia go psim rozumem i kocha. Wszystkich strażników i pozostałe psy, nie

mówiąc już o szarych ludziach, ignoruje, a nawet zupełnie lekceważy i nikogo się nie boi. Leżąc na wilczej skórze, którą mu komendant kazał rozesłać, stale rozmyślał o różnych wydarzeniach w łagrze, a najczęściej o swoim wszechwładnym panu, któremu wszystko zawdzięczał. - najwyższe stanowisko w psiej hierarchii, najsmaczniejsze kawałki mięsa i miękką wilczą skórę. Toteż uważał ciągle na każdy ruch komendanta i starał się zapamiętać każde jego słowo.

Burian od razu zauważył, że jego pan nienawidzi i stale prześladowuje szarych ludzi w łagrze i to wystarczyło, że i on ich znienawidził. Na zbiórkach i apelach zawzięcie zapędzał opieszalnych wrogów do szeregu. Wałęsających się po łagrze więźniów tropił niemiłosiernie i tarnosił kłami, pokazując swoją niezmordowaną gorliwość komendantowi, strażnikom i pozostałym psom. Burian ciągle odczuwał zazdrość wszystkich psów w łagrze. Doskonale widział, jak z zawiścią spoglądały na jego wilczą skórę, zazdrościły tego, że stale przebywał u boku największego pana w łagrze - samego komendanta, a najbardziej zazdrościły smacznych kąsków świeżego mięsa.

Ze swego stanowiska na miękkiej skórze starał się wszystko widzieć w łagrze. Z dumą wtedy rozpamiętywał chwile, kiedy chwycił zbiegów w tajdze, o których mówiono, że już na pewno przepadli. Przypominał słowa komendanta wypowiedziane do strażników na odprawie:

- Towarzysze strażnicy, zapamiętajcie dobrze, co wam powiem - spośród setek szarych wrogów w naszym łagrze, skazaniec "pięćset dwa" jest najgroźniejszy. To zdrajca Związku Radzieckiego, naszej partii i ukochanego generalissimusa Stalina. Podumajcie tylko towarzysze - on w czasie wojny

ojczyźnianej jako lotnik dał się zestrzelić podłym Niemcom i dostać się do niewoli. Tam będąc, budował bunkry przeciwko naszym sprzymierzeńcom. Przypatrzcie się, jak on srogo i z pogardą przygląda się na mnie - waszego komendanta, a także i na każdego z was - strażników. Ten więzień od lat nie daje się upokorzyć i nigdy nie prosi o łaskę, chociaż, jak wiecie - każdego tygodnia siedzi w ciemnym karczerze po kolana w zimnej wodzie lub leży zamknięty w klatce między belkami z kapiącą wodą na głowę i nie ma możliwości przewrócenia się na plecy.

I dalej przypominał wywody szefa:

żaden

- wiecie, że ~~każ~~ więziennik i parę godzin nie wytrzymuje naszych karczerów i wyje nieludzkim głosem. A ten i całą dobę potrafi przetrwać bez najmniejszego jęknięcia i skargi. Dopiero nie-przytomnego wynosicie go z klatki. Pilnujcie tego przestępcy, żeby znowu nie próbował wam uciekać. Bo on najzwyczajniej chce, żebyście go zabili. Ale to mu się nie uda: niech najpierw odpracuje za swoje przestępstwa - zakończył.

Burian przeciągnął się lekko, kłapnął silną szczęką na wielką muchę, która uparcie dążyła do tego, aby mu usiąść na nosie. Zaledwie zdążył przewrócić się na drugi bok, stanął mu przed oczyma jak żywy znienawidzony więziennik z numerem 502.

- A to świócz - zaklął słowami komendanta - ileż ty mnie kosztowałaś wysiłku, zanim cię dopędziłem w tajdze - rozmyślał. A ten inny szary człowiek nie zdołał ^ubiec tak daleko. Przez całe pięć dni i nocy uciekał, zmieniał trop aż wreszcie padł z głodu i wyczerpania na kępie na dnie wielkiego bajora. Niechybnie wilki by go zjadły. Na szczęście w

porę dobrnęli strażnicy i sprowadzili zbiega do łagru.

W swojej karierze Burian chwycił i innych łagierników. Bywało, że i przez kilka dni warował przy szarym człowieku w lasach i bagnach tajgi, zanim reszta psów jako łącznicy sprowadzili strażników do pomocy. Z każdym jednak nie miał tylż trudności jak z tym więźniem 502. Z prawdziwym obrzydzeniem wspominał te chwile, chcąc powalić szarego zbiega, musiał gryźć jego chude, obrzydliwe ciało. Żaden inny owczarek w łagrze nie potrafił dokonać tylu czynów co on - Burian. Ze szczegółami rozpamiętywał moment schwytania łagiernika 502 na wysepce między bagnami tajgi. Kiedy go dopadł, więzień leżał obrócony twarzą do góry i nie dawał znaku życia. Burian obwąchał go i przekonał się, że ścigany łagiernik stracił tylko przytomność z powodu silnego wyczerpania i głodu. Przypomniał sobie, że w podobnych wypadkach strażnicy w łagrze polewali więźniów wodą, a ci zawsze wstawali na nogi. Nie namyślając się długo stanął nad głową znienawidzonego więźnia, podniósł tylną lewą nogę i spokojnie nasikał mu na twarz.

Łagiernik natychmiast zaczął się krztusić i wkrótce odzyskał przytomność. Kiedy próbował wstawać, Burian za każdym razem klami zmuszał go do pozostawania w pozycji siedzącej.

Po całonocnym czuwaniu nad wrogiem usłyszał nad ranem odgłosy psów, zbliżających się ze strażnikami. Po długim przedzieraniu się przez tajgę groźny więzień 502 został ponownie zapędzony do łagru.

Wysiłek Buriana został nagrodzony. Komendant osobiście wyrzcił mu swoje uszanowanie, długo gładał go pieszczotliwie,

aż miłe dreszeczki przebiegły na całym ciele i częstował go świeżą wątróbką upolowaną przez siebie sarny.

Mając w pamięci takie osiągnięcia z nieukrywaną pogardą spoglądał na wszystkich ludzi, kiedy spacerował po łagrze. Szczególnie lekceważąco patrzył na psa, które z podwiniętym ogonem i z przywilnością ustępowały mu z drogi. On doskonale wiedział, że była to tylko psia hipokryzja, bo wiadomo było, że każdy pragnął zająć jego miejsce. Ale on nic sobie z tego nie robił.

Stale uważał na szarych ludzi, czy któryś z nich czegoś nie knuje, czy nie zbliża się do drutów lub do biura komendanta. Pozostałym psom nie dowierzał. Wiedział, że może liczyć tylko na siebie.

Burian był przekonany, że każdy pies w łagrze gotów jest za kawałek mięsa zdradzić nie tylko strażnika, ale i samego komendanta. Wielokrotnie chciał o tym powiedzieć ukochanemu swemu panu komendantowi. Patrzył wtedy pilnie w jego oczy mając nadzieję, że on go zrozumie. Lizał go po rękach i cicho popiskiwał. Jednak głosu ludzkiego wydobyć nie mógł. W takich chwilach otrzymywał od komendanta kawał świeżego mięsa i pieśczośliwe głaskanie po grzbiecie, kiedy to znów po całym ciele Buriana przechodziły dreszeczki. Była to dla niego największa nagroda. Postanowił wówczas, że swojego komendanta nigdy nie opuści i że jest gotów zginąć za niego. Natomiast szarych wrogów będzie pilnował, a w razie potrzeby tropił tak długo, na ile tylko wystarczy mu tchu w piersiach.

Najwięcej zamieszania w łagrze powodowały nowe transporty nowych, szarych ludzi z pobliskiego dworca kolejowego. Do

tej czynności zawsze była delegowana specjalna brygada strażników i psów. W takich sytuacjach każdy pies otrzymywał dodatkową porcję mięsa i był brany na smycz. Tylko Burian szedł sobie swobodnie na podwórku, w pobliżu komendanta, był uprzywilejowany.

Chwila wyruszenia z łagru po nowy transport była zawsze podniecająca i siejąca niepokój wśród całej zgrai psów. Psy pozostające w łagrze także chciały pójść razem i nie mogły zrozumieć, że nie wolno wyjść wszystkim jednocześnie, gdyż w przeciwnym razie szarzy wrogowie uciekną. Jednak pozostająca w łagrze sfera nie zwracała na to żadnej uwagi. Te spośród psów, które były najmniej uświadomione, wyły i gryzły się między sobą, ku ogromnemu oburzeniu Buriana i całej grupy psów delegowanych.

Porządek był zawsze zaprowadzany krzykami, a w razie potrzeby - nahażami strażników. To najdobitniej świadczyło, że nie wszystkie jednostki spośród psiej społeczności były należycie przygotowane do zadań, które miały wykonywać. Dlatego też przez wiele następnych dni psy krągbrne i mało uświadomione poddawane były dodatkowym, ciężkim ćwiczeniom przy użyciu szarych wrogów z łagru, którzy byli tu używani w charakterze przynęty do tropienia i chwytania.

Buriana, jako mądrego psa i całym sercem oddanego służbie i komendantowi bardzo bolało to gorszące zachowanie się psów w czasie wymarszu do osady. Z tego powodu nawet wstydział się tego, że należał do psiego społeczeństwa.

Bywając na stacji kolejowej Burian poznawał nową grupę ludzi. Zauważył już od dawna, że kiedy przybywał nowy transport nowych ludzi, na dworcu zjawiali się gromadnie mieszkań-

cy osady. Byli to ludzie zupełnie podobni do szarych wrogów : prawie tak samo ubrani i obrośnięci, ale jednak różnili się. Chodzili swobodnie we wszystkie strony, bez strażników i zawsze uparcie pchali się mocno, żeby obejrzeć z bliska przywiezionych właśnie szarych wrogów. Burianowi wydawało się nawet niekiedy, że rozpoznawali swoich bliskich i znajomych, bo uśmiechali się przyjaźnie i ukradkiem dawali im jakieś znaki.

Jednakże strażnicy nie zabierali ich do łagru lecz odpędzali na różne strony. A oni - zamiast uciekać w tajgę, bo nikt ich nie pilnował - zbijali się w gromadki, wskazywali palcami szarych wrogów z tobołkami i otaczających ich strażników.

Burian zawsze obserwował to wszystko i rozumiał, że to są również ludzie szarzy, ale niżej. Z tego powodu nie warto zajmować się nimi tak, jak to czynią strażnicy. Pewnego razu nawet podsłuchiwał ich rozmowę. Jeden z mieszkańców osady - w porwanej kufajce i łapciach z lipowego łyka szepotał do swoich przyjaciół:

- Patrzcie rebiata, toż to ci przekłeci komuniści znów prowadzą do łagru najlepszych, niewinnych ludzi, naszych braci. To oni, towarzysze z gwiazdami wszystko nam zabrali. Wieliśmy wolność, którą oni nam zabrali, a nasze cerkwie rozwalili lub pozamieniali na magazyny. Chłopów wsadzili do łagru, aby ci zginęli przy ciężkich robotach.

Człowiek, który to mówił - zamilkł i splunął ze złością patrząc na komendanta. Inni natomiast z nieukrywaną nienawiścią spoglądali na strażników.

Burian dokładnie obserwował to wszystko i chciał jak

najszybciej ostrzec swego pana. Lekko szarpał go za nogę i za skórszaną kurtkę z orderami. Ale komendant jakoś nie rozumiał, o co psu chodzi. Jedynie pogłaskał go po głowie i powiedział:

- Burian, siedź spokojnie. Przyglądaj się nowym więźniom, którzy teraz wychodzą z wagonów. Będziesz ich teraz dobrze pilnował. Patrz, z tego wagonu zabitego deskami strażnicy wy prowadzają najgorszych więźniów, zatwardziałych przestępców. Każdy z nich ma odsiedzieć w łagrze co najmniej dwadzieścia pięć lat na ciężkich robotach. To właśnie oni odważyli się krytykować naszą partię a ukochanego wodza narodów Związku Radzieckiego - Józefa Wissarionowicza Stalina wyzywali od bandytów. Przeklinając życzyli mu rychłej śmierci. Za to - mój kochany Burianie - musimy ich zniszczyć. Ale za te swoje potworne przestępstwa muszą tu - w tajdze nauczyć się, jak należy żyć i pracować - mówił komendant do Buriana.

Transport nowych ludzi do łagru zawsze odbywał się utartym sposobem. Komendant łagru - z orderami i Burianem u nogi - stał na najwyższym wzniesieniu dużego placu i przyglądał się wyładunkowi ludzi z otwartych wagonów, które do tego czasu były pozabijane grubymi deskami i zamknięte na żelazne sztaby. Pozostali strażnicy, z psami na smyczach, sprawnie ustawiali więźniów w czwórki, a następnie szybko przechodzili na boki i kolumna w szybkim czasie była całkowicie gotowa do drogi.

Na znak komendanta ruszono naprzód przez drogę, w głąb tajgi - do łagru.

Burian wiedział, że pozostali w łagrze strażnicy i psy nie próżnują. Obowiązkiem pozostałych w obozie jest gruntow-

na oczyszczenia całego łagru. Szary wrogowie czyszczą wtedy swoje prycze z pluskiew i innego robactwa. Ustawiają nowe prycze dla przybyłych z pociągu, sprzątają podłogi w barakach. Podczas tych generalnych porządków ciężko chorzy są umieszczani w baraku sanitarnym. Natomiast ludzi nieżywych, po zdjęciu z nich ubrań wywożą nagich w głąb tajgi do wielkiego, wspólnego dołu.

Oburzenie i gniew, jaki wtedy widział Barian w oczach pozostałych szarych ludzi budził w nim strach. Ale mimo tego opamiętywał się i postanawiał być jeszcze bardziej czujnym i lepiej służyć swoim panom.

Za każdym razem po przybyciu nowego transportu więźniów nic nowego w łagrze nie zachodziło. Jedynie skazańcy, którzy nie potrafili przystosować się od razu do surowej dyscypliny, siedzieli w karcerach, podobnie, jak więzień 502. Większość z nich już po paru godzinach katorży wyła nie-ludzkim głosem, prosząc o łaskę. Tylko kilkunastu pozostałych toczyło beznadziejną walkę dłużej, czasem przez parę tygodni, ale też w końcu zostali złamani i potulnie przyjęli swój los łagiarnika.

Jedynie więzień "Pięćset dwa" pozostawał ciągle nieugięty. Odsiadywał regularnie swoje karcery każdego tygodnia i życie w łagrze toczyło się dalej utartym trybem. Najcięższymi karcerami w łagrze są "konnata" czyli izba i "klatka". Znajdują się one w specjalnym budynku z grubych oknałaków, w którym więźniowie są przesłuchiwanii i poddawani biciu i innym doraźnym karom.

Obok znajduje się "konnata" - obszerne pomieszczenie bez okien i światła ze spływającą wodą z sufitu i po ścianach.

Tu na batenie, w wodzie po kostki więźniowie boso stoją za przewinienia. Długo żaden z nich nie wytrzyma kapiących kropli na głowę i drętwiejących nóg w zimnej wodzie. Wyje z rozpaczy i pada zemdlony.

Dla szczególnie groźnych przestępców, winnych zdrady ojczyzny radzieckiej, wszechzwiązkowej partii i ukochanego generalissimusa Stalina, są przygotowane "klatki". Na kołorytarzu tego budynku widnieją w rzędzie mocne drzwi, dwumetrowej wysokości, z trzema małymi otworami w odległości około 70 cm od dołu do góry. Każde z tych drzwi zamyka trzy klatki, podobne do skrytek pocztowych. Otwór każdej klatki ma szerokość około 80 cm, wysokość około 60 cm. Długość przeszło 2 metry.

Konstrukcja z okrągłych bali ułożonych w sztachownicę. Więźniowie są wsadzani do tych skrytek głową do drzwi i zamykani. Na oślizłych balach mogą jedynie przewracać się z boku na bok, aby więzień nie zasnął z góry na każdego spływa woda wraz z ekskrementami górnych towarzyszy i ścieka do szamba. Śmród w tych klatkach doprowadza więźniów do szaleństwa.

W takiej sytuacji już po paru godzinach strażnicy wyciągają ofiary ociekające ludzką gnojówką i doprowadzają do przytomności za pomocą węża z pompy strażackiej.

Poszczególne brygady skazańców całymi dniami pracują przy budowie wielkiego traktu, wytyczonego przez całą tajgę na północ do tundry-wiecznej zmarzliny. Jedni wycinali ogromne sosny i świerki, odciągali je na boki. Drudzy za nimi wykopywali potężną karpę zwalonych drzew, a inni utwardzali podłoże i plantowali lasy. Zasypywali napotykaną

bagna zwożąc taczkami ziemię z dalszych wzniesień terenu. Na końcu posuwała się kolumna łagierników formująca nawierzchnię nowego traktu.

Burian przyglądał się pracy skazańców przy budowie traktu, podczas regularnych inspekcji pana komendanta, w czasie kontroli dygnitarzy NKWD z oblasti czy też z Moskwy. Większość swojego czasu Buria, wylegiwał się na miękkiej skórze i rozmyślał. Muchy i komary mniej już dokuczały, bo zbliżał się koniec lata i tajga była piękna w swoich złotych kolorach.

Szybko zbliżała się krótka jesień, a tuż za nią ciężka syberyjska zima. Już w październiku chwycił mróz w swoje okowy wszystkie rzeki i bagna tajgi. Drogi i przejścia zostały zasypane śniegiem. Ani razu nie było odwilży, a ciągle padał śnieg i mróz coraz bardziej przyciskał. Budowa traktu została całkowicie zasypana. Między ogromnymi lasami, na jej miejscu widniała tylko szeroka przesieka, przez którą widać było daleki pas roziskrzonego nieba. W łagrze dalej wrzało życie. Codziennie wywożono śnieg taczkami daleko za druty i wieże strażnicze były widoczne na dużej przestrzeni. Cały ogromny teren łagru musiał być uprzątnięty od wyżów śniegu.

Na obszernym placu więźniowie naprawiali sprzęt do wiosennej budowy drogi i odbywały się tu zbiórki i apole. Specjalne brygady codziennie wychodziły ze strażnikami i psami do tajgi, aby w zaspach śniegu ściągać wielkie konary i gałęzie wyciętych drzew w czasie budowy i na wielkich startach je palić. W ten sposób zabezpieczano lasy przed pożarem w czasie upalnego lata.

Zima to ciężki okres w łagrze. Strażnicy mają walenki tzw. "pimy", chroniące od największego mrozu, mają też watowane ubrania i kożuchy, ale szarzy ludzie drżą z zimna, bez należytego prania i ubrania, a do tego dochodzi marne odżywianie, co powoduje ciągle przeziębienie i choroby.

Zima syberyjska dziesiątkuje szarych ludzi w łagrze. Tylko najodporniejsi doczekają wiosny. Komendant i strażnicy nie przejmują się tym. Miejsca wywiezionych do wspólnego dołu zajmą nowi przywiezieni pociągami towarowymi do osady N. Ciężka zima syberyjska jest więc sprzymięńcem sprawiedliwości radzieckiej.

Dopomaga wymierzyć karę wrogom partii i wielkiego Stalina.

Dopiero w kwietniu słońce coraz bardziej zaczęło przegrzewać i wierzchnie warstwy śniegu tajały, a wysokie przymrozki nocne utworzyły grubą pokrywę na zaspach, po której można było chodzić, jak po lodzie.

Z początkiem maja spadł w nocy pierwszy ciepły deszcz. Zanim obejrzano się, a cały łagier od strony rzeki był oblanym wielką wodą. Tajga jakby pływiała. Wszędzie, jak okiem sięgnąć po lewej stronie widać było jedno wielkie morze. Tylko kępy drzew wystawały z tej olbrzymiej wody. To lody nie zdążyły pęknąć na szerokiej rzece i woda wystąpiła z brzegów. Powódź taka trwała przeszło tydzień, zanim olbrzymie kry zaczęły spływać do Oceanu Lodowatego. Za ustępującą wodą pojawiły się w tajdze wielkie ilości kwiatów o odcieniu czerwonym i niebieskim - wszystkie o kielichach dzwonkowatych i jednocześnie rozpoczęło się tokowanie cietrzewi.

Tajga przykryta kwiecistym kobiercem grała przecudną muzyką o tonach wrywanych - niskich i wysokich.

Ze wszystkich stron rozlegało się turkanie wielkich stad cietrzewi odprawiających swoje gody. Zdawało się, że w tajdze ktoś ustawił tysiące fortepianów z zastępami klarncistów i odbywa się tam wspaniały koncert.

Wszyscy mieszkańcy lagru, nie wyłączając psów, z zadumą i przejmującą tęsknotą przyskuchiwali się tej muzyce. Zaraz też, jak tylko nowy trakt wyłonił się spod zwałów śniegu, rozpoczęto roboty pełną parą.

Nagle, pewnego dnia stało się coś niesamowitego w lagrze. Burian spostrzegł, że komendant odbył długą naradę ze strażnikami i to bez niego. Po czym zaraz odjechał samochodem w kierunku osady. Komendant nie tylko nie zabrał ze sobą Buriana, ale nawet nie pożegnał się z nim, co dotąd nigdy się nie zdarzyło. Co gorsze, wszystkie psy nie otrzymały normalnego pożywienia na noc. Zaraz z samego rana nie mówiąc, strażnicy zamknęli całą sforę razem z Burianem w ostatnim baraku na skraju lagru. W baraku tym z grubych okraglaków nie było okien, a powietrze i światło dochodziło tylko małym otworem w suficie. Podłoga była tu ułożona także z okragłych bali sosnowych.

Oszolomienie psów było tym większe, że zamknięto je na żelazny skobel, a odchodzący od drzwi strażnik rzucił im tylko ordynarne przekleństwo—" a padochnij proklata chalero". Tego wystarczyło. Wszystkie psy zupełnie ogłupiały. Burian nie mógł zebrać myśli. Dopiero po paru godzinach pojął, że coś strasznego musiało się stać w lagrze.

W tym czasie psy zaczęły wśc i gryźć się wzajemnie. To wielkie zamieszanie i walka w ciemności trwała dzień

i całą noc. Kiedy w końcu Burian zaczął normalnie myśleć, zobaczył w świetle padającym z otworu w suficie wiele trupów potwornie rozszarpanych. Pierwszą jego myślą było rzucić się na pozostałe przy życiu psy i bezlitośnie pozabijać wszystkie. Opanował się jednak. Mimo wycieńczenia z głodu i żalu do komendanta i strażników postanowił uwolnić siebie i pozostałe psy z zamkniętego baraku. Nie zastanawiając się długo, rzucił się z całą furją na wystającą belkę przy grubych, okutych drzwiach i zaczął szarpać zębami. Ilość drzazgi i charczenie Buriana były sygnałem dla pozostałych psów.

Po wielu wspólnych wysiłkach dużo psich zębów leżało między drzazgami, ale wysiłek gromady okazał się skuteczny. W ścianie powstał mały otwór, przez który widać było wolność. Nadzieja wydostania się z więzienia dodała wszystkim psom nowych sił i wkrótce wygryzionym otworem wysunął się na wolny plac Burian, a za nim reszta ogłupiałych psów.

Jak wielkie zdziwienie opanowało uwolnioną sforę, kiedy zobaczyły, że cały łagier jest zupełnie pusty. Przepadli nie tylko szarzy ludzie-rogowie, ale i wszechwładni strażnicy. Co się stało? Żadnemu psu nie mieściło się w głowie. Szarzy więźniowie na pewno uciekli-sądziły, ale dokąd i jak teraz tyłu schwytać?

Nie mogli przecież uciekać w bezkresną tajgę, gdzie czeka ich niechybna śmierć z głodu i od drapieżnych wilków.-rozumowały zbite w gromadki po kilkanaście sztuk.

Ale co mogło stać się ze strażnikami i komendantem?

Ich baraki także są zupełnie puste, bez jakichkolwiek

rzeczy. Głód przemógł ich zawile dociekania i rozmyślania. Każdy pies oddzielnie zajął się poszukiwaniem jakiegoś pożywienia w opustoszałym łagrze. Niewiele mogły znaleźć, toteż wybiegły za druty przez otwartą bramę na oścież i wałęsając się, głodne grupkami dotarły do osady.

Burian sam pozostał w łagrze. Spenetrował wszystkie zakątki, ale niczego nie znalazł, co by mu wyjaśniło tak potwornie zawiłą zagadkę. Przez następnych parę dni mocno wycieńczony głodem, obchodził łagier poza drutami, czatował przy otwartej bramie, wlaził schodkami na wysokie wieże strażnicze, wypatrywał dokoła i wreszcie, podobnie jak inne psy znalazł się w osadzie ludzi "nijakie". Kilkakrotnie obwąchał i przeszukał dworzec kolejowy oraz wszystkie ulice i zagrody w osadzie. Nic jednak podejrzanego nie zauważył.

Z ogromnym żalem i oburzeniem stwierdził tylko, że wszystkie psy uratowane z baraku poszły na służbę w zagrodach i domach do ludzi, podobnych wrogom z łagru i to za byle jaką strawę.

Tak prędko zapomniały o okraszonej kaszy i świeżym mięsie, podawanym im przez strażników z pięknymi gwiazdami na czapach. Teraz upodliły się całkowicie i wcale nie zasługiwały na psi szacunek - zagniewany rozmyślał Burian.

On jednak, mimo dokuczającego głodu, nie przyjął od obcych jedzenia, chociaż wielokrotnie wołano go do domów i próbowano skusić kawałkiem chleba. Żył się w tajdze czym mógł. i ciągle wierzył, że strażnicy wrócą, uciekinierzy zostaną schwytani i z powrotem sprowadzeni do łagru.

Pewnego dnia o zachodzie słońca, kiedy przechodził koło otwartego zajazdu, zauważył nagle przy jednym ze stolików swojego, kochanego komendanta. Co dziwniejsze, był ubrany jak inni niżej ludzie, bez mundurów i orderów, a nawet bez pistoletu. Popijał z jakimś obcym człowiekiem i obaj prowadzili ożywioną rozmowę.

Burianowi omal serce nie wyskoczyło z radości. Wpadł do zajazdu przez otwarte drzwi i od razu stanął, jak wryty.

Tym drugim człowiekiem był jeden z najgroźniejszych szarych wrogów w łagrze, więzień "Pięćset dwa", który wielokrotnie uciekał w tajgę i zawsze był schwytywany przez Buriana. W pierwszej chwili chciał rzucić się na niego i rozszarpać na strzępy za swoje doznane ostatnio krzywdy.

Komendant to zauważył i przez zaciśnięte zęby krzyknął: - Burian, leżeć. Następnie ułamał kawałek chleba, posmarówał musztardą z drewnianej miseczki i podsunął Burianowi mówiąc: Na! Burian wyszczerzył zęby i sierść zjeżyła mu się na karku. - Musztarda, to przecież pokarm wroga. W jednej chwili przypomniały się najcięższe ćwiczenia, jakie przeszedł zanim nauczył się odróżniać dobrych strażników od podłych więźniów. Szary wróg zawsze karmił go musztardą, a strażnicy w nagrodę pachnącym mięsem.

Psie łzy mu pociekły, gdy sobie uświadomił, że ukochany komendant stał się też jego wrogiem.

Nie wiedział, co się z nim dzieje. Zrozumiał swoją samotność, gdy komendant wymówił słowo: Won.

Burian wysunął się z zajazdu i usiadł pod najbliższymi drzewami, skąd wyraźnie widział ich obu. Obserwował jak żywo rozmawiali, uśmiechali się i od czasu do czasu trącali się szklankami. Potem chwiejnym krokiem wyszli i

skierowali się w stronę dworca kolejowego. Na peronie podali sobie ręce. Komendant wsiadł do stojącego pociągu, którym zaraz odjechał, a więzień "Pięćset dwa" skierował się w stronę najbliższego domku przy stacji. Wtedy Burian postanowił, mimo utraty swego komendanta, że tego zbiega sam dopilnuje, aby nie uciekł, a czasu, aż przyjdą mu z pomocą strażnicy z gwiazdami i zaprowadzą go z powrotem do łagru.

Po tej decyzji śmiało ruszył do szarego człowieka, który go wcale nie odpędzał, a nawet uśmiechał się do niego i jeszcze zachęcał, aby wszedł za nim do domku - co też uczynił.

W mieszkaniu przyjęła ich samotna kobieta. Od razu zakrzętnęła się koło komina i postawiła szaremu człowiekowi pełną, drewnianą miskę pachnącej zupy. Buriana też częstowała tym jedzeniem, ale z dumą nie przyjął. Z naprężoną uwagą przysiadł na łopach koło drzwi i uważnie słuchał ich rozmowy. Przy drewnianej misce była też butelka wódki, którą oboje popijali i żywo rozmawiali. Szary człowiek wskazując na Buriana mówił:

-Przypatrz się Nataszo, temu psu. To nasz z łagru sławny Burian, nieodstępny towarzysz komendanta. To bardzo mądry pies. Rozumie doskonale mowę ludzką. Dzisiaj w zajęści komendant przepędził go od siebie i teraz jest bezpański. Chciałbym, aby został moim przyjacielem, chociaż wiele razy chwytal mnie w tajeźe i mocno pokaleczył.

Słowa szarego człowieka nie zjednały Buriana, jedynie wzmożyły żal do komendanta i utwierdziły w przekonaniu, że tego więźnia trzeba dobrze pilnować, żeby nie uciekł.

Z rozmowy między tymi ludźmi dowiedział się Burian

o wielkich zmianach w Moskwie. Ukochany Józef Wisarionowicz Stalin, tak uwielbiany przez komendanta i strażników, już nie żyje, a o władzę po nim ubiegali się jego sługusi, tacy jak Beria i Malenkow. Na szczęście znalazł się na Kremlu prawdziwy patriota-Nikita Siergiejewicz Chruszczow i zaprowadzi tam porządek i sprawiedliwość. - tłumaczył kobiecie szary człowiek.

Ten nowy opatrzcociowy mąż stanu, zdemaskował i uniszczył antypartyjną grupę zdrajców- Malenkowa, Kaganowicza i Mołotowa, która aktywnie przeciwstawiała się towarzyszowi Nikicie Siergiejewiczowi i dążyła wszelkimi sposobami do zniszczenia tego bohatera Związku Radzieckiego i wybawiciela narodów i niesprawiedliwości zmarłego Stalina. I dalej mówił więzień "Pięćset dwa"-to on Nikita Siergiejewicz Chruszczow nie zawahał się ogłosić partii i całemu światu, że zmarły Stalin był dyktatorem, uznawał tylko kult jednostki i nie liczył się z partią. Gnębił narody Związku Radzieckiego i zasługuje na wieczne potępienie.

To właśnie Nikita Chruszczow kazał zamknąć nasz łagier w tajdze i dla pokazania swojej wielkoduszności ogłosił amnestię więźniom, a wiernego komendanta i strażników przeniósł do nowego łagru na Kamczatce, gdzie w wiecznej zmarzlinie będą wychowywać zatwardziałyach popleczaników Stalina na dobrych obywateli komunistycznego państwa.

Teraz pod mądrym kierownictwem Nikity Chruszczowa cały naród radziecki przystąpił z nowym zapałem i energią do budowy prawdziwego komunizmu i sprawiedliwości proletariackiej.

Po paru kieliszkach wódki więzień "Pięset dwa" stał się bardziej rozmowny i z ożywieniem mówił:

- A wiesz ty Wstaszo, że w naszym łagrze powstanie teraz wielkie przedsiębiorstwo i przybędzie bardzo dużo ludzi! Ja również tu zostanę i zgłoszę się do pracy-jestem przecież inżynierem. Komendant twierdził mi w zajęzdzie, że zostanie uruchomiony wielki tartak i ogromna fabryka suchej destylacji drewna.-zakończył opowiadanie.

Ta ostatnia wiadomość była najważniejsza.

A więc-rozumował Burian- nowi ludzie muszą przybyć ze strażnikami, którym przekażę nareszcie tego zbiega. Nie posiadał się z radości. Serce zaczęło mu bić mocno i przestał myśleć o niewdzięcznym komendancie.

Przez następnych wiele dni Burian swobodnie przychodził do domku, przesiadywał przy drzwiach na rozesłanej manderce, ale nigdy nic nie jadł, tylko pilnie przysłuchiwał się rozmowie mężczyzny z kobietą i uważnie ich obserwował.

W chwilach, kiedy szary człowiek leżał na przychytyjany, Burian był przekonany, że mu nie ucieknie i wtedy wyruszał w tajgę na polowanie, żeby się pożywić. Pilnując szarego człowieka w małym domku przy stacji, ogromnie się zdziwił, dlaczego ten łagiernik w rozmowie z kobietą nikogo nie obwinił, nikogo nie oskarżał za ciężkie lata przebyte w łagrze i swój los przyjmował, jak coś normalnego, co musiało się stać i nigdy się nie zmieni. Dowiedział się także, że miał on kiedyś żonę

Marusię i córeczkę Tanię, które bardzo kochał. Marusia była lekarką i zginęła na froncie, a Tania żyje i

uczy się teraz w dalekiej Moskwie na uniwersytecie.

Chciałby ją zobaczyć chociaż raz, ale to niemożliwe, bo Tania dostała się na uniwersytet tylko dlatego, że jej rodzice zginęli na wojnie.

Szary człowiek nie może nawet pomyśleć, co się stanie z córką, gdyby ojciec wrócił i to z łagru, jako zdrajca i wróg ludu, a w dodatku, gdy wszyscy się dowiedzą, że lata spędzone w łagrze były karą za dostanie się do niewoli na froncie.

Nie, nigdy nie może pokazać się w domu - dowodził więzien-tu na Sybirze - pozostanie do końca życia - tłumaczył kobiecie. Postanowienia nie zmienił, chociaż w przypływie współczucia Natasha dawała mu pieniądze na drogę i zachęcała do powrotu w rodzinne strony.

Tego wszystkiego Burian nie mógł pojąć, ale inaczej zaczął spoglądać na tego człowieka, niż to czynił w łagrze. Może dlatego nie potrafił zrozumieć szarego więźnia, że nic nie wiedział o prawdziwym obliczu rządzących komunistów, których władza opiera się na strachu, przymusię i łagrach, a życie ludzkie nie ma u nich znaczenia.

Człowiek to jedynie siła robocza. Burian przyzwyczał się do nowego trybu życia w zasadzie. Głodu nie odczuwał, nauczył się polować w tajdze. Tego dnia schwytał młodą sarenkę nad wielką rzeką. Miękkie mięso i pachnąca ciepła krew smakowały mu o wiele lepiej niż pożywienie w łagrze. Nakarmiony do syta zagrzewał pod krzakiem cały zad sarny na jutro i ociężały zaspokoił pragnienie zimną wodą z rzeki.

Na otwartej przestrzeni, gdzie odbywały się żniwa ludzi "nijakich" było gorąco, a w krzakach wysokich

drzew przy rzece panował przyjemny chłód. Burian rozciągnął się wygodnie na kępie suchej trawy i próbował drzemać. Sen nie przychodził. Myśli mieszały się w głowie, nie mógł zapomnieć rozmowy łagiernika z kobietą. Ciągłe przypominał jego różne opowiadania, nie mogąc nadziwić się wszystkiemu.

Dowiedział się, że szarzy ludzie mają nie tylko numer, ale własne imiona, podobnie jak sam komendant i strażnicy w łagrze. Teraz już wie, że więzień numer "Pięćset dwa" ma na imię Kola, a jego kobieta w chatce - Natasza i że oboje się kochają.

W swojej psiej wyobraźni widział, jak Natasza czule spoglądała na Kolę podczas każdego posiłku, a potem tuliła się do niego i prosiła:

-Koleńka kochany, opowiedz mi jeszcze raz, dlaczego cię zamknęli w łagrze, chociaż jesteś taki dobry i nikomu krzywdy nie zrobiłeś?

I Kola jej opowiadał:

- Tak Nataszo, marzyłem kiedyś przed wojną, że będę szczęśliwy, ale moje szczęście przepadło. Dotąd żyłem jedynie swoimi marzeniami młodości i one trzymały mnie przy życiu. W niewoli niemieckiej, a później w łagrach ciągle rozmawiałem ze swoją Marusią i małą córeczką Tanią. Wyobrażałem, że je mam przy sobie i łatwiej mnie było znosić karcery i belgi oprawców i bezdusznych służalców.

- O, Boże, Koleńka- ile ty niewinnie przecierpiałeś- mówiła z płaczem kobieta- i dalej prosiła.

-Opowiedz mi kochany swoje cierpienia od początku, to ci ulży, a ja będę modliła się za ciebie.

Były to słowa, których Burian zupełnie nie pojmował.

W łagrze nikt nie modlił się i nie płakał. Najwyżej wył i przeklinał z bólu i rozpacz.

Burian posiadał nadzwyczajną pamięć i teraz leżąc obżarty odtwarzał wszystko co widział i słyszał jak z taśmy magnetofonowej. Przeżywał scenę, gdy Kola objął głowę obiema rękoma, pochylił się nad stołem i mówił ściszym głosem. Natasza wpatrzona w niego słuchała z zapartym tchem, a Burian leżał na derce oparty na łapach, słuchał i oboje obserwował.

Byłem już znanym i cenionym inżynierem w fabryce samolotów - ciągnął szary człowiek. Ożeniłem się z młodą lekarką, a kiedy urodziła się nam maleńka Tania, nie posiadaliśmy się z radości. Niczego wtedy nie pragnąłem, byle tylko ciągle być razem we trójkę, bo tak nam było dobrze ze sobą.

Wojna zabrała wszystko.

Nas oboje zmobilizowano, a Tanię przyjęto do domu dziecka. Już w pierwszych miesiącach wojny Marusia zginęła od bomb niemieckich. Byłem lotnikiem i postanowiłem odpłacić wrogom za śmierć mojej żony. Udawało mi się. Strąciłem dwaście samolotów niemieckich i otrzymałem najwyższe odznaczenie.

W roku 1943 samolot mój dostał się w ogień zaporowy nieprzyjaciela i zostałem ciężko ranny w głowę i nogę. Z trudem wylądowałem na tyłach wroga i zabrano mnie do niewoli.

Po zaleczeniu ran pracowałem z innymi jeńcami w Holandii przy budowie bunkrów i potężnej fortyfikacji, gdzie Niemcy spodziewali się inwazji Aliantów zachodnich. Przy tych robotach zginęło tysiące jeńców. Tylko cudem dożyłem zakończenia wojny. Nasz obóz został zajęty przez Anglików.

Byliśmy wolni. Zostaliśmy nakarmieni i doprowadzeni do ludzkiego wyglądu.

Po miesiącu przybyła do naszego obozu komisja radziecka z pułkownikiem NKWD na czele. Zostaliśmy przez Anglików wydani tej komisji iż przewiezieni do sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech Wschodnich. Było nas około pięciu tysięcy jeńców.

I dalej opowiadał szary człowiek. - wszyscy byliśmy pewni, że wkrótce wrócimy do swojej ojczyzny i będziemy odbudowywać ją ze zniszczeń wojennych. Miałem niezłomną nadzieję ujrzenia swojej kochanej Tani. Żyłem jak we śnie, czekając upragnionego wyjazdu do Moskwy.

Coraz cichszym głosem mówił więzień "Pięćset dwa".

Stała się rzecz nie do uwierzenia. Wszystkich jeńców postawiono w stan oskarżenia jako zdrajców ojczyzny radzieckiej, rewolucji, wielkiej partii marksistowskiej i ukochanego woźdźdża Stalina.

Opanowało nas ogromne zdziwienie, niedowierzanie, wielki żal na niesprawiedliwość władz radzieckich, a potem całkowita rezygnacja i zobojętnienie na wszystko.

Sędziowie wojskowi oświadczyli nam na rozprawie:

- Żołnierz radziecki nie może dostać się do niewoli wroga, powinien walczyć do ostatniego tchu, a jeśli trzeba musi umieć z honorem zginąć. Tego od każdego bojca Czerwonej Armii wymaga nasza partia i wielki Stalin.

Prokurator wojskowy w swojej mowie oskarżycielskiej domagał się kary śmierci dla każdego jeńca wojennego.

Tylko nieliczni ocaleli i dostali się do łagrów na Syberii, pozostałych rozstrzelano na miejscu.

Mnie przywieziono tu do łagru zpiętnem zdrajcy partii i ojczyzny radzieckiej. Próbowano złamać i upokorzyć za pomocą karcerów, ciągłego prześladowania i poniżania. -przerwał swoją opowieść, a później jakby zdziwiony mówił:

- Nie chce mi się wierzyć, że jestem wolny, nie potrzebuję zrywać się na zbiórki i apele. Nikt mnie nie popycha do klatki z kapiącą wodą lub do ciemnicy w zimnej wodzie po kolana. Teraz często zjawia się mi przed oczyma moja małeńka Tania. Wówczas zdaje mi się, że jestem normalnym człowiekiem, jak dawniej i chce się dalej żyć -kończył swoją ponurą opowieść szary więzień "Pięćset dwa".

Burian długo zastanawiał się nad historią tego człowieka, wiele z tego nie pojął swoim psim rozumem, ale utwierdził się w przekonaniu, że nie jest on taki zły, za jakiego uchodził w oczach komendanta i strażników.

Po wielu dniach wczesnym rankiem, szary człowiek leżał na pryczy pijany, kobieta wyszła do osady po chleb, a Burian jak zwykle zamierzał udać się w tajgę na polowanie, kiedy usłyszał z daleka dochodzący długi gwizd pociągu. Burian w jednej chwili z wielkim podnieceniem pobiegł na dworzec kolejowy, gdzie zaraz zatrzymał się pociąg. Zaczęli z niego wysiadać szarzy ludzie z tobołkami. Zupełnie jak dawniej, nie było tylko strażników, co mocno zdziwiło Buriana, ale nie patrząc na nic, stanął w tym samym miejscu na placu, gdzie stawał w podobnej chwili z komendantem i zaczął wyc ze wszystkich sił.

Wołał na pomoc psy przebywające teraz w osadzie u ludzi "nijakich".

Zanim pierwsze grupy przybyłych ludzi skierowały się na drogę w stronę łagru już duża sfera owczarków zna-

lazła się na dworcu. Za nimi ciągle przybywały następne z dalszych rejonów osady.

Burian od razu objął komendę i rozkazał formować kolumnę z szarych ludzi, tak jak to czynili poprzednio strażnicy. Wszystkie psy potulnie podporządkowały się jego władzy, z błogą nadzieją, że w łagrze dostaną znowu okraszoną kaszę i świeże pachnące mięso, zamiast lichej polewki u ludzi "nijakich". Na samą myśl o tych przysmakach ciekła im ślina strugami i z pianą kapłała na ziemię.

Z początku ludzie byli zdziwieni pojawieniem się tylu psów na dworcu, ale w końcu nic sobie z tego nie robili i pokręciwszy się po placu, gdzie nic nie można było kupić, ruszyli za pierwszymi na północ, tym bardziej, że brygadziści ponaglali opieszających do pośpiechu, aby przed nocą dotrzeć na miejsce, gdzie trzeba zamieszkać i niezwłocznie przystąpić do zagospodarowania opuszczonego łagru oraz rozpocząć budowę zaplanowanego tartaku i fabryki.

Kiedy znaleźli się wszyscy gromadnie na szerokiej drodze w dużym sosnowym lesie, zdziwienie ludzi wzrosło, a nawet u wielu powstał strach widząc, że wielka gromada psów nie opuszcza ich, a otacza wzdłuż rowów, zaś odstających na tyle popędzają inne psy do gromady, do środka. Niejeden przy tym z maszerujących poczuł ostre kły i miał odzież poszarpaną.

Psy mimo braku strażników, pod wodzą Buriana poczuły się od razu panami tych ludzi, zrozumiały jak wielki ciężar na nich obowiązek i odpowiedzialność za doprowadzenie ich w zwartej kolumnie do łagru. Zabrały się więc do tego z całym zapalem i energią.

Gdy cała kawalkada ludzi i psów znalazła się parę kilometrów za osadą, w głębi lasu, odważniejsi spośród maszerujących, zaczęli odpędzać psy do lasu. Machali gałęziami, grozili łopatom i kijami, ale nic to nie pomagało.

Psy uparcie z obu stron rowami i z tłu nacierały na gromadę ludzi. Szczyrzyły zęby z pianą na pyskach, gryzły i szarpały, chcąc koniecznie uformować kolumnę, jak za czasów dawniejszych.

Chciały jak najszybciej dotrzeć do łagru, gdzie czeka je smaczna kasza obficie okraszona.

Nie udawało to się psom i dlatego stawały się coraz bardziej złe i napastliwe.

w końcu, gdy ludzie na dobre zaczęli bić je kijami i krzyczeń na nie-rozpętała się prawdziwa walka.

Ludzie powyciągali z tobozków łopaty, siekiery, widły i powstało na drodze ogólne zamieszanie, kotłowanina, krzyki ludzi i wycie psów.

Wielu ludziom z boków udało się wdrapać na pobliskie drzewa przy drodze, a najdalej wysunięci naprzód, próbowali ucieczki przed siebie. Jedynie kilku osobnikom od tyłu udało się wyrwać z okrążenia i uciekali ile sił, z powrotem do osady.

Ludzie w środku gromady nie mieli możliwości ucieczki i ciągle toczyli zażartą walkę z rozszalałymi psami.

Okolo południa ludność osady została zaalarmowana o wydarzeniu na gościńcu w tajdze. Natychmiast udało się tam wielu mieszkańców, a z nimi szary człowiek z domku przy stacji.

Kiedy przybyli na miejsce, im oczom przedstawił się wstrząsający widok.

Na szerokim gościńcu, wśród porozrzucanych tobołków i różnych narzędzi, leżało kilkanaście osób, potwornie poszarpanych, a dokoła duża ilość nieżywych psów. Między nimi leżał rozciągnięty Burian z przetrąconym karkiem, a przy nim żelazna łopata i ciężki młot.

Z żywych ludzi nikogo nie zastano. Wszyscy z wielkiego przerażenia uciekli gdzieś w głęboką tajgę.

Szary człowiek nachylił się nad Burianem, pogłaskał go czule i wyszeptał ze łzami:

-Bohaterski Burianie-nie poznasz już wstrząsającej prawdy o łagrach sowieckich, nie zrozumiesz bólu i krzyku rozpaczki niewinnych ludzi w nich zamkniętych, nie dowiesz się o hańbie, zawisłej nad partią i Związkiem Radzieckim.

Po czym rozejrzał się na wszystkie strony i bez słowa ze spuszczoną głową powrócił do osady.

Opowiedział kobiecie, co widział w tajdze i spił się do nieprzytomności.

Tajga pochłonęła całą tragedię.

Niebawem przybyli do łagru nowi ludzie z inżynierami, technikami i brygadziastami. Przywieziono wielkie transporty maszyn i urządzeń na dworzec kolejowy w osadzie i znowu zawrzało życie za drutami kolczastymi, jedynie bez strażników, wymyślnych karcerów i bez sfory drapieżnych psów.

Notował: S. Sianko.